

Steel Danielle

W Sieci

ROZDZIAŁ I

Dźwięk muzyki organowej unosił się ku lazurowemu niebu. Był senny niedzielny poranek; w koronach drzew śpiewały ptaki, z oddali dobiegały pokrzykiwania dzieci. Chór głosów w kościele brzmiał potężnym unisono, śpiewając hymny, które Grace знаła od dzieciństwa. Tego ranka jednak nie była w stanie się doń przyłączyć. Stała bez ruchu, patrząc wprost przed siebie na trumnę matki.

Sąsiedzi znali Ellen Adams jako wspaniałą matkę, dobrą żonę, szanowaną obywatelkę. Przed urodzeniem Grace pracowała w szkole, potem... cóż, chciała mieć gromadkę dzieci, ale po prostu nie wyszło.

Ellen zawsze była słabego zdrowia i w wieku trzydziestu ośmiu lat zachorowała na raka. Nowotwór rozwinął się najpierw w macicy. Po rozległej operacji poddano ją naświetlaniom i chemioterapii, wcześniej jednak nastąpiły przerzuty do węzłów chłonnych i płuc, a niedługo potem rak zaatakował kości. Walka trwała cztery i pół roku. W końcu czterdziestodwuletnie ciało Ellen Adams dało za wygraną.

Konała w domu, prawie do ostatniej chwili zajmowała się nią Grace. Dopiero w ciągu ostatnich dwóch miesięcy ojciec musiał w końcu zatrudnić dwie pielęgniarki do pomocy. Ale Grace nadal po powrocie ze szkoły siadywała godzinami przy jej łóżku. W nocy to ona biegła do matki, gdy ta krzyczała z bólu, pomagała jej się obrócić, nosiła do łazienki, podawała lekarstwa. Pielęgniarki pracowały tylko we dnie — takie było życzenie ojca. Najwyraźniej nie mógł się pogodzić z tym, że jego żona jest aż tak ciężko chora. Teraz stał w nawie obok Grace i płakał jak dziecko.

John Adams był przystojnym, czterdziestosześcioletnim mężczyzną, jednym z najlepszych adwokatów w Watseka, a z pewnością najpopularniejszym. Walczył w drugiej wojnie światowej, po powrocie skończył studia na uniwersytecie Illinois, a następnie osiadł w rodzinnym Watseka, położonym sto mil na południe od Chicago. Była to mała, nieskazitelnie schludna miejscina, zamieszkała przez z gruntu przyzwoitych ludzi. Adams służył im radą we wszelkich kwestiach prawnych, cierpliwie wysłuchując ich żalów. Pomagał im przy rozwodach lub bojach o majątek, był rozjemcą pomiędzy zwaśnionymi członkami rodzin. Ceniono go za to, iż zawsze działał uczciwie. Pilotował roszczenia cywilnoprawne i te wobec państwa, pisał testamenty i przeprowadzał adopcje. On i jego przyjaciel, znany w miasteczku lekarz, stanowili parę najbardziej lubianych i szanowanych obywateli Watscka. W młodości Adams był lokalną gwiazdą futbolu i już wtedy wszyscy za nim szaleli. Jego rodzice zginęli w wypadku samochodowym, kiedy miał szesnaście lat, dziadkowie zaś zmarli jeszcze wcześniej, toteż sąsiedzi dosłownie toczyli boje o to, kto go przygarnie do czasu ukończenia szkoły. Był takim miłym i uczynnym chłopcem. W końcu mieszkał na zmianę u

dwóch różnych rodzin i obie go uwielbiały. Znal praktycznie wszystkich mieszkańców miasta po imieniu. Już w czasie choroby Ellen niejedna rozwódka albo młoda wdowa ostrzyła sobie na niego zęby, on jednak, jeśli nawet którąś z nich zagadnął, to tylko po to, by spytać o zdrowie dzieci. Nie oglądał się za kobietami, była to kolejna z jego cnót. „Chociaż Bóg świadkiem, że miałby do tego prawo” — mawiał pewien starszy pan, który dobrze go znał. „Mając tak chorą żonę, każdy znalazłby sobie coś na boku, ale nie John, on jest jej wierny.” John był przyzwoity, miły, uczciwy i nieodmiennie odnosił sukcesy. Sprawy, które prowadził, nie były głośne, ale miał zdumiewającą liczbę klientów. Jego wspólnik, Frank Wills, posadzał go żartobliwie o podkupywanie klientów za plecami. Każdy, kto wchodził do kancelarii, pytał o Johna, nie o Franka. To John był ulubieńcem całego miasta.

Frank nie był równie lotnym prawnikiem, miał wszakże dar wyszukiwania precedensów, potrafił też zręcznie układać kontrakty, dbając o każdy szczegół. Frank—mały, niepozorny człowieczek — przeczesywał każdy kontrakt gęstym grzebieniem. Jednakże to John zawsze zbierał całą chwałę, o niego pytali przez telefon klienci, o nim słyszano w innych, nawet odległych miastach. Mimo to współpraca układała się bez zgrzytów. W końcu znali się od collegu.

Frank stał teraz w kościele kilka rzędów za Johnem, szczerze współczując i jemu, i Grace. John szybko się pozbiera, myślał. Jak zwykle spadnie na cztery łapy. Frank gotów był się założyć, że za rok jego wspólnik będzie już powtórnie żonaty; dziewczyna jednak, wpatrzona w rzędy kwiatów przed ołtarzem, robiła wrażenie całkowicie rozbitej.

Grace miała siedemnaście 1t i była ładna, a raczej byłaby ładna, gdyby sobie na to pozwoliła. Szczupła, wysoka, miała wdzięczną sylwetkę, piękne długie nogi, cienką talię i pełny biust. Zawsze jednak ukrywała je w workowatych spodniach i długich luźnych swetrach, które kupowała w Armii Zbawienia. John Adams nie należał w żadnym razie do bogaczy, lecz stać go było, żeby ubrać ją lepiej, gdyby tylko zechciała. W przeciwieństwie do swych rówieśniczek, Grace nie interesowała się ani ciuchami, ani chłopcami i raczej próbowała zatrzeć własną urodę, niż ją podkreślić. W ogóle się nie malowała, miedzianozłote włosy nosiła puszczone prosto na plecy, a długie kosmyki spadające z czoła zasłaniały jej wielkie bławatkowe oczy. Nigdy nikomu nie patrzyła prosto w twarz i trudno ją było skłonić do rozmowy. Większość ludzi w ogóle jej nie zauważała, lecz gdy ktoś już ją dostrzegł, z reguły był zdumiony jej urodą. Dziś także Grace włożyła brzydką i niemodną czarną suknię matki, która wisiała na niej jak worek. Wyglądała w niej na trzydzieści lat. Włosy miała ściągnięte w ciasny węzeł na karku, a twarz śmiertelnie bladą.

— Biedne dziecko — szepnęła sekretarka Franka, kiedy Grace ruszyła powoli za trumną. — Biedny John... biedna Ellen... biedni oni wszyscy. Przeżyli prawdziwy koszmar.

8

Niekomunikatywność Grace wywoływała liczne komentarze. Kilka lat temu krążyły nawet plotki, że jest opóźniona w rozwoju. Ci jednak, którzy widywali ją w szkole, wiedzieli, że to kłamstwo. Była inteligentniejsza od większości kolegów

— tyle że rzadko się odzywała. Czasem zaśmiała się na korytarzu, ale po chwili umykała pospiesznie, jak gdyby bala się wyrzeć na świat ze swej skorupy. Dziwne, zważywszy, jak towarzyscy byli jej rodzice. Grace od małego trzymała się na uboczu. Zdarzyło się też parokrotnie, że wracała ze szkoły z ciężkim atakiem astmy.

Ojciec i córka stali przez chwilę w jaskrawym słońcu, ściskając dłonie znajomym i przyjmując kondolencje. Grace sprawiała wrażenie nieobecnej duchem i bardziej niż zwykle przypominała kolek. W ponurej, starej sukience — o trzy numery za dużej, bo matka, nim zachorowała, była od niej sporo tęższa — wyglądała po prostu rozpaczliwie.

W drodze na cmentarz ojciec nie szczędził jej gorzkich słów. Nawet jej buty — para matczynych szpilek — wyglądały na znoszone. Wkładając ubrania matki, Grace chciała być bliżej niej, równocześnie zaś przywdziewała swoiste barwy ochronne. Dziewczynie w jej wieku nie było w tym do twarzy.

— Nie mogłaś dla odmiany ubrać się przyzwoicie?— spytał z irytacją ojciec, kiedy jechali na podmiejski cmentarz Najświętszej Marii Panny, a w ślad za nimi sunęły trzy tuziny aut. Był szanowanym obywatelem i musiał dbać o reputację. Jego córka nie mogła wyglądać jak sierota z przytułku.

— Mama nie pozwalała mi kupować czarnych rzeczy. A pomyślałam... myślałam, że powinnam... — Spojrzała na niego żałośnie z kąta starej limuzyny, przysłanej przez dom pogrzebowy na tę okazję. Był to cadillac, który dwa miesiące wcześniej kilku chłopaków wynajęło na bal maturalny. Grace nie była na balu — nie chciała, a zresztą nikt jej nie zaprosił. Nie miała ochoty iść nawet na rozdanie świadectw. Oczywiście jednak poszła, by zaraz po powrocie pokazać matce dyplom. Została przyjęta na uniwersytet Illinois, ale odłożyła studia, chcąc nadal zajmować się matką. Ojciec zgodził się, gdyż czuł, że Ellen woli czuć opiekę Grace od fachowej obojętności pielęgniarek. W zasadzie wprost oznajmił córce, że nie życzy sobie jej wyjazdu. Nie spierała się z nim; wiedziała, że to nie ma sensu. Dyskusja z ojcem nigdy nie miała sensu. Zawsze stawiał na swoim. Przyzwyczaił się już do tego i oczekiwał, że tak będzie zawsze, zwłaszcza w rodzinie. Grace to rozumiała, Ellen także.

— W domu wszystko gotowe? — zapytał.

Skinęła głową. Mimo swej nieśmiałości i rezerwy świetnie prowadziła dom. Odkąd skończyła trzynaście lat, we wszystkim wyręczała matkę.

— No — bąknęła.

Wyłożyła bufet, nim wyszli do kościoła. Reszta była przykryta folią na dużych półmiskach w lodówce. Ludzie znosili im jedzenie od wielu dni, poprzedniego wieczora zaś Grace przygotowała indyka i pieczeń. Pani Johnson przyniosła im szynkę, były też sałatki, kielbaski, dwa półmiski przystawek, mnóstwo świeżych warzyw i wszelkie rodzaje ciast. Kuchnia wyglądała jak stoisko z wypiekami na stanowym jarmarku, na pewno wystarczy dla wszystkich. Grace przewidywała, iż będą podejmować ponad sto, może nawet dwieście osób, przybyłych z szacunku dla Johna, który tyle znaczył dla mieszkańców Watseka.

Dowodów uznania zebrał zresztą bez liku. Sama ilość kwiatów biła wszelkie rekordy.

„Zupełnie jakby umarł ktoś z rodziny królewskiej” — powiedział stary pan Peabody, wręczając Johnowi księgę pamiątkową pełną podpisów.

— To była wyjątkowa kobieta — odrzekł cicho John i myśląc o żonie, popatrzył na swoją córkę. Piękna dziewczyna, choć uparła się to ukrywać. Taka już była, pogodził się z tym i przestał z nią wojować. Miała wiele zalet, a w ciągu długich lat choroby matki była dla niego błogosławieństwem. Dziwnie będzie im się teraz żyło, ale musiał przyznać, że łatwiej. Ellen cierpiała tak długo i tak strasznie, że było to nieludzkie.

Wyjrzał przez okno i znów zerknął na jedynaczkę.

— Właśnie myślałem, jak będzie nam jej brakować, ale...

— nie był pewien, jak ma to powiedzieć, żeby nie sprawić Grace przykrości — ...może tak jest lepiej. Strasznie się męczyła, biedna... — westchnął. Grace milczała. Napatrzyła się na cierpienia matki bardziej niż ktokolwiek, bardziej nawet niż on.

Ceremonia na cmentarzu trwała krótko; pastor powiedział parę słów o Ellen i jej rodzinie i odczytał kilka psalmów nad grobem, apotem wszyscy pojechali z powrotem do Adamsów. Ponad setka znajomych stłoczyła się w małym domku. Pomalowany na biało, miał ciemnozielone okiennice i drewniany parkan od ulicy. Rosły przed nim kępy margaretek, a tuż pod kuchennym oknem rozpościerał się mały ogród różany — duma Ellen.

Gwar rozmów przywodził na myśl przyjęcie koktajlowe.

W salonie pełnił honory domu Frank Wills, John zaś stał z gośćmi przed domem w upalnym lipcowym słońcu. Grace podawała lemoniadę i mrożoną herbatę, ojciec wyjął wino i nawet ten ogromny tłum ledwie uszczuplił masę podanego jadła. Kiedy ostatni goście się rozeszli, była czwarta po południu. Grace wzięła tacę i zaczęła zbierać brudne naczynia.

— Mamy dobrych przyjaciół rzekł John z ciepłym uśmiechem. Był dumny z tego, że ludzie go lubili. Na przestrzeni lat wiele dla nich uczynił i oto w potrzebie stanęli przy nim i przy jego córce. Patrzył na Grace krążącą po salonie i nagle uświadomił sobie, jak w nim pusto. Ellen odeszła, pielęgniarki zniknęły, nie było nikogo poza nimi dwojgiem. John Adams nie był jednak człowiekiem, który by się roztkliwiał nad dopustami losu.

— Sprawdzę, czy w ogrodzie nie zostały jakieś szklanki

— rzekł, chcąc być pomocny. Wrócił za pół godziny z tacą pełną naczyń, bez marynarki i z rozluźnionym krawatem. Gdyby Grace zdawała sobie sprawę z takich rzeczy, dotrzegłaby, że jej ojciec nagle wyprzystojniał. Obcy to zauważyli. W ciągu ostatnich kilku tygodni schudł — co było zrozumiałe — i miał teraz figurę młodzieńca, a w słońcu trudno było stwierdzić, czy jego włosy są siwe czy płowe. W rzeczywistości były płowosiwe, a oczy świetliście niebieskie jak u córki.

— Pewnie jesteś zmęczona — bąknął.

Grace wzruszyła ramionami, ładując brudne naczynia do zmywarki. W gardle czuła ucisk i dokładała starań, żeby się nie

koszmarne lata. Najchętniej rozplynęłaby się w kałuży łez. Ale czekał ją następny dzień, następny rok, następny obowiązek, który musiała spełnić. Patrząc z rozpaczą na stertę naczyń poczuła, że ojciec staje za nią.

— Pomóc ci?

— Nie trzeba — mruknęła. — Podać ci kolację, tato?

— Wątpię, czy byłbym w stanie jeszcze cokolwiek przełknąć. Zostaw to do jutra. Miałaś ciężki dzień. Powinnaś odpocząć.

Kiwnęła głową i pochyliła się z powrotem nad zmywarką. Ojciec zniknął w sypialni. Upłynęła godzina, nim Grace w końcu uporała się ze sprzątaniami. Cała żywność została uprzątnięta, kuchnia błyszczała czystością, a w salonie nie znalazłby jednego pyłku. Grace pedantycznie przeszła po domu, poprawiając meble i obrazy. Był to sposób na oderwanie myśli od tego, co się stało.

Kiedy mijala zamknięte drzwi pokoju ojca, wydawało jej się, że słyszy, jak ojciec rozmawia przez telefon. Uznała, że się gdzieś wybiera, weszła do siebie i rzuciła się w ubraniu na łóżko. Czarną sukienkę znaczyły już plamy z jedzenia i mydlin. Włosy zlepły się w strąki, wargi przypominały papier ścierny, a serce ciążyło niczym ołów. Zamknęła oczy; dwa strumyczki łez spłynęły jej z kącików w stronę uszu.

Dlaczego, mamó... Dlaczego mnie opuściłaś?...

Czuła się zdradzona. Co teraz zrobi? Kto jej pomoże? Dobrze choć, że we wrześniu wyjedzie do college'u. Jeśli jeszcze ją przyjmą. I jeśli ojciec pozwoli. Nic jej teraz nie trzymało w domu, ponad wszystko pragnęła stąd wyjechać.

Usłyszała, że ojciec wychodzi do holu. Zawołał ją, lecz nie odpowiedziała. Była nazbyt zmęczona, by z kimkolwiek rozmawiać. Po chwili ojciec wrócił do sypialni.

Minęło kilka minut nim Grace w końcu wstała i weszła do łazienki. Własna łazienka, którą matka pozwoliła jej urządzić na różowo, stanowiła jej jedyny luksus. Dom był mały; miał tylko trzy sypialnie — ta trzecia przeznaczona była dla syna Adamsów, którego nigdy się nie doczekali. Od dłuższego czasu używano jej jako garderoby.

Grace napełniła wannę aż po brzeg gorącą wodą i zamknęła na klucz drzwi do swojej sypialni. Potem zdjęła zniszczoną czarną suknię i zrzuciła z nóg matczyne buty.

Powoli wyciągnęła się w wannie, zamykając oczy, kompletnie nieświadoma tego, jak jest piękna: jak smukłe ma nogi, jak kuszące biodra i jędrne piersi. Nie dostrzegała takich rzeczy i nie dbała o nie. Wydawało jej się, że głowę wypełnia jej suchy piasek. Nie miała żadnych planów, żadnych pragnień; chciała jedynie unosić się w próżni i nie myśleć absolutnie o niczym.

Minęło sporo czasu, woda w wannie wystygła, gdy ojciec zapukał do drzwi jej sypialni. -

— Co tam robisz, Gracie? Złe się czujesz?

— Nie, w porządku! — odskrzyknęła wyrwana z letargu. Na dworze zrobiło się ciemno, a ona nie zadała sobie nawet trudu, żeby włączyć światło.

— Wyjdź, nie siedź tam sama.

— Nic mi nie jest. — Mówiła monotonna, wbijając wzrok w dal. Zazdrośnie strzegła swojej samotności, miejsca w głębi duszy, gdzie nikt nie mógł jej znaleźć ani skrzywdzić. Ojciec nie odchodził; zawołała, że wyjdzie za chwilę. Wytarła się, włożyła dżinsy, trykotową koszulkę i mimo upału jeden ze swoich swetrów. Ubrana, otworzyła drzwi i wróciła do kuchni rozładować zmywarkę. Ojciec stał w drzwiach do ogrodu, spoglądając na róże wyhodowane przez jego zmarłą żonę. Kiedy weszła Grace, odwrócił się i uśmiechnął do niej.

— Nie chcesz sobie posiedzieć przez chwilę w ogrodzie? Jest tak przyjemnie. Poskładać możesz rano.

— Równie dobrze mogę to zrobić teraz.

Ojciec wzruszył ramionami i wyjął z lodówki piwo, potem wyszedł na zewnątrz i usiadł na schodkach, obserwując iskierki świętojańskich robaczek. Grace zdawała sobie sprawę, że wieczór jest ładny, ale nie chciała go zapamiętywać, tak samo jak nie chciała pamiętać chwili śmierci matki, żalnego jęku, jakim błagała Grace, żeby była dobra dla ojca. Tylko o nim myślała... tylko jego szczęście miało dla niej znaczenie.

Wróciwszy do pokoju, Grace w ubraniu położyła się na łóżku. Nie włączała światła. Wciąż nie mogła przyzwyczać się

do ciszy; od dwóch dni nasłuchiwała głosu matki, jak gdyby ta spała i łada moment miała się obudzić z bólu. Ale Ellen Adams już nie odczuwała bólu. Odzyskała spokój, im zaś została tylko cisza.

O dziesiątej Grace przebrała się w nocną koszulę. Dżinsy rzuciła na podłogę wraz ze swetrem i podkoszulkiem. Zamknęła drzwi na klucz i wróciła do łóżka. Nie miała ochoty czytać ani oglądać telewizji, wszystkie domowe prace wykonała, nie było już nikogo, nad kim musiałaby czuwać. Chciała tylko spać, spać i zapomnieć o wszystkim... o pogrzebie... zapachu kwiatów... o słowach pastora nad grobem i gładkich formułkach kondolencji. I tak nikt nie znał matki, nikt ich naprawdę nie znał, a już chyba najmniej obchodziła ich Grace. Uznawali jedynie swoje własne iluzje.

— Gracie... — Ojciec delikatnie zapukał do drzwi. — Gracie, kochanie, śpisz?

Co miała mu powiedzieć? Że tęskni za matką? Szkoda fatygi. Słowa itak jej nie wskrzeszą. Nic jej nie wskrzesi. Grace leżała w ciemności, odziana w starą różową nylonową koszulę.

Ojciec poruszył kłamkę. Drzwi były zamknięte na klucz. Zawsze się zamykała. W szkole koleżanki śmiały się, że jest taka wstydliva. Lubiła mieć pewność, że gdy zechce być sama, nikt nie będzie jej się narzucał.

— Gracie? — ojciec wyraźnie nie miał zamiaru ustąpić; jego głos tchnął łagodnością i ciepłem.

Grace spojrzała na drzwi, lecz nie odezwała się.

— Nie dziwacz, kochanie, wpuść mnie. Porozmawiamy... Obojgu nam teraz ciężko... no, skarbie... pozwól sobie pomóc.

Grace nie poruszyła się. Tym razem ojciec gwałtowniej szarpnął kłamkę.

— Kochanie, nie zmuszaj mnie, żebym wyważył drzwi, a wiesz, że potrafię. W tej chwili otwórz.

— Źle się czuję. Mam okres — skłamała. W świetle księżycy jej biała twarz i ramiona wyglądały jak wykute z marmuru, ale on tego nie widział

— Nie kłam. — Rozpiął koszulę. Też był zmęczony, ale nie mógł pozwolić, by zamartwiała się, zamknięta na klucz, Po to był jej ojcem, żeby ją pocieszyć. — Grace! — zawołał rozkazująco. Usiadła w łóżku.

— Nie wchodź, tatusiu — prosiła drżącym głosem. Był wszechmocny, a ona panicznie się go bała. — Proszę cię, nic wchodź.

Dobijał się jeszcze przez chwilę, lecz nie udało mu się sforsować drzwi. Potem odszedł, ale za dobrze go znała. Nie rezygnował tak łatwo; wiedziała) że teraz też nie ustąpi.

Po chwili wrócił, pogrzebał w zamku jakimś narzędziem i w parę sekund później stał już w jej pokoju, boso, w samych spodniach. Na twarzy malowała mu się irytacja.

— Nie musisz tego robić. Zostaliśmy sami. Nie zrobię ci przecież krzywdy.

— Wiem, ale... chciałam tylko... przepraszam, tatusiu.

— Tak już lepiej. — Spojrzał na nią surowo. — Nie ma sensu, żebyś płakała w samotności. Chodź do mnie, porozmawiamy.

Nie mogę... Ja... boli mnie głowa...

Idziemy. — Schylił się, złapał ją za ramię i pociągnął do siebie. Bez dyskusji!

— Nie chcę... ja... nie! — krzyknęła i wyrwała się. — Nie mogę!

Tym razem się rozzłościł. Zdenerwowały go te głupie gierki. Zwłaszcza dzisiaj nie widział w nich sensu ani celu.

— Owszem, możesz i zrobisz to, do cholery — syknął.

Tato, proszę cię... — zaskomliła cienko, kiedy wywłókł ją z łóżka. — Mama... czuła ucisk w piersi i słyszała swój świszczący oddech.

Nie pamiętasz już, co ci mówiła? — prychnął. — Na łożu śmierci kazała ci...

— Gwiżdżę na to!

Dawniej opierała się i płakała, ale nigdy nie przeciwstawiła się tak otwarcie. To mu się nie spodobało.

Mamy już nie ma — wyjąkała, trzęsąc się na całym ciele. Usiłowała wykrzesać w sobie coś nowego: odwagę do walki.

— Owszcm, nie ma jej. — Nieoczekiwanie uśmiechnął się.

— W tym właśnie rzecz, Grace. Nie musimy się już zgrywać, ty i ja. Jesteśmy teraz sami... tylko we dwoje... i nikt się nie dowie... — Postąpił ku niej z błyskiem w oku, a gdy Grace zrobiła krok w tył, złapał ją za ramiona i jednym szarpnięciem zdarł z niej koszulę, rozrywając ją na pół. — O... tak lepiej, prawda? Precz z tym łachem... Tatuś chce tylko swojej małej Gracie... którą tak bardzo kocha.... — Jedną ręką zrzucił spodnie i slipy.

— Tato...

Był to przeciągły jęk żalu i wstydu. Grace zwiesiła głowę i odwróciła wzrok; widok jego erekcji był aż nadto znajomy. Łzy spłynęły jej po policzkach. On nic nie rozumiał. Od czterech lat robiła to dla matki, bo matka ją błagała. Przedtem ojciec ją bił, a Grace słuchała

tęgo co noc przez ścianę. Rano matka próbowała ukryć sińce, mówiła, że upadła albo uderzyła się o drzwi łazienki, ale dla Grace wszystko było jasne. Nikt inny nie przypuszczał, że John Adams jest do tego zdolny. Biłby też i Grace, ale Ellen nigdy mu nie pozwalała. Nadstawiała się pod jego pięści, a Grace kazała zamykać się na klucz.

Ellen dwukrotnie poroniła z powodu pobicia, za drugim razem w szóstym miesiącu. Potem nie poczęła już więcej dzieci. John był brutalny, ale przy tym dbał, by sińce łatwo można było ukryć; zresztą Ellen nigdy by go nie wydała. Kochała go już w szkole, był najprzystojniejszym chłopcem wmieście, i wychodząc za niego uważała się za szczęściarę. Jej rodzice żyli w nędzy, a ona nawet nie zdała matury. Owszem, była piękna, lecz bez niego nie miałyby szans w świecie. Tak twierdził John, a Ellen mu wierzyła. W domu też ją bito i na początku to, co robił John, nie wydawało się niezwykle ani straszne. Z biegiem czasu sytuacja się pogarszała, a do tego John groził, że ją rzuci, bo jest nic nie warta. Zgadzała się na wszystko, byle jej nie zostawił. Kiedy zaś Grace zaczęła dorastać i pięknieć, stawało się coraz bardziej oczywiste, czego chce John i czego wkrótce od niej zażąda. Potem Ellen zachorowała. Po drastycznej terapii nic mogła już sypiać z mężem. Powiedział jej bez ogródek, że musi coś wymyślić, żeby go zadowolić. A Grace miała trzynaście lat i była taka śliczna.

Matka wyjaśniła jej, że będzie to jakby dar. Grace może przecież uszczęśliwić tatusia i pomóc mamusi, i stać się przez to jeszcze pełniej członkiem ich rodziny. Zwłaszcza tatuś będzie ją kochał wiele mocniej niż przedtem. Grace najpierw nie rozumiała, o co chodzi, potem zaczęła płakać. Co by pomyślały o niej koleżanki? Tęgo nie wolno robić z własnym ojcem! Matka jednak twierdziła, że jest im to winna, że mamusia umrze, jeśli jej nie pomoże, a tatuś zostawi je na łasce losu. Nałożyła na ramiona Grace ołowiane brzemie odpowiedzialności. Dziewczynkę przygwoździł jego ciężar i groza, Nie czekali nawet, aż się zdecyduje. Tej samej nocy przyszli do jej pokoju, matka trzymała Grace i gruchała do niej. Później zaś John całował żonę i dziękował jej.

Od tej pory rozpoczęło się dla Grace piekło. Ojciec odwiedzał ją prawie co noc. Często sprawiał jej ból, a czasami myślała, że umrze ze wstydu. Cierpiała w samotności; matka po pewnym czasie przestała przychodzić z nim do jej pokoju. Nie było potrzeby; Grace znała już swoje obowiązki. Nie miała wyboru: kiedy się opierała, ojciec bił ją albo katował Ellen, nie zważając na jej chorobę i ból. Grace biegła wtedy za nim z krzykiem i przysięgała, że już będzie posłuszna. A on wciąż od nowa kazał to udowodniać. Przez ponad cztery lata robił z nią wszystko, o czym tylko mógł zamarzyć, traktował własną córkę jak haremową niewolnicę. Matka ograniczyła się do tego, żeby kupić Grace pigułki antykoncepcyjne. Od tamtej pory Grace nie miała już przyjaciół. I przedtem bała się, że ktoś się dowie, iż ojciec bije matkę, ale teraz chowała się przed ludźmi, pewna, że dostrzegą w jej twarzy piętno zła. To, że uosobieniem zła był jej ojciec, nigdy naprawdę do niej nie dotarło. Aż do tej chwili. Gdy Ellen Adams przeniosła się do wieczności, Grace nagle jakby odzyskała wolność. Nie chciała tęgo robić, nawet przez pamięć matki. Zwłaszcza w tym pokoju. Nigdy dotąd ojciec nie ośmielił się brać jej w małżeńskim łóżu. Czyżby spodziewał się, że zajmie

miejsce matki, że teraz ona stanie się jego żoną? Nawet przemawiał do niej w inny sposób. Tak, to było jasne.

Jej gorączkowe prośby i błagania tylko bardziej go podnieciły. Jednym ruchem rzucił ją na łóżko dokładnie w to samo miejsce, gdzie jeszcze dwa dni temu — i przez wszystkie puste lata ich małżeństwa — leżała chora Ellen.

Grace zdała sobie sprawę, że była szalona, sądząc, że może pozostać z nim pod jednym dachem. Musi stąd uciec, ale najpierw musi przeżyć tę koszmarną noc. Nie pozwoli, żeby znów... Matka kazała jej być „dobra” dla ojca. Dostyc już korzystał z jej dobroci. Nie robi tego więcej... nigdy... nigdy...

Kiedy bezradnie machała rękami, ojciec kilkakrotnie uderzył ją w twarz, przygwoździł swym ciężarem, nogami szybko rozsunał jej nogi i wbił się w nią, zadając jej więcej bólu niż dotąd była w stanie sobie wyobrazić. Myślała, że ją zabije. Miała wrażenie, że wali w nią od wewnątrz miażdżąca pięść, jakby chciał jej udowodnić, że posiada ją na własność i może z nią zrobić, co mu się spodoba. Pokój wirował wokół niej, ojciec brutalnie miętosił jej piersi, gryzł usta, aż w końcu Grace zaczęła odpływać w stan bliski śmierci, która mogła przynieść wybawienie.

Równocześnie jednak wiedziała, że robi to po raz ostatni. Tylko cal dzielił ją od niebezpiecznej przepaści i nagle szamocząc się z ojcem pojęła, że walczy o życie.

Przetoczyli się bliżej nocnego stolika matki. Dawniej stały na nim schludne rzędy fiolek, szklanka i dzbanek z wodą. Teraz nie było leków, wody ani szklanki, i nie było osoby, która z nich korzystała. Grace bezmyślnie wodziła ręką po blacie stolika, podczas gdy ojciec wciąż sapał i chrząkał. Szuflada otworzyła się niemal bez udziału Grace. Namacała w niej chłodną, gładką stal pistoletu, który John kupił żonie na wypadek, gdyby ktoś włamał się do domu. Nie odważyłaby się go użyć przeciw niemu; Ellen Adams ślepo kochała męża.

Palce Grace objęły metalowy przedmiot i uniosły go w górę. Chciała uderzyć ojca. Musiała go powstrzymać, obojętne jak, nim dojdzie do wytrysku. Nie mogła przeżyć tego jeszcze raz. Dzisiejsza noc uświadomiła jej, że taki miał być jej los przez resztę życia. Nie zdoła stąd odejść, ojciec nie

pozwoli jej pójść do college'u ani gdziekolwiek indziej. Do śmierci będzie mu usługiwała.

W tym momencie ojciec zadygotał i krzyknął; uderzyła w nią ciepła fala spermy. Grace skrzywiła się z bólu i odrazy. Ten znajomy, przeciągły okrzyk na nowo rozpałił jej nienawiść. Skierowała wylot lufy w jego stronę; ojciec podniósł głowę i zobaczył go.

— Ty mała kurwo! — wrzasnął, wciąż miotany drgawkami orgazmu. Nikt nigdy nie podniecał go tak jak Grace. Miał ochotę przenicować ją na wylot, powyrywać kończyny i szarpać zębami to ciało, które było owocem jego ciała. Wściekły, wyciągnął rękę, żeby wyrwać jej broń, a ona domyśliła się, co zamierza. Znów będzie ją bił — zawsze go to podniecało. Nie mogła pozwolić, by ponownie ją zgwałcił. W panice nacisnęła spust.

Pistolet wypalił z hukiem, ojciec nagle wytrzeszczył osłupiałe oczy i runął, miażdżąc ją swoim ciężarem. Próbowwała się uwolnić, ale był za ciężki. Po jej ustach i całej twarzy ściekała jego krew. Wreszcie, wyężdżając wszystkie siły, zepchnęła go z siebie. Przewrócił się

na plecy; przestrelone gardło wydało koszmarny gulgot, a otwarte oczy wpatrywały się w Grace

— O mój Boże... mój Boże... wyjąkała, łapiąc ze świstem powietrze. Nie chciała go dotykać. Krew płynęła po łóżku, a w głowie Grace dźwięczały słowa matki: „Bądź dobra dla tatusia... bądź dla niego dobra..., opiekuj się nim..., zawsze dbaj o ojca...”

Zadbała o niego. Żył jeszcze, patrzył na nią, ale chyba był sparaliżowany. Skuliła się w kącie, trzęsąc się gwałtownie, i zwymiotowała na dywan. Potem zmusiła się, żeby podejść do telefonu i wykręcić numer centrali.

— Potrzebna mi karetka... karetka pogotowia... mój ojciec jest ranny... postrzeliłam go... — Walcząc z dusznościami podała im adres. Ojciec wciąż leżał tam, gdzie upadł. Jego członek, ten narząd, który tak ją przerażał, którym torturował ją przez tyle lat, był teraz zwiotczały, mały i nieszkodliwy, podobnie jak i sam John Adams. Wyglądał żałośnie, jęczał, a krew nadal wypływała mu z krtani.

Kiedy przyjechała policja, Grace dusiła się w kącie w ataku astmy. Była naga, w ręce wciąż trzymała pistolet.

— O Boże... — rzekł cicho pierwszy policjant, który wszedł do pokoju. Potem zobaczył Grace i odebrał jej broń. Ktoś okrył ją kocem, widząc ślady pobicia, krew rozsmarowaną po całym ciele i wyraz oczu. Wydawała się obłąkana. Przebyła drogę do piekła i jeszcze stamtąd nie powróciła.

Gdy przyjechała karetka, ojciec ciągle żył, ale kula przerwała mu rdzeń kręgowy i utkwiała w płucu. Był całkowicie sparaliżowany, nie mógł mówić. Kiedy go wynosili, oczy miał zamknięte i ledwie oddychał; podawano mu tlen.

— Wyjdzie z tego? zapytał oficer policji.

— Trudno powiedzieć bąknął sanitariusz, po czym dodał półgłosem: — Mało prawdopodobne.

Odjechali na syrenie, a starszy oficer pokręcił głową. Znał Johna Adamsa od liceum. To John pomógł mu uzyskać rozwód. John to bombowy facet... Co tu się, na Boga, stało? Oboje byli nadzy, ale to mogło nic nie znaczyć. Widocznie w tym domu sypiano bez piżam. Dziewczyna jest wyraźnie niezrównoważona. Może śmierć matki była dla niej zbyt silnym wstrząsem, może winiła za to swego ojca... Cokolwiek zaszło, dowiedzą się tego w czasie śledztwa.

— Co z nią? — spytał jeden z młodszych policjantów. Po domu kręciło się ich z tuzin.

Zabezpieczony pistolet zaniecono do radiowozu, fotograf zaś robił zdjęcia sypialni. Było to największe wydarzenie w Watseka od czasu, gdy dziesięć lat temu syn pastora zażył LSD i popełnił samobójstwo. Wtedy wydarzyła się tragedia, ale dziś zapowiadało się na skandal. Żeby taki człowiek jak John Adams zginął z rąk własnego dziecka,.. Potworna zbrodnia. Jakaż strata dla całego miasta!

— Jest naćpana? — spytał szef.

— Nie wygląda na naćpaną — rzeki młody policjant.

— W każdym razie nie na pierwszy rzut oka. Jest oszołomiona i przerażona. Rzęzi, ma chyba astmę.

— Przykro mi to słyszeć — sarknął starszy oficer, rozglądając się po salonie. Był tu zaledwie kilka godzin temu, po pogrzebie. Trudno uwierzyć, że oto znalazł się tutaj ponownie. Może ta mała jest po prostu stuknięta. — John Adams ma w tej chwili większy problem niż astma.

— Co powiedzieli? — Młody oficer miał zmartwioną minę. — Wyżyje?

— Wątpię. Córeczka odwalila kawał dobrej roboty. Rdzeń kręgowy, chyba płuco, Bóg jeden wie, co jeszcze. I Bóg wie dlaczego.

— Jak pan myśli, stary ją posuwał? — Młody policjant był wyraźnie zaintrygowany.

— John Adams? Zwariowałeś, O'Byrne? Nie wiesz, kto to jest? Najlepszy prawnik w mieście i najporządniejszy facet, jakiego znam. Myślisz, że taki człowiek pieprzyłby własne dziecko? Jesteś chory albo marny z ciebie glina, skoro pleciesz takie bzdury.

— Czy ja wiem... Oboje byli nadzy, a dziewczyna jest taka przestraszona... ma sińce na ciele i... — zawahał się, przewidując reakcję szefa, ale nie mógł ukrywać dowodów, obojętne, kim była ofiara. Dowód to dowód. — Na pościeli była sperma

— dodał. Byстрыm okiem wyłowił spośród krwi inne plamy.

— Gównno mnie to obchodzi. Czasem nie trzeba baby, żeby zafajdać pościel. Facet pochował dziś żonę, może się zabawiał, kiedy weszła z bronią, i to właśnie ją przestraszyło. Jednego mi nie mów: że John Adams robił to z własnym dzieckiem. Bzdura.

— Przepraszam, sir.

Policjanci zwijali pościel jako dowód rzeczowy i wsadzali ją do plastikowych worków. Grace siedziała na łóżku w swoim pokoju, wciąż owinięta w koc, i trzymała przy ustach inhalator. Oddychała już swobodniej, choć była śmiertelnie blada, a przesłuchujący ją policjant wcale nie był pewien, ile do niej dociera. Wydawała się tak otumaniona, że miał wątpliwości, czy go w ogóle rozumie. Twierdziła, że nie wie, kiedy wzięła pistolet; nagle poczuła go w dłoni, a potem wypalił. Pamięta hałas i bryzgającą na nią krew, to wszystko.

— Krew pociekła na ciebie? Gdzie wtedy byłaś? — Policjant odniósł to samo wrażenie, co O'Byrne, choć trudno mu było uwierzyć; chodziło przecież o Johna Adamsa.

— Nie pamiętam — powiedziała tępo Grace. Głos miała jak automat, oddech wciąż płytki i urywany, a lekarstwo dodatkowo ją rozkojarzyło.

— Nie pamiętasz, gdzie stałaś, strzelając do ojca?

— Nie wiem. — Spojrzała na niego tak, jakby w ogóle go nie widziała. — W drzwiach — skłamała. Wiedziała, że musi chronić dobre imię ojca, obiecała to matce.

— Strzeliłaś od drzwi? — To było niemożliwe; cała ta rozmowa zakrawała na absurd. — Chcesz powiedzieć, że zranił go ktoś inny?

Zastanawiał się, czy dziewczyna nie do tego właśnie zmierza. Historyjka o włamywaczu byłaby jednak jeszcze mniej wiarygodna niż brednie o tym, że stała w drzwiach.

— Nie. Ja strzelałam. Stałam w progu.

Policjant był absolutnie pewny, że Adams oberwał z odległości nie większej niż parę cali, a człowiek, który strzelał, znajdował się tuż naprzeciw niego i najprawdopodobniej była to jego córka. Nic mu nie pasowało.

— Leżeliście w łóżku? — spytał podchwytliwie.

Grace nie odpowiedziała. Westchnęła tylko cicho, patrząc wprost przed siebie, jakby go nie dostrzegała.

— Byłaś z nim w łóżku? zapytał jeszcze raz, a Grace zawahała się przez dłuższą chwilę, nim odpowiedziała:

— Nie jestem pewna. Chyba nie.

— Jak ci idzie? — Starszy oficer wetknął głowę w drzwi. Była trzecia nad ranem i zrobili już wszystko, co należało zrobić na miejscu przestępstwa.

Przesłuchujący bezradnie wzruszył ramionami. Nic szło dobrze. Wypowiedzi Grace nie miały sensu, dziewczyna trzęsła się gwałtownie i była tak oszołomiona, że wątpił, czy wogóle wie, co się zdarzyło.

— Pojedziesz z nami, Grace. Zatrzymamy cię w areszcie parę dni. Musisz nam udzielić dokładniejszych wyjaśnień.

Kiwnęła głową bez słowa. Siedziała owinięta w koc poplamiony krwią.

— Może chciałabyś się trochę umyć? — Szef kiwnął głową na policjanta, który z nią rozmawiał, ale Grace nie drgnęła.

— Zabieramy cię na przesłuchanie — wyjaśnił ponownie, zastanawiając się, czy dziewczyna naprawdę nie jest chora psychicznie. John nigdy o tym nie wspominał, ale też o czymś takim nie opowiada się klientom.

— Zatrzymamy cię na siedemdziesiąt dwie godziny. Musimy przeprowadzić śledztwo.

Czy chciała go zabić, czy był to wypadek? O co poszło? Nie zaszkodzi zbadać, czy przypadkiem mała nie jest pod wpływem narkotyków.

Grace o nic nie pytała, nie miała też najwyraźniej zamiaru się ubrać. Wydawała się kompletnie zdezorientowana i to coraz bardziej przekonywało oficera prowadzącego śledztwo, że jest nienormalna. W końcu ściągnęli na pomoc policjantkę. Ta ubrała Grace jak małe dziecko, poleciła jej też zmyć krew, co ujawniło rozmaite ślady i sińce na jej ciele.

Grace była zaskakująco uległa. Robiła wszystko, co jej kazano, ale nadal się nie odzywała.

— Pokłóciłaś się z ojcem? — spytała policjantka, patrząc, jak Grace wciąga swoje stare dżinsy i trykotową koszulkę. Dziewczyna dygotała, jakby stała nago w Arktyce. — Czymś cię rozżłościł?

Cisza. Zadnej reakcji, nawet wrogiej. Grace Adams wyglądała, jakby była w transie. Kiedy prowadzili ją przez salon, nie spytała o ojca. Nie interesowało jej, co się z nim stało.

Zatrzymała się tylko na chwilę przed fotografią w srebrnej ramce. Na zdjęciu trzyletnia Grace stała obok matki i obje się uśmiechały. Grace patrzyła na nie przez długą chwilę,

wspominając, jak ładna wtedy była matka i jak wiele później zażądała od Grace. Zbyt wiele. Grace chciałaby móc ją przeprosić. Zawiodła matkę. Nie zadbała o ojca, a teraz on odszedł.

Nie mogła sobie przypomnieć dokąd. W każdym razie odszedł. I nie będzie się już nim zajmować. Nie będzie służyć na każde skinienie.

— Nic do niej nie dociera — powiedziała półgłosem policjantka.

Grace patrzyła na zdjęcie matki. Chciała je zapamiętać. Nie wiedziała dlaczego, ale miała uczucie, że go już nie zobaczy. Wiedziała tylko, że wychodzą z domu.

— Wezwie pan psychiatrę? — zagadnęła szefa policjantka.

— Chyba tak — rzekł oficer. Był prawie pewien, że Adamsówna jest niedorozwinięta. Chociaż... może to tylko gra. Może było w tym więcej, niż widziało oko. Trudno powiedzieć. Bóg jeden wie, co naprawdę siedzi w tej dziewczynie.

Na trawniku przed domem roilo się od policjantów. Przy jezdni parkowało siedem radiowozów. Błyskały światła, mężczyźni w mundurach kręcili się wszędzie, a młody policjant nazwiskiem O'Byrne pomógł Grace wsiąść do radiowozu. Policjantka usiadła obok niej. Patrzyła na Grace dość sceptycznie. Widziała już takie dziewczęta, narkomanki lub oszustki, które tylko udawały opóźnione w rozwoju, żeby nie można było ich postawić przed sądem. Widziała piętnastolatkę, która wymordowała całą swoją rodzinę, a potem twierdziła, że kazały jej to zrobić głosy z telewizora. Grace mogła być taką właśnie spryciarą. Równocześnie jednak policjantka nie mogła oprzeć się wrażeniu, że z tą dziewczyną coś jest nie w porządku. I wciąż łykała powietrze, jakby miała problemy z oddychaniem. Z drugiej strony, taka rzeźnia wystarczyłaby, żeby wywołać szok u większości ludzi. Na szczęście nie do niej należało stwierdzenie, czy dziewczyna jest zdrowa. Psychiatrzy ją rozszyfrują. Na komisariat jechało się krótko, zwłaszcza o tej porze, ale nim tam dotarli, Grace wyglądała jeszcze gorzej niż przedtem. W świetle jarzeniówki jej twarz przybrała zielonkawy odcień. Umieścili ją w tymczasowej celi. Po chwili wszedł przysadzisty policjant i zmierzył ją wzrokiem.

— Grace Adams? — zapytał zwięźle. Kiwnęła głową. Czowała, że zaraz zemdleje, zwymiotuje albo umrze. Tylko tego chciała. Śmierć byłaby darem, bo życie było straszne.

— Tak czy nie? — warknął policjant.

— Tak, to ja.

— Twój ojciec właśnie zmarł w szpitalu. Zostajesz zatrzymana pod zarzutem morderstwa. Odczytał Grace jej prawa i wręczył policjantce, która weszła za nim, jakieś papiery. Potem bez słowa wyszedł z celi; metalowe drzwi trzasnęły głośno. Policjantka kazała Grace rozebrać się do naga. Przypominało to kiepski film.

— Po co? — spytała ochryłym głosem.

— Rewizja osobista — wyjaśniła kobieta.

Grace zmusiła do posłuszeństwa trzęsące się ręce. Było to potwornie upokarzające. Potem wzięli jej odciski palców i zrobili zdjęcia do kartoteki.

— Skończyły się żarty — powiedziała zimno inna policjantka, wręczając Grace papierowy ręcznik do wytarcia palców. — Ile masz lat?

Grace spojrzała na nią tępo. Próbowwała pojąć to, co do niej mówili. Zabiła go. Nie żył. Skończyło się.

— Siedemnaście.

— Masz pecha. W Illinois za zabójstwo staje się przed sądem dla dorosłych po ukończeniu trzynastego roku życia. Jeśli sąd uzna cię winną, posiedzisz co najmniej czternaście, piętnaście lat. Albo wlepią ci karę śmierci. Grasz teraz w dorosłej lidze, mała.

Wszystko to wydawało się Grace nierzeczywiste. Skuto jej ręce za plecami i pięć minut później znalazła się w ciasnej celi, w której znajdowały się już cztery inne kobiety i otwarty klozet, z którego cuchnęło uryną i kałem. Było tam brudno; kobiety leżały na gołych materacach, przykryte kocami. Nie wszystkie spały, ale żadna się nie odezwała. Zdjęto jej kajdanki, wręczono koc i Grace usiadła na jedynej wolnej pryczy, rozglądając się dokoła z niedowierzaniem.

A więc do tego doszło. Cóż, nie miała wyjścia. Nie była w stanie dłużej znosić upokorzenia. Nie planowała tego... ale po fakcie nie było jej nawet przykro. Wybór był prosty: jej życie albo jego. Może powinna była sama się zabić... wyszło inaczej. Po prostu tak wyszło, bez intencji czy planu. Zabiła swego ojca.

ROZDZIAŁ 2

Grace spędziła noc bezsennie na cienkim materacu, prawie nie czując ostrych metalowych sprężyn. Nie czuła niczego. Przeszła w końcu dygotać; leżała i myślała. Nie miała już nikogo. Była sierotą. Nie miała przyjaciół. Zastanawiała się, czy sąd uzna ją winną? Czy skaze na śmierć? Nie mogła zapomnieć, co słyszała w areszcie. Będzie sądzona jak dorosła, oskarżona o morderstwo. Może krzesło elektryczne stanowiło cenę, którą musiała zapłacić. Jeśli tak, zapłaci ją. Przynajmniej on już nigdy jej nie dotknie, nigdy nie skrzywdzi. Cztery lata piekła, jakie jej zgotował, dobiegły końca.

— Grace Adams? — czyjś głos wywołał jej nazwisko tuż po siódmej rano. Po trzech godzinach spędzonych w areszcie nie czuła się już tak otumaniona. Wiedziała, co się z nią dzieje. Pamiętała, że śmiertelnie postrzeliła ojca. I niczego nie żałowała.

Odprowadzono ją pod strażą do wąskiego pomieszczenia z ciężkimi drzwiami na przeciwległych ścianach. W środku znajdował się stół i cztery krzesła, a z sufitu zwisała jaskrawa lampa. Bez słowa wyjaśnienia zostawiono ją samą, a pięć minut później drzwi na drugim końcu otworzyły się i weszła wysoka jasnowłosa kobieta. Przyglądała się chłodno Grace przez dłuższą chwilę.

Grace również milczała; stała jak młoda lania, która lada moment zerwie się do ucieczki. Stąd jednak nie mogła uciec. Znalazła się w potrzasku. Emanował z niej strach, lecz również dyskretna godność, autentyczna klasa, której nie były w stanie zatrzeć nawet wystrzępione dżinsy, bezbrzeżna, nieludzka cierpliwość, zrodzona z bólu i rozgoryczenia. Wolność została okupiona bardzo wysoką ceną, którą jednak warto było zapłacić. Moitly York ujrzała to w chwili, gdy spojrzała Grace w oczy.

— Nazywam się Molly York — przedstawiła się półgłosem. — Jestem psychiatrą. Wiesz, dlaczego tu przyszedłam?

Grace przecząco potrząsnęła głową.

— Czy pamiętasz, co się stało wczoraj w nocy?

Spoglądały na siebie z dwóch końców pokoju. Po chwili Grace wolno pokiwała głową.

— Może usiądziemy? — Molly wskazała krzesła i zajęły miejsca naprzeciw siebie. Grace nie była pewna, co o niej myśli ta obca kobieta, która w sposób oczywisty stanowiła narzędzie policyjnego śledztwa, co oznaczało, że potencjalnie mogła skrzywdzić Grace. Dziewczyna miała zamiar mówić prawdę, jeśli tylko nie będą jej wypytywać o ojca. Winna mu była dyskrecję również przez wzgląd na matkę, nie mogła ich przecież hańbić. Zresztą co za różnica? Ojciec umarł. Grace nawet nie powstało w głowie, by się bronić. To po prostu nie miało znaczenia.

— Co zapamiętałaś z wydarzeń zeszłej nocy? — zapytała lekarka, wnikliwie obserwując każdy ruch i minę Grace.

— Zastrzeliłam ojca.

— Czy pamiętasz dlaczego?

Grace zawahała się i zamilkła.

— Byłaś na niego zła? Czy już wcześniej myślałaś o tym, żeby go zabić?

Grace pośpiesznie potrząsnęła głową.

— Nigdy. Po prostu nagle, nie wiem, w jaki sposób, poczułam, że mam w ręku pistolet. Mama trzymała go w nocnej szafce. Była ciężko chora i bała się zostawać sama, więc wołała mieć go przy sobie. Ale nigdy go nie użyła.

Młode, niewinne dziecko, wcale nie obłąkane ani opóźnione w rozwoju, jak sugerowali policjanci, którzy ją aresztowali. Nie wydawała się też niebezpieczna. Była bardzo grzeczna, dobrze wychowana i nienaturalnie opanowana jak na kogoś, kto przeżył taki wstrząs.

— Może to ojciec wyjął broń? Próbowalaś mu ją odebrać?

— Nie. To ja do niego celowałam. Wiem, że wzięłam pistolet i... — nie chciała mówić, że ojciec ją uderzył. — Potem go zastrzeliłam. — Grace spojrzała w dół na swoje dłonie.

— Potrafisz uzasadnić, dlaczego to zrobiłaś? Czy zrobił coś, co cię rozzłościło? Pokłóciliście się?

— Czy ja wiem... tak jakby...

Owszem, to była walka, walka na śmierć i życie.

— . . .to nieistotne — dokończyła.

— Bardzo istotne — rzekła z naciskiem lekarka. — Na tyle ważne, by go zabić; przynajmniej szczerze. Czy kiedykolwiek wcześniej strzelałaś z pistoletu?

Grace potrząsnęła głową. Oczy miała smutne i zmęczone. Może powinna to była zrobić dużo wcześniej, ale wtedy matce pękłoby serce. Kochała go ślepo, rozpaczliwą miłością.

— Nie. Nigdy nie posługiwałam się bronią.

— Dlaczego wczoraj to zrobiłaś?

— Moja mama umarła dwa... właściwie już trzy dni temu. Wczoraj odbył się jej pogrzeb — wyjaśniła znużonym głosem Grace.

Molly York przyglądała się jej zaintrygowana. Dziewczyna coś ukrywa, pytanie tylko co. Boi się obciążyć siebie czy też ojca? Zadaniem psychiatry nie było zresztą ustalenie winy albo niewinności. Miała określić, czy Grace Adams jest w pełni poczytalna. Chciała jednak wiedzieć, co naprawdę zaszło? Co sprawiło, że go zastrzeliła?

— Klóciliście się o mamę? Zapisała mu pieniądze albo coś, co ty chciałaś dostać?

Uśmiech Grace upewnił Molly, że dziewczyna nie jest opóźniona w rozwoju, a wręcz nazbyt dojrzała jak na swoje lata.

— Wątpię, by mama w ogóle miała coś własnego. Nie pracowała; to tato zarabiał na dom. Jest... to znaczy był... prawnikiem — odparła spokojnie dziewczyna.

— Odziedziczysz coś po nim?

— Trudno mi powiedzieć. Chyba tak... — Grace jeszcze nie wiedziała, że morderca nie może dziedziczyć po swojej ofierze. Jeśli sąd uzna ją winną, nie dostanie nic. Pieniądze jednak nie stanowiły motywu.

— Więc co było przyczyną spięcia? — Molly York niełatwo dawała za wygraną. Jej upór zaniepokoił Grace. Ta kobieta była nazbyt dociekliwa, za dużo dostrzegała i zbyt wiele mogła się domyślić. Wtykała nos w nie swoje sprawy. Nikt nie powinien wiedzieć, co ojciec robił z nią przez te wszystkie lata, nawet jeśli to mogło ją ocalić. Co ludzie pomyślą, gdy prawda wyjdzie na jaw? Nie, do tego nie mogła dopuścić.

— Nie klóciliśmy się — powiedziała.

— Trudno mi w to uwierzyć — rzekła cicho Molly.

— Twierdzisz, że weszłaś ot tak do pokoju i zabiłaś go? Grace milczała.

— Wystrzeliłaś z odległości dwóch cali. O czym wtedy myślałaś?

— Nie wiem. O niczym. Usiłowałam..., to nieważne.

Owszem, ważne. — Molly York z poważną miną pochyliła się nad stołem. — Grace, jesteś oskarżona o morderstwo. Jeśli ojciec skrzywdził cię w jakiś sposób, będzie to okoliczność łagodząca. Może teraz wydaje ci się to zdradą, niemniej jednak musisz mi powiedzieć.

— A niby dlaczego? I po co?

Molly miała wrażenie, że rozmawia z dzieckiem. Ale to dziecko zabiło swego ojca.

— Ponieważ jeśli tego nie wyjawisz, spędzisz w więzieniu wiele lat. Wina nie zawsze leży po jednej tylko stronie, a sprawiedliwość opiera się na prawdzie. Co on ci takiego zrobił, Grace?

— Nic. Chyba po prostu załamała mnie śmierć matki.

— Grace odwróciła wzrok.

— Zgwałcił cię?

Oczy dziewczyny rozszerzyły się nagle.

— Nie. Nigdy — wyjąkała, z trudem łapiąc oddech.

— Czy zmuszał cię do współżycia? Sypiałaś ze swoim ojcem, Grace?

Grace była przerażona. Co ta baba wyprawia? Chce je; narobić jeszcze więcej kłopotów? Zhańbić całą rodzinę?

— Oczywiście, że nie! — krzyknęła rozpaczliwie.

— Jesteś pewna?

Ich spojrzenia zetknęły się na długą chwilę, potem Grace stanowczo pokiwała głową.

— Dlaczego zadaje mi pani takie pytania? — spytała żałośnie. W płucach jej świszczalo, atak astmy nasilał się.

— Ponieważ chcę znać prawdę. Chcę wiedzieć, czy miałaś powód, żeby zabić ojca.

Grace tylko potrząsnęła głową.

— Czy ty i twój ojciec byliście kochankami, Grace? Czy lubiałaś z nim sypiać?

Odpowiedź, która wyrwała się Grace, była całkiem szczerą:

— Nie.

Nie znosiłam z nim sypiać, powinna była rzec, ale wtedy Molly York domyśliłaby się reszty.

— Masz chłopaka?

Grace ponownie zaprzeczyła ruchem głowy.

— Miałaś kiedykolwiek stosunek płciowy z chłopcem?

Grace westchnęła. Nigdy by się na to nie zdobyła.

— Nie.

— Jesteś dziewicą?

Zapadła cisza.

— Pytałam, czy jesteś dziewicą, Grace.

— Nie wiem. Chyba tak.

— Co to znaczy „chyba”? Masz już siedemnaście lat. Pozwalałaś się pieścić swojemu chłopcu?

— No...

Molly uśmiechnęła się pod nosem. Nie można stracić dziewictwa od pettingu.

— Wróćmy do wydarzeń zeszłej nocy, Grace. Czy pamiętasz, co sprowokowało wystrzał?

— Nie wiem.

Molly York czuła, że Grace coś ukrywa. Przyglądała się jej przez długą chwilę, a potem powoli zamknęła notatnik i opuściła założoną na kolano nogę.

— Szkoda, że nie chcesz być ze mną szczerą. Mogłabym ci pomóc, Grace, naprawdę.

Gdyby miała pewność, że dziewczyna działała w obronie własnej, sprawy przybrałyby całkiem inny obrót. Ale Grace nie dała jej żadnego punktu zaczepienia. W ogóle nie wykazała chęci do współpracy. Mimo to Molly polubiła ją. Grace miała szczerą, wyrazistą oczy, w których widniało tyle smutku i bólu, a młoda lekarka nie bardzo wiedziała, jak jej pomóc. Musiała czekać. W tej chwili Grace za wszelką cenę starała się ukryć za zasłoną dymną. Molly nie była w stanie do niej dotrzeć.

— Powiedziałam pani wszystko, co pamiętam.

— Właśnie że nie — rzekła cicho Molly. — Cóż, może się jeszcze zdecydujesz. — Wręczyła dziewczynie wizytówkę.

— Jeśli zechcesz się ze mną zobaczyć, zadzwoń. Zresztą i tak wkrótce cię odwiedzę.

Będziemy musiały jeszcze porozmawiać, żebyś mogła napisać raport.

— O czym? — spłoszyła się Grace. Doktor York przerażała ją. Była zbyt przenikliwa i zadawała zbyt dużo pytań.

— O stanie twojego umysłu. O okolicznościach zabójstwa, tak jak ja je widzę. Na razie nie dałaś mi wiele materiału do opracowania.

— Kiedy to już wszystko. Złapałam pistolet i strzeliłam.

— Ot tak, po prostu? — prychnęła ironicznie Molly.

— Zgadza się. — Grace miała taką minę, jakby próbowała przekonać samą siebie.

— Nie wierzę ci. — Lekarka spojrzała dziewczynie prosto w oczy.

— Tak było, może pani w to wierzyć albo nie.

— A co czujesz teraz, po utracie rodziców? — W ciągu trzech dni Grace została sierotą, co samo w sobie byłoby ciężkim ciosem; przy tym jedno z rodziców zginęło z jej ręki.

— Przykro mi... ale mama była chora i bardzo cierpiała, może tak jest dla niej lepiej. A jak bardzo cierpiała Grace? To pytanie bez ustanku nurtowało Molly. Tego zabójstwa nie popełniono z zimną krwią. Grace była inteligentna, miała lotny umysł, więc słysząc, jak dziewczyna do znudzenia powtarza grubymi nićmi szyte kłamstwa, Molly miała ochotę ze złości kopnąć w stół.

— Uważasz, że dla ojca również tak jest lepiej?

— Dla taty? — Grace zdawała się zaskoczona pytaniem.

— Nie, on... on nie cierpiał, więc dla niego to chyba gorzej...

— bąknęła, nie patrząc na Molly.

— A co powiesz o sobie? Czy wolisz być sama?

— Chyba tak — Grace znów przez moment była szczera.

— Dlaczego?

— Tak jest łatwiej — odparła tonem starej, znużonej kobiety.

— Nie sądzę, Grace. Świat jest skomplikowany. Nikomu nie jest łatwo, gdy zostaje sam, a już szczególnie takiej młodej dziewczynie. Czyżby w domu było ci aż tak źle?

— Nie podobnego — Grace znów zamknęła się jak ostryga.

— Jak układało się współżycie twoich rodziców?

— Normalnie.

— Byli szczęśliwi?

— Jasne.

Dopóki pokornie spełniała ich wolę, dodała w myśli.

— A ty?

— Pewnie. — W oczach Grace zabłyśły łzy. Byłam bardzo szczęśliwa. Kochałam rodziców.

— Aż tak mocno, żeby dla nich kłamać? Żeby chronić ich za wszelką cenę? Kochałaś ich tak bardzo, że nie powiesz nam, dlaczego zastrzeliłaś ojca?

— Nie mam nic do powiedzenia.

— Dobrze. — Molly wyprostowała się i wstała. — Pojedziesz dziś do szpitala.

— Po co? — Grace zbladła ze strachu, co wielce zaintrygowało Molly. — Dlaczego?

— Rutynowe badania, nic wielkiego.

— Ja nie chcę... — Grace wpadła w panikę.

Molly przyjrzała się jej uważnie.

— Czemu nie?

— A muszę?

— W tej sytuacji nie masz wielkiego wyboru. Robisz to, co ci każą. Skontaktowałaś się już z adwokatem?

— Nie mam adwokata.

— Twój ojciec nie miał żadnego wspólnika?

— Tak, ale... trochę mi głupio do niego dzwonić.

— Sądzę, że powinnaś — rzekła stanowczo Molly. — Możesz poprosić o obrońcę z urzędu. Ale lepiej zadbałby o ciebie ktoś znajomy.

— Może i tak... — Grace kiwnęła głową oszołomiona. Tyle się działo. Wszystko było takie skomplikowane. Niechby już po prostu ją rozstrzelali, powiesili czy co tam innego robia, bez wyciągania brudów, zmuszania jej do badań. Przeraziła ją myśl, co mogą odkryć.

— Zobaczmy się dziś wieczorem albo jutro — powiedziała łagodnie lekarka. Było jej żal tej dziewczyny. Zrobiła straszną rzecz, ale Molly była przekonana, że popchnęła ją do tego ostateczna rozpacz. Zamierzała uczynić, co tylko w jej mocy, żeby dowiedzieć się prawdy. Pożegnawszy się z Grace, Molly poszła porozmawiać ze Stanem Dooleyem, oficerem prowadzącym śledztwo. Był to policjant o długoletnim stażu, którego niewiele mogło zdziwić, lecz ten przypadek naprawdę nim wstrząsnął. W ciągu minionych lat Dooley kilkakrotnie spotkał się z Johnem Adamsem i szczerze go polubił. Wieść, że prawnik zginął z ręki własnej córki, wprowadziła go w osłupienie.

Była dopiero ósma rano, ale detektyw Dooley już siedział w swoim biurze. Wcześniej zaczynał pracę, podobnie jak Molly.

— Wariatka czy narkomanka? — spytał ją, kiedy weszła.

— Ani jedno, ani drugie. Jest oczywiście przerażona i wstrząśnięta, ale dysponuje pełnią władz umysłowych. Chcę posłać ją na badania. — I to zaraz, dodała w duchu. Chciała, żeby obdukcję zrobiono jak najszybciej.

— Krew i tak dalej?

— Jeśli chcesz. Nie, nie sądzą, aby była pod wpływem narkotyków. Chcę, żeby ją obejrzał ginekolog.

— Po kiego diabła? — zdziwił się Dooley. Doktor York była zwykle bardzo rozsądna, choć czasem traciła dystans, zbyt się angażując w sprawę któregoś z pacjentów.

— Mam parę teorii. Chcę wiedzieć, czy działała w obronie własnej. Siedemnastoletnie dziewczęta z przyzwoitych domów raczej rzadko zabijają ojców.

— Gówna prawda — parsknął cynicznie Dooley. — A ta czternastolatka, która w ubiegłym roku wystrzelała całą rodzinę, nie wyłączając babci i czterech młodszych sióstr? Powiesz mi pewnie, że też chciała się bronić?

— To co innego, Stan. Czytałam raport. John Adams był nagi, ona także, a cała pościel upačkana spermą. Nie możesz zaprzeczyć, że istnieje taka możliwość.

— Mogę zaprzeczyć, bo znałem Adamsa. Miły, uczciwy, przyzwoity gość. Spodobałby ci się.

— Zmierzył ją wymownym spojrzeniem. Uwielbiał się z nią droczyć. Molly była bardzo atrakcyjną dziewczyną i pochodziła z dobrej chicagowskiej rodziny. Dooley uwielbiał pomawiać ją kokieterię, choć Molly nigdy nie mieszała pracy z życiem osobistym. Wiedział też, że ma faceta na stałe; lekarza. Nie szkodziło jednak podokuczać jej troszkę. Molly odznaczała się pogodą ducha i lubił z nią współpracować. Była też inteligentna i za to ją szanował. — Pozwól, że ci coś powiem: ten człowiek nie chędożył własnego dzieciaka, nie byłby do tego zdolny, wierz mi. Kto wie, może zdradzał jej matkę, choć to również do niego niepodobne.

— Nie dlatego go zabiła — stwierdziła Molly chłodno.

— Pewnie nie pozwolił jej wziąć samochodu. Moje dzieci dostają szału, kiedy kładę im szlaban na wóz. Może nie mógł strawić jej chłopaka, więc zamordował go.

— Zobaczmy. Tak czy owak zrób mi przysługę i każ ją dostarczyć w ciągu najbliższej godziny do Mercy General Hospital. Wypiszę skierowanie.

— Dla ciebie wszystko, skarbie. Zadowolona?

— Zachwycona. Jesteś chlubą policji — uśmiechnęła się.

— Powiedz to mojemu szefowi — zachichotał Dooley.

Lubił Molly York, lecz tym razem przeholowała. Chwytała się brzytwy. Nie wierzył w jej insynuacje; John Adams nie był człowiekiem tego pokroju. Lekarze mogą sobie mówić, co chcą; nikt w Watseka i tak nie kupi tych bredni.

Pół godziny później Grace została ponownie zakuta w kajdanki i przewieziona małą furgonetką o zakratowanych oknach do szpitala. Eskortujące ją policjantki plotkowały między sobą o aresztantach, programie kinowym i wakacjach w Colorado.

Grace była z tego zadowolona, i tak nie miała o czym z nimi rozmawiać. Prosto z podziemnego parkingu wyjechały windą do zamykanej na klucz sali, gdzie pozostawiono ją w towarzystwie lekarza i pielęgniarki.

Nikt nie pofatygował się, by jej cokolwiek wyjaśnić. Zmierzyli jej temperaturę, ciśnienie krwi, zajrzeli do oczu, uszu i gardła i osłuchali serce. Potem przeprowadzili badanie moczu i szczegółowe badanie krwi, zarówno pod kątem objawów chorobowych, jak i śladów narkotyku. Następnie kazali się jej rozebrać i skrupulatnie obejrzel wszystkie ślady na jej ciele. Wiele wzbudziło ich zainteresowanie: dwa sińce na piersiach, kilka na ramionach, jeden na pośladku; potem mimo jej starań znaleźli rozległy krwiak na wewnętrznej stronie uda, gdzie ojciec ścisnął ją brutalnie. Nieco wyżej zauważyli drugi, który zdumiał ich jeszcze bardziej. Nie zważając na jej protesty sfotografowali wszystkie i szczegółowo opisali. Grace płakała głośno.

— Dlaczego to robicie? Przecież przyznałam się, że go zastrzeliłam. Po co mnie fotografujecie?

Dowiedziała się, że jeśli będzie się z nimi szarpać, zwiążą ją, a zdjęcia zrobią i tak. Było to potwornie upokarzające, zwłaszcza gdy fotografowali urazy w okolicach krocza, ale Grace nie miała możliwości ich powstrzymać.

Większość poleceń wydawała niesympatyczna pielęgniarka. Grace czuła się jak kawałek mięsa u rzeźnika; nie traktowali jej jak istotę ludzką. Potem lekarz włożył gumowe rękawiczki i kazał jej się położyć na fotelu ginekologicznym. Podał jej papierowy ręcznik, żeby się przykryła. Schwyciła go z wdzięcznością, ale nie ruszyła się z miejsca.

— Po co to? — spytała przerażonym głosem.

— Nigdy nie byłaś u ginekologa? — zdziwił się lekarz. Ostatecznie miała już siedemnaście lat i była ładna; trudno przypuszczać, że jest jeszcze dziewicą. Za chwilę zresztą ustalili to.

— Nie, ja...

Pigułki antykoncepcyjne dostarczała jej matka, Grace nigdy nie była badana przez lekarza. Nikt zatem nie wiedział, że nie jest dziewicą. Zresztą jakie to teraz miało znaczenie? Jej ojciec nie żył, a ona przyznała się do winy. Dlaczego więc kazali jej to wszystko znosić? Jakie mieli prawo? Czuła się jak zwierzę i znów zaczęła płakać, ściskając papierowy ręcznik i wpatrując się w nich ze zgrozą. Niezdarnie wdrapała się na stół i ciasno zwarła kolana, wkładając stopy w strzemiona. Mimo wszystko nie było to najgorsze, co ją w życiu spotkało. Lekarz robił notatki, co najmniej pięć razy wkładał jej palce do pochwy i przysuwał latarkę tak blisko, że grzała ją od środka. Potem wziął jakieś narzędzie i powtórzył wszystko jeszcze raz od początku. Tym razem pobrał również wydzielinę i zrobił rozmaz na płytce, którą starannie ułożył na tacy. Nic jednak nie mówił na temat swoich odkryć.

— Dobra — rzucił w końcu obojętnie — możesz się teraz ubrać.

— Dziękuję — powiedziała ochryple. Nie miała pojęcia, czego się dowiedział, ale nie wypowiadał się na temat jej dziewictwa, a Grace była jeszcze na tyle naiwna, że nie miała pewności, czy da się to stwierdzić.

Pięć minut później stała już ubrana i gotowa do wyjścia. Tym razem eskortowało ją dwóch mężczyzn. Resztę czasu do kolacji spędziła w celi. Z czterech kobiet dwie zwolniono za kaucją. Ciążył na nich zarzut o handel narkotykami i prostytutkę; kaucję wpłacił ich alfons. Z pozostałych jedna siedziała za rabunek, a druga za posiadanie dużej ilości kokainy. Tylko Grace była zamieszana w morderstwo i wszystkie zdawały się jej unikać.

Zjadła mikroskopijnego, wysmażonego na kość hamburgera zanurzonego w morzu mokrego szpinaku, starając się nie zauważać, że w celi cuchnie moczem. Zaraz potem strażnik zaprowadził ją z powrotem do pokoju, w którym rano rozmawiała z Molly York.

Młoda lekarka wróciła po dyżurze w szpitalu, a później w prywatnym gabinecie. Od jej poprzedniej wizyty upłynęło pełne dwanaście godzin.

— Dzień dobry — powiedziała ostrożnie Grace. Przyjemnie było zobaczyć znajomą twarz, ale wciąż miała uczucie, że ta kobieta w dżinsach stanowi dla niej zagrożenie.

— Jak minął dzień?

Grace wzruszyła ramionami z bladym uśmiechem. A jak niby miał minąć?

— Dzwoniłaś do adwokata?

— Jeszcze nie — szepnęła Grace. Nie jestem pewna, co mam mu powiedzieć. Przyjaźnił się z moim ojcem.

— Myślisz, że nie zechce ci pomóc?

— Nie wiem. — W głębi duszy Grace była tego niemal pewna.

Molly spojrzała na nią przenikliwie.

— Czy ty w ogóle masz jakichś przyjaciół, Grace? Kogoś, do kogo mogłabyś się zwrócić? Zadając to pytanie, Molly знаła odpowiedź. Gdyby ktoś taki istniał, może nie doszłoby do tragedii. Widać było, że Grace żyła w izolacji. Nie miała nikogo prócz rodziców. Ci zaś zrobili dość, by ją zniszczyć.

— Czy twoi rodzice mieli bliskich przyjaciół?

— Nie — odparła po namyśle Grace. Nie chcieli przecież ryzykować odkrycia mrocznej tajemnicy. — Ojciec znał mnóstwo ludzi. Mama była trochę nieśmiała...

I nie chciała, by ktokolwiek odkrył, że jest bita.

— Wszyscy przepadali za ojcem, ale właściwie z nikim nie żył naprawdę blisko — dodała szybko.

Już to sprawiło, że Molly odniosła się do niego dość sceptycznie.

— A ty? Masz chłopaka? Przyjaciółki w szkole? Grace w odpowiedzi potrząsnęła przecząco głową.

— Dlaczego?

— Nie wiem. Chyba dlatego, że nie miałam czasu. Musiałam codziennie opiekować się mamą — powiedziała Grace, nie patrząc jej w oczy.

— Czy to prawdziwy powód? A może miałaś jakąś tajemnicę?

— Nic podobnego!

Molly wszakże nie zamierzała dać za wygraną.

— Zgwałcił cię tamtej nocy, prawda? — zapytała na-

Grace podniosła na nią szeroko rozwarte oczy, mając nadzieję, że nie widać jej drżenia.

— Nie... skądże... — głos uwiązł jej w gardle, modliła się, żeby teraz nie dostać ataku. Ta kobieta i bez tego wiedziała już za dużo. — Jak pani może w ogóle coś takiego mówić?

Usiłowała przybrać zgorzowaną minę, ale była tylko przerażona. Wciąż czuła się zobowiązana osłaniać rodziców. Zresztą sama również brała w tym udział. Co ludzie pomyślą, jeśli się dowiedzą?

— Masz krwiaki i otwarte rany w całej pochwie — powiedziała cicho Molly. — To się nie zdarza przy normalnym stosunku. Lekarz, który cię badał, powiedział, że wyglądało to, jakby zgwałciło cię kilku mężczyzn albo jeden wyjątkowo brutalny. Dlatego go zastrzeliłaś, prawda?

Grace milczała.

— Czy to był pierwszy raz?

Oczy dziewczyny wypełniły się łzami, które spłynęły po policzkach mimo usiłowań Grace, by je powstrzymać.

— Ja nie... nie..., tato był dobrym człowiekiem..., wszyscy go lubili...

Zabiła, lecz wciąż broniła go jak lwica, żeby nikt się nic dowiedział, jakim człowiekiem naprawdę był John Adams.

— Czy twój ojciec cię kochał, Grace? Czy tylko cię wykorzystywał?

— Oczywiście, że mnie kochał — powiedziała drewnianym głosem, wściekła na siebie, że płacze.

— Zgwałcił cię, prawda?

Tym razem Grace nie zaprzeczyła.

Jak często to robił? Grace, musisz mi powiedzieć.

Zależało od tego jej życie, ale Molly na razie nie chciała jej straszyć.

— Wcale nie muszę niczego mówić, a pani i tak nie może tego dowieść — fuknęła gniewnie Grace.

— Dlaczego go bronisz? — Molly z irytacji mówiła coraz głośniejszym głosem. — Nie dociera do ciebie, co się dzieje? Zostałaś oskarżona o morderstwo, mogą cię nawet skazać na śmierć. Policja myśli, że zna motyw. Musisz zrobić wszystko, żeby się ocalić. Nie każę ci kłamać, Grace, proszę cię tylko, żebyś powiedziała prawdę. Jeśli ojciec cię zgwałcił, jeśli zrobił ci krzywdę, to są okoliczności łagodzące. Sąd będzie rozpatrywać zabójstwo w afekcie lub nawet w samoobronie, a to wszystko zmienia. Czy naprawdę chcesz spędzić w więzieniu dwadzieścia lat tylko po to, żeby zachować dobrą reputację człowieka, który ci to zrobił? Pomyśl o tym, Grace, posłuchaj mnie... musisz mnie wysłuchać!

Grace jednak wiedziała, że matka nigdy by jej tego nie wybaczyła. Kochała go tak ślepo i rozpaczliwie. Zawsze chciała go zadowolić — za wszelką cenę, nawet jeśli ceną tą było jej własne dziecko.

— Nie mogę nic pani powiedzieć — odparła głucho.

— On nie żyje. Nie zranisz nikogo, mówiąc prawdę. Sobie za to napytasz biedy, jeśli ją zataisz. Musisz zdać sobie z tego sprawę. Nie możesz być wobec niego lojalna aż za grób, skoro ten człowiek tak potwornie cię skrzywdził. Grace... — Molly wyciągnęła rękę nad stołem. Musiała sprawić, by to dziecko zrozumiało, musiała wyciągnąć je z tej skorupy. — Chcę, żebyś się nad tym zastanowiła. Obiecuję, że wszystko zachowam dla siebie. Przyjdę jutro. Przemyślisz to?

Grace przez dłuższą chwilę trwała bez ruchu, potem skinęła głową. Może to przemyśleć; i tak nic nie powie.

Molly York wyszła z aresztu z ciężkim sercem. Zdawała sobie dokładnie sprawę z sytuacji, ale miała wrażenie, że nie zdoła pokonać bariery, jaką wzniosła wokół siebie Grace.

Molly od wielu lat miała styczność z maltretowanymi dziećmi i żonami, które niezmiennie obstawały po stronie swych krzywdzicieli. Dawała z siebie wszystko, żeby zerwać te więzy, i zwykle jej się udawało. Grace jednak nie ustąpiła dotąd ani o krok.

Wstąpiła do biura detektywów, żeby jeszcze raz rzucić okiem na wyniki badań. Zrobiło jej się słabo, kiedy zobaczyła zdjęcia. Gdy czytała raport, do gabinetu wszedł Stan Dooley. Był

zaskoczony, widząc ją wciąż przy pracy. Od ich porannej rozmowy minęło czternaście godzin.

— Nie masz jak spędzać wieczorów? — spytał dobrodusznie. — Taka dziewczyna jak ty powinna latać na randki albo siedzieć w barze, czekając na faceta, który jest jej pisany.

— Tak — zaśmiała się; jasne włosy opadły jej wdzięcznie na ramię. — A ty co, Stan? Siedzisz tu od rana.

— W przeciwieństwie do ciebie ja muszę tu siedzieć. Za dziesięć lat chcę przejść na emeryturę. Ty możesz sobie leczyć czubków, aż stuknie ci setka.

— Dzięki za pocieszenie. — Molly zamknęła teczkę i z westchnieniem położyła ją na biurku. Jej wysiłki były bezowocne. — Widziałeś wynik badania Adamsówny?

— Tak. I co z tego? — Dooley był nieporuszony.

— Och, daj spokój, tylko mi nie mów, że nie widzisz, co tu jest grane. — Spojrzała na niego gniewnie.

— A co jest grane? Ktoś panienkę przeleciał, co nie znaczy, że zgwałcił. I nie znaczy również, że to był jej ojciec.

— Bzdura. A kto, twoim zdaniem, ją przeleciał? Sześć goryli z zoo? Widziałeś, jak wygląda?

— Widocznie dziewczę lubi ostry seks. Przecież się nie skarży. Wcałe nie twierdzi, że ktoś ją zgwałcił. Czego ty ode mnie chcesz?

— Odrobiny rozsądku. na miłość boską! — huknęła na niego Molly. — Ta dziewczyna go chroni, bo wydaje jej się, że musi zachować jego reputację. Ale powiem ci jedno: działała w samoobronie, dobrze o tym wiesz.

— Odrzeliła mu łeb; ładna mi ochrona! Bardzo piękna teoria, pani doktor, ale nazbyt wątła. Wiemy tylko, że Grace Adams nie była dziewicą. I nawet jeśli, niech mi Bóg wybaczy, pieprzyła się z tatusiem, to jeszcze nie powód, żeby go zabijać. Nie ma żadnego dowodu, że musiała się przed nim bronić. Tylko ty tak twierdzisz.

— Skąd, u licha, jesteś go taki pewny? — zdenerwowała się Molly. — Miałeś objawienie czy tylko zgadujesz? Ja patrzę na dowody, a do tego widzę siedemnastoletnią dziewczynę, tak odizolowaną od świata, jakby żyła na innej planecie!

— Coś pani powiem, szanowna pani doktor. To nie jest Marsjanka, tylko zabójczyni. Koniec, kropka. Chcesz wiedzieć, co ja o tym myślę? Uważam, że tego dnia była z kimś na randce, a staruszkowi się to nie spodobało. Kiedy wróciła, zrobił jej awanturę; wpadła we wściekłość i zabiła go. A sperma w łóżku to czysty zbieg okoliczności. Nikogo nie przekonasz, że facet, którego wszyscy znali jako porządnego człowieka, zgwałcił własną córkę. Prawdę mówiąc, rozmawiałem dziś ze współnikiem Adamsa. Twierdzi to samo, co ja. Nie udostępniłem mu tych materiałów; po prostu zapytałem, co jego zdaniem mogło się wydarzyć. Pomysł, że John Adams mógłby skrzywdzić tę małą — a oszczędziłem mu szczegółów twojej wydumanej teorii — oburzył go. Powiedział, że John Adams wielbił żonę i dziecko. Zył tylko dla nich; nigdy nie zdradzał żony, każdą noc spędzał w domu i był jej oddany aż do śmierci. Frank Wilis twierdzi, że ta smarkata zawsze była dziwna, bardzo nietowarzyska i zamknięta w sobie. Niezbyt lubiła ojca. I w ogóle raczej nie miała przyjaciół.

— I tu pada twoja teoria, że była na randce.

— Żeby pójść z kimś do łóżka, nie trzeba go kochać.

— Nic nie widzisz, bo nie chcesz wiedzieć, prawda?

— rzekła gniewnie Molly. Jak mógł być tak zaślepiiony? Kupował w ciemno reputację gościa, nie zadając sobie trudu, by sprawdzić, co się pod nią kryje.

— A co mam wiedzieć, Molly? Mamy nastolatkę, która zabiła ojca. Może to wariatka? Może się go bała, skąd mam wiedzieć? Faktem pozostaje, że go zastrzeliła. Ona wcale nie twierdzi, że ją zgwałcił; ty tak utrzymujesz.

— Jest przerażona, że cały świat pozna ich tajemnicę.

— Molly widywała to już setki razy. Wiedziała, że ma rację.

— Nie przyszło ci do głowy, że może nie być żadnej:

tajemnicy? Może to twój wymysł, bo współczujesz dziewczynie i chcesz, żeby ją uniewinniono?

— Widzę, że w ogóle niewiele wiesz — stwierdziła kwaśno. — Nie wymyśliłam wyników badań ani zdjęć.

— Może spadła ze schodów. Tylko ty jedna gardłujesz o gwałcie, a to nie wystarczy, jeśli podejrzenie pada na takiego człowieka jak Adams. Nikt ci nie uwierzy.

— Ten.., jak mu tam, Wills? Będzie jej bronił?

— Raczej nie. Pytał o kaucję; mało prawdopodobne, by sędzia ją wyznaczył, chyba że zredukuje oskarżenie do nieumyślnego zabójstwa, w co wątpię. Oświadczył, że tym lepiej, bo dziewczyna i tak nie ma się gdzie podziać. Nie ma innych krewnych. A on się nią nie zajmie; jest kawalerem i nie chce brać na siebie takiej odpowiedzialności. Napomynał też, że nie czułby się dobrze jako jej obrońca. Trudno go za to winić. On i John Adams byli bardzo życzliwi. Uważa, że powinniśmy jej przydzielić obrońcę z urzędu.

— Nie może opłacić prywatnego adwokata z pieniędzy jej ojca? — Molly była zdegustowana. Grace słusznie przewidziała, że Frank Wilis nie zechce jej pomóc. A przecież w tej sytuacji potrzebowała prawnika najlepszego z najlepszych.

— Nie wystąpił z taką propozycją — wyjaśnił Dooley.

—Poza tym wygląda nato, że Adams był mu winien pieniądze. Choroba żony praktycznie ogoliła go do czysta. Pozostał tylko udział w kancelarii i dom z hipoteką obciążoną po sam dach. Wills w każdym razie nie pali się do tego, żeby płacić z własnej kieszeni. Jutro rano zadzwonię do naszych obrońców.

Molly skinęła głową wstrząśnięta tym, jak bardzo samotna została Grace. Nie było to nic nadzwyczajnego, gdy w grę wchodziła młodzież z marginesu, ale w tym wypadku powinno być inaczej. Pochodziła z porządnej mieszczańskiej rodziny, jej ojciec był szanowanym obywatelem, mieli ładny dom i byli dobrze znani w sąsiedztwie. Wydawało się niesłychane, że dziewczyna została całkowicie zdana na łaskę losu. Choć nie miała tego w zwyczaju, Molly postanowiła jednak zadzwonić do Franka Wilisa, zanotowała więc jego numer.

— Jakże się miewa sławny doktor Kildare? — zażartował Dooley. Często nazywał tak jej chłopaka.

— Doktor Kildare jak zwykle ratuje ludziom życie. Pracuje nawet ciężiej ode mnie. — Wbrew sobie samej Moily uśmiechnęła się do Dooleya. Potrafił ją doprowadzić do szału, ale w sumie miał dobre serce i szczerze go lubiła.

— Straszne. Zaoszczędziłby ci kłopotów, gdyby zajął ci trochę więcej czasu.

— To prawda — uśmiechnęła się i wyszła, zarzucając na ramię tweedową marynarkę.

Była ładna, zgrabna, a co najważniejsze, była dobrym psychiatrą. Nawet policjanci, z którymi współpracowała, przyznawali, że Molly York to mądra baba, nawet jeśli czasami wysnuwa jakieś zbzikowane teorie.

Wieczorem zadzwoniła do Franka Wilisa. Była zaskoczona, kiedy twardo oświadczył, że Grace powinna wisieć za zabójstwo ojca.

— Był takim dobrym, prawym człowiekiem. — Tym razem w głosie Willsa zabrzmiało wzruszenie, Molly zaś nie wiedzieć czemu nabrała podejrzeń, że jest ono fałszywe.

— Niech pani spyta kogokolwiek w mieście. Wszyscy go kochali oprócz córki... Wciąż nie mogę uwierzyć w tę straszną tragedię...

Wills spędził rano załatwiając sprawy związane z wystawieniem nagrobka Johna Adamsa. Na uroczystości miało być całe miasto, oczywiście za wyjątkiem Grace.

— Czy sądzi pan, panie Wills, że istniał jakiś powód, dla którego Grace chciały go zabić?

— spytała grzecznie Molly, gdy prawnik nieco ochłonął. Istniała szansa, że coś zaobserwował.

— Na pewno dla pieniędzy. Była przecież jego jedyną spadkobierczynią. Nie zdawała sobie naturalnie sprawy, że morderca nie może dziedziczyć po ofierze.

— Dużo ich zostawił? — spytała niewinnie Molly. — Jego udział w firmie musi mieć znaczną wartość. Jesteście panowie obaj tak uznanymi prawnikami...

Zgodnie z jej przewidywaniem Wills potraktował ją znacznie życzliwiej i rozgadał się bardziej niż powinien.

— Dosyć sporo, ale i tak większość był mi winien. Zawsze L mówił, że zapisze mi swój udział w kancelarii, co nie znaczy, że L planował tak rychły zgon, biedny chłop.

— Zostawił to na piśmie?

— Nie wiem. Ale taka była umowa między nami; pożyczka- L lemu pieniądze, żeby pokryć wydatki na leczenie Ellen.

— A co z domem?

— Ma obciążoną hipotekę. To ładny dom, ale nie aż tak ładny, żeby za niego zginąć. L

— Czy naprawdę pan sądzi, że taka młoda dziewczyna zabiłaby ojca, żeby dostać dom? To chyba trochę zbyt naciągany motyw.

— Może wykombinowała, że starczy jej na opłacenie jakiegoś szpanerskiego college'u na wschodnim wybrzeżu.

— Chciała iść do college'u? — zdziwiła się Molly. Grace nie zrobiła na niej wrażenia tak ambitnej. Dotychczas prawie nie wyściubiła nosa z domu.

— Nie znam jej planów, pani doktor. Wiem tylko, że zabiła ojca i powinna za to odpokutować. W każdym razie na pewno na tym nie skorzysta, prawo pod tym względem jest nieubłagane. Nie dostanie nic: ani forsy, ani praktyki, ani domu. — Słowa prawnika ociekały jadem i Molly w duchu zaczęła się zastanawiać, czy Wills przypadkiem nie ma osobistych powodów, żeby pozbyć się Grace.

— Kto więc po nim dziedziczy?

— Mówiłem już pani, że był mi winien kupę forsy. Pracowaliśmy razem przez dwadzieścia lat. Nie można tego przecież tak całkiem pominąć.

— Oczywiście, że nie. Doskonale pana rozumiem.

Rozumiała o wiele lepiej, niżby sobie życzył. Uprzejmie podziękowała, że poświęcił jej tyle czasu, odłożyła słuchawkę i zamyśliła się głęboko.

Kiedy Richard wrócił z pracy, opowiedziała mu o sprawie Grace. Był wykończony po dwudziestoczworgodzinny dyżurze w pogotowiu — nie kończącej się paradzie ran postrzałowych i ofiar motoryzacji — ale mimo to wysłuchał ją uważnie.

Molly York i Richard Hayerson — wysoki, szczupły, jasnowłosy chirurg — mieszkali razem od dwóch lat i od czasu do czasu przebąkali o małżeństwie, ale brakowało im determinacji, żeby zrobić ten krok. Dotychczasowy układ sprawdzał się tak dobrze, iż właściwie nie mieli powodu go zmieniać.

— Jeśli chcesz znać moje zdanie — mruknął Richard — to smarkata już przeznaczona jest na odstrzał. Nikt nie weźmie jej strony. Patrz na tego współnika: gwałtem chce się jej pozbyć, żeby zgarnąć forszę po Adamsie. Paskudna sytuacja, tym bardziej że dziewczyna nie puszcza pary z ust. Co więcej możesz zrobić?

Molly popijała kawę, marszcząc w skupieniu czoło.

— Nie wiem, próbuję coś wymyślić. Nie potrafię jej zmusić, żeby zaczęła mówić. Przecież, do cholery, nie obudziła się nagle w środku nocy z postanowieniem, że zastrzeli ojca. Na podłodze znaleźli jej podartą koszulę. Są wszystkie dowody, na miłość boską! Tylko Grace nie pozwala mi ich wykorzystać.

— Jak cię znam, na pewno w końcu ją przekonasz — rzekł pocieszająco, muskając jej długie włosy, kiedy wstała i poszła do kuchni po piwo.

Molly była zmartwiona. Nigdy jeszcze nie miała tak trudnej pacjentki. Grace uparcie dążyła ku samodestrukcji. Rodzicom niemal udało się ją zniszczyć, a mimo to pozostała wobec nich lojalna. Było to wręcz upiornej bardzo frustrujące.

Gdy nazajutrz oboje wstali o szóstej rano, Molly miała ochotę od razu iść do Grace. Najpierw jednak musiała zrobić co innego. Wstąpiła do swojej gabinetu, gdzie wprowadziła kilka notatek do akt, a o wpół do dziewiątej stawiała się w biurze obrońców z urzędu.

— Czy jest już David Glass? — spytała w recepcji.

Glass był jednym z najmłodszych adwokatów w zespole, ale Molly współpracowała z nim ostatnio przy dwóch sprawach i uważała, że jest znakomity. Był nieustępliwy, inteligentny i obdarzony polotem. Ulice południowego Bronxu, z których wyrwał się dzięki twardym

łokciom i ciężkiej pracy, nauczyły go walczyć. Przy tym miał złote serce i bił się o swoich klientów jak lew. Właśnie taki adwokat potrzebny był Grace Adams.

Powinien być u siebie.

Recepcjonistka rozpoznała Molly i skinieniem ręki zaprosiła ją do środka.

Molly przez kilka minut błądziła po korytarzach, aż wreszcie znalazła Glassa nad stertą książek w bibliotece urzędu. Kiedy podeszła, uśmiechnął się na jej widok.

— Witam, pani doktor. Jak leci?

— Jak zwykle. A co u ciebie?

— Nadal staram się wyciągnąć z pierdła ostatniego Kubę Rozpruwacza. Nic nowego pod słońcem.

— Masz ochotę na kolejną beznadziejną sprawę?

— Czyżbyś ty je teraz przydzielała? — roześmiał się. Był niższy od niej, miał ciemne oczy i czarne kręcone włosy; na swój sposób był całkiem przystojny. Decydowała o tym głównie jego osobowość, która usuwała w cień niedostatki urody. David Glass nie przypominał bowiem Clarka Gable, ale posiadał sex appeal. A sądząc po tym, jak spoglądał na Molly” kiedy z nią rozmawiał, było oczywiste, że mu się Odooba.

— Chciałam tylko wiedzieć, czy byłbyś zainteresowany.

Ójsiai mają wyznaczyć obrońcę z urzędu. Zależy mi na tym, żebyś ty wziął tę sprawę.

— Pochlebiasz mi, złotko. Jest aż tak źle?

— Nie najlepiej. Do kary śmierci włącznie. Siedemnastoletnia dziewczyna zastrzeliła ojca.

— Urocze. Przepadam za takimi dziewczynami. Sama rozwalila mu głowę z dubeltówki czy wyręczył ją jej chłopak?

— W Nowym Jorku David Glass poznał na wylot ciemne strony życia, choć tu biegło ono O wiele spokojniej.

— Nic aż tak malowniczego. — Molly spojrzała na niego strapiona. — To dość skomplikowane. Czy moglibyśmy gdzieś porozmawiać bez świadków?

— Jasne. — Glass był zaintrygowany. — Jeżeli zgodzisz się usiąść mi na barana, możemy porozmawiać w moim gabinecie.

Jego pokój był niewiele większy od opasłego biurka, które w nim stało, ale przynajmniej można było zamknąć za sobą drzwi. Glass ruszył korytarzem, balansując trzymaną w ramionach stertą książek i kawą.

— Zamieniam się w słuch — rzekł, kiedy Molly wcisnęła się w kąt na składanym krześle.

— Postrzeliła go z odległości niecałych dwóch cali — rozpoczęła z westchnieniem lekarka

— z pistoletu, który „nagle znalazł się w jej ręce”. Trafiła w krtań, facet zmarł w szpitalu.

Rzekomo nie miała żadnego powodu. Byli zwyczajną, szczęśliwą rodziną, jeśli nie brać pod uwagę, że tego dnia pochowano jej matkę.

— Badałaś ją? — spytał uprzejmie. Glass ponad wszystko kochał wyzwania. I bardzo lubił dzieci. Dlatego właśnie Molly chciała, żeby wziął tę sprawę. Bez niego Grace Adams nie miała żadnych szans. Sama Grace już wyrzekła się wszystkiego, wszelkiej nadziei, nawet własne życie wydawało się jej nieważne. Jednakże Molly postanowiła o nią walczyć.

— Nie ma zaburzeń psychicznych — odparła. — Oczywiście jest znerwicowana i popadła w depresję, ale sądzę, że nie bez powodu. Uważam, że ojciec ją maltretował seksualnie i fizycznie. — Opisała urazy stwierdzone u Grace i stan emocjonalny dziewczyny, kiedy z nią rozmawiała. Zarzeka się, że ojciec nigdy jej nie dotknął. Nie wierzę w to. Twierdzą, że zgwałcił ją tego wieczoru i prawdopodobnie nie był to pierwszy raz. Być może kiedy zabrakło matki, dziewczyna straciła jedyną ostoję i wpadła w panikę. Odległość, z jakiej został trafiony, świadczy, że musiał na niej leżeć.

— Czy ktokolwiek wziął to pod uwagę? — Adwokat coraz bardziej się zapalał. — Co mówią gliny?

— W tym cały problem. Nie chcą o tym słyszeć. Jej ojciec był kimś w rodzaju lokalnego bożyszczka. Nikt nie wierzy, że mógł sypiać z własną córką, co gorsza wbrew jej woli. Może groził jej pistoletem, a ona mu go wyrwała, tego jeszcze nie wiemy. Ale jedno jest pewne: w życiu tej dziewczyny działo się coś złego, a ona milczy. Nie ma żadnych przyjaciół, poza szkołą z nikim się nie spotyka. Nikt nic o niej nie wie. Zaraz po lekcjach wracała do domu i opiekowała się ciężko chorą matką. Jej matka zmarła kilka dni temu, teraz zginął ojciec i na tym koniec. Nie ma żadnych krewnych, a całe miasto wystąpiło przeciwko niej.

— Ale ty jesteś innego zdania. Dlaczego? — David nauczył się już ufać instynktowi Molly.

— Bo wiem, że ona kłamie. Jest przerażona. Wciąż go broni, jak gdyby mógł powstać z martwych i zemścić się na niej.

— Nie powiedziała zupełnie nic?

— W zasadzie nic. Jest skamieniała z bólu, ma to wypisane na twarzy, w oczach, w całym ciele.

— Na razie — uśmiechnął się Glass. — Zmiękczysz ją, już ja cię znam. Dopiero zaczęłaś.

— Dzięki za zaufanie, ale nie mam wiele czasu. Dziś mają ją postawić w stan oskarżenia i przydzielić obrońcę.

— Czy nie mógłby się tym zająć adwokat rodziny albo wspólnik ojca? Na pewno jest ktoś taki.

Molly posępnie potrząsnęła głową.

— Wspólnik twierdzi, że nazbyt się zżył z jej ojcem, żeby teraz bronić jego zabójczynie.

Powiada też, że po chorobie żony Adams był splukany. Miał tylko dom i udział w firmie adwokackiej. Jeśli Grace ich nie odziedziczy, przypadną jemu; zresztą ponoć Adams był mu winien sporą sumę. Ten gość nie dałby nawet dziesięciu centów, żeby pomóc dziewczynie, i dlatego przyszedłem z tym do ciebie. Wills mi się nie podoba, nie ufam mu. Przedstawia zmarłego jako męczennika i głosi, że Grace Adams powinna zostać skazana na śmierć.

— Siedemnastoletnie dziecko? Przyjemniaczek skwitował kwaśno Glass. — A co na to nasza młoda dama? Czy wie, jak bardzo może jej zaszkodzić ten facet?

— Nie wie, i podejrzewam, że jej to nie obchodzi. Gotowa jest zginąć, byle tylko nie musiała zeznawać. Wmówiła sobie, że winna jest rodzicom absolutną dyskrecję.

— Wygląda na to, że potrzebuje nie tylko adwokata, ale i psychiatry. — Glass uśmiechnął się szeroko. Cieszył się, że

znów będzie współpracować z Molly. Pozwalał sobie nawet na nieśmiałe nadzieje, choć w głębi duszy wiedział, że są one nierealne. Uczucia wszakże nigdy nie przeszkadzały mu w pracy.

— I co o tym myślisz? — spytała Molly ze zmartwioną miną.

— Myślę, że dziewczyna jest w poważnych opałach. Jak brzmi kwalifikacja czynu?

— Jeszcze nie wiadomo. Była mowa o morderstwie pierwszego stopnia, ale moim zdaniem będą mieli trudności ze wskazaniem motywu. Sądząc z tego, co mówi Wills, Adams nie zostawił żadnego majątku.

— Tak, ale dziewczyna niekoniecznie musiała o tym wiedzieć. Podobnie jak o tym, że jeśli zabije ojca, nie będzie mogła po nim dziedziczyć. Prokurator może w ten sposób ustawić oskarżenie, jeśli zechce.

— Skoro Grace zaprzecza, jakoby to zaplanowała, mogliby choć trochę się zlitować i zejść z kwalifikacją na zabójstwo w afekcie — bąknęła z nadzieją Molly. — Nie podlega już pod sąd dla nieletnich, więc i tak groziłoby jej od piętnastu lat do dożywocia. Jeśli dostanie wyrok, będzie miała czterdzieści lat, kiedy wyjdzie z więzienia. Ale przynajmniej będzie żyła. Gdyby tylko powiedziała nam, co naprawdę zaszło, mógłbyś ją nawet całkiem z tego wyciągnąć.

— Cholera. Podrzuciłaś mi kukułcze jajo, wiesz?

— Możesz sobie załatwić przydział?

Chyba tak. Sędzia na pewno zdaje sobie sprawę, że w tym mieście dziewczyna nigdy w życiu nie będzie miała uczciwego procesu. Aż się prosi o zmianę miejsca rozprawy. Prawdę mówiąc, mam zamiar złożyć taki wniosek.

— Chcesz z nią porozmawiać, zanim podejmiesz decyzję? Zartujesz? — zaśmiał się. — Nie widziałaś moich

ostatnich klientów. Nie musisz mi jej reklamować. Chciałbym tylko wiedzieć, czy mam choć cień szansy. Byłoby dobrze, gdyby wreszcie zaczęła mówić. Jeśli tego nie zrobi, grozi jej dożywocie albo nawet gorzej — rzekł z naciskiem.

Molly skinęła głową.

— Może się otworzy, jeśli ci zaufa — powiedziała z nadzieją. — Wybieram się do niej dziś po południu. Muszę napisać orzeczenie, czy Grace jest zdolna do udziału w procesie. Ale to nie podlega kwestii. Zwlekam, bo chciałabym nadal się z nią widywać. Potrzebny jej kontakt z normalnymi ludźmi

— Molly była szczerze zatroskana.

— Pójdę dziś z tobą, jeśli dadzą mi tę sprawę. Zobaczmy najpierw, co uda mi się zdziałać. Zadzwoń do mnie w porze lunchu. — Glass zanotował nazwisko Grace i numer sprawy. Molly odczuła niezmierną ulgę. Jeżeli istnieje jakakolwiek szansa ratunku dla Grace, David Glass ją wykorzysta.

Zadzwoiła do niego dopiero po drugiej, lecz nie zastała go w biurze. Zanim znalazła czas, żeby znów spróbować, była czwarta. Miała koszmary dzień: dyżur w szpitalu, sprawozdania dla sądów i zajęcia psychoterapeutyczne z piętnastolatkiem, który próbował popełnić samobójstwo. Skoczył z mostu na beton i w tym wypadku młodzięcza żywotność zadziałała na jego niekorzyść — przeżył, ale został sparaliżowany. Nawet Molly miała wątpliwości, czy nie lepiej dla niego byłoby zginąć, niż żyć jeszcze sześćdziesiąt lat zdolny jedynie do marszczenia nosa. Uszkodzony został nawet ośrodek mowy. Zadzwoiła do Davida ponownie pod koniec dnia i przeprosiła za opóźnienie.

— Sam dopiero wróciłem — wyjaśnił.

— I co?

— Życzą mi powodzenia. Twierdzą że będzie to krótka rozgrywka. Chciała jego pieniędzy, nie zdając sobie sprawy, jak niewiele ich zostało po chorobie matki, ani z tego, że nie będzie dziedziczyć, jeśli go zabije. Obstają przy zabójstwie z premedytacją. W najlepszym razie dopuszczają myśl, że się pokłócili, dziewczyna wpadła w szał i zabiła go. Wszystko proste jak drut. Może dostać od dwudziestu lat do dożywocia albo karę śmierci, jeśli ławnicy naprawdę się wkurzą.

— Przecież to tylko dziecko... nastolatka... — Molly skarciła się w duchu za nadmierne zaangażowanie, ale to było silniejsze od niej. Cała ta sprawa zakrawała na krzyżącą niesprawiedliwość. — A obrona konieczna?

— Nie ma dowodu, że ją atakował, chyba że twoja hipoteza o gwałcie okaże się słuszną. Daj mi szansę, złotko. Dostałem tę sprawę przed dwiema godzinami i jeszcze nawet nie widziałem się z klientką. Wniosłem o odłożenie sformułowania oskarżenia do czasu, kiedy przynajmniej z nią porozmawiam. Termin wyznaczono na jutro, na dziewiątą rano. Wybieram się do aresztu dziś o piątej, jeśli do tej pory zdołam się stąd wyrwać. Przyjdiesz? Pomogłabyś mi przełamać lody, w końcu dziewczyna już cię zna.

— Nie jestem tylko pewna, czy mnie lubi. Nagabuję ją o ojca, a to się jej nie podoba.

— Kara śmierci spodoba się jej jeszcze mniej. Proponuję, żebyśmy spotkali się w areszcie o piątej trzydzieści. Zdziesz?

— Oczywiście. I... Davidzie?

— Tak?

— Dzięki.

— Zrobimy, co w naszej mocy. Do zobaczenia o wpół do szóstej.

Odkładając słuchawkę, Molly zdała sobie sprawę, że będą musieli nie tylko dołożyć wszelkich starań, ale i modlić się o cud.

ROZDZIAŁ III

Punktualnie o szóstej trzydzieści weszli do aresztu na spotkanie z Grace. Do tego czasu David wy dostał z akt policyjnych kopie wszystkich raportów, a Molly przyniosła mu swoje notatki i wyniki badań szpitalnych. Zerknął na nie w windzie i uniósł brew, kiedy zobaczył zdjęcia.

— Wygląda, jakby ktoś nadział ją na kij baseballowy

— zauważył i zerknął zmieszany na Molly.

— A ona twierdzi, że nic się nie stało — potrząsnęła głową, mając nadzieję, że Grace zechce otworzyć się przed Davidem. Molly wciąż nie była pewna, czy Grace rozumie) że od tego zależy jej życie.

Wprowadzono ich do tej samej rozmównicy. Usiedli; David zapalił papierosa i podsunął paczkę Molly, ale odmówiła. Dopiero po dobrych pięciu minutach w okienku w drzwiach od strony aresztu ukazał się mundur) rozległ się zgrzyt rygla i weszła Grace, patrząc na nich z wahaniem. Miała na sobie wciąż te same džinsy i koszulkę. Nikt nie zatroszczył się o to, by przynieść jej świeżą odzież.

David przyjrzał jej się bacznie. Była wysoka, szczupła i pełna wdzięku; robiła wrażenie młodej i nieśmiałej, ale kiedy podniosła na niego oczy, zobaczył w nich gorycz wielu dziesiątek lat. Poruszała się jak sarna, gotowa czmychnąć w las. Nie wiedziała, czego może się spodziewać po tej wizycie. Spędziła dziś cztery godziny na przesłuchaniu i była wyczerpana. Poinformowano ją, że ma prawo żądać obecności adwokata, ale ponieważ wcześniej przyznała się przecież, że zabiła ojca, nie sądziła, by adwokat mógł jej w czymkolwiek pomóc.

Otrzymała wiadomość, że jej obrońcą będzie David Glass, który odwiedzi ją nieco później. Frank Wilis się nie odzywał, a Grace nie zdobyła się na to, by sama do niego zadzwonić. Rano czytała gazetę; pierwszą stronę i kilka artykułów wewnątrz poświęcono zabójstwu jej ojca, a także pompatycznym opisom jego wzorowego życia, praktyki i roli w społeczeństwie. O niej samej pisano stosunkowo niewiele — że ma siedemnaście lat, chodzi do gimnazjum imienia Jeffersona i że jest morderczynią. Wysunięto kilka teorii co do prawdopodobnego przebiegu wypadków, ale żadna nawet nie otarła się o prawdę.

— Grace, przedstawiam ci Davida Glassa — przerwała milczenie Molly. — Jest obrońcą z urzędu i będzie cię reprezentował.

— Witaj, Grace — rzekł cicho David.

Nie spuścił z niej oczu od chwili, gdy weszła do pokoju.

Zauważył, że była śmiertelnie przerażona; mimo to jednak grzecznie i z wdziękiem ucisnęła mu dłoń. Jej ręka drżała, a gdy przemówiła, zwrócił uwagę na jej silną zadyszkę i przypomniał sobie, że Molly wspominała coś o astmie.

— Mamy trochę roboty — rzekł. Kiwnęła tylko głową w odpowiedzi. — Przeczytałem dziś twoje akta. Nie wygląda to za dobrze. Przede wszystkim potrzebuję od ciebie informacji o tym, co się wydarzyło i dlaczego; wszystko, co tylko zdołasz sobie przypomnieć. Potem zatrudnimy detektywa, żeby zgromadził materiał dowodowy. Zrobimy wszystko, co będzie konieczne. — Starał się, żeby jego głos brzmiał pocieszająco i miał nadzieję, że Grace nie jest aż tak sparaliżowana strachem, by nie była w stanie go zrozumieć.

— Nie ma czego sprawdzać — powiedziała cicho, sztywno wyprostowana na krześle. — Zabiłam ojca — dodała, patrząc mu prosto w oczy.

— To już wiem — rzekł z taką miną, jakby to wyznanie nie robiło na nim żadnego wrażenia. Rozumiał, co widziała w niej Molly: miłą, grzeczną dziewczynkę, z której ktoś wytlukł całą wolę życia. Była tak zamknięta w sobie, że człowiek zaczynał mieć wątpliwości, czy istnieje naprawdę. — Pamiętasz, co się stało? — spytał.

— Większość — przyznała. Niektóre fragmenty nadal były mgliste, na przykład to, kiedy dokładnie wyjęła pistolet z nocnej szafki. Pamiętała jednak moment, gdy nacisnęła spust. — Zastrzeliłam go — powtórzyła.

— Skąd wzięłaś pistolet?

Jego pytania brzmiały bardzo rzeczowo i niegroźnie. Miał swobodny styl bycia i Molly dziękowała swojej dobrej gwiazdzie, że udało mu się załatwić ten przydział. Miała tylko nadzieję, że Glass zdoła pomóc Grace.

— Leżał w szafce nocnej mojej matki.

— Sięgnęłaś do szafki i wyjęłaś go?

— Mniej więcej.

— Czy twój ojciec się zdziwił, kiedy to zrobiłaś? — David postarał się, żeby zabrzmiało to jak najzwyczajniejsze w świecie pytanie.

Grace przytaknęła ruchem głowy.

— Najpierw nie zauważył, potem bardzo się zdziwił i chciał mi go wyrwać, i pistolet wypalił.

— Oczy Grace zwilgotniały; przymknęła je.

— Musiałaś stać bardzo blisko niego? Tyle? — wskazał rękami odległość trzech stóp.

Wiedział, że była bliżej, ale chciał usłyszeć jej odpowiedź.

— Nie... w zasadzie..., bliżej...

Kiwnął głową, jak gdyby w tym również nie widział nic szczególnego. Molly przybrała obojętną minę, ale była zafascynowana widząc, jak szybko David zdobył zaufanie Grace.

Była w tej chwili o wiele mniej czujna niż w rozmowie z Molly.

— Jak blisko? Stopę? Może bliżej?

— Dość blisko..., bliżej... — powiedziała cichutko i odwróciła wzrok, wiedząc, co adwokat ma na myśli. Pani York na pewno powiedziała mu o swoich podejrzeniach. — Bardzo blisko.

— Dlaczego? Co robiliście?

— Rozmawialiśmy — powiedziała ochryple, z trudem łapiąc powietrze. Glass wiedział, że kłamie.

— O czym rozmawialiście?

Swobodnie zadane pytanie zaskoczyło ją; Grace zająknęła się odpowiadając.

— No... zdaje się, że o mamie.

David kiwnął głową, jakby uznał to za najnaturalniejszą rzecz pod słońcem, a potem w zadumie odchylił się w krześle i spojrzał na sufit. Starając się opanować emocje, odezwał się, nie patrząc na nią:

— Czy twoja mama wiedziała, co on z tobą robił?

Powiedział to tak łagodnie, że oczy Molly wypełniły się łzami. Powoli przeniósł wzrok na Grace. Ona też miała łzy w oczach.

— Mnie możesz to powiedzieć. Nikt poza nami się nie dowie, ale muszę znać prawdę, jeśli mam ci pomóc. Czy matka wiedziała?

Grace patrzyła na niego, pragnąc znów zaprzeczyć, pragnąc się przed nim ukryć, ale już nie mogła, po prostu nie była w stanie. Kiwnęła głową, a łzy powoli spłynęły jej po policzkach. David ujął jej dłoń i uścisnął.

— W porządku, Grace. To przecież nie twoja wina.

Znów pokiwała głową, a z jej ust wydarł się udręczony szloch. Chciała mieć dość sił, żeby milczeć, ale wszyscy ją nagabywali — psychiatra, policja, teraz on — i zadawali tyle krępujących pytań. Najdziwniejsze było to, że mimo woli ufała Davidowi.

— Mama wiedziała — szepnęła po chwili.

— Czy była na niego zła? A na ciebie?

W tym momencie Grace zaskoczyła ich oboje.

— To ona mi kazała... Powiedziała, że muszę... — dziewczyna zakrztusiła się i spazmatycznie zaczerpnęła oddech — . . . że muszę o niego dbać i być dla niego miła... i... pozwalać mu na to. — Jej wielkie, wypełnione łzami oczy zdawały się błagać, żeby jej uwierzyli. Wierzyli; przemówiła prosto do ich serc. David nie znał Adamsów, ale w tej chwili czuł, że mógłby ich oboje zabić z zimną krwią.

— Jak długo to trwało? — spytał miękko.

— Długo. — Grace wyglądała na kompletnie wyczerpaną; zastanawiał się, czy to jej nie zabije. — Cztery lata...

— Dlaczego ta noc była inna?

— Nie wiem... Po prostu już więcej nie mogłam... Mama umarła, nie musiałam już robić tego dla niej... Zaciągnął mnie do jej łóżka..., przedtem przychodził do mnie... i... uderzył mnie.... i robił inne rzeczy. — Nie chciała wdawać się w szczegóły, ale sporo mogli się domyślić z wyników obdukcji.

— Pamiętam pistolet... Chciałam tylko, żeby przestał,, żeby ze mnie zszedł... Nie miałam zamiaru go zabić... Po prostu chciałam go powstrzymać.

Powstrzymała. Na zawsze.

— Nie sądziłam, że trafię — dodała.

Grace czuła wyczerpanie. I ulgę. Było to co innego niż rozmowa z policją. Tym razem wiedziała, że może liczyć na ich dyskrecję i że jej uwierzą — w przeciwieństwie do policji.

Policjanci sądzą, że ojciec był ideałem. Wszyscy go znali, niektórzy nawet grywali z nim w golfa.

— Jesteś dzielną dziewczyną — rzekł cicho David i cieszył się, że mi powiedziałaś.

Molly miała rację; ba, sytuacja była jeszcze gorsza — jej matka także brała w tym udział. John Adams gwałcił trzynastoletnią córkę. David dostał mdłości na samą myśl. Ten facet był zbrodniarzem, zasługiwał na śmierć. Teraz jednak prawnik zadawał sobie pytanie, czy zdoła przekonać ławę przysięgłych, iż Grace działała w samoobronie po czterech latach piekła, jakie zgotował jej ojciec. Molly nie udało się przekonać policji; ci w ciemno uwierzyli w publiczny wizerunek Johna Adama. Mimo woli obawiał się, że ława będzie mieć te same złudzenia.

— Czy powiesz policji to, co powiedziałaś mnie? — spytał, ale Grace pośpiesznie potrząsnęła głową.

— Dlaczego nie?

— I tak mi nie uwierzą i... nie mogę zrobić tego rodzicom.

— Twoi rodzice nie żyją, Grace — rzekł stanowczo.

Jej też groziła śmierć, jeśli nie powie prawdy. Obrona konieczna stanowiła jedyną szansę. Musieli dowieść, że Grace miała powody przypuszczać, iż jej życie jest w niebezpieczeństwie.

— Porozmawiamy o tym jeszcze — rzekł. — Będziesz musiała opowiedzieć ławie przysięgłych o tym, co naprawdę się zdarzyło.

— Nie mogę. Co oni sobie o mnie pomyślą? To takie Orzydliwe — Grace znów zaczęła płakać. Molly wstała objęła ją.

— To rzuca złe światło na twoich rodziców, nie na ciebie, Grace — powiedziała. — Ty jesteś ofiarą. Nie możesz bez końca płacić za ich grzechy. — David ma rację, musisz powiedzieć prawdę.

Dyskutowali o tym przed dłuższy czas. Grace obiecała, że się zastanowi, ale nie wyglądała na przekonaną, iż ujawnienie całej prawdy jest najlepszym rozwiązaniem. Kiedy w końcu wyszli, Molly nie posiadała się ze zdumienia, że David tak szybko nawiązał kontakt z Grace.

— Może powinniśmy zamienić się rolami — mruknęła pośpiesznie. — Tyle że adwokat też byłby ze mnie kiepski.

Czuła, że poniosła porażkę, gdy nie udało jej się zdobyć zaufania Grace.

— Nie bądź dla siebie taka surowa. Otworzyła się tylko dlatego, że ty wpiersz ją zmiękczyłaś.

Ta smutna historia ropiała w niej przez cztery lata. Musiała wreszcie wyrzucić ją z siebie.

Teraz pewnie odczuwa ulgę.

Molly kiwnęła głową potwierdzająco, a David dodał smętnie:

— Oczywiście zabijając go też musiała poczuć ulgę. Cholerna szkoda, że nie zrobiła tego wcześniej. Wyobrażasz sobie? To był wszawy zbrodniarz, a tymczasem całe miasto uważa go za świętego, ideał męża i ojca. Rzygać się chce. Cud, że dziewczyna nie zwariowała w tym domu do reszty.

Grace była wyczerpana fizycznie i psychicznie, ale nie utraciła kontaktów z rzeczywistością. David nie chciał myśleć o tym, czym będzie dla niej dwadzieścia lat w więzieniu.

Nazajutrz rano przed rozprawą wstępną Grace wciąż nie zgadzała się ujawnić prawdy. Zdołał ją tylko przekonać, by na rozprawie oświadczyła, że jest niewinna. Oskarżano ją o morderstwo z premedytacją, które pociągało maksymalną sankcję, być może nawet karę śmierci, jeśli taka będzie wola przysięgłych.

Sędzia nie zgodził się na ustanowienie kaucji, co było bez znaczenia, bo i tak nie miał jej kto zapłacić. David otrzymał formalne umocowanie jako obrońca Grace.

Przez kilka następnych dni robił co w jego mocy, żeby nakłonić Grace do mówienia. Ale dziewczyna była twarda jak gład. Po dwóch tygodniach zagroził, że się wycofa. Molly wciąż często odwiedzała Grace, teraz już prywatnie. Raport dla sądu został ukończony. Stwierdziła w nim, że Grace nie jest chora umysłowo i posiada pełną zdolność do udziału w procesie. Na zlecenie obrony jeden z detektywów obszedł całe miasto indagując ludzi, David miał bowiem nadzieję, że znajdą kogoś, kto choćby podejrzewał, co John Adams robi ze swoją córką. Reakcje mieszkańców Watseka wahały się od umiarkowanego zaskoczenia do silnego oburzenia, śledztwo więc nie przyniosło żadnych rezultatów. Obywatele twierdzili, że jest to wyssana z palca teoria, ukuta przez obronę, aby usprawiedliwić to, co wielu z nich określało jako mord z zimną krwią, dokonany przez Grace na ojcu.

David osobiście poszedł do szkoły Grace, nauczyciele jednak również mu nie pomogli.

Określali Grace jako dziecko nieśmiałe i nietowarzystkie, wręcz aspołeczne, i to już od dawna. Zgodnie też przyznawali, iż była grzeczną i pilną uczennicą. Kilku wspomniało o dotkliwej astmie, która zaczęła dolegać Grace w czasie, gdy rozchorowała się jej matka. Nikogo z nich nie zaskoczyło, że Grace zrobiła coś tak okropnego. Twierdzili, że była dziwna i najwyraźniej „coś w niej pękło”, kiedy zmarła matka.

Była to jedna z obiegowych hipotez. Druga, skonstruowana przez policję, dopuszczała dwie wersje: że chodziło o spadek lub kłótnię i atak szału. O wiele trudniej było komukolwiek uwierzyć, że John Adams prowadził podwójne życie, zaspokajając swe perwersje kosztem córki. A jeszcze bardziej niewiarygodne wydawało się to, że już wcześniej od wielu lat bił żonę. Jakkolwiek jednak było to bulwersujące, David ani przez moment nie zwątpił w prawdę słów Grace. Przez całe lato starał się zgromadzić dowody i podeprzeć wątłą linię obrony. W końcu nakłonił ją, żeby wyznała wszystko policji,²¹ e było już za późno. Potraktowano to jako sprytną sztuczkę wymyśloną przez Davida; nie udało się też zawrzeć ugody z prokuratorem³ do którego David udał się w przyływie Ozpaczy, obawiając się o życie Grace. Prokurator okazał się niewzruszony. Nie pozostało im nic, jak tylko powtórzyć to mo przysięgłym. Proces wyznaczono na pierwszy tydzień września.

Grace skończyła w areszcie osiemnaście lat.

Siedziała teraz sama, a reporterzy nękali ją przez całe lato. Wciskali strażnikom szeleszczące banknoty i w chwilę później byli już pod jej celą, błyskając fleszami. Kiedyś nawet zrobili jej zdjęcie na sedesie. Zeznanie, jakie złożyła przed policją, już dawno ukazało się w gazetach. Grace miała uczucie, że zbrukała i siebie, i rodziców — do tego na próżno.

Pogodziła się z więziennym życiem i wciąż zadawała sobie pytanie, czy w końcu ją stracą. Nawet David, choć niechętnie, przyznał, że było to możliwe. Wszystko zależało od ławy przysięgłych. David wciąż miał pewność, że uda mu się ich przekonać. Grace była młoda, śliczna, delikatna i gołym okiem dało się zauważyć, że mówi prawdę. On i Molly wierzyli jej bez zastrzeżeń.

Pierwszym prawdziwym ciosem okazała się odmowa zmiany miejsca rozprawy. David złożył wniosek motywując go tym, że obywatele Watseka byli uprzedzeni do Grace na korzyść jej ojca. Gazety obsmarowywały ją już od miesiący, publikując wysrane z palca bzdury. Zanim nadszedł wrzesień, zrobili z niej potwora; nastoletnią ninfomankę, która od dawna chciała się pozbyć ojca, żeby dostać się do jego forsy. To, że Adams nie pozostawił prawie żadnych pieniędzy, jakoś umknęło ich uwadze. Pisano też, że chciała uwieść ojca i zabiła go w ataku zazdrości. Krążyły tysiące rozmaitych plotek, z których żadna nie miała nic wspólnego z prawdą, a każda wbijała się jak nóż w plecy Grace. David nie był w stanie sobie wyobrazić, jak w danych warunkach możliwy jest uczciwy werdykt — zwłaszcza w tym mieście.

Wybór przysięgłych trwał cały tydzień, a z powodu usilnych protestów Davida skład ławy kilkakrotnie ulegał zmianom. Sam sędzia był starym, zasuszonym człowiekiem, który krzyczał na wszystkich ze swojego miejsca i ongiś często grywał w golfa z ojcem Grace. Utrzymywał wszakże, iż potrafi być obiektywny. David pocieszał się tym, że jeśli wyrok okaże się niepomysłny, będzie mógł wnieść o rewizję z powodu uchybień proceduralnych. Albo podeprze się tym przy apelacji. Już planował następny krok i poważnie się martwił. Oskarżenie poszło na całość. Wedle słów prokuratora Grace chciała zabić ojca, żeby odziedziczyć — wprawdzie mizerny — spadek, nim ojciec zdąży go wydać lub powtórnie się ożenić. Zdjęcia ujęte w materiale dowodowym przedstawiały Johna Adamsa jako bardzo atrakcyjnego mężczyznę i oskarżyciel kilkakrotnie implikował, że Grace czuła do niego nienaturalny pociąg. Toteż nie tylko próbowała go uwieść, rozdzierając koszulę i obnażając się przed nim, ale też posunęła się tak daleko, iż po śmierci ojca oskarżyła go o gwałt. Istniały dowody, że Grace miała tej nocy stosunek płciowy, wyjaśnił oskarżyciel, ale oczywiście nic nie podtrzymywało teorii, że odbyła go ze swoim ojcem. Podejrzewano, że wymknęła się na randkę, ojciec zbeształ ją za to, a gdy okazał się odporny na jej wdzięki, zabiła go.

Oskarżenie żądało uznania jej winną morderstwa z premedytacją, co pociągało za sobą nielimitowaną karę więzienia do kary śmierci włącznie. Grace Adams popełniła potworną zbrodnię, oświadczył prokurator przysięgłymi zebranej na sali publiczności, wśród której była armia reporterów z całego kraju. Żądał dla niej najwyższej kary. Dziewczyna, która z rozmysłem zabiła własnego ojca, a potem szargała jego opinię, żeby uchronić się przed odpowiedzialnością, nie zasługuje na litość.

Grace miała wrażenie, że mówią o kimś innym. Przez miejsce dla świadka przewinał się rój ludzi, głosząc chwałę jej ojca. Ją wszyscy zgodnie nazywali dziwaczką. A najgorsze świadectwo wystawił jej Frank Wills. Oświadczył, że w dniu pogrzebu matki Grace pytała go kilkakrotnie o stan finansów ojca.

— Nie chciałem jej straszyć mówiąc, jak wiele pieniędzy pochłonęło leczenie ani jak bardzo John był zadłużony. Stwierdziłem więc tylko, że ma dużo pieniędzy. — Wills spoj rzał z nieszczęśliwą miną na ławę przysięgłych i dodał: — Chyba nie powinienem był tego mówić. Może John do dziś

był żył — rzekł, wpatrując się w Grace z namacalną odrazą.

Grace była zdumiona i przerażona.

— Nigdy o tym z nim nie rozmawiałam — szepnęła do

David. Dlaczego Frank kłamał?

— Wiem, że nie — mruknął posępnie David, znów przyznając w duchu rację Molly. Ten facet był żmiją. Korzystał z okazji, żeby się pozbyć Grace.

David wiedział już, że na wypadek śmierci bądź ubezwłasnowolnienia Grace John Adams zapisał Willsowi wszystko

— dom, praktykę i posiadaną gotówkę. Nie było tego dużo, ale i tak pewnie więcej, niż Frank pragnął ujawnić. Gdyby Grace uniewinniono, mogłaby nawet unieważnić testament. Frank chciał być pewien, że tak się nie stanie.

— Ja ci wierzę — zapewnił siedzącą obok niego dziewczynę, ale problem polegał na tym, że był sam. Dlaczegoż inni mieliby jej wierzyć? Zabiła ojca, sama się przyznała. A Frank Wills był bardzo wiarygodnym świadkiem.

Kiedy wreszcie przyszła kolej na obronę, Dawid najpierw przedstawił świadków, którzy mówili o charakterze i zachowaniu Grace. Było ich niewielu: kilku nauczycieli, parę dawnych koleżanek. Podkreślali, że Grace była nieśmiała

i zamknięta w sobie, a David obszernie wytłumaczył, dlaczego:

ukrywała potworną rodzinną tajemnicę i prowadziła życie

pełne grozy. Potem powołał na świadka lekarza, który badał ją po aresztowaniu. Lekarz omówił w najdrobniejszych szczegółach zasięg urazów, które zaobserwował u Grace.

— Czy może pan stwierdzić z całą pewnością, że Grace Adams została zgwałcona? — spytał oskarżyciel.

— Nigdy nie można tego stwierdzić ze stuprocentową pewnością. Do pewnego stopnia opieramy się także na zeznaniach ofiary. Ale można zdecydowanie powiedzieć, że Grace Adams od dłuższego czasu była poddawana praktykom seksualnym z użyciem przemocy. Istnieje wiele starych blizn i uszkodzeń, no i oczywiście rozległe świeże urazy.

— Czy tego rodzaju „przemoc” zdarza się w normalnym seksie, bardziej energicznym czy nawet poniekąd perwersyjnym? Innymi słowy, jeśli panna Adams była w jakimś sensie masochistką albo lubiła być „gwałcona” przez swoich kochaników, czy wywołałoby to taki sam efekt? — zapytał znacząca oskarżyciel, jawnie ignorując to, że każdy, kto znał Grace, twierdził, że nie spotykała się z chłopcami.

— Hm, podejrzewam, że jeśli ktoś lubi brutalny seks, można przypuszczać, że wystąpią podobne uszkodzenia i urazy..., musiałby on jednak być bardzo brutalny — rzekł z namysłem lekarz.

Oskarżyciel uśmiechnął się złośliwie.

— Podejrzewam, że są takie, które to lubią rzekł.

David nieomal co chwilę zgłaszał sprzeciw, ale walka była z góry przegrana. Powołał na świadka Molly, a w końcu samą Grace. Jej zeznanie wrzuciłoby kamień w każdym innym mieście, ale nie w Watseka. Watseka pozostało wierne Johnowi Adamsowi. Przebieg procesu omawiano wszędzie: w sklepach, w restauracjach, przy stoiskach z gazetami. Nawet w lokalnych wiadomościach telewizyjnych codziennie podawano sprawozdanie z rozprawy, a przy każdej okazji na ekranie ukazywało się zdjęcie Grace. Sensacji nie było końca.

Lawa przysięgłych naradzała się przez trzy dni. Grace, David i Molly czekali w sali rozpraw lub spacerowali godzinami po korytarzach sądu, a strażnik szedł cicho za nimi. Grace tak już przywykła do kajdanków, że ledwie zauważała, iż ma je na sobie, chyba że celowo zaciskano je zbyt mocno. To się zdarzało; policjanci także lubili jej ojca. Najdziwniejszych uczuć doznawała na myśl, że jeśli ława przysięgłych ją uwolni, odejdzie stąd, jak gdyby nic się nie zdarzyło. Ale w miarę jak dni ciągnęły się wolno, wydawało się to coraz mniej prawdopodobne. David rwał sobie włosy z głowy; niektórych przeszkód nie był w stanie pokonać. Molly przez cały czas trzymała Grace za rękę. W ciągu minionych dwóch miesięcy wszyscy troje stali się sobie bardzo bliscy. David i Molly byli jedynymi przyjaciółmi, jakich Grace kiedykolwiek miała, toteż powoli zaczęła nie tylko im ufać, ale też ich kochać.

Sędzia poinstruował przysięgłych, że mają do wyboru cztery kwalifikacje czynu. Morderstwo z premedytacją mogło pociągać za sobą karę śmierci, jeśli przysięgli uznają, że Grace zaplanowała zbrodnię, w pełni zdając sobie sprawę z jej konsekwencji. Zabójstwo w afekcie — jeśli w przypiływie aglęg0 impulsu naprawdę chciała zabić ojca, wierząc bezpodstawnie, że czyn ten jest usprawiedliwiony, albowiem ojciec w danej chwili ją krzywdzi — karane było wyrokiem do dwudziestu lat więzienia. Nieumyślne zabójstwo — jeśli rzeczywiście zrobił jej krzywdę, ona zaś zamierzała jedynie go powstrzymać, lecz „nieopatrzne” działanie spowodowało jego śmierć — groziło jej więzieniem w wymiarze wahającym się od roku do dziesięciu lat. I wreszcie zabójstwo w obronie własnej, jeśli przysięgli uwierzą, że ją zgwałcił i że broniła się przed atakiem, który potencjalnie mógł zagrażać jej życiu. David zwrócił się do przysięgłych z prośbą o sprawiedliwość i uniewinnienie tej biednej dziewczyny, która po latach tortur z rąk własnych rodziców działała w ramach obrony koniecznej.

Było słoneczne popołudnie w końcu września, gdy przysięgli wreszcie powrócili z narady. Grace omal nie zemdląła, słysząc wyrok.

Przewodniczący ławy powstał z namaszczeniem i oznajmił, że uzgodnili werdykt. Uznali Grace winną umyślnego zabójstwa, acz bez premedytacji. Nie uwierzyli, że ojciec ją zgwałcił, wtedy czy kiedykolwiek wcześniej. Przypuszczalnie jednak skrzywdził ją lub wystraszył. Ponadto dwie z zasiadających w ławie pań nie dały się odwieść od przekonania, że nawet pozornie przyzwoici mężczyźni mają czasem swoje za uszami. W umysłach przysięgłych powstało więc dość wątpliwości, by

oddalić od Grace groźbę egzekucji. Doszli jednak do wniosku, iż Grace żywiła bezpodstawne — i tu leżał klucz do sprawy przekonanie, że ma prawo zabić swego ojca. Wymiar sankcji leżał w gestii sędziego.

Z uwagi na bardzo młody wiek Grace oraz to, iż sama przekonana była — jakkolwiek błędnie — że ma prawo się bronić w tak drastyczny sposób, sędzia skazał ją na dwa lata więzienia i kolejne dwa lata w zawieszeniu, podczas których miała pozostawać pod nadzorem kuratora. Zważywszy okoliczności, był to dar niebios, lecz Grace miała wrażenie, że łatwiej byłoby jej się pogodzić z karą śmierci. Sędzia nakazał również utajnić akta sprawy, aby kryminalna przeszłość nie rzuciła cienia na dalsze jej życie po odbyciu kary.

Grace bała się tego, co ją czeka w więzieniu. Nawet w areszcie inne kobiety czasem jej groziły, zabierały przybory toaletowe albo czasopisma, które przynosiła jej Molly. Ale przebywały tam tylko po kilka dni i Grace nigdy nie czuła się naprawdę zagrożona. Prawdziwy zakład karny będzie jednak pełen prawdziwych zbrodniarek. Grace ze smutkiem spoglądała na sędziego. Nie płakała. Miała świadomość, że jej życie było od dawna przegrane. Od początku nie miała szans, a teraz było już po wszystkim. Zanim ją wyprowadzono, założono jej również kajdany na nogi. Od chwili ogłoszenia wyroku stała się skazaną morderczynią.

Wieczorem Molly odwiedziła Grace w areszcie. Rano mieli ją przenieść do więzienia w Dwight. Molly niewiele mogła jej powiedzieć, ale nalegała, by Grace nie traciła nadziei. Pewnego dnia, mówiła, zacznie nowe życie. Musi się trzymać, póki ten dzień nie nadejdzie. Rozgoryczony David także przyszedł ją odwiedzić. Wyrzucał sobie, że ją zawiódł, ale Grace nie miała do niego pretensji. Tak właśnie układało się jej życie. David obiecał, że złoży apelację, wynegocjował też z Frankiem Willsem dość niezwykłą ugodę. Naciskany przez niego mocno Wills zgodził się oddać Grace pięćdziesiąt tysięcy dolarów ze spadku po jej ojcu, w zamian za co Grace miała się zobowiązać, że nigdy nie wróci do Watseka, nie będzie mu się narzucać ani też rościć sobie jakichkolwiek praw do majątku po ojcu. Wills już planował przenieść się do ich domu, nic chciał jednak, aby Grace o tym wiedziała. Jego zdaniem nie była to jej sprawa. Zamierzał zatrzymać wszystkie sprzęty domowe, a większość rzeczy Grace i tak zdążył już wyrzucić na śmietnik. David w imieniu Grace wyraził zgodę na warunki umowy, zdając sobie sprawę, że gdy wyjdzie na wolność, będzie bardzo potrzebować tych pieniędzy. Stanowiły cały jej majątek.

— Nie możesz się poddawać, Grace — powtarzała jej tego wieczoru Molly. — Wytrzymałaś do tej pory, teraz musisz wytrzymać jeszcze tylko dwa lata. To nie wieczność. Kiedy wyjdiesz, będziesz miała zaledwie dwadzieścia lat. W tym wieku możesz zacząć nowe życie i zapomnieć o wszystkim.

Tak samo mówił David. Musi się trzymać i starać się unikać zagrożeń w więzieniu. Wszyscy jednak wiedzieli, że nie będzie to łatwe.

Musi być silna. Nie ma wyboru. Ale była silna już od tak dawna, a mimo to czasem żałowała, że żyje. Śmierć byłaby łatwiejsza od tego, co już przeszła i co jeszcze ją czeka. powiedziała Molly, że żałuje, iż nie zastrzeliła siebie zamiast ojca. To byłoby o wiele prostsze.

— A cóż to ma, u licha, znaczyć? — oburzyła się lekarka.

Rozgniewana, zaczęła krążyć po rozmównicy. — Teraz chcesz się poddać? Dostałaś dwa lata. Uwierz mi, mogło być gorzej. Poza tym wiesz dokładnie, ile potrwa kara i kiedy się skończy. Z ojcem nigdy nie mogłaś mieć tej pewności.

— Jak tam jest? — spytała Grace z przerażoną miną. Po policzkach spływały jej dwie strużki łez. Molly oddałaby wszystko, żeby jej tego zaoszczędzić, ale nie miała wpływu na los Grace. Mogła jedynie ofiarować jej przyjaźń i psychiczne wsparcie. Oboje z Davidem niezmiernie ją polubili. Potrafili rozmawiać o niej godzinami, oburzała ich niesprawiedliwość tego, co ją spotkało. Nawet Richard był już znużony całą sprawą; twierdził, że Molly ma obsesję na punkcie tej dziewczyny. A teraz Grace miała cierpieć nadal. Tego wieczoru Molly tuliła ją w ramionach i modliła się, aby Bóg dał Grace siłę. Drżała z niepokoju o to dziecko.

— Będziesz mnie odwiedzać? — spytała cichutko Grace, wtulona w jej objęcia. W tym momencie Molly też się rozpląkała i przyrzekła przyjechać do Dwight w przyszły weekend. David planował wziąć wolny dzień, żeby przedyskutować z Grace apelację i zapewnić jej wszystkie udogodnie

nia możliwe w tych warunkach. Z tego co słyszał, Dwight nie

było przyjemnym miejscem. Podobnie jak Molly zrobiłby wszystko, żeby ją stamtąd wyciągnąć. Ich dobre chęci i wysiłki

nie starczyły jednak, by uzyskać wyrok uniewinniający. Należab wszakże oddać Davidowi sprawiedliwość: karty w tej rozgrywce nie były przychylnie Grace.

— Dziękuję ci za wszystko — powiedziała nazajutrz, gdy

o siódmej rano przyszedł się z nią pożegnać. — Zrobiłeś, co było w twojej mocy. Dziękuję — szepnęła i pocałowała go w policzek.

On także ją uścisnął, życząc jej w duchu, by przetrwała więzienie bez uszczerbku na ciele i duszy. Czuł, że jeśli tylko zechce, przetrwa. Miała w sobie wiele wewnętrznej siły. To ona właśnie utrzymywała ją przy życiu w ciągu minionych czterech koszmarnych lat.

— Szkoda, że się nam nie udało — rzekł smutno. Patrząc na nią, uświadomił sobie coś, czego przedtem do siebie nie dopuszczał: że gdyby była starsza, zakochałby się w niej. Było w niej piękno i moc, które przyciągały jak magnes. Zmusił się, żeby myśleć o niej jak o młodszej siostrze.

— Nie martw się o mnie, Davidzie. Wytrzymam — powiedziała z uśmiechem, pragnąc go pocieszyć. Wiedziała, że część jej duszy jest już od dawna martwa, a reszta musi po prostu trwać, dopóki jakaś siła wyższa nie zadecyduje, że życie Grace Adams dobiegło końca. Nie bała się śmierci; tak mało miała do stracenia, tak niewiele powodów, dla których chciałaby żyć. Mimo to czuła, że jest coś winna Davidowi i Molly

— pierwszym ludziom w jej życiu, którzy naprawdę stali po jej stronie. Nie mogła ich teraz zawieść. Nie mogła jeszcze zrezygnować z życia, choćby przez wzgląd na nich.

Zanim ją wyprowadzono, delikatnie pogłaskała go po ramieniu i przez chwilę, kiedy na nią spojrział, spostrzegł w niej nieomal świętość. Grace była teraz pogodzona z losem.

Odwróciła się jeszcze, żeby mu pomachać, a on patrzył za nią oczyma zamglonymi przez łzy. Kiedy odeszła, dwie cienkie strużki spłynęły powoli po jego policzkach.

ROZDZIAŁ 4

O ósmej rano wsadzono ją do autobusu w kajdanach na rękach i nogach. Nie było to jakąś szczególną szykaną wobec niej; zawsze przewożono więźniów w ten sposób. Co dziwne, odkryła, że od chwili, gdy zakuto ją w łańcuchy, strażnicy nie wypowiedzieli do niej ani słowa. Przestała dla nich istnieć jako realna osoba. Była jedną z wielu, anonimową twarzą, która wkrótce rozmyje się w codziennym kalejdoskopie rozmaitych przestępców.

Z punktu widzenia strażników wyróżniała ją tylko to, że o jej sprawie sporo pisano w gazetach. Ale zasadniczo nie robiło to na nich szczególnego wrażenia. Zabiła ojca, jak wielu innych przed nią. I jak wielu innym nie udało jej się ująć sprawiedliwości. Sądziła, że miała szczęście, otrzymując tak niski wyrok. Cóż ze szczęściem Grace nie miała zbyt często do czynienia.

Podróż do Dwight trwała półtorej godziny. Autobus trząsał się, kajdany brzęczały, ocierając jej kostki u nóg i przeguby rąk. Był to przedsmak tego, co ją odtąd czekało. Na godzinę przed Dwight zabrali z lokalnego aresztu jeszcze kilka kobiet, jedna z nich została przykuta do fotela obok Grace. Była od niej około pięciu lat starsza i wyglądała na twardą wyjadaczkę. Przyjrzała się Grace z zainteresowaniem.

— Pierwszy raz w Dwight?

Grace kiwnęła głową. Nie miała najmniejszej chęci na rozmowę. Domyśliła się już, że im mniej będzie się rzucać w oczy, tym łatwiej da sobie radę w więzieniu.

— Za co Cię wsadzili? dziewczyna przeszła prosto do rzeczy, taksując Grace wzrokiem. Poznała nowicjuszkę w chwili, gdy ją zobaczyła. Było oczywiste, że Grace nigdy dotąd nie siedziała w więzieniu i mało prawdopodobne, by dożyła końca wyroku. — Ile masz lat, mała?

— Dziewiętnaście — skłamała Grace, dodając sobie rok w nadziei, że przekona rozmówczynię o swej dorosłości. Dziewiętnaście lat wydawało jej się imponującym wiekiem.

— I już w Dwight, no, no! Za kradzież cukierków?

Grace tylko wzruszyła ramionami. Przez chwilę jechały w milczeniu. Było bardzo duszno, gdyż okna autobusu zasłonięto, żeby nikt nie mógł wyglądać na zewnątrz ani też zajrzeć do środka.

— Słyszałaś o tej wielkiej aferze narkotykowej w Kankakee? — spytała po chwili nieznajoma dziewczyna, nadal przyglądając się uważnie Grace.

Grace jednak była tylko bardzo młodą istotą, całkowicie nie na swoim miejscu. Tamta nie mogła wiedzieć o jej cierpieniach, nie uwidaczniały się one na twarzy Grace. Kiedy opuściła Davida i Molly, jej dusza przyoblekła się w pancerz i nikt teraz nie mógł przeniknąć wzrokiem do wewnątrz. Grace przyjęła tę taktykę, mając nadzieję, że przy odrobinie szczęścia inne więźniarki pozostawią ją w spokoju.

W areszcie słyszała straszne opowieści o gwałtach i zabójstwach, ale zmusiła się, by o tym nie myśleć. Jeśli przeżyła ubiegłe cztery lata, zdoła przeżyć jeszcze dwa. Mimo wszystko to, co mówili jej David i Molly, zdołało do niej dotrzeć i teraz zdeterminowana była przetrwać. Teraz komuś na niej zależało. Miała dwoje przyjaciół, dwoje sojuszników.

— Nie, nie słyszałam — powiedziała cicho, a tamta zawiedziona wzruszyła ramionami. Miała tlenione blond włosy, które wyglądały, jakby ktoś przyciął je na wysokości ramion rzeźnickim nożem i jakby od dziesięciu lat nie widziały grzebienia. Jej oczy były zimne i twarde, a zerknąwszy na jej ramiona, Grace zauważyła, że dziewczyna ma potężnie rozwinięte mięśnie.

— Próbowali zrobić ze mnie świadka koronnego przeciwko wszystkim grubym rybom, ale nie jestem taka głupia.

Wiem, co to lojalność, nie? Poza tym nie chcę, żeby te grube ryby trafiły za mną do Dwight i skroiły mi dupę, jeśli wiesz, co mam na myśli.

Jej akcent świadczył, że jest z Nowego Jorku, i była to dokładnie taka osoba, jaką Grace spodziewała się zastać w więzieniu. Wyglądała na twardzielkę, która sama potrafi zatroszczyć się o siebie. Była chętna do rozmowy; zaczęła opowiadać Grace o sali gimnastycznej, którą pomagała budować i o tym, że w czasie ostatniej odsiadki pracowała w pralni. Zrelacjonowała jej dwie ucieczki, które miały wtedy miejsce. Wszystkie uciekiniarki złapano w ciągu jednego dnia.

— Mówię ci, nie warto. Za każdym razem, kiedy spróbujesz wiać, dowlają ci następne pięć lat. Ile dostałaś? Ja tym razem dychę, powinnam wyjść, kiedy odsiedzę piątaką.

• Pięć lat..., dziesięć... Kiedy Grace słuchała, wydawało jej się to wiekiem.

— A ty? — usłyszała.

— Dwa lata — powiedziała Grace, nie wdając się w szczegóły. Było to dostatecznie długo, choć i tak brzmiało lepiej niż dziesięć lat... albo więcej.

— To pestka, zleci, nawet się nie obejrzysz. A więc

— dziewczyna uśmiechnęła się szeroko, zdradzając, że po bokach brakuje jej zębów — jesteś dziewczicą, co?

Grace spojrzała na nią nerwowo.

— Mam na myśli, że to twój pierwszy raz, zgadza się?

Ech, rybko, rybko, pomyślała ubawiona. Ona jechała do Dwight już po raz trzeci, a miała dwadzieścia trzy lata. Lubiała

mocne życie.

— Tak — odparła słabo Grace.

— Co przeskrobałaś? Włamanie, samochody czy prochy?

Bo ja prochy. Handluję koką, odkąd skończyłam dziewięć lat.

Zaczęłam w Nowym Jorku. Spędziłam tam trochę czasu

w poprawczaku, Jezu, co to było za gówniane bagno! Potem

przeniosłam się do Illinois. Dwight nie jest takie złe. — Mówiła o nim jak o znanym sobie

hotelu. — Jest tam trochę równych

bab, trochę gangsterek i cała ta pieprzona Wspólnota Aryjska. Musisz na nie uważać i na

te porabane czarnuchy, które z nimi wojują. Od jednych i drugich trzymaj się z daleka, a nie będziesz miała kłopotów.

— A ty? — Grace spojrzała na nią ostrożnie, lecz z zaciekawieniem. Była zjawiskiem, które

jeszcze trzy miesiące wcześniej Grace nawet się nie śniło. — Co będziesz robić w Dwight?

Pięć lat w więzieniu wydawało jej się wiecznością. Trzeba jakoś wypełnić ten czas. Grace

chciała się uczyć. Słyszała, że można się zapisać na kursy kosmetyczne albo robienia

miotła, może były więc i jakieś bardziej użyteczne. Jeżeli w ogóle istniała taka szansa,

Grace marzyła o korespondencyjnych lekcjach w miejscowym college'u.

— Nie wiem, co będę robić — powiedziała tamta. — Po prostu kiblować, i tyle. Co innego

może być w Dwight do roboty? Mam tam taką jedną psiapsiółkę od serca. Siedzi już od

maja. Byłyśmy ze sobą dość blisko, zanim ją przymknęli.

— To miło, że będziecie razem — bąknęła Grace. Tej" czułaby się pewniej, mając

przyjaciółkę.

— Mowa! — roześmiała się dziewczyna i w końcu się przedstawiła, co było nader rzadkie w

tych kręgach. Nazywała się Angela Fontino. — Jasne, że czas szybciej płynie, kiedy

wracasz z roboty, a w celi czeka na ciebie ładna dupcia.

Grace ze zgrozą uświadomiła sobie, że o takich właśnie historiach słyszała. Kiwnęła głową i

nie podtrzymywała tematu, ale Angela była wyraźnie ubawiona. Uwielbiała gorszyć małe

niewinne rybki. Większość życia spędziła w tylu rozmaitych zakładach karnych, że stała się

bardzo elastyczna w życiu płciowym. Czasami nawet wołała robić to w ten sposób.

Przeżona, co? — Angela wyszczerzyła nieładne zęby.

— Człowiek do wszystkiego potrafi się przyzwyczaić. Po dwóch latach może nawet sama

dojdiesz do wniosku, że wolisz dziewczynki.

Grace nie wiedziała, co odpowiedzieć; nie chciała tamtej zachęcać ani też obrazić. Angela

roześmiała się głośno, rozcierając nadgarstki w miejscach, gdzie były głęboko otarte od

kajdanków.

— O rany, może ty rzeczywiście jesteś dziewczcą, co? Miałaś kiedyś faceta? Jeśli nie, to

rzeczywiście się zastanów.

dziewczyny naprawdę nie są takie złe — uśmiechnęła się, a Grace poczuła mdłości.

przypomniało to dni, kiedy wracała ze szkoły i wiedziała już, co ją czeka wieczorem. Dałaby

wszystko, żeby uciec z domu, ale musiała się przecież zająć matką. To, co działo się

później, było tak samo nieuniknione, jak zachód słońca. Nie było ucieczki. Teraz czuła się tak samo. Będą ją gwałcić czy tylko pomiatać nią i bić? Jak zdoła z nimi walczyć? Jeśli ich będzie dziesięć lub dwanaście, albo choćby dwie? Jej serce drżało na myśl o obietnicach, że będzie silna i przetrwa. Postara się, ale jeśli to będzie nie do zniesienia...

jeśli...

Wbiła wzrok w podłogę. Autobus zjechał z autostrady i zakręcił pod bramę Stanowego Zakładu Karnego w Dwight. Więźniarki pohukiwały i tupwały nogami.

— Okay, mała. Jesteśmy w domu — Angela uśmiechnęła się do niej szeroko, — Nie wiem, do którego bloku cię wsadzą, ale za jakiś czas skontaktuję się z tobą. przedstawię cię kilku koleżankom. Będą urzeczzone — mrugnęła do Grace, a ta poczuła, jak przeszywa ją zimny dreszcz.

W dwie minuty później zostały gęsiego wyprowadzone z autobusu. Grace ledwie mogła chodzić, tak zdrętwiały jej nogi od siedzenia w kajdanach.

Zobaczyła przed sobą ponury budynek, wieżę strażniczą „ i ciągnące się w nieskończoność ogrodzenie z kolczastego „ drutu, za którym falowało morze pozbawionych twarzy kobiet, odzianych w coś na kształt niebieskich bawelnianych piżam. Był to zapewne więzienny uniform, ale

Grace nie miała czasu przyjrzeć się uważniej, bo natychmiast wprowadzono je do środka i popędzono długim kory,, tarzem.

— Z powrotem w raj — prychnęła sarkastycznie jedna z kobiet, kiedy trzy potężnie zbudowane czarne strażniczki popchnęły je bez zbędnych słów do następnej bramy. — Dziękuję za miłe powitanie, jestem uszczęśliwiona, że znowu was widzę... — ciągnęła nie zrażona milczeniem strażniczek; kilka kobiet roześmiało się.

— Zawsze tak jest, kiedy tu przychodzisz — powiedziała do Grace półgłosem jakaś Murzynka. — Traktują cię jak szmatę przez parę pierwszych dni, ale potem w zasadzie dają jej spokój. Chcą po prostu pokazać, kto tu rządzi.

— Ja — wtrąciła się wysoka Murzynka. — Niech no tylko ktoś pstryknie mnie w zadek, a wezwę Gwardię Narodową i prezydenta. Znam swoje prawa. Gównu mnie obchodzi, czy jestem skazana, czy też nie, nikt mnie nie tknie. — Miała powyżej sześciu stóp wzrostu i ważyła chyba ze dwieście funtów Grace nie potrafiła sobie wyobrazić, że ktokolwiek mógłby rozstawiać ją po kątach.

— Nie zwracaj na nią uwagi, mała — mruknęła inna, również czarna dziewczyna. Grace zdumiewało, że wiele z tych kobiet zachowywało się wobec niej tak przyjaźnie. Mimo to panowała tu aura zagrożenia. Straże były uzbrojone, wszędzie wisiały ostrzeżenia, że surowo karane będą próby ucieczki, napaść na strażnika, złamanie przepisów. A wchodzące wraz z nią więźniarki, zwłaszcza te bardziej obszarpane, nie przypominały łagodnych owieczek. Grace miała na sobie czyste dzinsy i bladobłękitny sweter, który Molly kupiła jej w prezencie. Miała nadzieję, że władze więzienne pozwolą jej go zatrzymać.

— Dobra, panienki. — Rozległ się przenikliwy dźwięk gwizdka i sześć uzbrojonych strażniczek w mundurach stanęło w szeregu przed frontem grupy. Wyglądały jak trenerki

żeńskie drużyny zapaśniczej. — Rozdziewka! Wszystko, co macie, należy złożyć w kupkę na podłodze przy nogach. No prędeż, do gołego! — Gwizdek rozległ się ponownie, by uciszyć rozmowy. Kobieta z gwizdkiem przedstawiła się jako sierżant Freeman. Połowa strażniczek była czarna, co dość dokładnie oddawało proporcje w zbiorowości więźniarek. Grace zdjęła sweter i starannie ułożyła go na podłodze. Jedna ze strażniczek rozkuła je i teraz szła w kolo, zdejmując im stalowe pierścienie obejmujące je w pasie, do których przytwierdzone były łańcuchy, żeby mogły zdjąć spodnie. Grace z ulgą zrzuciła buty. Znów zabrzmiał gwizdek i kazano im powymować z włosów wszelkie gumki i spinki. Rude włosy Grace opadły jak jedwabna płachta sporo poniżej ramion.

— Ładne włosy — mruknęła stojąca za nią kobieta, lecz Grace nie odwróciła się, żeby na nią spojrzeć. Poczuli się zřęcznie wiedząc, że kobieta widzi ją nagą. Po paru minutach wszystkie ubrania leżały w stosikach na podłodze, a z nimi biżuteria, okulary i spinki. Strażniczki obszukały je gruntowniej kazały im stawać w rozkroku, podnosić ręce i otwierać usta. Mierzwiły im dłońmi włosy, żeby sprawdzić, czy nic w nich nie ukryto. Jedna ze strażniczek wsadziła Grace do ust szpatułkę i pokręciła nią w kolo, omal jej nie dusząc.

Kazano jej zakasać i kilkakrotnie podskoczyć, żeby sprawdzić, czy coś nie wypadnie. Potem nowo przybyłe ustawiły się w kolejce do fotela ginekologicznego. Za pomocą sterylnych narzędzi i silnej latarki sprawdzano, czy żadna z nich nie ukryła nic w pochwie. Grace nie chciało się wierzyć, że musi to zrobić. Ale tu nie było miejsca na dyskusje. Jedna z dziewcząt, przestraszona próbowała się opierać. Powiedziano jej, że jeśli natychmiast się nie uspokoi, zwiążą ją — dla nich to bez różnicy — a potem wtrącą na miesiąc do karceru, nagą jak ją Pan Bóg stworzył.

— Witajcie w Krainie Oz mruknęła jedna z recydywistek. — Miło tu, nie?

— Och, przestań wreszcie psioczyć, yalentine. Doczekasz się i ty swojej kolejki.

— Pocałuj się w dupę, Hartman. — Te dwie najwyraźniej dobrze się już znały.

— Z przyjemnością. Pewnie zechcesz popatrzeć, kiedy ją wystawię?

Serce Grace waliło, gdy wchodziła na fotel, ale badanie nie było gorsze od tego, jakiemu poddano ją w szpitalu, upokarzało ją tylko przechodzenie go przy świadkach. Pół tuzina obcych kobiet przyglądało jej się z zainteresowaniem.

— Jaka milutka... cip, cip, rybko, płyn do mamusi, pobawimy się w doktora... Mogę też zajrzeć?

Starła się ich nie słyszeć. W ślad za innymi przesuwiała się w rzędzie, czekając na dalsze instrukcje.

Wprowadzono je pod prysznic i dosłownie zalano prawie wrzącą wodą. Następnie zaaplikowano im insektycydy na każde owłosione miejsce i znów poszły pod gorący natrysk. Smierdziały chemikaliami i Grace czuła się tak, jak gdyby wygotowano ją w środkach dezynfekcyjnych.

Ich dobytek umieszczono w plastikowych workach opat— rzonych nazwiskami; rzeczy zbędne lub niedozwolone miały zostać odesłane na ich koszt lub wyrzucone) jak dzinsy Grace. Cieszyła się jednak, że pozwolono jej zatrzymać sweter. Dostały uniformy i komplety szorstkiej bielizny pościelowej, często noszącej plamy po moczu i krwi. Każdej wręczono kartkę z numerem celi, po czym musiały wysłuchać krótkiej pogadanki na temat obowiązujących tu przepisów. Nazajutrz miały dostać przydziały do pracy. W zależności od jej rodzaju będą zarabiać od dwóch do czterech dolarów miesięcznie; nieobecność w pracy grozi natychmiastowym wtrąceniem do karceru na tydzień; kolejna nieobecność — na miesiąc. Nieposłuszeństwo pociągało za sobą sześć miesięcy w pojedynczej celi, gdzie nie było co robić ani z kim rozmawiać.

— Nie utrudniajcie sobie życia, kobietki — powiedziała im jasno strażniczka. — My ustalamy tu reguły gry) wy się do nich stosujecie. To jedyna taktyka dopuszczalna w Dwight.

— Pieprzenie w bambus — szepnął jakiś anonimowy głos na prawo od Grace.

Brzmiało to dosyć prosto. Przestrzegaj reguły, chodź do pracy, na posiłki) unikaj rozrób, wracaj do swojej celi o czasie, a będziesz miała lekkie życie i wyjdiesz w terminie. Wywołaj bójkę, wstąp do gangu, stawiaj opór strażnikom, złam zasady, a będziesz tu gnić do końca życia. Spróbuj ucieczki, a zostanie z Ciebie, jak mawiały, „cuchnące ścierwo na murze”. Owszem, to było jasne, ale nie wystarczało tylko zadowolić władzę, trzeba było też żyć z innymi więźniarkami, które również dysponowały środkami nacisku, za to stosowały całkiem inne reguły.

— Będzie szkoła? — zapytała jakaś dziewczyna z tyłu, wywołując powszechny wybuch śmiechu.

— Ile masz lat? — zapytała kpiąco stojąca obok niej więźniarka.

— Piętnaście.

Był to rzadki przypadek. Dwight było ciężkim więzieniem dla dorosłych. Dziewczyna również była oskarżona o morderstwo pierwszego stopnia, jej adwokat wytargował jednak u prokuratora zmianę kwalifikacji czynu na umyślne pozbawienie życia, ratując ją w ten sposób przed karą śmierci. Zabiła brata po tym, jak ją zgwałcił. Teraz chciała się uczyć i wydostać z getta.

— Dość się już nauczyłaś — powiedziała do niej inna kobieta. — Po co ci szkoła?

— Możesz złożyć wniosek po odbyciu dziewięćdziesięciu dni kary poinformowała ją strażniczka, po czym przeszła do

wyjaśnień, czym grozi udział w buncie. Sama myśl o tym zmroziła Grace krew w żyłach, zwłaszcza gdy usłyszała, że w czasie ostatniego buntu zastrzelono czterdzieści dwie więźniarki. Co będzie, jeśli znajdzie się przypadkiem w niewłaściwym miejscu? Albo wezmą ją jako zakładniczkę? Jeśli pilnując tylko własnego nosa i tak zginie z rąk więźniarek lub straży? Jak w ogóle zdoła przeżyć w Dwight?

Szły do cel gęsiego, eskortowane przez straż. Zamknięte tu kobiety czepiały się krat, wyśmiewały je, cmokały i wrzeszczały. Dziewczyna idąca tuż przed Grace oberwała skądś zużytą podpaską, co widząc Grace omal nie zwymiotowała. To potworne zoo przypominało

koszmarny sen, który nagle stał się jawą. Piekielną otchłań, z której powrotu Grace nie potrafiła sobie wyobrazić. Kręciło jej się w głowie, dusił ją smród chemikaliów, a po chwili poczuła, że zaczyna się atak astmy.

— Adams Grace. B—214. — Strażniczka otworzyła drzwi i dała Grace znak, żeby weszła do środka. Po chwili drzwi się za nią zatrzasnęły, a klucz ponownie przekręcił się w zamku. Grace stała w klitce o boku ośmiu stóp. Było tam piętrowe łóżko, a ściany pokrywały wycięte z czasopism zdjęcia nagich kobiet. Grace nie przypuszczała, że kobiety kupują takie czasopisma. Jej współmieszkanka najwyraźniej czytywała je regularnie. Dolna koja była schludnie zaścielona. Trzęsącymi się rękami Grace zaczęła ubierać pościel na górnym łóżku. Szczoteczkę do zębów postawiła na półce w plastikowym kubku. Pastę i papierosy musiały kupować za własne pieniądze. Grace i tak nie paliła, gdyż nie pozwalała jej astma. Wspięła się na swoje łóżko i usiadła, wpatrując się w drzwi. Z galerii na ścianach jasno wynikało, jakie są preferencje seksualne jej współlokatorki i Grace przygotowała się na najgorsze. Była zaskoczona, kiedy dwie godziny później weszła kobieta o zgorzkniałej twarzy, dobiegająca pięćdziesiątki. Przyjrzała się Grace bez słowa. Trudno było odmówić Grace urody, ale na tamtej kobiecie jakoś nie zrobiło to wrażenia. Dopiero pół godziny później powiedziała „cześć” i dodała, że na imię ma Sally.

— Nie chcę tu żadnych jajc — oznajmiła cierpko. — Żadnych durnych gadżetów, przyjaciółek gangsterek, pornosów ani prochów. Siedzę tu od siedmiu lat, mam swoje towarzyszy— stwo i nie wsadzam nosa w gówno. Rób tak samo, a wszystko będzie dobrze; jeśli mnie wkurzysz, wykopię cię stąd aż do bloku D. Zrozumiała panna?

— Tak — kiwnęła głową Grace, z trudem łapiąc oddech. Jej klatkę piersiową od rana ścisnęła coraz ciaśniejsza obręcz, a już przed obiadem ledwie mogła oddychać. Inhalator odebrano jej przy wejściu. „Jeśli będziesz chora, wezwij strażniczkę” — usłyszała. Nie chciała tego robić, dopóki nie będzie naprawdę zmuszona. Wołała umrzeć niż zwrócić na siebie uwagę, ale gdy się podniosła, słysząc gwizdek na obiad, Sally zauważyła, że z Grace dzieje się coś złego.

— Chryste Panie..., widzę, że dostałam dziecko do niańczenia. Słuchaj no, mała, nie cierpię bachorów; nigdy ich nie miałam i nie chciałam mieć. Nie znam się na pieluchach. Tutaj musisz sama o siebie dbać.

Patrząc z góry na Sally, która właśnie wciągała czystą koszulę, Grace zauważyła, że jej plecy, piersi i ramiona pokryte są tatuażami. Te cierpkie uwagi mimo wszystko sprawiły Grace ulgę. Zamierzała wyłącznie pilnować swego nosa.

— Nic mi nie jest..., naprawdę... — wyrzęziła, ale w rzeczywistości zaczynała się już dusić. Sally patrzyła, jak Grace walczy o każdy haust powietrza.

— Akurat! — prychnęła. — Siadaj. Ja się tym zajmę... tym razem — dodała z irytacją, zapinając koszulę i nie spuszczać oka ze śmiertelnie bladej Grace. Kiedy strażnik otworzył drzwi celi, Sally przywołała go ruchem ręki.

— Moja rybka ma problem — powiedziała cicho. — Chyba astma albo coś w tym stylu. Mogę odprowadzić ją do izby chorych?

— Jasne, Sal. Nie sądzisz, że udaje?

Kiedy jednak ponownie spojrzeli na Grace, dziewczyna była JUŻ bardziej sina niż blada. Nawet jej wargi przybrały jebieskawy kolor.

— Ładnie z twojej strony, że bawisz się w niańkę — zażartował strażnik.

Sally była znana jako jedna z najtwardszych kobiet w tym więzieniu. Nikt jej nie podskoczył. Skazana została za podwójne zabójstwo. Zabiła swoją kochankę i kobietę, z którą tamta ją zdradziła. Nie kryła się z tym. „Lubię, kiedy ludzie znają mój światopogląd” — wyjaśniała zawsze kobietom, z którymi się wiązała. Już od trzech lat jednak miała stałą przyjaciółkę w bloku C. Wszyscy w Dwight wiedzieli, że jest to coś w rodzaju małżeństwa i nikt nigdy nie narzucał się Sally.

Chodź. — Złapała Grace za ramię i z kwaśną miną wypchnęła ją z celi. — Zaprowadzę cię do pielęgniarki, ale nie rób mi tego więcej. Masz problem, radź sobie sama. Nie będę ci podcierać zadka tylko dlatego, że mieszkasz ze mną w jednej celi.

— Przepraszam — wyjąkała Grace ze łzami w oczach. Nie był to dobry początek; ta kobieta wyraźnie wściekła się na nią. Przynajmniej tak myślała Grace. Nie wiedziała, że starszej więźniarce jest jej żal. Nawet dla niej było oczywiste, że Grace tu nie pasuje.

Pięć minut później zostawiła Grace w izbie chorych. Dziewczyna nadal z trudem łąpała powietrze. Pielęgniarka podała jej tlen, a w końcu ustąpiła i pozwoliła jej zatrzymać inhalator. Nie warto było z jego powodu ryzykować codziennego zamieszania. Tym razem jednak musieli jej podać także inne leki, bo atak był już na tyle zaawansowany, że zaczął się wymykać spod kontroli. Grace wiedziała aż za dobrze, że bez medykamentów mogłaby się udusić na śmierć. W tej chwili wszakże nie była przekonana, czy nie byłoby to dla niej błogosławieństwem.

Spóźniła się na obiad prawie pół godziny. Większość jadalnych potraw już znikła, pozostał sos, kości i odpadki, których nikt nie chciał. Grace nie czuła głodu, atak astmy przyprawił ją o mdłości, a po lekach zawsze była roztrzęsiona.

Chciała podziękować Sally za pomoc, ale widząc ją w grupie starszych wytatuowanych kobiet, nie odważyła się do niej podejść. Sally zresztą nie dała znaku, że ją rozpoznaje. Co ma być? Filet mignon czy pieczona kaczką? — spytała zza kontuaru ładna czarna dziewczyna, uśmiechając się do Grace. — Zostało mi na zapleczu parę kawałków pizzy. Zainteresowana?

— Tak, dziękuję — Grace uśmiechnęła się blado. — Bardzo dziękuję.

Murzynka podała jej pizzę i patrzyła, jak Grace odchodzi do stolika.

Zajęła wolne miejsce przy stole, gdzie siedziały już trzy inne dziewczyny. Żadna z nich się nie odezwała. Po drugiej stronie sali widziała Angelę, zajętą ożywioną rozmową. Ale i tamta grupa najwyraźniej nie chciała mieć z nią do czynienia, toteż Grace z ulgą pozostała na uboczu i zajęła się pizzą. Wciąż miała kłopoty z oddychaniem.

— No, no, jaką śliczną rybcie macie dziś przy stoliku, dziewczynki — rozległ się nagle głos za jej plecami.

Poczuła szturchnięcie; próbowała udawać, że go nie zauważa. Wbiła wzrok przed siebie, ale spostrzegła, że trzy młode kobiety przy jej stoliku wymieniają nerwowe Spojrzenia.

— Czy nikt tu nie urnie mówić? Chryste, co za banda niewychowanych dziwek.

— Przepraszam — wymamrotała jedna z dziewczyn, pospiesznie wstając od stolika.

Grace poczuła, że czyjeś ciepłe ciało przyciska się do niej z tyłu. Nie mogła dłużej tego ignorować, pochyliła się i obejrzała. Stała nad nią bardzo wysoka blondynka o spektakularnej figurze. Przypominała hollywoodzką wersję dziewczyny z marginesu. Była mocno wymalowana i ubrana w ciasny, półprzezroczysty męski podkoszulek. Wyglądała, jakby zeszła tu z galerii Sally, jej zmysłowość była wręcz karykaturalna.

— Jaka ślicznota — zagruchała, patrząc w oczy Grace.

— Jesteś sarna, mała? — Przycisnęła się jeszcze mocniej, dzięki czemu Grace zorientowała się, że podkoszulek jest mokry, tak by uwydatniał zarys piersi i sutków. —

Wpadnij do mnie kiedyś. Na imię mi Brenda. Wszyscy wiedzą, gdzie mieszkam

— dodała blondynka ze słodkim uśmiechem.

— Dzięki — Grace wciąż miała zadyszkę po ataku.

— Jak się nazywasz? Marilyn Monroe? — zakpiła Brenda, słysząc tembr jej głosu.

— Przepraszam. Mam astmę.

— Biedactwo! Ale chyba się leczysz? — W głosie blondynki brzmiało zatroskanie, a Grace nie chciała być niegrzeczna.

— Tak, mam inhalator — wyciągnęła go z kieszeni.

— Pilnuj go dobrze — roześmiała się blondynka i uszczypnęła czubek piersi Grace, zanim odeszła do swoich koleżanek.

Grace dygotała ze strachu. Wbiła wzrok w kubek z kawą. Naprawdę znalazła się w dżungli.

— Staraj się ją omijać — szepnęła jedna z dziewcząt przy stole, po czym wstała i wyszła.

Widocznie Brenda była już tu znana.

Po posiłku Grace wróciła prosto do celi. Wieczorem wyświetlano film, ale nie miała ochoty go oglądać. Chętnie zostałaby sarna aż do rana. Z westchnieniem ulgi wyciągnęła się na koi, czując, że znów może oddychać. O dziesiątej, kiedy Sally wróciła z filmu, Grace jeszcze nie spała. Uniosła się na łokciu i podziękowała jej za pomoc.

— Oddali mi inhalator — powiedziała.

— Nie pokazuj go nikomu — stwierdziła rozsądnie Sally.

Tu lepiej się nim nie chwalić. Schowaj dobrze i używaj bez świadków.

Nie zawsze było to możliwe, ale Grace wyczuła, że jest to dobra rada, i kiwnęła głową.

Zgasiły światła; już z łóżka Sally mruknęła jeszcze:

— Widziałam, że rozmawiałas z Breridą Eyans. Uważaj na nią, to niebezpieczne babsko.

Musisz się nauczyć zwinnie pływać, rybko. A zanim to nastąpi, patrz, kogo masz za plecami. To nie plac zabaw.

— Dziękuję — szepnęła w ciemności Grace. Skrywane łzy spłynęły jej po policzkach i wsiąkły w materac. Leżała bezsennie, nasłuchując dobiegających z korytarza trzasków, hałasów i okazjonalnych krzyków, a ponad tym wszystkim krzepiącego pochrapywania Sally.

ROZDZIAŁ V

Po dwóch tygodniach Grace oswoiła się już nieco z Dwight. Została zatrudniona w magazynie, gdzie odliczała ręczniki, grzebienie i szczoteczki do zębów dla nowo przybyłych. Pracę tę załatwiła jej Sally, choć udawała, że Grace nic ją nie obchodzi. Zdawać się jednak mogło, że piłnuje jej z oddalenia.

W tym czasie odwiedziła ją Mołły. Młoda lekarka była załamana, lecz Grace uparcie twierdziła, że ma się dobrze. Rzeczywiście, ku jej szczeremu zaskoczeniu, nikt się jej nie czepiał. Mówiły do niej „rybko”, a Brenda raz czy dwa zagadnęła ją w jadalni, ale na tym się skończyło. Jak dotąd Grace czuła, że dopisuje jej szczęście. Była bezpieczna, miała przyzwoitą pracę, jej współmieszkanka była mrukliwa, ale w zasadzie miła. Nikt jej nie groził ani nie próbował wciągnąć do gangu. Był to tak zwany „luz”. W tych warunkach miała szansę przeżyć dwa lata. Była w całkiem dobrym nastroju, kiedy przyjechał David, co trochę podniosło go na duchu. Wciąż bolał nad tym, że Grace siedzi w więzieniu. Grace jednak twierdziła, że nic jej nie grozi. Należało się z tego cieszyć. Spędzili czas na rozmowie o jej przyszłości.

Grace już się zdecydowała, że prosto z Dwight pojedzie do Chicago. Nie wolno jej było opuszczać stanu w ciągu dwóch lat, jakie miała spędzić pod nadzorem, a Chicago idealnie jej odpowiadało. Pięćdziesiąt tysięcy dolarów, które dał jej Frank Wills, zapewni jej dach nad głową i utrzymanie, zanim znajdzie pracę. Gdy tylko władze więzienne pozwolą jej, chciała nauczyć się pisać na maszynie i podjąć naukę w college’u.

David złożył apelację i był dobrej myśli, ale nie miał pewności co do jej wyniku.

— Nie zamartwiaj się tym. Jest mi tu całkiem nieźle

— powiedziała łagodnie Grace.

Zdumiała go dyskretna godność, jaką miała w sobie. rzymała się prosto i była jeszcze szczuplejsza niż przedtem, a do tego piękna i tak czyściutka, że patrząc na nią trudno było uwierzyć, że jest więźniarką. Wyglądała jak uczennica. Jej przeszłość dało się wyczytać tylko z oczu. Wciąż gościł w nich ból, a widząc go, David także cierpiał. Niełatwo mu było wyzwolić się spod uroku Grace. Pomachał jej ze smutkiem, odjeżdżając. Stała na dziedzińcu patrząc, jak jego samochód znika w oddali. Przeżywała rozstanie jeszcze ciężiej niż on.

Miała uczucie, jakby została porzucona w dżungli.

— Kto to? — zapytał jakiś głos za nią. Gdy Grace się odwróciła, zobaczyła Brendę. — Twój chłopak?

— Nie — odparła cicho, ale pewnie. — Mój adwokat. Brenda zaśmiała się szyderczo.

— Nie marnuj czasu, mała. Adwokaci to fiuty. Wmawiają ci Bóg wie co, a potem i tak cię pieprzą, w przenośni i dosłownie, jeśli tylko trafi się okazja. Nie spotkałam żadnego, który byłby cokolwiek wart. Właściwie — zaśmiała się znowu

— nie znam żadnego sensownego faceta. A ty? — Spojrzała wymownie na Grace. Znowu miała na sobie mokry podkoszulek. Na jej ramieniu widniał tatuaż, duża czerwona róża, spod której wychylał się wąż. Pod oczami miała wytatuowane maleńkie łzy. — Masz chłopaka? — spytała.

Grace wiedziała, że to niebezpieczne pytanie; cokolwiek by odpowiedziała i tak stawiała się w niezręcznej pozycji. Ponieważ nauczyła się już tego i owego, wzruszyła tylko enigmatycznie ramionami i powoli ruszyła w stronę budynku.

— Spieszysz się gdzieś?

— Właściwie... miałam zamiar napisać parę listów.

— Wzruszające — parsknęła Brenda. — Jak z kolonii! Mamusia i tatuś czekają na list? Nie odpowiedziałaś mi, czy masz chłopaka.

— Mam przyjaciół.

Nie uciekaj, mała. Wiesz, można się tu naprawdę nieźle zabawić. Jeśli zechcesz. A może też być bardzo smętnie. Wszystko zależy od ciebie.

— Nie narzekam — powiedziała szukając sposobu, żeby odejść, nie rozwścieczając Brendy. Ale Brenda nie chciała jej tego ułatwić.

— Twoja kumpela z celi jest stuknięta, wiesz? Poznałaś już jej ukochaną?

Grace potrząsnęła głową. Sally nie obnosiła się ze swoim prywatnym życiem. W ogóle poza celą nie szukała towarzystwa Grace. Miała własne sprawy.

— To taka wielka czarna dziwka — ciągnęła Brenda.

— Obie są pieprzniete. A ty? Jesteś imprezowa? Magiczny proszek, trawka, te numery? — Oczy Brendy zaiskrzyły się.

Grace pokręciła głową, próbując zachować obojętną minę.

— Nie, mam dość ciężką astmę.

Przede wszystkim nie interesowały jej narkotyki. Nie chciała jednak tego mówić wprost.

Ostatnią rzeczą, jakiej by sobie życzyła, było zrobienie sobie z Brendy wroga. Grace zdążyła się już dowiedzieć, że samo pojawienie się tej kobiety zwiastowało kłopoty. Była członkinią gangu, który ponoć także rozprawdzał prochy. Część więźniarek miała cichą nadzieję, że w związku z tym pewnego dnia Brenda wpadnie w bagno, z którego już nie wyjdzie.

Co ma z tym wspólnego astma? Mieszkałam w Chicago z dziewczyną, która miała tylko jedno płuco i też ćpała.

Czy ja wiem... — rzekła niewyraźnie Grace. — Nie bierze mnie to.

— Założę się, że wielu rzeczy jeszcze nie próbowałaś.

— Brenda znowu się zaśmiała, a Grace zyczliwie pomachała jej ręką i bez tchu pospieszyła z powrotem do swojej celi. Namacała schowany w kieszeni inhalator; sama świadomość, że ma go przy sobie, pozwalała jej odetchnąć swobodniej.

Wieczorem wyświetlano filmy i Saty znów wyszła. Jej jedyną słabością, prócz nagich damskich ciał, było kino. Im bardziej brutalne, tym lepiej. Grace była wdzięczna losowi, że choćby przez krótki czas może być sama. Klaustrofobiczna ciasna cela w takich chwilach wydawała się nieorną przytulną.

o kolacji cele otwierano, chyba że któraś ze skazanych sobie tego nie życzyła. Kobiety odwiedzały się, grały w karty, rzadziej w szachy albo scrabble. Tego wieczoru Grace leżała na łóżku i pisała list do Molly; posłyszała iż ktoś wchodzi, założyła jednak, że to Sally. Jej współmieszkanka rzadko się odzywała, cisza więc nie zaskoczyła Grace, dopóki nie podniosła głowy i nie zobaczyła Brendy. Tuż za nią stała inna kobieta.

Brenda powoli uniosła podkoszulek i położyła jedną pierś na koi Grace. Potem zaczęła pieścić własny sutek.

— Witaj, pączuszkule — powiedziała. — To jest Jane. Bardzo chciała cię poznać.

Jane milczała. Była niższa od Brendy lecz wcale nie wyglądała przez to mniej groźnie.

Brenda wyciągnęła rękę i tym razem pogłaskała pierś Grace. Dziewczyna próbowała się odsunąć, ale bezskutecznie. Przez moment przypomniał jej się ojciec i natychmiast poczuła, że zaczyna brakować jej oddechu.

— Na pewno chętnie się zabawisz. — Nie było to zaproszenie, lecz rozkaz jasnowłosej, władczej Amazonki.

— Raczej nie, ja... jestem trochę zmęczona. — Grace była za młoda, za delikatna i zbyt niedoświadczona, żeby skutecznie splawić Brendę.

— Wpadnij do mnie na chwilę. Mamy jeszcze godzinę do zamknięcia celi.

— Wołałabym innym razem — powiedziała nerwowo Grace, czując znajomy ucisk w klatce piersiowej.

— Jaka uprzejma! — Brenda roześmiała się głośno, ścisnęła mocniej pierś Grace i uszczypnęła ją w sutek. — Wiesz co, złotko? Sram na to, co wolisz. Wstawaj.

— Nie... proszę... — Grace nie chciała skomleć, ale nawet w jej uszach tak właśnie to zabrzmiało. Posłyszała cichy zgrzyt i zobaczyła brzytwę, ukrytą w dłoni Jane.

— Jeśli wolisz dostać zaproszenie na piśmie — uśmiechnęła się Brenda — Jane chętnie ci je wypisze na tym słodkim ciałku. Ma sporą wprawę. — Tym razem roześmiały się obie; Brenda rozpięła bluzę Grace i polizała jej pierś, — Przyjemnie, nie? Wiesz, jak Jane się podnieci, lubi pisać tam... no wiesz gdzie. Czasem robi drobne błędy, więc nie chciałabym cię na to narażać. Dotarło? To hop na dół. Naprawdę jestem pewna, że ci się spodoba.

Tego właśnie się obawiała. Zbiorowy gwałt z użyciem Bog wie czego i pewnie jeszcze potną jej twarz nożem. Nawet wieczory z ojcem nie przygotowały jej na to.

Bez tchu zeskoczyła z koi, wciąż ściskając w dłoni list i pióro. Odwróciła się, żeby je odłożyć, i pod wpływem impulsu dopisała ukradkiem jedno małe słowo: Brenda, po czym położyła kartkę na koi Sally. Może Sally nie zdąży już jej pomóc, albo nawet nie zechce. Jednakże nic innego nie była w stanie zrobić, nim wyszła z celi razem z Brendą i Jane. Była prawie tak wysoka jak one, ale przy nich wyglądała na dziecko i pod wieloma względami czuła się dzieckiem. Jeszcze nazbyt mało wiedziała o ludziach.

Przeszły przez salę gimnastyczną na dziedziniec. Widok trzech kobiet idących na spacer przed zamknięciem cel nie był niczym niezwykłym. Mijając strażników, Brenda zagadnęła ich wesoło. Jane trzymała się blisko Grace, zarzuciwszy jej na kark rękę, w której dzierżyła brzytwę. Wyglądało to, jak gdyby były w bliskiej komitywie, i nikt nie zauważył przerażenia Grace.

Strażnicy na wieży nie patrzyli na nie. Brenda skierowała się ku niewielkiej szopie, której istnienia Grace dotąd nie zauważyła. Przechowywano w niej sprzęt do prac porządkowych i konserwatorskich. Wewnątrz siedziały cztery obce kobiety, paliły papierosy w świetle małej latarki. Okien nie było, mogły ją tu nawet zabić.

— Witaj w naszym klubie — powiedziała Brenda zamykając drzwi na klucz. — To jest Grace — dodała, zwracając się do pozostałych. — Bardzo chciała się z nami zabawić, prawda, Gracie? Taka śliczna dziewczynka... — zagruchała, starannie rozpinając bluzę Grace. Lepiej było nie pozostawiać żadnych śladów przemocy, nawet podartej odzieży. Jeśli mała będzie rozsądna, nie powie nikomu, co się stało. Jeśli zaś nie da rady po dobroci, cóż... Grace czuła na brzuchu ostrze brzytwy Jarle. Brenda zdjęła jej stanik. Jedna z kobiet warknęła, żeby Brenda się po5 piesZY” bo i one czekają na swoją kolejkę, a nie mają do dyspozycji całej nocy.

— Nie lubię, jak się mnie pogania przy jedzeniu — powiedziała z naciskiem Brenda i wszystkie się roześmiały. Miały przygotowaY kawał liny i gałgan, zapewne knebel.

— No dalej, mała. Kurtyna w górę — powiedziała inna, jeCO starsza kobieta. Grace została pociągnięta do tyłu i rzucona na ziemię tak brutalnie, że dech jej zapařło. poruszały się teraz jak dobrze zgrany zespół. Dwie kobiety przywiązały jej ręce do stojących pod ścianą maszyn, inne zdarły jej spodnie i majtki i związały nogi. Nie było sensu szarpać się i krzyczeć; zabiłyby ją. Zatęskniła za inhalatorem, ale gdy rzuciła okiem w kierunku porzuconej bluzy, Brenda także przypomniała sobie o nim. Odnalazła go, przekornie pokazała Grace i rzuciła na podłogę. Ciężki but Jane zgruchotał go na kawałki.

— O, jak mi przykro! — zaśmiała się szyderczo Brenda.

— Znasz reguły gry? — spytała wstając, żeby zdjąć spodnie.

— Najpierw my ciebie, potem ty nas; po kolei. Powiemy ci, jak i gdzie lubimy. I od tej pory — Brenda nachyliła się i mocno ugryzła Grace w sutek, pocierając sobie równocześnie krocze

— należysz do nas. Dajesz dupci kiedy zechcemy, komu zechcemy, i dokładnie tak, jak ci każemy. Zrozumiano? A jeśli będziesz piszczeć, suczko, odetniemy ci język i cycki. Wiesz, to taki zabieg chirurgiczny. — Roześmiały się wszystkie z wyjątkiem Grace, która zaczynała już rzeźić z przerażenia.

— Dlaczego? Proszę was... Nie jestem wam potrzebna...

— błagała, a one uważały to za zabawne. Wiedziały, że jeśli one ł jej nie wezmą, zrobi to kto inny. W więzieniu kto pierwszy, ten lepszy.

— Będiesz naszą laleczką, prawda, Gracie? — Brenda uklękła, pochyliła się nad miejscem, gdzie spotykały się uda Grace, i zaczęła ją lizać. Uwielbiała ten etap; łamanie młodych dziewcząt, których nie miał jeszcze nikt inny; podniecanie ich, przerażanie, wykazywanie im, jak są bezbronni, naginanie do swojej woli. Wyjęła z kieszeni bluzy fiolkę białego proszku. Otworzyła ją; szybko wciągnęła szczyptę do nosa, małym palcem rozmasowała sobie trochę po dziąsłach, a trochę wysypała na łechtaczkę Grace i zlizwała to energicznie. — Jak przyjemnie..., jęknęła z rozkoszą, wpychając Grace dłoń do pochwy, Grace syknęła z bólu.

— Pospiesz się, to nie miesiąc miodowy — sarknęła jedna z kobiet.

Nie masz jej na własność — dodała inna.

— A może i mam — prychnęła Brenda. Jak mi się spodoba, to ją sobie zatrzymam.

Grace wiała się i starała cofnąć przed brutalną pięścią, miała jednak związane i ręce, i nogi. Nie śmiała krzyknąć z obawy przed nożem Jane. Jak dotąd nie zakneblowały jej. Obmyśliły użytek również dla jej ust.

Grace zacisnęła powieki, wmawiając sobie, że jej tam nie ma, że to tylko sen. Potem nagle usłyszała łoskot otwieranych kopniakiem drzwi. Brenda wydała zduszony okrzyk i odskoczyła od niej, a gdy Grace otworzyła oczy, zobaczyła w progu wysoką, pięknie zbudowaną Murzynkę. Nie wiedziała, czy dziewczyna też należy do bandy, ale pozostałe nie był zbyt uszczęśliwione jej widokiem.

— Dobra, idiotki, rozwiążcie ją — powiedziała Murzynka ze stoickim spokojem. W świetle latarki białka jej oczu zdawały się ogromne, — Macie pięć sekund, żeby ją wypuścić. Jeśli nie wrócę z nią za trzy minuty, Saily pójdzie do szefa straży, a wtedy, moje złote, nie wyjdziecie z szamba przed gwiazdką.

— Pieprzysz, Luana. Zabieraj się stąd, zanim zrobię ci krzywdę — Jane machnęła brzytwą w stronę nowo przybyłej. Brenda miała wściekłą minę, choć wydawała się rozkojarzona. Kokaina zaczynała już działać.

Nie mogłybyście pójść się klócić gdzie indziej? — jęknęła, pochylając się znów nad Grace.

— Zostały dwie minuty — oznajmiła lodowatym tonem Luana. Powiedziałam: rozwiążcie ją. Była umięśniona prawie jak mężczyzna; miała piękną twarz i długie żylaste nogi olimpijskiej biegaczki. Ponadto była więzienną mistrzynią kobiet w karate i boksie i żadna z nich nie śmiała z nią zadrzeć. Jane twierdziła co prawda, że się jej nie boi chętnie pokroi jej tę gładką buzię, reszta gangu wiedziała jednak że to tylko gadanie. Luana miała potężne koneksje. Po chwili wahania jedna z kobiet uwolniła ręce Grace, a inna zaczęła rozwiązywać jej nogi. Brenda jęknęła w niespełni Oflej żądry.

— Ty dziwko. Chcesz ją dla siebie, tak? — syknęła.

— Zwykle dostają to, czego chcą. Odkąd to musicie gwałcić dzieci? — Luana widziała nie gorzej od nich, że Grace jest piękną. Widząc ją rozciągniętą na ziemi, kobiety śliniły się z niecierpliwości.

— Jest wystarczająco dorosła — prychnęła z furją Brenda.

— A ty co? Zorro? Pieprz się!

— Z przyjemnością brzmiała zimna odpowiedź.

Grace była już na nogach, pospiesznie naciągała ubranie, usiłując trzęsącymi się rękami zapiąć bluzę. Bała się nawet podnieść wzrok.

— Zabawa skończona, dziewczęta — obwieściła z uśmiechem Luana. — Jeśli którakolwiek z was choćby ją dotknie, zabiję ją.

— Co to ma znaczyć? — zapytała zdumiona Brenda.

— Ona jest moja.

— Twoja? — Brendę zamurowało. O tym nikt jej nie uprzedził. W tym momencie cała sprawa przedstawiała się trochę inaczej.

— Co na to Sally? — spytała podejrzliwie.

— Nie musimy ci się tłumaczyć — stwierdziła wyniosłe Luana, popychając Grace w stronę drzwi. Dziewczyna dygotała i omal nie przewróciła się o próg. Z tą kobietą nie ma żartów. Z żadną z nich nie można było żartować. Grace grała w zupełnie innej lidze. Teraz dopiero zdała sobie sprawę, jakim szaleństwem było przypuszczać, że będzie tu bezpieczna. Wszystkie opowieści okazały się prawdziwe. Dotąd drapieżniki po prostu czekały.

— Założyłyście trójką? — parsknęła Jane.

Słyszałaś. Dziewczyna należy do mnie. Trzymajcie się z daleka albo będą kłopoty. Zrozumiano?

Nikt jej nie odpowiedział. Przesłanie brzmiało jasno,

a Luana była zbyt ważną postacią w więziennych układach, aby można ją drażnić.

Wystarczyłoby jedno jej słowo, by w więzieniu wybuchł bunt. Dwóch jej braci przewodziło frakcji Czarnych Muzułmanów w Illinois, a dwóch innych wywołało najgłośniejsze rewolty w historii więzień Attica i San Quentin.

Luana pociągnęła śmiertelnie bladą Grace za sobą, gawędząc z nią, jakby nic się nie stało. Po chwili znalazły się w sali gimnastycznej. Czekala tam na nie mocno zaniepokojona Sally. Na widok Grace wybuchła gniewem.

— Czego do diabła szukałaś u Brendy? — syknęła wściekle.

— Przyszła do naszej celi. Myślałam, że to ty, nawet nie spojrzałam, a tu Jane podetknęła mi nóż pod nos.

— Musisz się jeszcze bardzo dużo nauczyć. — Mimo wszystko Sally zaimponowało, że Grace okazała się na tyle sprytna, by zostawić jej wiadomość na pryczy. — Nic ci nie zrobiły? — spytała, zerkając na Luanę,

— Jest cała. Głupia, ale cała. Nie posunęły się za daleko. Brenda była zbyt zajęta ćpaniem, żeby narobić wiele szkód.

Widywały już dziewczęta okaleczone na całe życie za pomocą kijów baseballowych czy trzonek mioteł. Luana była wściekła, że Grace omal nie wpakowała Sally w poważne kłopoty. Dobrze, iż zdołała ją przekonać, że sama pójdzie po tę małą, a Sally w razie czego powiadomi strażę. Luana bardzo troszczyła się o przyjaciółkę. Były razem już od paru lat i jak dotąd nikt ich nie zaczepiał. Luana stanowiła siłę samą w sobie, a bracia bardzo ją kochali i odwiedzali często; dwóch mieszkało w Illinois, jeden w Nowym Jorku, a jeden w Kalifornii. Wszyscy czterej przebywali na zwolnieniu warunkowym, ale każdy wiedział, do

czego są zdolni, jeśli się zdenerwują. Nawet miejscowe gangi nie odważyłyby się z nimi zdrzeć. Grace znalazła więc potężną protektorkę.

— Co im powiedziałaś? — zapytała Sally, gdy wracały do celi.

— Że dziewczyna jest nasza — odparła cicho Luana, spoglądając na Grace z rozdrażnieniem. Uprzedzała Sally, że prędzej czy później będą miały z nią kłopoty. W celi Grace rozplakała się. Oddychała z trudem, a o na5 tępny inhalator mogła poprosić dopiero nazajutrz rano.

Luana nie miała zamiaru się z nią patyczkować.

— Gównu mnie obchodzi, jak bardzo jesteś chora

— oznajmiła, mierząc Grace morderczym spojrzeniem. — Jeżeli jeszcze raz narazisz Sally, zabiję cię. Nie zostawiaj jej żadnych kartek i nie przychodź z płaczem, że nie masz lekarstwa albo że ktoś uszczypnął cię w tyłek w kolejce do michy. Jeśli będziesz miała jakiś problem, skontaktuj się ze inną. Nie wiem, za co cię tu wsadzili, i nie chcę tego wiedzieć. Powiem ci jedno: nie za nadmiar rozumu. Jeśli go szybko nie nabierzesz, umrzesz, to proste. Myślenie nie boli, więc spróbuj się go nauczyć. A tymczasem masz słuchać Sally. Jeśli ci każe wylizać podłogę albo rżęsami wyczyścić kibel, zrobisz to bez gadania. Jasne? — Tak, tak, oczywiście... Dziękuję... — Grace czuła, że z nimi będzie bezpieczna. Sally już jej tego dowiodła. Nie chciały od niej nic, ani pieniędzy, ani seksu — po prostu jej współczuły.

Od tego dnia wszystko się zmieniło. Więźniarki trzymały się z dala od Grace i traktowały ją z szacunkiem. Nikt jej nie

. nagabywał, nie dokuczał i nie naśmiewał się z niej — zupełnie jakby nie istniała.

Prowadziła odtąd czarodziejski żywot,

krocząc własną ścieżką poprzez dżunglę pomiędzy lwami,

wężami i krokodylami. Bardziej zżyła się tylko z Sally i Luaną. Podczas pobytu w więzieniu stała się religijna. Astma

dokuczała jej teraz mniej niż kiedykolwiek w ciągu ostatnich lat. Rozpoczęła korespondencyjnie wstępny kurs w miejscowym college'u. Mogła go ukończyć w ciągu dwóch lat, a po wyjściu na wolność zdobyć bakalaureat. Zapisła się też na kurs dla sekretarek, aby zwiększyć swoje szanse na znalezienie pracy w Chicago.

Nawet David z czasem dostrzegł w niej tę zmianę. Kiedy ją odwiedzał, zdumiewała go jej pewność siebie i spokój. Pozwoliło to jej filozoficznie przyjąć wieść, że przegrali apelację i będzie musiała odsiedzieć cały dwuletni wyrok. To ona go pocieszała, gdy powtarzał, jak strasznie mu wstyd, że znów ją zawiódł. Przekonywała go, że to nie jego wina; zrobił przecież, co mógł. Upłynął już rok; miała przed sobą jeszcze jeden, co nie było proste, ale Grace z nadzieją spoglądała w przyszłość.

David odkrył, że rzadziej ją odwiedza, bo jej widok zawsze przypomina mu o porażce. Wciąż żywił na jej punkcie dziwaczną obsesję. Była taka piękna, taka młoda, taka czysta, a prześladował ją tak okrutny pech — on zaś nie był w stanie tego zmienić. Czul się

bezradnym, małym nieudacznikiem. Być może, gdyby wygrał dla niej apelację, miałby odwagę powiedzieć jej, że ją kocha. Grace nawet tego nie podejrzewała.

Molly od pewnego czasu zdawała sobie sprawę z uczuć Davida wobec Grace, ale wolała nie poruszać tego tematu. Za to młoda prawniczka, z którą David ostatnio umawiał się na randki, wygarnęła mu otwarcie, że cierpi na kompleks błędnego rycerza. Powiedziała mu mnóstwo rzeczy, z których część była naprawdę bolesna. Nie zmieniło to przekonania Dawida, że zawiódł Grace. Za każdym razem, kiedy się z nią widział, czuł się coraz gorzej. Po przegranej apelacji miał mniej powodów do odwiedzin. A jego dziewczyna wciąż mu powtarzała, żeby zajął się własnym życiem.

Grace tęskniła za nim; wiedziała jednak, że spotyka się z kobietą, która wiele dla niego znaczy. Może ta dziewczyna jest po prostu zazdrosna? Domyślała się też, że gnębi go poczucie winy.

Molly przyjeżdżała tak często, jak tylko pozwalał napięty terminarz. Jej odwiedziny zawsze podnosiły Grace na duchu. Tak swobodnie, jak z nią, czuła się tylko z Luaną i Sally. Świętowała z nimi swoje drugie Boże Narodzenie w Dwight. Zjadały czekoladki i ciasteczka przysłane przez Molly.

— Byłaś może kiedyś we Francji? — zagadnęła ją zniecierpliwiona Luana.

Grace potrząsnęła głową i zachichotała. Zadawały jej czasem takie dziwne pytania, jak gdyby przybyła tu z innej planety. W pewnym sensie tak było. Luana pochodziła z murzyńskiej dzielnicy Detroit, a Sally z Arkansas. Luana żartobliwie nazywała ją „miss Oakland”.

Stanowiły dziwaczne, lecz bardzo zgrane trio. Paradoksalnie, Sally i Luana zastąpiły Grace rodziców. Pilnowały jej, broniły, strofowały, uczyły rzeczy niezbędnych, by przeżyć w wight. I na swój sposób naprawdę ją kochały. Traktowały ją jak dziecko. Dla niej była nadzieja, mogła jeszcze ułożyć sobie życie. Były z niej dumne, kiedy dostawała dobre stopnie.

Luan powtarzała, że pewnego dnia Grace zostanie kimś ważnym

— Wątpię — roześmiała się dziewczyna.

— Co zrobisz, kiedy wyjdiesz? — pytała Luana, a Grace zawsze odpowiadała tak samo:

— Pojadę do Chicago i poszukam pracy.

— I co będziesz robić?

Luana uwielbiała słuchać o jej planach. Przebywała tu dożywotnio a Sally miała do odsiedzenia jeszcze trzy lata.

Grace pozostał rok, potem miała przed sobą przyszłość.

— Powinnaś zostać modelką — stwierdziła z przekonaniem Murzynka. — Albo prezenterką w telewizji.

Grace śmiała się z tych pomysłów. Fascynowała ją psychologia, chciała pomagać dziewczętom wykorzystywanym tak

jak ona albo kobietom takim jak jej matka. Miała dopiero dziewiętnaście lat i mnóstwo czasu na decyzję.

Tuż po Nowym Roku odwiedził ją David. Nie było go trzy miesiące; przeproszał, że nie przysłał jej nic na gwiazdkę. Zdawał się skrępowany i spotkanie od początku szło kulawo. Przeraziła się, że nie wypuszczą jej w terminie.

— To ci nie grozi — uspokoił ją — chyba że wywołasz bunt albo uderzysz strażnika. Znając ciebie, raczej W to nie wierzę.

Miał jej coś do powiedzenia. Wahał się przez długą chwilę, znów snując fantazje, lecz kiedy na nią spojrzał, zrozumiał, że jego narzeczona miała rację. Obsesja na punkcie Grace nie była normalna. To jeszcze dziecko, a na domiar złego jego klientka, która siedzi w więzieniu.

— Żenię się — powiedział takim tonem, jak gdyby był jej winien przeprosiny. Zrobiło mu się głupio.

Grace ucieszyła się. W czasie poprzednich odwiedzin David napomynał o swojej ostatniej znajomości; od dawna podejrzewała, że wykluje się z niej coś poważniejszego.

— Kiedy?

— Dopiero w lipcu.

Gdy na niego spojrzała, wyczuła że to nie wszystko.

— Jej ojciec ma kancelarię prawniczą w Los Angeles. Zaproponował nam przystąpienie do spółki. Wyjeżdżam w przyszłym miesiącu. Muszę zdać egzamin, uprawniający mnie do wykonywania zawodu w Kalifornii. Poza tym mamy jeszcze mnóstwo pracy przed ślubem.

— Ach... — bąknęła Grace, zdając sobie sprawę, że prawdopodobnie już się nie spotkają, a jeśli nawet, to nieprędko. Nawet po dwóch latach zawieszenia wyroku nie bardzo potrafiła sobie wyobrazić podróż do Kalifornii. — Na pewno szybko się tam zadomowisz — dodała. Traciła oto jednego z przyjaciół, których miała tak niewiele.

David ujął ją za rękę. Dziewczyna, z którą jechał do Kalifornii, wydała mu się nagle o wiele mniej ważna.

— Gdybyś mnie potrzebowała, zawsze możesz na mnie liczyć, Grace. Przed odjazdem zostawię ci numer telefonu.

— Będzie mi cię brakować — powiedziała tak otwarcie, że Davidowi omal nie pękło serce. Chciał jej powiedzieć, że zawsze będzie nosił w duszy jej obraz — młodziutkiej i pięknej, o wielkich oczach i skórze tak jasnej, że prawie przezroczystej.

— Ja też będę tęsknić. Odrobinę się boję. Tracy co prawda twierdzi, że mi się tam spodoba... David wyraźnie nie był tego pewny.

— To musi być wspaniała dziewczyna, skoro dla niej chcesz się przeprowadzić.

Zaśmiał się, myśląc w duchu, że wyjazd z Illinois nie złamie mu serca, za to rozstanie z Grace owszem. Lubił mieć świadomość, że jest blisko niej i w razie potrzeby będzie mógł jej pomóc.

— Zadzwoń do mnie, jeśli będziesz miała jakikolwiek problem. Motly nadał będzie cię odwiedzać — rzekł, próbując się uzbroić przeciw urokowi Grace.

— Wiem. Ona również nosi się z myślą o małżeństwie.

David też o tym słyszał. Nadszedł dla nich czas, by się ustatkować. Za osiem miesięcy Grace dopiero zacznie swoją drogę przez życie. Oni już nią kroczyli. Oboje mieli zawód, przeszłość dokonania, ludzi, z którymi wiązały ich uczucia. Dla Grace wszystko miało się dopiero zacząć.

Otrzymała od niego jeszcze kilka listów, a potem nagle list z Los Angeles, w którym przeproszał, że nie odwiedził jej przed wyjazdem. Oboje wiedzieli, że nie brakło mu czasu, tylko odwagi. Ponadto, o czym Grace nie mogła wiedzieć, jego narzeczona była w tej kwestii bardzo stanowcza. Na wiosnę Grace napisała do niego jeszcze kilka razy, potem przestała. Instynktownie czuła, że jej znajomość z Davidem Glassem dobiegła końca.

Było jej smutno. Zwierzyla się z tego Molly.

— Czasami trzeba pozwolić ludziom, by poszli swoją drogą — powiedziała łagodnie lekarka.

— Wiem, jak bardzo mu na tobie zależało. Strasznie go gryzło to, że nie zdołał wygrać apelacji.

— Odwalił kawał dobrej roboty — stwierdziła lojalnie Grace. W przeciwieństwie do większości pensjonariuszek Dwight nie miała pretensji do swego adwokata. — Po prostu brakuje mi go, to wszystko. Znasz jego dziewczynę?

— Widziałam ją parę razy — uśmiechnęła się Molly.

Wiedziała, że Grace nie zdaje sobie sprawy z uczuć, jakie żywił do niej David. Pod pewnymi względami traktował ją jak młodszą siostrę, ale była też jego cudownym marzeniem, nieosiągalnym celem, którego mimo to nie przestawał pragnąć. Tracy wszakże była mądrą kobietą. Ona też to wyczuła.

Molly wątpiła, by wyjazd do Kalifornii był czystym przypadkiem.

— To bardzo inteligentna dziewczyna — stwierdziła dyplomatycznie. Nie chciała mówić Grace, że Tracy niezbyt jej się spodobała. Dla Davida przypuszczalnie była odpowiednią żoną. Bystra, twarda, ambitna i — wedle opinii ludzi, którzy ją znali — cholernie dobra w swoim fachu.

— A. ty? Kiedy na was kolej? — spytała żartobliwie Grace.

— Wkrótce.

Skoordynowanie urlopów zajęło Molly i Richardowi bite sześć miesięcy i dopiero w kwietniu zdołali ustalić datę. Mieli się pobrać pierwszego lipca i wyjechać na miesiąc miodowy na 1-lawaje. Grace miała wyjść na wolność w połowie września.

Trudno było uwierzyć, że minęły już prawie dwa lata. Pod pewnymi względami zdawało się to chwilą, pod innymi wiekiem.

Na dzień przed swoim ślubem Molly odwiedziła Grace. Zaprosiła ją do siebie po wyjściu na wolność, zanim wyjedzie do Chicago. Grace obiecała, że spędzi z nimi Święto Dziękczynienia, a może przyjedzie też na Boże Narodzenie. W dniu ich wesela Grace chodziła jak błędna. Przez cały czas o nich myślała. Znała w najdrobniejszych szczegółach wszystkie plany. Widziała zdjęcie sukni ślubnej, wiedziała też, kto został zaproszony. Znała nawet porę odlotu na Hawaje. Samolot startował z Chicago o czwartej po południu i lądował

w Honolulu o dziesiątej czasu miejscowego. Młodzi małżonkowie mieli się zatrzymać w Waikiki. Grace potrafiła sobie to wszystko wyobrazić; czuła się tak, jak gdyby sama brała udział w ceremonii.

o dziewiątej wieczorem, tuż przed zamknięciem cel, poszła obejrzeć wiadomości. Plotkowała właśnie z Luaną, kiedy dotarło do niej, że w telewizji mówią o katastrofie samolotu linii TWA, który godzinę wcześniej eksplodował nad Górami Skalistymi. Nie znano jeszcze szczegółów, ale dykcja linii lotniczej obawiała się, że był to zamach bombowy. Nikt nie przeżył.

— Co się stało? — zapytała Grace, odwracając się do siedzącej obok kobiety. — Gdzie to było?

— Chyba nad Denver. Podobno terroryści wysadzili samolot. Leciał z Chicago do Honolulu przez San Francisco.

Grace poczuła, jak jej skóra lodowacieje, a serce zaczyna walić niby miotem. Nie, to niemożliwe. Takie rzeczy się nie zdarzają... Nie oboje... nie w podróży poślubnej... Jedyna przyjaciółka, jedyna osoba, której dom był dla Grace otwarty... Sięgnęła po inhalator. Sally spojrziała na nią z niepokojem. Zrozumiała natychmiast, czego boi się Grace.

— To na pewno nie oni — odezwała się. — Do Honolulu jest kilkanaście lotów w ciągu dnia. Sally oczywiście wiedziała o ślubie Molly; ba, była już śmiertelnie znudzona wysłuchiowaniem opowieści o planowanym weselu i podróży. Teraz wszakże sama poczuła się jesw00. Cóż, naprawdę wydawało się mało prawdopodobne, aby był to właśnie ich samolot. Po siedmiu nie przespanych nocach i ciągnących się w nieskończoność dniach Grace poznała prawdę. Napisała do szpitala z zapytaniem o doktor York. Otrzymała smutny list, wyjaśniający, że doktor York i doktor HayersOn zginęli w tej głośniejszy katastrofie lotniczej. Cały szpital pogrążony był w żałobie.

Tego dnia Grace położyła się do łóżka i nie wstała przez trzy następne dni. Sally dokonywała cudów, żeby ją kryć, tak samo Lu. Tłumaczyły ją astmą, opowiadały, że ma przewlekły atak inic nie przynosi jej ulgi. Jej inhalator wszystkim już spowszedniał, pod opieką Luany nie bała się go używać. Kiedy jednak do celi przysła pielęgniarka, od razu spostrzegła, że to nie astma gnębi Grace. Dziewczyna leżała, utkwivszy pusty wzrok w ścianie; nie poruszała się i nie odzywała.

pielęgniarka ostrzegła ją, by nie przeciągała struny. Nazajutrz musi wracać do pracy; i tak ma szczęście, że jeszcze nie trafiła do karceru.

Rano Grace nadal nie wstawała z łóżka, mimo prób i grózb Sally i Luany. Leżała jak kłoda, żałując, że nie umarła zamiast Molly.

Tego dnia zabrano ją do karceru i pozostawiono tam nagą w ciemności. Dostawała tylko jeden posiłek dziennie. Kiedy wróciła, była wychudzona i bardzo blada, ale Sally znów dostrzegła w jej oczach życie. Głęboko zraniona, Grace zdołała jednak zawrócić z drogi ku nicości.

Odtąd już nigdy nie mówiła o Molly. Nie wspominała także o Davidzie. Żyła ażniejszością, z rzadka tylko napomykała o planach na przyszłość.

Wielki dzień w końcu nadszedł i Grace nie była pewna, czy jest nań przygotowana. Nie miała przyjaciół, kontaktów, nawet ubrań, tylko trochę pieniędzy i dyplom ukończenia niższego college'u. W więzieniu dojrzała, nabrała cierpliwości i hartu ducha. Była wysoka, szczupła, piękna i silniejsza niż kiedykolwiek dotąd. Luana kazała jej ćwiczyć podnoszenie niewielkich ciężarów oraz biegać i Grace dzięki temu nabrała nieco ciała. Wychodząc z więzienia w białej bluzce i dżinsach, z rudymi włosami związanymi w koński ogon, wyglądała jak ładna, młodziutka maturzystka, lecz w głębi jej duszy tkwiły lata doświadczeń i garść ludzi, którzy na zawsze mieli pozostać w jej pamięci — takich jak Molly, Luana i Sally.

— Dbajcie o siebie powiedziała ochryple, żegnając się z nimi. Wyściskała je po kolei. Luana ucałowała ją w policzek jak małą dziewczynkę, która pierwszy raz idzie do przedszkola.

— Uważaj na siebie, Grace. Bądź rozsądna. Trzeźwo patrz na świat i ufaj w swój rozum. I... dojdź do czegoś, dziewczyno. Bądź kimś. Stać cię na to.

— Kocham was — szepnęła Grace. — Tak bardzo was obie kocham. Nie przeżyłabym tu bez was.

Mówiła poważnie. Tak było. Uratowały jej życie.

Ucałowała również Sally, a ta się zmieszała.

— Tylko nie rób żadnych głupstw — pogroziła jej palcem.

— Będę do was pisać obiecała Grace, ale Sally potrząsnęła głową. Przeżyła już kilka rozstań; wiedziała, jak to jest. Kiedy stąd wychodzisz, zatrzaskujesz za sobą drzwi — aż do następnego razu.

— Daruj sobie — powiedziała brutalnie Luana. — Nie chcemy twoich listów. I ty też nie powinnaś chcieć nas znać. Zapomnij o Dwight, Grace, zacznij od nowa..., idź i nigdy nie oglądaj się za siebie. Nie musisz zabierać ze sobą tego garbu.

— Jesteście moimi przyjaciółkami — zaprotestowała Gracie ze łzami w oczach, ale Luana znów potrząsnęła głową.

— Nic podobnego, mała. Jesteśmy tylko upiorami przeszłości. Raz na jakiś czas możesz o nas wspomnieć i cieszyć się, że cię z nami nie ma. I nie waż się tu wracać, słyszysz?

— nasrożyła się, a Grace zaśmiała się przez łzy. Jakże miała pójść za tą mądrą radą, tak po prostu pogrzebać je w niepamięci? A może to właśnie należało zrobić? Czy naprawdę musiała odciąć się od wszystkiego, żeby móc iść naprzód? Żałowała, że nie może poradzić się Molly.

— No już, zmykaj Luana popchnęła ją lekko ku bramie.

W kilka minut później Grace siedziała w mikrobusie. Dwie kobiety stały przy ogrodzeniu, a zwrócona do tyłu Grace machała im z okna, dopóki nie zniknęły jej z oczu.

ROZDZIAŁ 6

Podróż autobusem do Chicago trwała niecałe dwie godziny. Opuszczając więzienie, Grace dostała sto dolarów w gotówce. David, nim jeszcze wyjechał na Zachód, założył dla niej niewielkie konto rozliczeniowe i zdeponował na nim pięć tysięcy dolarów; reszta jej pieniędzy została ulokowana na rachunku terminowym, którego Grace ślubowała sobie nie tykać.

Nie miała pojęcia, gdzie zatrzyma się w Chicago. Władze więzienne podały jej nazwisko, adres i numer telefonu miejscowego kuratora, u którego miała się zameldować w przeciągu dwóch dni. Nazywał się Louis Marquez. Jedna z dziewczyn z Dwight poinformowała ją, gdzie szukać taniego noclegu.

Dworzec autobusowy w Chicago znajdował się na rogu ulic Randolph i Dearborn. Hotele, o których słyszała, mieściły się tylko kilka przecznic dalej. Gdy jednak zobaczyła, jakiego pokroju ludzie się wokół nich kręcą, poczuła dreszcz odrazy. Na chodnikach stały prostytutki, pokoje wynajmowano na godziny, a gdy nacisnęła dzwonek w hotelowej recepcji, po ladzie przebiegły dwa karaluchy.

— Dzień, noc, godzina? — zapytał recepcjonista, zgarniając je na bok. W Dwight było przynajmniej czysto.

— Czy można zatrzymać się tu na tydzień?

— Jasne. Wychodzi sześćdziesiąt pięć dolców — rzekł bez zmruczenia oka.

Wydało jej się drogo, ale nie wiedziała, gdzie jeszcze próbować. Wynajęła więc na tydzień jednoosobowy pokój z łazienką na czwartym piętrze, a potem udała się na poszukiwanie baru, w którym mogłaby coś zjeść. Dwaj ulicznicy od razu zaczęli ją nagabywać o jałmużnę, a stojąca na rogu prostytutka zmierzyła Grace wzrokiem od stóp do głów. Pewnie się zastanawiała, co taka smarkata robi w tej dzielnicy. Nie mogła wiedzieć, że „smarkata” właśnie wyszła z Dwight. I choć sąsiedztwo było wyjątkowo obskurne, Grace cieszyła się, że jest wolna. Mogła spacerować po ulicach, spoglądać w niebo, wejść do restauracji, do sklepu, kupić gazetę, przejechać się autobusem. Tego wieczoru skorzystała nawet z objazdowej wycieczki po mieście i była zdumiona, że jest takie piękne. W ekstrawaganckim nastroju wróciła do hotelu taksówką.

Ulicę wciąż okupowały prostytutki i alfonsi, nie zwracała wszakże na nich uwagi. Wzięła klucz i poszła do swojego pokoju. Zaryglowawszy starannie drzwi, zabrała się do czytania zakupionych gazet, szukając biur pośrednictwa pracy. Nazajutrz z listą w dłoni wyruszyła do miasta.

Była w trzech biurach; wszędzie wypytywano ją o kwalifikacje. Mówiła, że skończyła niższy kurs college'u w Watseka, a ponadto kurs stenografii i maszynopisania dla sekretarek. Przyznała, że nie ma żadnego doświadczenia, stąd brak referencji. Bez nich jednak nie rokowano jej szans na posadę sekretarki. Mogła zostać recepcjonistką, kelnerką lub

sprzedawczynią. Nie miała zbyt wiele do zaoferowania i pośrednicy nie krępowali się jej tego uzmysłowić.

— Myślałaś o tym, żeby zostać modelką? — zapytała ją pracownica drugiego z kolei biura. Zapisała na kartce dwa adresy. — To agencje modelek. Masz ten styl, którego poszukują. Obiecała też powiadomić Grace, jeśli trafi się jakakolwiek praca, która nie będzie wymagać doświadczenia, choć niczego z góry nie obiecywała.

Następnie Grace poszła zobaczyć się z kuratorem. Sam jego widok sprawił, że poczuła się jak w Dwight, jeśli nie gorzej.

Louis Marquez był niskim, tłustym, wąsatym, mocno łysiejącym mężczyzną o małych świńskich oczkach. Gdy weszła, spojrzał na nią osłupiały. Większość czasu spędzał z nałogowymi narkomanami, dealerami i prostytutkami. Nie zdarzyło mu się jeszcze mieć do czynienia z kimś wyglądającym tak młodo i normalnie jak Grace.

Poprzedniego dnia Grace kupiła sobie dwie spódnice, prostą granatową sukienkę i czarny kostium z różowym satynowym kołnierzem. Składając mu wizytę, miała na sobie granatową sukienkę, ponieważ przez cały dzień szukała pracy. Nogi jej odpadały od biegania na wysokich obcasach.

— Czym mogę służyć? — Marquez był pewien, że dziewczyna pomyliła drzwi. Tym lepiej. Zaintrygowała go.

— Pan Marquez?

— Tak. — Zerknął na nią łakomie, nie mogąc uwierzyć własnemu szczęściu. Kiedy sięgnęła do torebki i wyjęła z niej znajome formularze zwolnienia warunkowego, wytrzeszczył ze zdumienia oczy. Pobieźnie przejrzał papiery i znów na nią spojrzał.

— Siedziałaś w Dwight?

Dziewczyna spokojnie skinęła głową.

— To ciężkie więzienie. — Miał autentycznie zaskoczoną minę. — Jak udało ci się wytrzymać tam dwa lata?

— Nie wychylałam się — powiedziała z uśmiechem. Wyglądała bardzo dojrzałe na swój wiek. Kiedy Marquez przeczytał notatkę o wyroku, jego zdumienie jeszcze wzrosło.

— Umyślnie zabójstwo, czy tak? Pokłóciłaś się z chłopakiem?

Nie spodobał jej się ton pytania, ale odparła beznamiętnie:

— Nie. Z ojcem.

— Rozumiem — rzekł z uciechą. — Widzę, że lepiej z tobą nie zadzierać.

Nie odpowiedziała. Marquez zastanawiał się, na ile może sobie pozwolić.

— Masz teraz chłopaka?

Grace nie rozumiała, dlaczego o to pyta.

— Mam przyjaciół. — Pomyślała o Luanie i Sally, jedynych bliskich jej osobach. No, był jeszcze David w dalekiej Kalifornii. Grace wciąż straszliwie cierpiała po utracie Molly; nie chciała wszakże, aby ten facet pomyślał, iż jest sama.

— Masz tu rodzinę?

Tym razem potrząsnęła głową.

— Nie.

— Gdzie mieszkasz?

Wiedziała, że ma prawo zadawać jej te pytania. Podała mu nazwę hotelu; skinął głową i zanotował ją.

— Nieszczególne otoczenie dla takiej dziewczyny jak ty. Istny burdel, zauważyłaś? — Urwał na chwilę, po czym dodał ze złośliwym błyskiem w oku: — Jeśli podpadniesz, wylądujesz w Dwight na następne dwa lata. Nie wyłgasz się tym, że chciałaś sobie tylko trochę dorobić. Miała ochotę strzelić go w pysk, ale więzienie nauczyło ją cierpliwości Milczała. Szukasz pracy?

— Byłam u trzech pośredników i przeglądam gazety. Mam parę adresów, pod które pójde jutro. Najpierw chciałam zameldować się u pana. Gdyby się z tym spóźniła, mógł narobić jej kłopotów. A nie miała zamiaru wracać do Dwight. Ani na dwa lata, ani na dwie minuty. Mógłbym zatrudnić cię tutaj — rzekł w zadumie. Byłby to idealny układ. Dziewczyna ze strachu zrobi wszystko, czego od niej zażąda. Im więcej o tym myślał, tym bardziej podobał mu się ten pomysł. Grace jednak nie była już tak naiwna. Nie pozwoli się wykorzystywać ludziom pokroju Marqueza. Tamte czasy minęły.

Dziękuję panu powiedziała cicho. — Jeżeli nie znajdę pracy nigdzie indziej, zadzwonię do pana.

— Jeśli jej nie znajdziesz, odeślę cię do Dwight — rzekł z naciskiem. — Mogę uchylić zwolnienie warunkowe, kiedy tylko zechcę, nie zapominaj o tym. Pozostawanie bez pracy, brak środków utrzymania, narkotyki, niedotrzymanie warunków zwolnienia... jest mnóstwo podstaw, żeby wsadzić cię z powrotem do pierdła.

Dlaczego bez przerwy ktoś ją szantażował? Podła świnia, myślała, patrząc na niego z nieszczęśliwą miną. Marquez tymczasem sięgnął do szuflady biurka i wręczył jej Plastikowy kubek z pokrywką.

— Potrzebna mi próbka moczu — rzekł. — Damska toaleta jest naprzeciw, w korytarzu.

— Teraz?

— Jasne. Czemu nie? Ćpałaś? W świńskich oczkach zamigotał błysk złośliwej nadziei.

— Nie — powiedziała ze złością. — Po co ta próbka? Nigdy nie miałam problemów z narkotykami.

— Sądzono cię za morderstwo. Byłaś w manxrze. I jesteś pod nadzorem. Mam prawo wymagać od ciebie wszystkiego, co uznam za stosowne. Chcę mieć analizę moczu. Sikasz czy odmawiasz? Za to też mogę odesłać cię do Dwight, wiesz?

— Dobrze już, dobrze wstała, trzymając kubek, i z wściekłością skierowała się do drzwi.

— W normalnych warunkach moja sekretarka musiałaby się temu przyglądać, ale dziś wyszła wcześniej. Tym razem ci zaufam.

— Serdeczne dzięki. — Spojrzała na niego z ledwie skrywaną furią. Niestety trzymał ją za gardło, tak samo jak wszyscy — rodzice, Frank Wilis, policja z Watseka, strażnicy w Dwight, nawet takie suki jak banda Brendy, dopóki Luana i Sally nie wzięły jej pod swoje skrzydła. Tu nie było nikogo, kto by ją ochronił. Musiała sama bronić się przed łajdakami.

Wróciła pięć minut później z pełnym kubkiem. Był nie domknięty; postawiła go krzywo na biurku mając nadzieję, że Marquez zaleje jej moczem wszystkie swoje papiery.

— Przyjdź za tydzień — rzekł nonszalancko, przyglądając się jej z widocznym zainteresowaniem. — I daj mi znać, jeśli się przeprowadzisz albo znajdziesz pracę. Nie opuszczaj stanu. Nie wyjeżdżaj nigdzie bez porozumienia ze mną.

— Dobrze. Dziękuję. — Wstała, a gdy szła do wyjścia, Marquez z szyderczym uśmiechem obserwował jej smukłe biodra i długie nogi. Chwilę później wstał i wylał mocz do zlewu. Nie interesowały go wyniki. Chciał ją tylko upokorzyć i dać jej do zrozumienia, że jest w stanie zmusić ją do wszystkiego.

Grace fuczając z wściekłości pojechała autobusem do hotelu. Louis Marquez reprezentował wszystko, z czym musiała walczyć przez całe życie. Teraz też się nie podda. Nie Pozwoli mu odesłać się do więzienia. Prędzej umrze.

Wieczorem przejrzała książkę telefoniczną, wynotowując wszystkie agencje modelek w mieście. Spodobał jej się ten pomysł. Nie miała ambicji, by zostać modelką, istniała jednak szansa, że trafi na wolny etat recepcjonistki albo pomocy biurowej. Lista była długa; Grace żałowała, że nie wie, która z agencji jest najlepsza. Mogła to stwierdzić tylko metodą prób i błędów.

Nazajutrz wstała o siódmej i właśnie myła zęby, kiedy posłyszała, że ktoś dobija się do drzwi. Zdziwiła się. Pewnie któryś z podejrzanych lokatorów pomylił pokoje. Narzuciła na nocną koszulę duży ręcznik i otworzyła drzwi, trzymając wciąż w dłoni szczoteczkę do zębów. Ciemnomjedziane włosy spa dały jej kaskadą poniżej ramion.

W progu szal Louis Marquez.

— Słucham? — w pierwszej chwili nie rozpoznała go, potem nagle uświadomiła sobie, kto to jest.

— Przyszedłem zobaczyć, gdzie mieszkasz. To należy do obowiązków kuratora.

— Jak miło. Widzę, że pan też wcześniej wstaje — powiedziała ze złością. Co ten facet wyprawja? Zachowywał się jak jej ojciec i na samą myśl o tym Grace zadrżała.

— Nie masz nic przeciwko temu, że wejdę? — rzekł gładko. — Chcę się upewnić, czy rzeczywiście tu mieszkasz.

— Mieszkam — powiedziała zimno, otwierając drzwi szerzej i przytrzymując je. Nie miała zamiaru zapraszać go do środka. — A czy mam coś przeciwko temu..., hm, zależy, co ma pan zamiar u mnie robić. — Spojrzała na niego bez zmrużenia oka.

— Co masz na myśli?

Doskonale pan wie, co mam na myśli. Po co pan tu przyszedł? Zobaczyc, gdzie mieszkam? Swietnie. Zobaczyl pan. Co teraz? Nie planuje podejmowac pana sniadaniem

Nie wymądrzaj się, ty mała dziwko. Mogę zrobić z tobą, co tylko zechcę; nie zapominaj o tym.

Sposób, w jaki to powiedział, sprawił, że coś w niej pękło. Zrobiła krok w jego kierunku, nachyliła się i wycedziła:— Zastrzeliłam ostatniego faceta, który tak do mnie mówił i próbował wprowadzić swoje słowa w czyn. Niech pan o tym nie zapomina, panie Marquez. Jasne?

Marquez był wściekły. Wiedział, że nieco przekroczył swoje uprawnienia. Zaryzykował, chcąc się przekonać, ile zdoła osiągnąć. Ale Luana dobrze wyszkoliła Grace i dziewczyna nie dała się zastraszyć.

— Lepiej uważaj, jak do mnie mówisz! —rzekł, przystając w proggu. Nie będę wysłuchiwał bezczelnych odzywek jakiejś gówniary, która wykończyła własnego staruszka. Może ci się wydaje, że jesteś twarda, ale przekonasz się o tym dopiero, kiedy wyeksponuję twoją chudą dupkę do Dwight na następne dwa lata. I nie myśl, że tego nie zrobię.

— Lepiej niech pan znajdzie dobry powód, Marquez, bo nigdzie nie pojedę tylko dlatego, że nachodzi mnie pan w hotelu o siódmej rano. Domyśliła się, po co przyszedł. Blef nie wypalił. Zaskoczyła go; myślał, że łatwiej da się zapędzić w kozie róg i mocno się zawiódł. Cóż, warto było spróbować. Jeśli dziewczyna choć raz okaże słabość, zmiażdży ją i rozdepcze jak robaka.

— W czym jeszcze panu pomóc? Może mam nasikać do szklanki? Będę zaszczycona — patrzyła mu prosto w oczy.

Marquez obrócił się i bez słowa zszedł na dół po schodach. To jeszcze nie koniec, myślał. Była do niego przykuta na całe dwa lata. Miał mnóstwo czasu, żeby ją dręczyć.

Kiedy wyszedł, Grace włożyła czarny kostium z różowym kołnierzem i uczesała się bardziej starannie niż zwykle.

Chciała prezentować się ładnie i elegancko, choć nie aż tak, by rywalizować z modelkami.

W pierwszych dwóch agencjach nie mieli wakatów i w ogóle nie zwrócili na nią uwagi.

Trzeci adres zaprowadził ją do Swansonów na Lake Shore Drive. Mieli tam luksusową poczekalnię, w której wisiały powiększone do ogromnych rozmiarów zdjęcia ich modelek.

Wnętrza zostały zaprojektowane przez znanego dekoratora i Grace czuła się bardzo

niepewnie, kiedy poproszono ją do gabinetu Cheryl Swanson. Cheryl i jej mąż, Bob, osobiście prowadzili wszystkie rozmowy wstępne. Ich modelki były najlepsze w mieście,

zarówno na wybiegu, jak i w reklamach. Także pozostali pracownicy Swansonów musieli posiadać klasę. Już od proggu w firmie wyczuwało się aurę sukcesu, elegancji i piękna.

Grace była szczególnie rada, że włożyła szykowny chanelowski kostiumik.

W chwilę później do pokoju weszła zamaszystym krokiem wysoka kobieta — może nie tyle piękna, ile szalenie oryginalna. Miała ciemne włosy, spięte w schłodny węzeł na karku, duże okulary i wąską czarną sukienkę.

— Panna Adams? — uśmiechnęła się do Grace, natychmiast taksując ją spojrzeniem.

Dziewczkę jest młode i wystraszone, pomyślała, ale buzię ma inteligentną i coś w niej jest. — Jestem Cheryl Swanson — oznajmiła.

— Dzień dobry. Cieszę się, że zechciała pani mnie przyjąć.

— Grace uścisnęła jej dłoń i znów usiadła, czując, jak astma zaczyna ścisnąć jej piersi. Modliła się w duchu, żeby teraz nie dostać ataku. Wszystko było takie stresujące nieznanymi miejscami, obcy ludzie, których starała się namówić, żeby ją zatrudnili. Robiła to prawie od tygodnia i jak dotąd bez skutku. Wiedziała, że jeśli do końca przyszłego tygodnia nie znajdzie posady, kurator naprawdę narobi jej kłopotów.

— Słyszałam, że chce pani zostać naszą recepcjonistką

— powiedziała Cheryl, zerkając na notatkę, wręczoną jej przez sekretarkę. — To ważne stanowisko. Jest pani pierwszą osobą, z którą styka się klient. Pani wygląd i zachowanie ma więc bardzo istotne znaczenie, świadczy bowiem o całej firmie. Czy pani zna naszą agencję? — Cheryl Swanson zdjęła okulary i przyjrzała się Grace uważniej. Ładna cera, duże oczy, piękne włosy. Nagle nabrała wątpliwości, czy ta dziewczyna nie próbuje się dostać na wybieg tylnymi drzwiami. Być może nawet nie musiałaby się uciekać do podstępów.

— Czy interesuje panią praca modelki, panno Adams? — Może o to właśnie chodziło, a reszta była tylko mydleniem oczu.

Grace jednak w odpowiedzi potrząsnęła głową. Wszystko, tylko nie to. Roje facetów, wychodzących z założenia, że jest łatwa, skoro pracuje jako modelka; fotografowie, którzy każą jej biegać w stroju kąpielowym..., albo i bez. Wielkie dzięki.

— Nie, nie — powiedziała pospiesznie. — W żadnym wypadku. Zależy mi na pracy w biurze.

— Może powinnaś mieć większe ambicje... — Cheryl zerknęła na kartkę — ...Grace. Wstań. Grace podniosła się z ociąganiem.

Jej wzrost najwyraźniej bardzo zadowolili szefową, ale dziewczyna miała taką minę, jakby lada chwila miała się rozplakać albo uciec.

— Nie chcę być modelką, pani Swanson. Mogę być telefonistką, maszynistką lub gońcem... wszystkim, tylko nie modelką.

— Dlaczego? Większość dziewcząt dałaby się zabić dla takiej kariery.

Grace jednak marzyła o prawdziwym życiu, prawdziwej pracy, prawdziwej rodzinie. Nie chciała zaczynać od gonienia mirażu.

— To nie dla mnie. Zależy mi na czymś bardziej...

— przez chwilę szukała właściwego słowa — ...solidnym.

— Cóż — powiedziała z żalem Cheryl. — Mamy wolne miejsce w biurze, ale uważam, że to straszna szkoda. A propos, ile masz lat?

Grace przez moment wahała się, czy nie dodać sobie lat, ale lepiej było nie uciekać się do kłamstwa.

— Dwadzieścia. Ukończyłam niższy kurs college'u. Potrafię pisać na maszynie, choć niezbyt szybko. wszystkiego innego mogę się nauczyć, będę pilnie pracować, przysięgam — błagała.

Cheryl nie zdołała powstrzymać uśmiechu. Marnotrawstwem było kazać takiej dziewczynie odbierać telefony za biurkiem. Ale z drugiej strony stanowiła ona właściwy przedsmak tego, co agencja miała w swej ofercie. Wyglądała jak jedna z ich modelek.

— Kiedy możesz zacząć? — Spojrzała na Grace z macierzyńskim uśmiechem. Od pierwszego wejrzenia polubiła tę małą.

— Dzisiaj. Choćby zaraz. Kiedy pani zechce. Właściwie dopiero przyjechałam do Chicago.

— Skąd? — zacięła się pani Swanson.

Grace wpadła w panikę. Bala przyznawać się, że pochodzi z Watseka na wypadek, gdyby ktoś słyszał o głośnym zabójstwie sprzed dwóch lat; nie chciała też napomykać o Dwight

— szefowa mogła przecież skojarzyć tę nazwę z więzieniem.

— Z Tayloryille — bąknęła. Było to małe miasteczko położone dwieście mil od Chicago.

— Twoi rodzice tam mieszkają?

— Rodzice umarli, kiedy byłam w liceum. — Wyjaśnienie było wystarczająco bliskie prawdy i na tyle nieprecyzyjne, że niczym jej nie groziło.

— Czy masz w Chicago jakąkolwiek rodzinę? spytała zatroskana Cheryl. Grace tylko potrząsnęła głową.

— Nikogo.

Zwykle żądam referencji, ale skoro jeszcze nigdzie nie pracowałaś, nie ma to wielkiego sensu, prawda? Dostałabym co najwyżej miły liścik od twojej nauczycielki gimnastyki. Sama zdołam sprawdzić, z jakiej jesteś gliny. Witaj w firmie, Grace. — Szefowa wstała i życzliwie poklepała ją po ramieniu.

— Mam nadzieję, że praca da ci zadowolenie... przynajmniej do chwili, gdy zdecydujesz się zostać modelką — zaśmiała się.

Grace dostała posadę recepcjonistki. Miała zarabiać sto dolarów tygodniowo. Niczego więcej nie pragnęła.

Cheryl przedstawiła ją wszystkim pracownikom biura, czyli sześciu agentom, trzem sekretarkom, dwóm księgowym i dwojgu ludziom, których zakres obowiązków pozostał dla Grace niezupełnie jasny. Potem wprowadziła ją do innego gabinetu, wystawnie obitego szarą skórą i zamszem. Tu Grace poznała Boba Swansona. Tak jak Cheryl wyglądał na czterdzieści kilka lat, miał około sześciu stóp wzrostu, ciemne włosy, niebieskie oczy i wyrazistą, męską twarz gwiazdora filmowego. Będąc dzieckiem grywał małe rólki w Hollywood, potem pracował jako model w Nowym Jorku. Tam poznał Cheryl; razem przenieśli się do Chicago i otworzyli własną firmę. Od dwudziestu lat byli małżeństwem, lecz nie mieli dzieci. „Nasze dziewczęta zastępują nam córki” — mawiała często jego żona. Swanson wstał zza biurka i podał Grace rękę. Przyjazny uśmiech sprawił, iż rzeczywiście poczuła się jak w rodzinie.

— Powiedziałaś: „repcjonistka” — zwrócił się do żony

— czy „nowa modelka”?

Grace doszła do wniosku, że Swansonowie są naprawdę miłymi ludźmi.

— Też jej to mówiłam — uśmiechnęła się Cheryl — ale ta młoda osoba jest uparta. Powiada, że woli pracować przy biurku.

— Skąd w tej młodej główce tyle rozsądku? — zaśmiał się Swanson, spoglądając na Grace. Rozumieli się z żoną w lot: dziewczyna istotnie miała klasę i byłaby z niej całkiem niezłą modelką. — My dochodziliśmy do tego latami, ucząc się na a własnej skórze.

— Po prostu wiem, że się nie nadaję. Jestem najszcześliwsza nadając sprawom bieg zza kulis.

Tak właśnie prowadziła dom i więzienny magazyn, gdzie pod jej czujnym okiem wrzało jak w mrowisku. Była nie tylko pracowita i skrzętna, ale miała też autentyczny talent organizacyjny.

— Witaj więc na pokładzie, Grace. I do roboty! — Bob zasiadł znów za biurkiem. Gdy wychodziły, podniósł jeszcze głowę. Intrygowało go coś w tej dziewczynie, ale nie miał na razie pewności. Chlubił się, że w ocenie ludzi posiada szósty zmysł.

Cheryl przekazała Grace pod skrzydła dwóch sekretarek, które nauczyły ją obsługiwać centralkę i urządzenia biurowe.

Już w południe miało się wrażenie, że panna Adams urzęduje w firmie od niepamiętnych czasów. Gdy poprzednia recepcjonistka złożyła wypowiedzenie, agencja korzystała z dorywczych zastępstw, ale wszyscy odetchnęli z ulgą, mając nareszcie pod ręką kogoś kompetentnego, kto sprawnie odbiera telefony, ustala terminy spotkań i załatwia rezerwacje. Była todość skomplikowana praca, zmuszająca czasami do istnej żonglerki, lecz już pod koniec pierwszego tygodnia Grace poczuła, że jest w swoim żywiole.

Jej następne spotkanie z Louistem Marquezem nie dało mu pretekstu do nowych gróźb. Miała dobrą pracę, przyzwoitą pensję, zamierzała się też przeprowadzić, gdy tylko znajdzie jakieś tanie lokum. Chciała przenieść się nieco bliżej firmy, ale mieszkania w pobliżu Lake Shore Drive były niewiarygodnie drogie. Śledziła więc wszystkie ogłoszenia w gazetach. Pewnego popołudnia siedziała w recepcji, przyglądając się czterem rozpartym w fotelach modelkom. Nadal nie mogła wyjść z podziwu nad urodą tych dziewcząt, a zwłaszcza nad tym, jak są fantastycznie zadbane. Miały gęste, lśniące włosy, idealne paznokcie, ich makijaż cechowało profesjonalne wyczucie i precyzja, odzież zaś wyglądała na dzieło paryskiej haute couture, budząc w niej lekkie ukłucia zazdrości. Mimo to Grace nie zamieniłaby się z nimi. Nie chciała frymarczyć urodą i sex-appealem, a tym bardziej — ściągać na siebie męskich spojrzeń. Zdawała sobie sprawę, że nie wytrzymałaby takiego obciążenia. Ponadto przeświadczenie, że jest bezpieczna dopóty, dopóki nikt jej nie zauważy, ugruntowało się w niej do tego stopnia, iż stało się drugą naturą. Modelki wszakże traktowały ją jak swoją i często wciągały do rozmowy. Tym razem rozmawiały o planach mieszkaniowych. Chciały wspólnie wynająć miejską willę. Brzmiało to bajecznie, lecz również nieosiągalnie, mówiły bowiem o tysiącu dolarów miesięcznego czynszu. Dom miał pięć sypialni; potrzebne im były tylko cztery, a może nawet mniej, bo jedna z nich nosiła się z myślą o małżeństwie.

— Musimy znaleźć jeszcze jedną osobę — prychnęła z rozczarowaniem Diyina, Brazylijka o egzotycznej urodzie.

— Nie chciałybyś z nami zamieszkać? — zwróciła się do Grace. Grace jednak miała wątpliwości co do opłaty, która dla nich nie była wygórowana.

— Szukam mieszkania — przyznała szczerze — ale nie wiem, czy mogłabym sobie pozwolić na taki czynsz.

— Podzielony na pięć daje tylko dwieście dolarów od łebka — wtrąciła rzeczowo dwudziestodwuletnia niemiecka modelka, Brigitte. Grace uwielbiała słuchać jej wymowy.

— Na tyle chyba możesz sobie pozwolić, Grace? Owszem, jeśli przestanę jeść.

Dwieście dolarów stanowiło połowę jej miesięcznych zarobków, nie zostałoby jej zatem wiele na jedzenie, rozrywki czy inne potrzeby. Być może jednak zamieszkanie w miłym otoczeniu, wśród przyzwoitych ludzi, było tego warte.

— Pozwólcie mi to przemyśleć.

Jedna z dwóch Amerykanek zaśmiała się i spojrzała na zegarek.

— Dobra. Masz czas do czwartej. Wybieramy się jeszcze raz obejrzeć dom; musimy dać odpowiedź przed wpół do piątej. Chcesz iść z nami?

— Bardzo chętnie, jeśli zdołam się do tego czasu wyrwać. Muszę zapytać Cheryl.

Cheryl była uradowana. Jak mówiła, ciarki przechodziły ją na myśl, że Grace mieszka w jakimś obskurnym hotelu. Zapraszała ją nawet do siebie, ale Grace odmówiła.

— Dzięki Bogu! — wykrzyknęła szefowa i praktycznie wypchnęła Grace za drzwi. Pomyślała przy tym, że być może pod wpływem współmieszkanek Grace wreszcie zdecyduje się spróbować sił na wybiegu. Nadal ją namawiała, choć z drugiej strony niezawodny instynkt organizacyjny Grace okazał się dla firmy prawdziwym darem niebios.

Dom wyglądał pięknie. Miał pięć dużych sypialni, trzy łazienki i sporą kuchnię, patio i uroczy salon z widokiem na jezioro — słowem wszystko, czego mogłyby sobie życzyć. Podpisały umowę jeszcze tego samego dnia.

Grace wytrzeszczała oczy, nie mogąc uwierzyć, że jest to teraz również jej dom. Był częściowo umeblowany, a dziewczęta orzekły, że mają dość gratów, aby go zapełnić.

Musiała tylko kupić łóżko i parę drobiazgów do swojego pokoju. Wydawało się to niewiarygodne. Miała pracę, dom, koleżanki. Łzy napłynęły jej do oczu. Odwróciła się, udając, iż ogląda patio, żeby inne tego nie spostrzegły.

Jedna z dziewcząt, Marjorie, z zatroskaną miną wyszła za nią na dwór. Marjorie pełniła rolę „mamuśki” całej grupy i pozostałe czasem jej to wytykały, kiedy zanadto się nad nimi trzęsła. Miała dopiero dwadzieścia jeden lat, ale była najstarsza z siedmiorga rodzeństwa.

— Wszystko w porządku? — zapytała.

Grace zerknęła na nią chyłkiem, udając, że wpatruje się w jezioro, po czym westchnęła i uśmiechnęła się przez łzy.

— Po prostu to jest jak sen... spełnienie wszystkich pragnień, a nawet więcej.

Żałowała, że nie może pochwalić się Molly. Przyjaciółka dziś pewnie by jej nie poznała. Sponiewierana, żalosna istota, którą niegdyś była Grace, rozkwitła w ciągu ubiegłych dwóch lat nawet na jałowej glebie Dwight. Teraz żyła nowym życiem, spoglądała na nowy świat. Mieli rację, mówiąc, iż jeśli będzie silna, w końcu uwolni się od koszmaru. Teraz nareszcie miała go za sobą.

Kilka dni wcześniej wysłała Luanie i Sally pocztówkę, w której opisywała nową pracę i uroki Chicago. Znając je, nie oczekiwała odpowiedzi. Mimo to chciała dać im znać, że jest zdrowa i znalazła bezpieczny port. I że o nich nie zapomniała.

— Przed chwilą byłaś taka smutna — zauważyła Marjorie, lecz Grace już się uśmiechała.

— Jestem po prostu szczęśliwa. Marzenie nagle się spełniło.

Marjorie nigdy się nie dowiedziała, jak dalece było to prawdziwe. Grace nie wyjawiała nikomu swej przeszłości

— tego, że zabiła ojca i spędziła dwa lata w więzieniu. Chciała się od niej odciąć.

— Dla mnie to także jak ziszczony sen — wyznała Marjorie. — Moi rodzice byli tak biedni, że jedyną parę dobrych butów nosiłam na zmianę z dwiema siostrami. Obie miały stopy mniejsze ode mnie i wiecznie chodziłam w za ciasnych butach. Przed przyjazdem do Chicago nigdy nawet nie byłam w takim domu. Teraz, dzięki Swansonom, mogę w nim zamieszkać.

Zawdzięczała to przede wszystkim własnej urodzie, z czego zresztą zdawała sobie sprawę. Po wygaśnięciu kontraktu z agencją Swansonów planowała wyjechać do Nowego Jorku, a może i do Paryża.

— Ładnie tu, prawda?

Cudownie...

Gawędziły przez chwilę, później Grace wróciła do hotelu i spakowała rzeczy. Może spać na podłodze, dopóki nie kupi łóżka. Nie miała ochoty dłużej tłuc karaluchów i nasłuchiwać, jak staruszkowie plują i spuszczają wodę w klozetach. Wyprowadziła się nazajutrz rano, po drodze na Lake Shore Drive przewiozła do willi swój skromny dobytek. W przerwie na lunch poszła kupić tapczanik i trochę sprzętów w sklepie Johna M. Smythe'a na Michigan Avenue. Sprawiała sobie nawet dwa niewielkie obrazki. Obiecano dostarczyć jej wszystkie w sobotę, a do tego czasu miała szczerzy zamiar nocować na dywanie.

Nigdy w życiu nie była szczęśliwsza, nawet w pracy chciało jej się śpiewać. Jednakże w piątek, kiedy zameldowała się u Marqueza, zaniepokoiła ją jego zadowolona mina.

— Zmieniłaś miejsce zamieszkania — rzekł, ledwie stanęła w progu, godząc w nią wyciągniętym palcem. Czekał na nią od paru dni. O przeprowadzce wiedział tylko dlatego, że wpadł do hotelu, gdzie mu powiedziano, że Grace zwolniła pokój.

— No to co? W czym problem?

— Nie zawiadomiłaś mnie.

— Regulamin zwolnienia warunkowego nakazuje mi zawiadomić kuratora w ciągu pięciu dni. przeprowadziłam się trzy dni temu, i niniejszym pana o tym informuję. Czy to załatwia sprawę?

Szukał na nią haka, ale to ona miała rację. Był bezsilny.

To gdzie teraz mieszkasz? — warknął, biorąc kartkę i długopis.

— Czy to znaczy, że nadal będzie mnie pan odwiedzał?

Zmartwiła się; Marquez przeciwnie. Uwielbiał robić jej na złość, zaskakiwać ją, upokarzać i straszyć. Na widok Grace wyłaziły z niego najniższe instynkty.

— Możliwe. To leży w zakresie moich uprawnień. Masz coś do ukrycia?

— Owszem. Pana. — Spojrzała mu prosto w oczy.

Marquez spaśował aż po czubek głowy.

— Co to ma znaczyć? — syknął, ciskając długopis na biurko.

— To znaczy, że mam cztery współlokatorki, które nie muszą wiedzieć, gdzie spędziłam ostatnie dwa lata.

— Czyli że siedziałaś w pierdlu za morderstwo? — rozpromienił się. Nareszcie znalazł haka. Mógł zagrozić, że wyda ją przed koleżankami.

— Mniej więcej. Czarująco to pan ujął.

— Bo to urocza historia. Jestem pewien, że twoje koleżanki słuchałyby jej z wypiekami na twarzach. Powiadasz, że jest ich aż cztery? Czyżbyś przeprowadziła się do burdelu?

— To się panu marzy? — fuknęła pogardliwie. Nienawidziła Marqueza i choć w zasadzie się go nie bała, zawsze jednak trochę ją niepokoił. — Muszę pana zmartwić. To modelki.

— Wszystkie tak mówią.

— Mają kontrakt z agencją Swansonów, gdzie pracuję.

— Rzeczywiście fatalnie. No, podasz ten adres, czy mam złożyć wniosek o powtórne zatrzymanie? — Spojrzał na nią z nie słabnącą nadzieją.

— Och, na litość boską, Marquez! — Podała mu adres. Uniósł przeredzoną brew.

— Lake Shore Drive? Z czego masz zamiar to opłacać?

— Jedna piąta czynszu kosztuje mnie dokładnie dwieście dolarów miesięcznie.

Nie miała zamiaru mówić mu o pieniądzach, które dostała od Franka Willsa. Zresztą, gdyby trochę zacisnęła pasa, mogła sobie na to pozwolić z własnej pensji.

— Będę musiał obejrzyć twoje nowe gniazdko — mruknął Marquez.

Grace wzruszyła ramionami.

— Mogłam się tego domyślić. Umówimy się na jakiś termin? — spytała prosząco.

Marquez wszakże nie miał chęci aż tak dalece iść jej na rękę.

— Wpadnę przy okazji.

— Świetnie. Niech mi pan zrobi przysługę — zerknęła na niego markotnie. — Proszę im nie mówić, kim pan jest.

— A co mam powiedzieć?

— Obojętne. Na przykład, że chce mi pan sprzedać samochód albo cokolwiek innego. Ale nie, że jest pan moim kuratorem.

— Lepiej zachowuj się przyzwoicie, Grace — spojrział na nią z ukosa — bo inaczej mogę być do tego zmuszony.

Ten mały podlec przywoził jej na myśl Brendę. Znów miała związane ręce. A tym razem nie mogła liczyć na Luanę.

ROZDZIAŁ 7

W willi panowała idealna harmonia. Ni dochodziło do żadnych sprzeczek na tle finansowym; przeciwnie — współmieszkanki obdarowywały się nawzajem drobnymi upominkami i hojnie zaopatrywały wspólną spiżarnię. Grace nigdy w życiu nie czuła się szczęśliwsza. Codziennie zastanawiała się, czy nie śni.

Dziewczęta próbowały ją nawet umawiać na randki, ale stanowczo położyła temu kres.

Wiktuwały to co innego, nie miała wszakże zamiaru przyjmować prezentów w postaci mężczyzn. Wieczory spędzała z książką lub przed telewizorem. Każdy akt własnej woli był dla niej darem niebios i nie oczekiwała od życia niczego ponadto, z pewnością zaś nie miłosnych wzruszeń. Sama myśl o seksie przerażała ją; skończyła z tym raz na zawsze.

Koleżanki najpierw trochę się z niej śmiały, później zaś uznały, że Grace w tajemnicy spotyka się z mężczyzną, prawdopodobnie żonatym. Utwierdziła je w tym przekonaniu, gdy regularnie zaczęła spędzać poza domem dwa wieczory w tygodniu i całe niedziele.

Najczęściej wracała dopiero po północy.

Grace wahała się, czy powiedzieć im prawdę, lecz fantazje na temat jej rzekomych schadzek były dla niej o wiele dogodniejsze. Dzięki temu miała święty spokój i mogła realizować swoje zamierzenia.

Prawda zaś była taka, że owe wieczorne wypady stały się dla Grace solą życia.

Zadomowiwszy się w nowym mieszkaniu, zaczęła szukać miejsca, gdzie mogłaby pracować społecznie i w ten sposób odwdziżyć się chociaż za część dobrodziejstw, jakimi obdarował ją los. Czuła się szczęściarą, chciała zatem zrobić coś dla innych. Obiecywała to sobie przez dwa lata, leżąc po zmroku na piętrowej pryczy i gawędząc z Sally.

Znalezienie takiego miejsca zajęło jej miesiąc. Nie miała się kogo poradzić, wyszukiwała więc artykuły w gazetach, aż w końcu obejrzany w telewizji reportaż skierował ją do schroniska pod wezwaniem Maryi Panny. Był to ośrodek doraźnej pomocy społecznej dla kobiet i dzieci, który mieścił się w starej, zniszczonej kamienicy. Gdy Grace przysłała tam po raz pierwszy, była wstrząśnięta złym stanem budynku. Ze ścian złaziły wielkie płaty farby, z

sufitów zwisały gole żarówki, wszędzie goniły rozkrzyczane dzieci i kręciły się dziesiątki kobiet. Większość wyglądała na nędzarki, niektóre były w ciąży, łączyło je zaś to, że wszystkie były ofiarami przemocy. Wiele z nich omal nie straciło życia, a tym, które nie nosiły śladów widocznego kalectwa, pozostały blizny — na ciele i duszy.

Ośrodek prowadzony był przez doktora Paula Weiriberga, młodego psychologa, który nieco przypominał Davida Glassa. Personel składał się głównie z ochotników, tylko garstka osób pracowała tu stale. Byli wśród nich lekarze, psychiatry i psycholodzy oraz kilka etatowych pielęgniarek. Kobiety i dzieci mieszkające w ośrodku wymagały przeważnie opieki medycznej i pomocy psychologa. Potrzebowały także dachu nad głową, odzieży, a przede wszystkim życzliwej dłoni, która pomogłaby im wydostać się z otchłani, w jakiej się znalazły. Wizyty u Maryi Panny jawiły się Grace niczym światło w ciemności. Było to miejsce, gdzie uzdrawiano dusze; gdzie ludzie na nowo wracali do życia, choćby nawet niewiele go już w nich zostało.

Grace znalazła tu spokój i mogła nieść spokój innym. Zapisła się na trzy siedmiogodzinne dyżury w tygodniu, co wymagało ogromnego poświęcenia, nadawało jednak jej życiu nową wartość. Własne doświadczenia okazały się przy tym niezmiernie pomocne, równocześnie zaś miała okazję przeko-

nać się, że jej los w niczym nie był wyjątkowy. Przebywały tu ciężarne nastolatki, gwałcone przez ojców, braci i wujów; dzieci o szklistych, nieprzytomnych oczach i kobiety, które przestały wierzyć, że kiedykolwiek jeszcze będą wolne. Wiele z rąk sadystycznych ojców dostało się wprost w ręce sadystycznych mężów, ich dzieci zaś czekała taka sama przyszłość. Nie wiedziały, jak zatrzymać błędne koło. Tego właśnie współczujący personel u Maryi Panny próbował je nauczyć.

Grace była niez mordowana. Często prowadziła rozmowy

- z kobietami, ale przede wszystkim uwielbiała dzieci. Zbierała je wokół siebie, trzymała na kolanach i opowiadała im wymyślone historie na poczekaniu bajki albo całymi godzinami czytała na głos. Jeździła z nimi do szpitala na badanie, zastrzyk lub obdukcję urazów dla potrzeb prokuratury. Było to bolesne,
- straszliwie bolesne, ponieważ tak znajome.

— Serce się kraje, prawda? zauważyła jedna z pielęgniarek na tydzień przed gwiazdką. Grace kładła właśnie do łóżka dwuletnią dziewczynkę. Dziecko odniosło trwałe uszkodzenia mózgu, katowane przez ojca, który siedział teraz w więzieniu. Grace doznawała dziwnych uczuć na myśl, że tamten dostał wyrok, a jej własny ojciec umarł jako bohater.

— Tak, to prawda „— powiedziała. Znała tę historię aż za dobrze. — Ale one i tak mają szczęście. Trafiły tu, do nas. Przynajmniej na razie nic im nie grozi.

Prawdziwa tragedia polegała na tym, że części podopiecznych nie byli w stanie pomóc. Istniały kobiety, które — jak niegdyś matka Grace — nie umiały się rozstać z brutalnymi mężami, a wracając do domów zabierały ze sobą dzieci — ranne, okaleczone, niektóre na zawsze zwichnięte psychicznie. Inne żony jednak pojmowały w końcu, jak wysoka jest stawka, i próbowały zacząć życie od nowa. Grace całymi godzinami tłumaczyła im, że mają wybór, że wolność jest im dana, trzeba tylko po nią sięgnąć. Wszystkie były zastraszone, ogłuszone cierpieniem, zupełnie zdezorientowane tym, co przeszły. Grace dopiero teraz zrozumiała, w jakim stanie była ona sama, gdy po aresztowaniu usiłowała się z nią porozumieć Molly York. W pewnym sensie Grace robiła to wszystko dla niej. Chciała przelać na innych choć trochę tej miłości, którą obdarowała ją Molly.

— Jak leci? — zagadnął ją któregoś wieczoru Paul Weinberg, główny psycholog i kierownik ośrodka. Grace nie znała go dobrze, ale już polubiła, to zaś, co dotąd zaobserwowała, wzbudziło w niej szacunek. Pracował ciężko, tak jak oni wszyscy. Tej nocy musieli odesłać dwie kobiety do szpitala. Weinberg sam je zawiózł, podczas gdy Grace zajęła się ich dziećmi. W sumie było ich ośmioro, teraz wszystkie leżały już w łóżkach. Większość poszkodowanych zjawiała się w nocy. Przerażone, pobite kobiety i dzieci potrzebowały pomocy. Oni byli tam po to, aby jej udzielić.

— Nieźle — uśmiechnęła się. — Straszny dzisiaj ruch.

— To norma. Zwłaszcza tuż przed świętami ludzie wpadają w istny amok. Jeśli ktoś ma ochotę pobić żonę i dzieci, jest to wymarzona pora.

— Jak to możliwe? Rozsyłają wici? „Bij żonę, nie zwlekaj; już tylko sześć dni do Bożego Narodzenia?” — Grace była zmęczona, lecz humor wciąż jej dopisywał.

— Coś w tym rodzaju. Weinberg uśmiechnął się i nalał jej kawy. — Myślałaś kiedyś, żeby zająć się tym na serio; to znaczy, chciałem powiedzieć: zawodowo?

— Właściwie nie — przyznała szczerze, choć czuła się mile polechtana tym pytaniem. Paul miał takie same welniste włosy jak David Glass i te same życzliwe oczy, był wszakże wyższy i przystojniejszy. — Kiedyś bardzo chciałam studiować psychologię. Teraz nie jestem już taka pewna, czy dałabym sobie radę w tym zawodzie. Owszem, lubię ludzi i podoba mi się myśl, że możemy coś zmienić w ich życiu. Na razie jednak wolontariat u Maryi Panny w zupełności mi wystarczy. Nie muszę dostawać pieniędzy za tę pracę. Dość, że sprawia mi radość — uśmiechnęła się ponownie.

Paul przyjrzał jej się uważnie. Intrygowała go.

— Masz do tego wrodzony dar, Grace. W wolnej chwili pomyśl o studiach.

Po północy przyjęli jeszcze kilka osób i każdą z nich trzeba było gdzieś ulokować. Kiedy już dla wszystkich znalazło się miejsce, Paul Weinberg zaproponował, że odwiezie ją do domu. Grace była mu wdzięczna, bo nie czuła już

nóg.

— Byłaś dziś wspaniała — pochwalił ją ciepło.

Zdziwił się, gdy zobaczył, gdzie mieszka. Ludzie z Lake Shore Drive zwykle nie zawracali sobie głowy ochotniczymi dyżurami w schronisku.

— Fiu, fiu! — zagwizdał, parkując pod jej domem. — Cóż za elegancka dzielnica, Grace. Jesteś milionerką?

Wybuchnęła śmiechem. Czowała, że żartuje, ale był też zaciekawiony.

— Mieszkam tu z czterema innymi dziewczynami — wyjaśniła. Zaprosiłaby go do środka, lecz było już za późno; minęło w pół do trzeciej. — Wpadnij kiedyś na kawę, jeśli zdołasz wyrwać się wcześniej z ośrodka.

Było to przyjacielskie, pozbawione krzty kokieterii zaproszenie.

— Czasem mi się to udaje — uśmiechnął się. — A ty? Co robisz, kiedy nie pomagasz kobietom i dzieciom w kryzysowej sytuacji? — Chciał poznać ją bliżej, a jego zainteresowanie wcale nie było wyłącznie platoniczne.

— Pracuję w agencji modelek — oznajmiła z dumą.

Paul uniósł brew.

— Jesteś modelką? — Właściwie nie był zaskoczony, choć uznał, iż to niezwykle, by ktoś z racji zawodu zapatrzony w siebie był jeszcze w stanie poświęcać się dla bliźnich. Grace bowiem dawała z siebie bardzo wiele.

— Pracuję w biurze — uśmiechnęła się — ale wszystkie moje współmieszkanki to modelki. Musisz je koniecznie poznać.

W zawołany sposób dawała mu do zrozumienia, że nie jest nim zainteresowana — w każdym razie nie jako mężczyzną. Paul był ciekaw, czy ma kogoś, ale nie chciał pytać o to wprost.

— Chętnie wpadnę kiedyś, żeby cię zobaczyć — uściślił. Był to kiepski pretekst. Spotykali się trzy razy w tygodniu u Maryi Panny.

Grace wzięła dodatkowy dyżur w wigilię Bożego Narodzenia i zdumiała się widząc, ile kobiet przyjęło tej nocy. Wróciła do domu dopiero o czwartej nad ranem. Nazajutrz zdołała jeszcze pójść wraz z koleżankami na doroczne przyjęcie gwiazdkowe wydawane przez Swansonów dla wszystkich pracowników i współpracowników firmy. Było bardzo miło i ku własnemu zaskoczeniu Grace naprawdę dobrze się bawiła. Jedyny drobny zgrzyt stanowiło to, że Bob trochę za mocno przyciskał ją w tańcu. Ponadto musnął palcami jej pierś, sięgając po zakąskę. Uznała to za przypadek i po chwili już o tym zapomniała. Wieczorem jednak zmartwił ją komentarz Marjorie, troskliwej „mamuśki”, która znała te sztuczki z własnego doświadczenia.

— Wujek Bobby bardzo cię dziś wyróżniał zauważyła.

— Co masz na myśli? — Grace spojrzała na nią zaskoczona. — Po prostu starał się być miły. W końcu to Boże Narodzenie.

— Święta niewinności! Chyba sama nie wierzysz w to, co mówisz.

— Przesadzasz. — Grace nie chciało się wierzyć, by Bob zdradzał Cheryl. Ba, z pewnością narażony był na wiele pokus...

— Nie bądź naiwna. Myślisz, że jest jej wierny? — włączyła się do rozmowy Diyina. W zeszłym roku przez okrągłą godzinę gonił mnie po biurze, przy czym omal nie złamałam sobie nogi o ten cholerny niski stolik. O, wujek Bob nie zasypia gruszek w popiele!

Najwyraźniej zostałaś jego następnym celem.

— Psiakość! — Grace spojrzała na nie zmartwiona.

Wydawało mi się, że coś jest nie tak, ale doszłam do wniosku, że sobie to uroiłam.

— W takim razie ja też cierpię na urojenia — zaśmiała się Marjorie. Myślałam, że lada moment zedrze z ciebie kieckę.

— Czy Cheryl zdaje sobie z tego sprawę? — zapytała Grace z nieszczęśliwą miną. Nie miała najmniejszej ochoty wikłać się w romans z żonatym mężczyzną, a tym bardziej — robić sobie wroga z Cheryl. Żaden zresztą romans na razie nie wchodził w grę. Grace miała wątpliwości, czy kiedykolwiek zdoła się przełamać.

Paul Weirberg dzwonił do niej kilka razy z zaproszeniem na kolację, ale niezmiennie odmawiała. Ostatecznie w sylwestra, kiedy znów pełniła dyżur w schronisku, zmusił ją, żeby usiadła z nim na dziesięć minut i podał jej piętrową kanapkę z indykiem.

— Dlaczego mnie unikasz? — zapytał oskarżycielskim tonem w chwili, kiedy całe usta wypchane miała mięsem. Upłynęła minuta, nim mogła mu odpowiedzieć.

— Nie unikam cię — stwierdziła zgodnie z prawdą. Po prostu wzdragała się do niego dzwonić. Mimo to dobrze się czuła w jego towarzystwie.

— Właśnie że tak — uciał. — Jesteś z kims związana?

— Naturalnie — potwierdziła radośnie, widząc, jak rzędzie mu mina. — Z tym ośrodkiem, z pracą, z koleżankami. I to wystarczy. Praktycznie brak mi czasu, żeby przeczytać książkę albo pójść do kina. Ale lubię to.

— Może powinnaś trochę od nas odpocząć — uśmiechnął się, czując ulgę, że nie wspomniała o żadnym chłopaku. Fascynowała go. Paul Weinberg miał trzydzieści dwa lata i nigdy jeszcze nic spotkał kogoś takiego jak Grace. Błyskotliwa, dowcipna, obdarzona złotym sercem, a przy tym tak po staroświecku nieśmiała. — Wybierz się do kina — dodał. On sam również od wielu miesięcy nie był w kinie. Przez pewien czas umawiał się z jedną z pielęgniarek, ale jakoś nic z tego nie wyszło. Grace wpadła mu w oko prawie natychmiast, gdy tylko pojawiła się u Maryi Panny.

Nie chcę odpoczywać. Uwielbiam takie życie ozna)miła wesoło, pakując do ust resztę kanapki.

— Dlaczego siedzisz tu w sylwestra? — spytał z oburzeniem.

— Mogłabym ci zadać to samo pytanie.

— ja tu pracuję.

— Ja też. Tyle że mi nie płacisz.

— Nadal sądzę, że powinnaś przejść na zawodowstwo

— rzekł, lecz nie zdążył rozwinąć tematu, bo oboje zostali odwołani w przeciwnych kierunkach. Dyżur Grace przeciągnął się do późnej nocy, a potem nie widziała Paula aż do czwartku. Znowu zaproponował, że odwiezie ją do domu, ale wzięła taksówkę. Nie chciała go ośmielać. W końcu pewnej niedzieli przyłapał ją w ośrodku.

— Zjesz ze mną lunch?

— Teraz? — zdziwiła się. Mieli przed sobą jeszcze mnóstwo pracy.

— Nie dziś, w tygodniu. Kiedykolwiek zechcesz. Chciałbym się z tobą spotkać. — Był wyraźnie zmieszany.

— Po co? — wyrwało jej się.

Paul wybuchnął śmiechem.

— Żartujesz? Patrzyłaś w tym tygodniu w lustro? Poza tym jesteś inteligentna³ masz poczucie humoru i chciałbym cię lepiej poznać.

— Nie ma czego poznawać, w rzeczywistości jestem beznadziejnie nudna — powiedziała, a on znowu się roześmiał.

— Próbujesz mnie splawić?

— Być może — przyznała szczerze. — Prawdę mówiąc, nie chodzę na randki.

— Praca, praca i jeszcze raz praca? — spytał ubawiony.

Grace przytaknęła ruchem głowy.

— Świetnie. Widzę, że jesteśmy dla siebie stworzeni. Ja też na ogół poświęcam się wyłącznie pracy. Ostatnio jednak doszedłem do wniosku, że jedno z nas powinno przerwać ten cykl.

— Dlaczego? Przecież nam z tym dobrze.

Nagle odniósł wrażenie, że Grace się go boi.

— Na litość boską, czy naprawdę nie dasz się namówić na lunch? Musisz jeść jak wszyscy. Przyjadę po ciebie do centrum, jeśli chcesz. Wybierz datę i miejsce.

W końcu z wielkimi oporami umówiła się z nim na sobotę. Był trzaskający mróz; poszli do restauracji „La Scala” na spaghetti.

— A teraz mów prawdę — zażądał, gdy usiedli, Jakiż to wiatr przywiał cię do Maryi Panny?

— Żaden wiatr — zachichotała. Wyglądała teraz na trzpiotowatą nastolatkę. — Przyjechałam autobusem.

— Bardzo sprytnie — rzekł i nagle popadł w zadumę.

— Właściwie ile ty masz lat?

W duchu dawał jej dwadzieścia pięć lub sześć. Obserwował ją przy pracy; była taka dojrzała.

— Dwadzieścia — powiedziała z dumą, jakby chwaliła się nie byle jakim osiągnięciem.

Nieomal jęknął, kiedy to usłyszał. Tak, to wiele wyjaśniało. — W lecie skończę dwadzieścia jeden.

— Bomba. Czuję się tak, jakbym próbował obrabować kołyskę. Ja w sierpniu skończę trzydzieści trzy.

— Przypominasz mi mojego dawnego znajomego. Jest adwokatem, mieszka w Kalifornii.

— Jesteś w nim zakochana? spytał Paul Weinberg żałościwie. Gotów był się założyć, że w jej życiorysie musi tkwić przyczyna tej wiecznej rezerwy. Bardzo młody wiek na pewno po części ją tłumaczył, ale Paul podejrzewał, że chodzi o coś więcej.

Grace jednak skwitowała to wybuchem śmiechu.

— No wiesz! Jest żonaty, niedługo urodzi mu się dziecko.

— Więc kto jest tym szczęściarzem?

— Jakim znów szczęściarzem? — zerknęła na niego zakłopotana. — Mówiłam ci już, że nie mam nikogo.

— Ale w ogóle lubisz mężczyzn? — Wiedział, że pytanie brzmi idiotycznie, lecz w dzisiejszych czasach warto było je zadać.

— Nie wiem — odparła szczerze, podnosząc na niego wzrok znad talerza. — Nigdy nie chodziłam na randki.

— Nigdy w życiu! — wykrzyknął z niedowierzaniem.

— Nie. Ani razu.

— Nieźle jak na dwudziestolatkę. Potraktował to jak wyzwanie. — Czy istnieje ku temu jakiś szczególny powód?

— Och, chyba niejeden. Przede wszystkim nie mam na to ochoty.

— Grace, to nie jest normalne!

Czyżby? — Spojrzała mu prosto w oczy. — A może właśnie tak chcę żyć? Nikt nie ma prawa osądzać, co jest dla mnie dobre.

Nagle zrozumiał, jakim dotąd był głupcem. Dlatego właśnie pracowała w schronisku. Żeby pomóc innym, którzy przeszli to samo co ona.

— Miałaś złe doświadczenia? — spytał delikatnie.

— Można tak powiedzieć — stwierdziła ostrożnie. Ufała mu, lecz nie miała zamiaru zwierzać się ze wszystkich swoich tajemnic. Bardzo złe. Nie gorsze jednak od tych, o których codziennie słyszy się w ośrodku. To chyba na zawsze zostaje w człowieku.

— Nie. Można to pokonać. Chodzisz do terapeuty?

Teraz już nie. Moja terapeutka była równocześnie moją przyjaciółką. Zginęła w wypadku zeszłego lata. — Grace posmutniała.

Zrobiło mu się jej żal. Wyglądała na taką samotną.

— A rodzina? Starali ci się jakoś pomóc?

Grace uśmiechnęła się. Tylko czas mógł uleczyć jej rany.

— Nie mam rodziny. Ale nie jest tak źle, jak się wydaje. Mam grono znajomych i świetną pracę. I wszystkich tych wspaiałych ludzi u Maryi Panny.

— Chętnie bym ci pomógł, gdybyś tylko zechciała.

Wiedziała, że ograniczyłby się do roli psychoterapeuty, gdyby tego od niego zażądała.

Naprawdę jednak przede wszystkim widział w niej kobietę. Ten zaś rodzaj terapii zanadto ją przerażał. Nie dojrzała do tego i być może nigdy nie dojrzeje.

— Jeśli będzie mi potrzebna pomoc, dam ci znać — uśmie—

chnęła się.

Zamówili kawę. Spędzili potem przemile popołudnie, spacerując wokół jeziora i gawędząc o najrozmaitszych sprawach. Paul zdawał sobie sprawę z tego, że nie może jej naciskać. Było to dla niej zbyt niebezpieczne. Sama jego deklaracja sprawiła, że znów trochę zamknęła się w sobie.

— Grace — powiedział, kiedy wysadził ją pod jej domem

— za nic nie chciałbym cię skrzywdzić. Po prostu pamiętaj, że jestem przy tobie na wypadek, gdybyś potrzebowała przyjaciela. — Uśmiechnął się z zażenowaniem. — Och, nie obraziłbym się, gdyby ten układ przerodził się w coś więcej, ale nie chcę cię do niczego zmuszać.

Była taka młoda. To jeszcze bardziej utrudniało sprawę.

— Dziękuję ci — powiedziała. — To był naprawdę cudowny dzień.

Spotykali się później od czasu do czasu. Paul nie dawał za wygraną, ona zaś lubiła jego towarzystwo, ale nigdy nie wykroczyli poza zwykłą przyjaźń. Paul zajął w życiu Grace miejsce Davida, a może nawet Moity.

Na wiosnę Louis Marquez znów zaczął sprawiać jej kłopoty. Właśnie rozstał się ze swoją kobietą — o czym, rzecz jasna, nie wiedziała — i musiał się na kimś wyżyć. Zaczął nachodzić Grace, która przedstawiła go jako przyjaciela ojca. Zadawał przy tym mnóstwo kłopotliwych pytań jej współlokatorce. Czy brały prochy? Czy lubiły pozować nago? Czy pochwały swobodę seksualną? Raz chciał nawet umówić się z Brigitte. Grace zrobiła mu później dziką awanturę.

— Nie ma pan prawa nagabywać moich koleżanek!

— Mogę nagabywać, kogo chcę. Zresztą przez pół godziny robiła do mnie oko. Wiem, czego chciała; nie oszukuj się złotko, ona nie jest dziewicą.

— Nie jest też ślepa — wypaliła Grace, czym rozzłościła go bardziej niż kiedykolwiek dotąd. Była w stosunku do niego coraz śmielsza, ale też Marquez doprowadzał ją do szału.

— Podziękuj mi lepiej, że nie powiedziałem im, kim jesteś

— syknął.

— Niech pan to zrobi, a zaskarżę pana za naruszanie mojego dobrego imienia wśród współpracowników. Sąd utajnił moje akta.

— Bzdura. Nikogo nie zaskarżysz.

Miał oczywiście rację, musiała jednak trochę go ukrócić. Jak większość tupeciarzy wycofywał się, gdy ktoś na niego krzyknął. Po jakimś czasie zresztą znudziło mu się odwiedzanie jej.

Kiedy w maju Brigitte wyjechała do Tokio na trzymiesięczny kontrakt, znalazły ją dziewczynę na jej miejsce. Tym razem była to Francuzka o imieniu Mireille. Pochodziła z Nicei i miała dziewiętnaście lat. Fascynowało ją wszystko, co amerykańskie, począwszy od hot-dogów i prażonej kukurydzy. Uwielbiała także amerykańskich chłopców, choć nie aż tak, jak oni przepadali za nią. Od samego przyjazdu codziennie umawiała się z kimś na randkę. W związku z tym Diyina, Marjorie, Allyson i Grace bawiły się we własnym gronie.

Czwartego lipca Swansonowie urządzili piknik w swoim wiejskim domu w Barrington 1-lilis. Grace zaprosiła Paula) który przeszedł tam chrzest bojowy w podrywaniu modelek. Koleżanki uznały, że jest szalenie miły i dopytywały się, czy to z nim Grace spędza każdą wolną chwilę.

— Mniej więcej — powiedziała chytrze. Bardzo im się to spodobało.

Za jakiś czas dziewczęta urządziły Grace przyjęcie urodzinowe, czym sprawiły jej dużą niespodziankę; zaprosiły całą agencję i oczywiście Paula. Były to dwudzieste pierwsze urodziny Grace. Kiedy później zostały tylko z Paulem na patio, dziewczyna mimo woli zamyśliła się nad tym, jak dalece zmieniło się jej życie w ciągu ubiegłego roku. Nikt z tych ludzi nie wiedział, że poprzednie urodziny spędziła w więzieniu. Wspomniła Luanę i Sally i zrobiło jej się smutno, gdy uświadomiła sobie, że postępuje dokładnie według ich wsk—
zówek. Z rzadka tylko wyciągała je z lamusa, przyciskała do serca na ulotną chwilę. Wszyscy ci ludzie, których kiedyś kochała, odeszli w przeszłość. Ostatnią wiadomość od Davida dostała w marcu, kiedy urodził mu się syn. Do Luany i Sally też w końcu przestała pisać. Nigdy nie odpowiadały na listy.

Podniosła głowę i ujrzała spadającą gwiazdę. Zamknęła oczy, a potem wypowiedziała w duchu życzenie, by kiedyś naprawdę zamknąć na zawsze tamten rozdział swego życia. Przez moment w jej umyśle zamajaczył Louis Marquez. Grace z wytęsknieniem oczekiwała dnia, gdy nikogo już nie będzie się musiała bać.

— Czego sobie życzyłaś? zagadnął ją Paul. Wiedział, czego on sam chce od spadającej gwiazdy: żeby Grace go pokochała.

— Myślałam po prostu o dawnych przyjaciółach

— uśmiechnęła się do niego ze smutkiem. — Mam nadzieję, że pewnego dnia tamte złe czasy staną się już tylko odległym wspomnieniem.

— Jeszcze tak nie jest? — spytał cicho. Nie wiedział nic o owych złych czasach.

— Już niedługo — powiedziała, szczęśliwa, że ma w nim oparcie. Niedługo... Może za rok...

ROZDZIAŁ 8

Swansonowie Wciąż namawiali ją na karierę modelki, równocześnie jednak otrzymała znaczną podwyżkę i została asystentką Cheryi. Oboje twierdzili, iż w rzeczywistości to Grace zarządza agencją, nie oni. Była sprawna, szybka, błyskotliwa, a przy tym skromna. Znała wszystkie modelki i większość fotografów i ogólnie ją lubiano.

W willi wciąż pojawiały się nowe twarze. Brigitte wróciła z Tokio, ale zamieszkała z pewnym fotografem. Allyson pojechała do Los Angeles, żeby zagrać w filmie, Diyina zaś pozowała do zdjęć w Paryżu. Ze starej gwardii pozostały tylko Marjorie, Grace i Mireille, która zresztą również zamierzała się przeprowadzić do swojego aktualnego chłopaka. W Boże Narodzenie Marjorie zaskoczyła je, ogłaszając swoje zaręczyny. Nigdy jednak nie było problemu ze znalezieniem nowych lokatorek. Tłumy pięknych dziewcząt ścigały do Chicago, marząc o karierze, a wszystkie przecież musiały gdzieś mieszkać. Louis Marquez czasami pojawiał się w willi i przynajmniej raz w miesiącu zmuszał Grace do poddania się badaniu na zawartość narkotyków w moczu. Ku jego rozczerowaniu, wynik niezmiennie był taki sam: negatywny. Chętnie wsadziłby ją do więzienia, ot, z czystej złośliwości.

— Co za wredny gnojek — powiedziała Marjorie, gdy zjawił się znów po świętach, żeby obejrzeć nowe lokatorki.

— Dziwacznego kumpu miał ten twój ojczulek — dodała poirytowana. Znowu położył jej rękę na pośladku, udając, że sięga po popielniczkę. Jego poliestrowe wdzianka cuchnęły potem i papierosami. — Czemu go po prostu nie wyrzucisz?

Na sam widok Marqueza człowiek miał ochotę natychmiast wziąć kąpiel. Grace z całego serca pragnęła mu powiedzieć, żeby się odcepił. Miała jednak przed sobą jeszcze dziewięć miesięcy zawieszenia. Potem koszmar się skończy.

W marcu Swansonowie chcieli zabrać ją ze sobą do Nowego Jorku. Marquez oczywiście z miejsca odmówił zgody, Grace musiała więc udać, że ma inne zobowiązania. Żałowała straconej wycieczki, choć i tak nie mogła narzekać na nudę. Wciąż spędzała trzy wieczory tygodniowo w schronisku. Paul Weinberg chyba zrezygnował ze swoich zamierzeń względem niej, bo zaczął się umawiać z jedną z pielęgniarek.

Cheryi Swanson nieraz próbowała wypchnąć Grace na randkę, ale dziewczyna nadal nie przejawiała ku temu żadnych chęci. Za bardzo się bała. Spotkanie z jakimkolwiek mężczyzną zawsze przypominało jej koszmar, który przeżyła z ojcem.

Tak było do czerwca. W czerwcu bowiem w agencji pojawił się Marcus Anders, najprzystojniejszy mężczyzna, jakiego Grace kiedykolwiek poznała. Miał gęste jasne włosy, chłopięcy uśmiech i piegi. Wyglądał młodo, a zarazem dojrzałe; z początku Grace myślała, że jest jednym z modeli.

Marcus był fotografem, przyjechał z Detroit, a jego prace robiły wrażenie. Wyrobił już sobie nazwisko w reklamie, lecz zmierzał na sam szczyt. Chicago, później Los Angeles lub Nowy Jork... dążył na ów szczyt etapami, co świadczyło o jego rozsądku. Był bardzo wyrobiony i pewny siebie i miał fantastyczne poczucie humoru. Grace poleciła mu kilka agencji pośredniczących w wynajmie mieszkań, a następnie przedstawiła go grupce wchodzących właśnie modelek. Nie zrobiły na nim wielkiego wrażenia. Modelki widywał stale. Za to Grace tak naprawdę przykuła jego wzrok i nim wyszedł, zapytał, czy mógłby ją sfotografować. Ona jednak roześmiała się i przecząco potrząsnęła głową.

— Nie, dziękuję. Obiektyw to mój wróg.

— Dlaczegoż to? Czyżbyś się ukrywała?

— Naturalnie. Jestem poszukiwana przez FBI — odparła swobodnie. Jego zainteresowanie schlebiało jej, lecz nie miała zamiaru dać się przekabacić ani jemu, ani nikomu innemu. Wielu fotografów wykorzystywało swój fach do uwodzenia kobiet. — Poza tym zazdrośnie strzegę swego wizerunku.

— Mądra dziewczyna. — Przyjrzał jej się z podziwem i usiadł w fotelu naprzeciw jej biurka. — Ale to wielka szkoda. Masz wspaniałą figurę i urzekające oczy.

Grace ubrana była w wąską czarną spódnicę i czarny sweterek. Po roku pracy u Swansonów nabrała już sporo wielkomiejskiego szyku. Gdy jednak się jej przyjrzał, zobaczył w jej oczach o wiele więcej, niż spodziewał się znaleźć. Na samym ich dnie czaił się zastarzały ból, którego nie zdołała ukryć przed tym utalentowanym znawcą ludzkich twarzy. Zbyła go śmiechem i wzruszeniem ramion, czując, że lada chwila przeniknie jej tajemnicę.

— Wykluczyłabyś z branży wszystkie te dziewczyny

— nalegał. Fotografia była całym jego światem, jedyną rzeczą, jaką prawdziwie kochał.

— Nie chciałabym ich tak bardzo krzywdzić — zażartowała.

— Przemyśl to — uśmiechnął się Marcus, wyplątując długie nogi spod obitego czarną skórą fotelika. — Przyjdę poniedziałek.

Wpadł jednak już nazajutrz, żeby opowiedzieć jej o lokalach, które zdążył obejrzeć. Według niego wszystkie były straszne, on zaś cierpiał męki, bo czuł się samotny. Grace śmiała się z niego, udając współczucie; nagle rzeczowym tonem zaprosił ją na kolację.

— Przykro mi. Nie mogę. — powiedziała krótko. Miała już wprawę w splawianiu podrywaczy.

— Jestem dziś zajęta.

Zawsze starała się, by brzmiało to tak, jak gdyby w jej życiu był jakiś mężczyzna. Dotąd nikt jeszcze się nie domyślił, że życie Grace wypełniały tylko udręczone kobiety i dzieci.

— A zatem jutro.

— Jutro muszę zostać dłużej w pracy. Robimy wielką, dziewięcioosobową reklamę i Chery chce, żebym tu była.

— To żaden problem. Ja też przyjdę. Zlituj się, Grace

— nadąsał się jak dziecko, czym nieco ją rozbroił, mimo twardego postanowienia, że nie da mu się omotać. — Jestem nowy w tym mieście. Nikogo nie znam i jestem sam jak palec.

— Och, dajże spokój, Marcus. Zachowujesz się jak rozpuszczony bachor.

— Jestem rozpuszczonym bachorem — rzeki dumnie i oboje wybuchnęli śmiechem. W końcu, wbrew sobie, pozwoliła mu przyjść na kręcenie reklamy, gdzie w istocie okazał się bardzo pomocny. Na planie kręciło się tylu ludzi, że dodatkowa osoba ginęła w tłumie.

Modelki szybko polubiły Marcusa. Był błyskotliwy, dowcipny i nie tak arogancki jak większość fotografów. Po tygodniu jego codziennych wizyt Grace też w końcu poddała się i

przyjęła zaproszenie na kolację. Była to jej pierwsza randka od czasu spotkań z Paulem Weinbergiem.

Marcus nie mógł uwierzyć, gdy mu powiedziała, że ma dopiero dwadzieścia jeden lat. Była nad wiek dojrzała; ponadto, podpatrując modelki, ubierała się z wyrafinowaną elegancją, która również dodawała jej lat zwłaszcza gdy spięta gęste rude włosy, zwykle rozpuszczone na plecach. Ale Marcus przyzwyczał się już do młodzieńskich dziewcząt, które wydawały się o wiele starsze. Raz czy dwa razy był nawet na tyle głupi, żeby się umówić z piętnastoletnią modelką, myśląc, że jest pełnoletnia.

— Czym zatem się zajmujesz poza pracą? — spytał z zaciekawieniem przy kolacji u Gordona. Właśnie znalazł pracownię. Było to wygodne, przestronne poddasze z pomieszczeniami mieszkalnymi i wszystkim, czego potrzebował.

— Prowadzę dość ruchliwy tryb życia.

Grace ostatnio zaczęła jeździć na rowerze, a jedna z nowych lokatorek willi uczyła ją grać w tenisa. Były to rozrywki, na które w przeszłości nigdy nie miała czasu. Jedyne sporty, jakie dotąd uprawiała, to podnoszenie ciężarów i jogging w więzieniu. Oczywiście nie miała zamiaru mówić o dwóch latach w Dwight ani jemu, ani komukolwiek innemu. Wzięła sobie do serca radę Luany i raz na zawsze odcięła się od przeszłości.

— Masz wielu przyjaciół? — spytał zaintrygowany. Była zamknięta w sobie i pełna rezerwy, a jednak wyczuwał, iż wewnątrz tej zbroi kryje się wspaniała, pełnokrwista kobieta.

— Dostatecznie wielu — uśmiechnęła się, choć nie mówiła prawdy i Marcus o tym wiedział. Wypytywał o nią wielu ludzi. Słyszał, że Grace nigdy nie umawia się na randki, nie jest towarzyska, a wręcz bardzo nieśmiała i pracuje gdzieś społecznie. Zagadnął ją o to przy kawie. Grace opowiedziała mu o schronisku Maryi Panny.

— Cóż jest tak intrygującego w maltretowanych kobietach i dzieciach? — zdziwił się.

— Rozpaczliwie potrzebują pomocy — odparła poważnym tonem. — Kobiety w takiej sytuacji myślą zwykle, że nie mają wyjścia. Stoją w oknie płonącego budynku i trzeba je siłą wyciągać na zewnątrz, bo żadna nie odważy się sama wyskoczyć.

Wiedziała o tym z własnego doświadczenia. Sama nigdy nie pomyślała, że mogłaby uwolnić się z położenia, w jakim się znalazła. W końcu musiała zabić, żeby się ratować. Zapłaciła zbyt wysoką cenę. Grace chciała, żeby inne nie musiały się uciekać do tak drastycznych środków.

— Ale dlaczego tak bardzo ci na nich zależy, Grace?

— Marcus był zaciekawiony, Grace natomiast pozornie otwarta, ale wewnątrz czujna.

— Po prostu widzę w tej działalności sens, a to wiele dla mnie znaczy. Szczególnie praca z dziećmi. Są zupełnie bezbronni i często okaleczeni przez to, co przeszły.

Podobnie jak ona. Grace zdawała sobie w pełni sprawę, ile blizn nosi jej psychika.

Świadomość, że jej cierpienie nie pójdzie na marne, że oszczędzi tym dzieciom konieczności przejścia tą samą cierniową drogą, którą ona miała już za sobą, dodawała jej sił.

— Czy ja wiem... — podjęła — chyba mam do tego zacięcie. Chciałabym pójść na studia i zrobić dyplom z psychologii, ale jakoś nigdy nie starcza mi czasu, Wiesz, praca i tak dalej... Może kiedyś wreszcie się na to zdobędę.

— Niepotrzebny ci dyplom. — Uśmiechnął się szeroko) a w sercu Grace drgnęło coś, co nielicho ją przestraszyło.

— Potrzebny ci facet — skonkludował.

— Skąd ta pewność? — roześmiała się. Marcus zachowywał się jak duże, piękne dziecko. Ujął ją za rękę.

— Ponieważ mimo całej tej brawury i peanów, jakie wyśpiewujesz na cześć twojego stylu życia, wgłębni duszy jesteś samotna jak diabli. Podejrzewam, że nigdy nie miałaś prawdziwego mężczyzny. — Zmrużył oczy i przyjrzał jej się badawczo. — Założę się o ostatniego centa, że jesteś dziewicą.

Grace delikatnie uwolniła dłoń.

— Mam rację, co, Grace?

Grace wymijająco wzruszyła ramionami. Gdyby wiedział...

— Pewnie, że mam rację — rzekł przekonany, że już ją rozgryzł. Zahamowania wyniosła pewnie z pruderyjnej rodziny. Właściwy mężczyzna zrobi z niej naprawdę niezwykłą kobietę.

— Nie każdego da się podciągnąć pod szablon — zauważyła półgłosem Grace. — Niektórzy są troszkę bardziej skomplikowani.

— Opowiedz mi o swoich rodzicach. Kim są, jak wyglądają?

— Nieszczególnie — odparła chłodno. — Umarli, kiedy byłam w liceum.

— Masz rodzeństwo?

— Nie. Prawdę mówiąc, w ogóle nie mam żadnych krewnych.

To sporo wyjaśniało. Poniosła ciężką stratę i została sama. Nauczyła się liczyć wyłącznie na siebie. Nic dziwnego, że wydawała się taka dorosła. Marcus zdążył już stworzyć jej psychiczny portret, będący w całości dziełem jego wyobraźni.

— Aż dziw, że z rozpaczyny nie wyszłaś za mąż w głosie fotografa dał się słyszeć szacunek.

— Nie miałam za kogo — ucięła sucho Grace.

— I co zrobiłaś? Zamieszkałaś u znajomych?

Kiwnęła głową, myśląc: „Z całą paczką znajomych. W więzieniu.” Ciekawe, jak by zareagował, gdyby powiedziała mu prawdę. Pewnie byłby wstrząśnięty, słysząc, że zabiła ojca. Absurdalność tej rozmowy rozśmieszyła ją. Marcus nic o niej nie wiedział, nie miał pojęcia, kim naprawdę była. Ludzie, którzy ją znali, zniknęli z jej życia. Przestała już nawet do nich pisać. Tylko pracą w schronisku mogła spłacić dług zaciągnięty u tych ludzi, którzy ongiś okazali jej serce. Było ich niewielu, ale przez ich pamięć chciała pomóc innym.

— Musi ci być ciężko, szczególnie w święta — rzekł ze współczuciem Marcus.

— Teraz już nie — uśmiechnęła się. Nie było jej ciężko, odkąd wyszła z Dwight. Zadne święta nie mogły być gorsze od świąt spędzanych w więzieniu. — Człowiek się przyzwyczaja
dodała.

— Dzielna z ciebie dziewczyna, Grace.

Dzielniejsza, niż przypuszczał. O wiele dzielniejsza.

Po kolacji poszli razem na drinka do odkrytej przez niego knajpki, w której stara grająca szafa odtwarzała muzykę z lat pięćdziesiątych. W niedzielę zaś wybrali się na wycieczkę rowerową dookoła jeziora. I mimo ponawianych w duchu ostrzeżeń Grace bardzo polubiła Marcusa. Był cierpliwy; zdawał się rozumieć, że potrzeba jej czasu i mnóstwa czułości, nim odważy się pójść o krok dalej. Pozwolił sobie tylko na delikatny pocałunek, który Grace przeraził, lecz równocześnie urzekł.

W następną sobotę pojechali razem na zakupy. Marcus musiał zaopatrzyć się w profesjonalny sprzęt. Agencja już zaczęła przydzielać mu zlecenia. Miał spory talent.

— Wykorzystaj Marcusa, póki jeszcze możesz — powiedziała do Grace Cheryi Swanson — bo nie zagrzej e długo u nas miejsca. Założę się, że w ciągu roku wyląduje w Nowym Jorku, jeśli nie w Paryżu. Jest za dobry, żeby tu siedzieć.

Marjorie miała na jego temat inne zdanie. Jej koleżanki z branży tworzyły siatkę, obejmującą niemal cały świat. Informacje o Marcusie nadeszły z Detroit.

— Podobno parę lat temu zgwałcił jakąś dziewczynę. Uważaj na niego, Grace. Ja mu nie ufam.

— Nonsens. Marcus opowiadał mi o tym. Miała szesnaście lat, a wyglądała na dwadzieścia pięć. I to ona praktycznie zdarła z niego ubranie.

— Miała trzynaście lat, a jej ojciec chciał wsadzić go do więzienia — oświadczyła stanowczo Marjorie. — Wywinął się z tego, pewnie dzięki łapówce. Była jeszcze irina podobna historia, być może to ta druga miała szesnaście lat.

Modelki, zwłaszcza młode, stanowiły łatwy łup dla pozbawionych skrupułów „artystów”.

— Eloise mówi też, że robił zdjęcia porno — dodała Marjorie. — Przyzwoici faceci nie zarabiają na czynsz w taki sposób.

— Co za wierutne bzdury! — zaperzyła się Grace. — Pewnie sama miała na niego ochotę i teraz oczernia go z zazdrości!

Marcus nie był taki. Dawne doświadczenia i praca w agencji nauczyły Grace znajomości ludzi. Oburzyła się, że Marjorie tak niesprawiedliwie osądza człowieka, który na to nie zasłużył. Marjorie w ogóle była zbyt surowa. Strasznie zasadnicza, prawdziwa matrona. Grace miała ochotę jej powiedzieć, że nie potrzebuje matki.

— Eloise to porządna dziewczyna — Marjorie stanęła w obronie koleżanki. — A ty lepiej bądź ostrożna. Nie jesteś taka sprytna, jak ci się wydaje. Za rzadko spotykasz się z mężczyznami, żeby się na nich znać.

— Sama nie wiesz, o czym mówisz! — Po raz pierwszy Grace naprawdę rozzłościła się na Marjorie. — Marcus to przyzwoity chłopak; zresztą w ogóle nie pcha się z łapami.

— Świetnie. Bardzo się z tego cieszę. Powtarzam ci tylko: ten facet ma fatalną reputację.

— Dzięki za ostrzeżenie — sarknęła poirytowana Grace i wyszła, zatraskując za sobą drzwi. Co za podłe kalumnie! Niestety, w tej branży huczało od plotek. Modelki i fotograficy często prowadzili regularne wojny, obwiniając się wzajem za niepowodzenia. Przy tej okazji imano się wszystkich, nieraz brudnych chwytów, byle tylko zaszkodzić przeciwnej stronie. Marjorie powinna się dwa razy zastanowić, nim da wiarę nie sprawdzonym pogłoskom. A te zdjęcia porno to już naprawdę nonsens! Marcus opowiadał Grace, że dorywczo pracował w Detroit jako kelner, żeby opłacić czynsz za atelier. Nie wspominał o porno, a choć nie miał się czym chwalić, Grace czuła instynktownie, że był wobec niej szczerzy nawet gdy chodziło o jego przeszłe grzeszki. Dawno już nie ufała nikomu tak, jak jemu.

Czwartego lipca bawili się razem na przyjęciu w firmie. Cheryi otwarcie błagała Marcusa, żeby namówił Grace na sesję zdjęciową. Grace jednak wyśmiała ich oboje, jak zawsze przecząco potrząsając głową. Kariera modelki nadal jej nie pociągała.

Wieczorem Marjorie poinformowała ją, że Marcus umówił się z dwiema modelkami na randkę. Uważała, że Grace powinna o tym wiedzieć.

— Marcus nie jest moim mężem — oświadczyła dumnie Grace.

Ostatecznie, nawet nie sypiali ze sobą. Marcus co prawda raz czy dwa o tym napomknął, ale dała mu do zrozumienia, że potrzeba jej jeszcze trochę czasu. Jego czar jednak już działał i ostrzegawcze uwagi Marjorie odniosły skutek przeciwny do rniezOneg0. Na początek, ku własnemu zdumieniu, Grace zgodziła się pozować mu do zdjęć.

— Masz wszystko, co potrzebne — perorował — wzrost, wygląd, styl; jesteś szczupła i młoda... Większość dziewcząt oddałaby wszystko za taką szansę. Spróbuj! W najgorszym wypadku zostanie mi twoje zdjęcie, żebym miał na co patrzeć, kiedy cię przy mnie nie ma... Droczył się z nią, błagał, całował ją po szyi, w końcu więc powiedziała, że zrobi to dla niego. Obiecał, że nikomu nie pokaże zdjęć.

— Nie wiem, dlaczego jesteś taka nieśmiała — powiedział ze śmiechem, przyrządzając spaghetti w kuchni na poddaszu.

Tego wieczoru omal nie wylądowali w łóżku, Grace jednak wolała jeszcze trochę poczekać. Sesja zdjęciowa miała się odbyć w następną sobotę i Grace zamartwiała się przez cały tydzień. Drażniło ją wszystko, co się z tym wiązało, przede wszystkim zaś myśl, że stając przed obiektywem redukuje się do roli obiektu seksualnych pragnień. Robiła to naprawdę tylko dla Marcusa oraz dla zabawy. Marcus wszystko potrafił robić na wesoło.

W sobotę punktualnie o godzinie dziesiątej przyszła do atelier, tak jak obiecała. Poprzedni wieczór spędziła u Maryi Panny, wróciła późno i była niewyspana. Marcus zrobił jej kawy. Wszystko było już przygotowane. W studio stał biały skórzany fotel, częściowo przykryty białym lisim futrem, na którym Marcus kazał się jej wyciągnąć. Grace miała na sobie dzinsy i

białą trykotową koszulkę. Poprosił, żeby rozpuściła włosy, które gęstą kaskadą opadły jej na ramiona, potem zaś przebrał ją we własną frakową koszulkę i stopniowo rozpiął guzik po guziku. Mimo to zdjęcia były przyzwoite; Grace świetnie się bawiła. Marcus tańczył wokół niej, fotografował ją w tysięcznych pozach, a każde zdjęcie odczuwała niemal jak zmysłową pieśczętę.

W południe wręczył jej kieliszek wina i obiecał suty lunch po zakończeniu sesji.

— Wiesz, jak wkraść się do serca dziewczyny — zachichotała.

Marcus z poważną miną wyrzwał zza aparatu.

Nie jestem tego pewien, a bardzo mi zależy... — wyznał.

Zarumieniała się; natychmiast pstryknął zdjęcie, najlepsze w całej sesji.

— Czy przysunąłem się choć trochę bliżej twojego serca, Grace? szepnął namiętnie.

Grace poczuła, jak oblewa ją fala gorąca. Wino uderzyło jej do głowy; ponieważ nie przypomniała sobie, że nie zjadła śniadania. Co za głupota, pić alkohol na pusty żołądek. Do tego wino było bardzo mocne. Marcus poprosił ją nieśmiało, żeby zdjęła dżinsy. Krępowała się, choć koszula sięgała jej do pól uda. W końcu gdy przyrzekł, że tych zdjęć nie pokaże nawet Cheryi, zsunęła spodnie i ułożyła się z powrotem na futrze, osłonięta tylko rozpiętą do pasa białą męską koszulką. Czuła, że z wolna odpywa w sen.

Kiedy się ocknęła, Marcus ją całował. Jego dłonie błądziły po całym jej ciele. Słyszała trzask migawki, widziała błyski flesza, lecz nie rozumiała, co się z nią dzieje. Wszystko wirowało; bezwładnie osuwała się w dół, walcząc z ciężarem powiek. Marcus wciąż ją pieścił; przez chwilę wydało

jej się, że czuje znów przyływ dawnej panicznej trwogi, gdy jednak ponownie otworzyła oczy, zrozumiała, że to był tylko sen. Marcus stał obok, patrzył na nią z uśmiechem.

— Co się stało? — przeraziła się. Było jej niedobrze, przed oczyma latały ciemne plamki.

— Zdaje się, że wino uderzyło ci do głowy — wyjaśnił.

— Przepraszam, tak mi przykro... — wymamrotała zdrętwiałymi wargami.

Marcus uklękł przy niej i pocałował ją tak mocno, że znów zakręciło jej się w głowie.

Chciała przerwać to zniewalające odurzenie, a zarazem wcale tego nie chciała.

— Mnie tam nie jest przykro — szepnął, wtuliwszy twarz między jej piersi. — Bardzo cię lubię, kiedy jesteś pijana.

Jego język przesuwiał się kusząco w dół po jej brzuchu, coraz niżej... Nagle Grace wyrwała się i otworzyła oczy. Nie mogła tego zrobić.

No, skarbie... — szeptał. — Jak długo każesz mi jeszcze czekać? Pragnę cię, Grace...

— Nie mogę — szepnęła ochryple. Pokój wirował, a ona ZnÓW poczuła mdłości. Dłoń Marcusa wędrowała tam, gdzie nie dotykał jej nikt poza ojcem. Zanadto się bała; głowę miała pełną wspomnień tamtej koszmarnej nocy, nocy zabójstwa.

— Nie mogę — powtórzyła. Nie miała dość sił, by go powstrzymać.

— Och, na litość boską, dlaczego nie? — Po raz pierwszy od początku ich znajomości Marcus stracił cierpliwość. Równocześnie jednak wino zaszumiało jej w głowie i Grace bez ostrzeżenia straciła przytomność.

Kiedy się obudziła, Marcus leżał kolo niej, zupełnie nagi. Uśmiechał się. Grace poczuła nagły przypływ paniki. Nic nie pamiętała, urwał jej się film.

— Marcus, co się stało? — spytała przerażona, zaciągając koszulę na piersiach.

— Nie wiesz? Byłaś świetna, mała. Do końca życia tego nie zapomnę. — Głos Marcusa był szorstki i zły.

— Jak możesz tak mówić? — rozplakała się. — Jak mogłeś to robić ze mną, kiedy byłam nieprzytomna? — Żołądek znów podjechał jej do gardła, w piersi czuła ucisk, ale była za słaba, żeby poszukać inhalatora.

— Skąd wiesz, co robiłem? — Wstał i zaczął się przechadzać po pokoju, prezentując jej swe wspaniałe ciało.

— Może zawsze pracuję na golasa. Tak jest o wiele chłodniej.

Odwrócił się raptownie; Grace spuściła wzrok. Nie tak miał wyglądać jej pierwszy raz. Nie wiedziała, czy jest bardziej zrozpaczona czy wściekła. Zawsze było tak samo. Gwałt. Tego od niej chcieli.

— Nic się nie stało — ciągnął, krocząc powoli ku niej.

— Nie jestem nekrofilem. Bez problemu znajduję żywe baby do łóżka. A ty wyglądałaś jak trup. Udajesz normalną, ale kiedy przychodzi do konkretów, zachowujesz się jak psychopatka. Myślałem, że rozwalisz mi łeb, kiedy chciałem ci zdjąć majtki.

Być może nie był daleki od prawdy.

— Boję się, to wszystko. Trudno to wytłumaczyć. Zwlokła się niezdarnie z fotela, znalazła na podłodze swoje dzinsy i stanęła chwiejnie, by je włożyć. W głowie jej huczało.

— Powiedz mi prawdę. Kochałeś się ze mną? — spytała ze łzami w oczach.

— Już ci mówiłem, że nie. Nie wierzysz mi?

Spoił ją, robił zdjęcia, gdy była nieprzytomna. Jego pieszczoty sprawiały jej wtedy przyjemność, ale teraz czuła się zbrukana.

— Jak mogę ci ufać po tym, co zrobiłeś? — powiedziała cicho, walcząc z nową falą mdłości.

— To nie jest sprzeczne z prawem, wiesz? Ludzie robią to codziennie i wyobraź sobie, że niektórzy nawet to lubią. Masz dwadzieścia jeden lat, zgadza się? Nie uważasz, że pora już pozbyć się dziewictwa? Co z tobą? Jesteś lesbą?

Marcus pochylił się, żeby wciągnąć spodnie.

— Mam dość tej zabawy, Grace podjął zimno. — Zainwestowałem w ciebie mnóstwo czasu i tony spaghetti, Powinniśmy pójść do łóżka dwa tygodnie temu. Nie mam czterestu lat, żeby chodzić do kina. Tym bardziej że wokół kręci się mnóstwo normalnych dziewczyn.

Nagle zdała sobie sprawę, że był podłą kanalią, a nie człowiekiem, za którego go uważała. To oczywiste, że jej nie kochał. Był tylko miły, żeby dostać to, czego chciał.

— Przykro mi, że zmarnowałam twój cenny czas — powiedziała.

— Mnie także — rzucił nonszalancko. — Prześlę odbitki do agencji. Możesz wybrać sobie zdjęcia, które ci się spodobają.

— Nie mam ochoty ich oglądać. Najlepiej je spał.

— Wierz mi, że tak zrobię — odparł kwaśno. — A propos, miałaś rację. Rzeczywiście f1C nadajesz się na modelkę.

— Wiem — szepnęła, wkładając sweter. W jednej chwili ten człowiek stał się dla niej obcy. Potem wzięła torebkę, podeszła do drzwi i obejrzała się.

Marcus stał przy stoliku z taką miną, jakby to on został pokrzywdzony. Wyjmował z aparatu kasetę z filmem.

— Przykro mi, że tak wyszło — powiedziała ze smutkiem.

Nie odezwał się ani słowem. Nie ta, to inna, myślał. W tym zwodzie spotykało się dość pięknych dziewcząt.

Grace z wielkim trudem zeszła na dół po schodach, zatrzymała taksówkę i podała kierowcy adres willi. Kiedy dojechali na miejsce, musiał ją potrząsnąć, żeby się ocknęła.

— Przepraszam — powiedziała niewyraźnie, wręczając mu opłatę i suty napiwek. Czuła się coraz gorzej.

— Może panience pomóc? — spytał z troską, kiedy zatoczyła się na chodniku.

Marjorie malowała paznokcie w salonie. Słyszając trzaśnięcie drzwi, podniosła głowę i przeraziła się na widok Grace. Dziewczyna była bladozielona i wyglądała tak, jakby miała zemdleć, nim jeszcze dojdzie do sypialni.

— Hej! Co ci jest? — Marjorie skoczyła na równe nogi. Grace zaczęła się osuwać w jej ramiona.

— Chyba mam grypę — wybełkotała. — A może to zatrucie?

— Myślałam, że jesteś u Marcusa. — Marjorie zmarszczyła brwi. — O ile pamiętam, miał ci dziś robić zdjęcia?

Grace tylko pokiwała głową. Czuła się fatalnie, a poza tym nie była pewna, czy ma ochotę rozmawiać o szczegółach. Marjorie ułożyła ją na sofie. Grace znów zaczęła odpływać w niebyt, tak samo jak wtedy, w studio. Może, kiedy tym razem otworzy oczy, Marjorie też będzie naga. Zaśmiała się głośno.

Marjorie spojrzała na nią, po czym wyszła po latarkę i mokry ręcznik. Dwie minuty później położyła zimny okład na czole Grace. Chora otworzyła jedno oko, ale tylko na sekundę.

— Co się stało? — zapytała stanowczo Marjorie.

— Nie jestem pewna — Grace zaczęła płakać.

Marjorie zapaliła latarkę i kazała przyjaciółce otworzyć oczy.

Nie mogę jęknęła Grace. Strasznie boli mnie głowa. Chyba umieram.

Otwórz je. Chcę coś sprawdzić.

— Oczy mam w porządku. To żołądek mi się wywraca... i głowa...

— No już, otwieraj. Tylko na chwilę.

Grace z trudem rozchyliła powieki. Światło latarki wbiło jej się pod czaszkę jak sztylet.

Gdzie byłaś?

— Mówiłam ci... U Marcusa... — Grace znów przymknęła oczy; cały pokój wirował.

— Jadłaś coś albo piłaś?

Cisza.

— Grace, powiedz mi prawdę: brałaś jakieś prochy?

— Oczywiście, że nie! Grace otworzyła oczy na dość długo, by zdążyć w nich błysnąć oburzenie, a następnie uczyniła wysiłek, by oprzeć się na łokciu. Nigdy w życiu nie brałam narkotyków

— Owszem, dziś brałaś — prychnęła ze złością Marjorie.

— Jesteś naćpana po uszy.

— Czym?

Nie wiem. Koką, hiszpańską muchą, środkami uspokajającymi albo LSD; Bóg jeden wie...

Co on ci dał?

— Wypiłam tylko dwa kieliszki wina..., tego drugiego nawet nie skończyłam. Głowa Grace opadła na poduszkę. Pokój wirował coraz szybciej.

Pewnie je coś przyprawił. Nie czułaś się dziwnie?

— Dziwnie? — jęknęła Grace. — To mało powiedziane! Upiornie... Nie wiedziałam, co jest snem, a co jawą. Całował mnie i robił różne takie... potem usnęłam, a kiedy się obudziłam, był goły... ale powiedział że nic się nie stało.

— Zgwałcił cię, łajdak! — W tej chwili Marjorie była zdolna do zbrodni. Nienawidziła drani tego pokroju, zwłaszcza takich, którzy wykorzystują naiwność nastolatków i nowicjuszek.

Grace zmieszana się.

— Właściwie to nawet nie wiem... Chyba nie... nie parnęłam...

— W takim razie dlaczego był goły? — spytała podejrzliwie modelka. — Kochałaś się z nim, zanim straciłaś przytomność?

— Nie. Pocałowałam go tylko... Nie chciałam... Właściwie chciałam, ale bałam się... Strasznie się rozłościł. Nazwał mnie wariatką... powiedział że nie mógłby się ze mną kochać, bo to byłoby jak... jak nekrofilia...

— Ale to i owo dawał ci do zrozumienia, tak? Przyjemniaczek! — słowa Marjorie ociekały jadem. — Fotografował cię bez ubrania?

— Chyba w ogóle się nie rozbierałam. — Nie pamiętała, by choć przez chwilę była naga, nawet gdy ją pieścił.

— Lepiej każ mu oddać negatywy. Zagroź mu policją. Jeśli chcesz, ja do niego zadzwonię.

— Nie, nie, sama z nim porozmawiam — Grace dałaby wszystko, by uniknąć rozgłosu. Już i tak niepotrzebnie wciągnęła w to Marjorie. Obecność przyjaciółki podziałała jednak na nią

krzepiąco. Marjorie zmieniła jej okład na głowie i przyniosła filiżankę gorącej herbaty. Pół godziny później Grace poczuła się nieco lepiej.

— Mnie też raz pewien gość wsypał prochy do drinka

— powiedziała Marjorie, sadowiac się obok na dywanie.

— Chciał, żebym pozowała do zdjęć porno z drugą dziewczyną, równie naćpaną jak ja.

— I co zrobiłaś?

Uciekłam. Potem mój ojciec napuścił na niego gliny i zagroził, że połamie mu wszystkie kości. Wiele dziewczyn boi się odmówić. Facet straszy je, że nie znajdą pracy, iw końcu się łamią.

Zimny dreszcz przebiegi Grace po krzyżu. Omal nie zakochała się w Marcusie. Ostrzegano ją, lecz nie chciała wierzyć. Zaufała mu.

Myślisz, że Marcus zrobił coś takiego? — spytała drżącym głosem.

— Czy oprócz was był w studio jeszcze ktoś?

— Tylko my dwoje. Jestem tego pewna. Straciłam przytomność najwyżej na parę minut.

— W każdym razie zdążył w tym czasie ściągnąć spodnie — wtrąciła Marjorie, kipiąc złością. — W najgorszym wypadku pstryknął ci kilka aktów. I tak potrzebna mu jest twoja pisemna zgoda na ich publikację, jeśli można na nich rozpoznać twoją twarz. Jedyne użytek, jaki może z nich zrobić, to szantaż, a ile byłby w stanie z ciebie wydoić? Dwieście dolców?

W zdjęciach porno z reguły bierze udział parę osób, a poza tym musisz być na tyle żywa, żeby wziąć udział w grze. Zdaje się, że nie miał z ciebie wielkiej pociechy po tym, jak zaaplikował ci ten swój magiczny wywar — Marjorie parsknęła śmiechem. — Chyba po prostu przecenił ofiarę. Pewnie padłaś jak podcięte drzewo.

— Prawie w ogóle nie piję i nigdy nie brałam narkotyków. Dostałam okropnych mdłości.

Zauważyłam. Kiedy weszłaś, byłaś zielona jak irlandzka flaga.

Marjorie zadumała się na chwilę.

— Sądzę, że sprawa zdjęć będzie mniej więcej opanowana, kiedy poprosisz go o negatywy

— podjęła. — Ale... nie poszłabyś ze mną do mojej lekarki? To naprawdę przemiała babka.

Będzie w stanie stwierdzić, czy Marcus cokolwiek zdziałał. To trochę żenujące, lecz powinnaś się upewnić.

Prawdopodobnie cię tylko obmacał, ale mógł także posunąć się dalej, kiedy leżałaś nieprzytomna.

— Chyba bym pamiętała... Wiem, że się bałam i mówiłam mu, żeby tego nie robił.

— To samo mówi każda ofiara gwałtu. W ten sposób nikogo nie zdołasz powstrzymać jeśli sam nie zechce przestać. Czy nie czułabyś się lepiej, mając pewność? W razie czego możesz iść na policję.

I co wtedy? Od nowa ten sam koszmar? Artykuły w gazetach: Sekretarka oskarżafotografa o gwałt... Sama tego chciała... Pozowała do aktów... Na samo wyobrażenie skóra jej ścierpia.

Ale Marjorie miała rację. Lepiej wiedzieć. A gdyby tak zaszła w ciążę? Ta myśl ostatecznie

przełamała jej opór. Marjorie umówiła ją z lekarką na piątą. Do tego czasu trochę bardziej przejaśniło jej się w głowie.

Lekarka potwierdziła że podano jej narkotyk.

— Przyjemniaczek — skwitowała, powtarzając bezwiednie słowa Marlorie.

Badanie na nOWO wskrzesiło uśpiony koszmar. Grace miała wrażenie, że lada moment ujrzy policyjny mundur. Lekarka „zaś była zaskoczona tym, co zobaczyła. Nie znalazła śladów njedawnego stosunku, za to mnóstwo starych blizn. Podejrzewała, co to oznacza, i bardzo taktownie zadała Grace kilka

pytań. Upewniła ją, że nie stwierdziła znamion penetracji ani też wytrysku.

— To już coś — westchnęła dziewczyna.

Zatem martwić się musiała jedynie o zdjęcia. Przy odrobinie szczęścia odzyska negatywy.

Marcus nie mógł ich opublikować, czuła jednak niesmak na myśl, że je ma. Podejrzewała, iż straszyl ją z zemsty, ponieważ mu nie uległa. Narkotyki nie pomogły, wyzwoliły tylko jeszcze większy lęk.

— Grace, czy ktoś cię kiedyś zgwałcił? — zapytała lekarka, choć znała już odpowiedź. — Ile miałaś wtedy lat?

— Trzynaście... czternaście... piętnaście... szesnaście... siedemnaście....

— Zgwałcono cię pięć razy? — Lekarka nie była pewna, czy dobrze rozumie. Byłoby to dość niezwykle. Może dziewczyna miała problemy natury psychologicznej z powodu których wielokrotnie wystawiała się na ryzyko. Grace jednak z żalosaną miną potrząsnęła głową.

— Nie. Byłam gwałcona nieomal codziennie przez cztery lata... przez mojego ojca.

Nastąpiła długa chwila ciszy.

— Przepraszam — szepnęła lekarka. Miała już do czynienia z takimi przypadkami i za każdym razem krwawiło jej serce. — Czy ktoś ci pomógł? Interweniował?

Owszem, pomyślała Grace ja sama. Na nikogo innego nie mogłam liczyć.

Ojciec umarł. Wtedy to się skończyło — powiedziała.

Lekarka skinęła głową.

— Czy miałaś od tego czasu... normalny stosunek?

Grace potrząsnęła przecząco głową.

— Spotykaliśmy się od miesiąca i jak dotąd nic... Ja... chciałam być pewna... no i trochę się bałam. Powiedział, że wpadłam w panikę, kiedy próbował...

— Nie wątpię. Prochy niczego nie rozwiązują. Potrzebny ci czas, terapia i właściwy mężczyzna. Ten z pewnością na takiego nie wygiada powiedziała spokojnie lekarka.

— Też już do tego doszłam westchnęła Grace.

Lekarka podała jej nazwisko psychoterapeuty. Grace wzięła kartkę, lecz nie miała zamiaru z nim się kontaktować. Nie chciała nigdy więcej mówić o swej przeszłości, o ojcu, o czterech latach piekła w domu i dwóch latach w Dwight. Molly o tym wiedziała, ale Molly umarła.

Grace miała teraz wszystko, czego pragnęła: koleżanki, pracę, kobiety i dzieci u Maryi Panny, którym oddała serce. To jej wystarczyło — nawet jeśli nikt inny tego nie rozumiał.

Położyła się do łóżka o ósmej wieczorem, obudziła zaś dopiero nazajutrz o drugiej po południu, ku wielkiemu zdumieniu Marjorie.

Co on ci dał? Srodek do usypiania słońi?

— Możliwe — zachichotała Grace. Na szczęście jej organizm szybko się regenerował.

Odespała zarówno zatrucie, jak szok. Po południu poszła na dyżur w schronisku, a wieczorem zadzwoniła do Marcusa. Obawiała się, że usłyszy automatyczną sekretarkę, ale sam podniósł słuchawkę. Był zaskoczony, gdy usłyszał jej głos.

— Lepiej się już czujesz? spytał sarkastycznie.

— To było podłe — stwierdziła bez ogródek. — Ciężko odchorowałam to świństwo, które mi dałeś.

— Nie dałem nic prócz kilku valium i odrobiny magicznego proszku. Chciałem Ci pomóc się trochę rozluźnić.

Miała ochotę spytać, czy osiągnął cel, ale zamiast tego powiedziała:

— Nie powinienes być tego robić.

— Zauważyłem. Zmarnowana fatyga. Zważywszy, że podpuszczałaś mnie przez całe pięć tygodni...

— Nie podpuszczałam cię — w głosie Grace zabrzmiała uraza. — To po prostu nie jest dla mnie łatwe.

— Oszczędź mi szczegółów swego życiorysu. Jak rozumiem, nie ma w nim miejsca dla facetów, a w każdym razie dla takich facetów jak ja.

— Nic nie rozumiesz — rozzłościła się.

Może nie chcę rozumieć. Powinnaś się leczyć. Omal mnie nie zabiłaś, kiedy cię dotknąłem. Nie pamiętała tego, ale wszystko było możliwe. Widocznie wpadła w panikę.

— Dziękuję za radę. Chcę dostać negatywy zdjęć, które mi zrobiłeś. Najlepiej W poniedziałek.

— Naprawdę? A kto mówi, że robiłem jakieś zdjęcia?

— Nie baw się ze mną w kotka i myszkę. Chcę mieć te negatywy, Marcus.

— Nie wiem, czy uda mi się je znaleźć — rzekł chłodno.

— Mam tutaj masę różnego śmiecia.

— Mogę zadzwonić na policję i oskarżyć cię o gwałt.

— Dzwon. Wątpię, by ktokolwiek spenetrował ten twój betonowy bunkier, będziesz więc miała spory kłopot, żeby wcisnąć im tę bajeczkę. Nie można zamknąć człowieka za to, że się rozebrał we własnym mieszkaniu, panno Niedotykańska. Tobie nawet nie ściągnąłem majtek.

Słyszac to, Grace odczuła niebotyczną ulgę.

— Co ze zdjęciami?

— Też mi afera! Nie byłaś przecież gola, na miłość boską. Chodzi ci o te parę ujęć, na których chrapiesz w fotelu?

— Mam astmę — oznajmiła Grace wyniośle. — I nie obchodzi mnie, jak bardzo przyzwoite są te zdjęcia. Chcę je mieć. I tak ich nie wykorzystasz bez mojej pisemnej zgody

— zaatakowała, wdzięczna Marjorie za rady.

— Skąd pewność, że jej nie podpisałaś? — roześmiał się kpiąco, a Grace mimo upału poczuła zimny dreszcz. — Poza tym potrzebne mi są do albumu.

— Nie masz do nich prawa. Chcesz mi wmówić, że podpisałam zgodę pod wpływem narkotyków? — Grace wpadła w panikę.

— Myśl sobie, co chcesz. I mam do nich prawo: za te wszystkie hece, jakie kazałaś mi znosić. Więc łapy precz od moich zdjęć. I w ogóle odpieprz się, zrozumiałaś?

Na ten wieczór Marcus był już umówiony z jedną z dziewcząt z agencji, o czym Grace dowiedziała się w poniedziałek.

Na pytanie Cheryi, jak wypadła sesja, Grace wytłumaczyła mętnie, że miała grypę i nic z tego nie wyszło.

Kilka tygodni później, w dniu jej dwudziestych drugich urodzin, Bob Swanson zaprosił ją na lunch.

— Widziałem się ostatnio z Marcusem Andersem — rzekł.

Grace sączyła szampana, udając obojętność. Był to Dom Prignon — pierwszy alkohol, jaki miała w ustach od czasu owej wizyty u Marcusa. Smakował wyśmienicie i również uderzał do głowy.

Bob zerknął na nią i nakrył dłonią jej dłoń.

— Pokazał mi twoje zdjęcia, Grace — rzeki półgłosem.

— Fantastyczne... Myślę, że masz przed sobą wielką przyszłość. Niewiele modelek potrafi tchnąć w obraz tyle seksu. Faceci będą mdleć na twój widok.

Zrobiło jej się słabo. Co za drań z tego Marcusa! Nie oddał jej negatywów i do końca nie dał jasnej odpowiedzi, czy podpisała zgodę na publikację zdjęć; była wszakże pewna, że w takim stanie nie zdołałaby utrzymać pióra. Po prostu próbował ją nastraszyć.

— Nie wiem, co pan ma na myśli, Bob — rzekła lodowatym głosem, starając się nie okazać zażenowania. — Zrobiliśmy tylko parę zdjęć, potem źle się poczułam. Byłam paskudnie przeziębiona.

— Jeśli tak, doprawdy powinnaś częściej chorować.

Spojrzała mu prosto w oczy. Miała wrażenie, że stoi twarzą w twarz z wygłodniałym lwem.

— Co on panu pokazał?

— Na pewno pamiętasz: te zdjęcia w męskiej koszuli, rozpiętej z góry na dół. Leżałaś z głową odrzuconą w tył, bardzo zmysłowo, jakbyś przed chwilą uprawiała seks.

— Byłam ubrana, prawda?

— W zasadzie tak... W każdym razie golizny nie było widać, ale twoja mina wyjaśniała wszystko.

Przynajmniej Marcus nie zdjął z niej koszuli. Grace była wdzięczna za małe dary losu.

— Pewnie spałam — wyjaśniła. — Odurzył mnie prochami.

— Nie wyglądałaś na naćpaną. Wyglądałaś gorąco jak diabli, Grace, mówię poważnie.

Naprawdę powinnaś pozować do zdjęć albo grać w filmach.

— pornograficznych? — spytała ze złością.

— Jasne — stwierdził radośnie — jeśli cię to podnieca... Lubisz pornosy? — zainteresował się. — Wiesz, mam pewien pomysł...

W rzeczywistości pomysł ten zrodził się jeszcze przed spotkaniem. W apartamencie na górze czekała na nich kolejna butelka szampana. Marcus jasno dawał do zrozumienia, że Grace wygląda na cnotkę, ale jest łatwa. Bob ponownie uściśnął dłoń Grace i rzeki, zniżając głos jeszcze bardziej:

— Zarezerwowałem dla nas apartament, największy w tym hotelu. Będzie jedwabna pościel i kanał wideo. Powinnaś obejrzeć parę filmów porno, zanim sama wejdiesz do branży...

Grace pohamowała ochotę, żeby wymierzyć mu policzek.

— Nie pójdę z panem na górę, Bob. Ani dziś, ani nigdy. Nie jestem dziwką ani gwiazdką porno, ani też kawałkiem mięsa, które może pan wybrać sobie z menu.

— No wiesz... — spojrzał na nią rozdrażniony. — Przecież Marcus mówił... a poza tym sam widziałem te zdjęcia.

Wyglądałaś, jakbyś miała ochotę nadzieć się na obiektyw, więc skąd ta poza na świętą dziewicę? Boisz się Cheryi? Nie dowie się. Nigdy się nie dowiaduje.

Za jej plecami szeptało natomiast całe miasto. Grace miała ochotę krzyczeć. Co za podle świństwo!

— Lubię Cheryi — syknęła. — Poza tym nigdy nie kochałam się z Marcusem. Nie wiem, dlaczego naopowiadał panu takich rzeczy, może po to, żeby się na mnie zemścić. Spałam, kiedy robił te zdjęcia.

— W jego łóżku, jak łatwo zgadnąć rzeki kąśliwie. Nie przypuszczał, że napotka takie trudności. Zawsze uważał ją za prostoduszną, więc dal jej spokój, ale Marcus twierdził, że Grace bierze prochy i uwielbia perwersyjny seks, a Bob mu uwierzył.

— Leżałam w fotelu w jego atelier.

— Z nogami rozstawionymi na metr. — Na czole Boba ukazały się kropelki potu. — To jak? Co powiesz na mały bał urodzinowy z wujkiem Bobem? To będzie nasz sekret.

— Przykro mi, Bob. Nie mogę. Łzy wezbrały jej w oczach. Mając dwadzieścia dwa lata czasami wciąż czuła się jak dziecko. Dlaczego mężczyźni cenili ją tak nisko, że chcieli tylko ją wykorzystywać?

— Pozwól, że ujmę to w ten sposób, Grace. — Bob zmrużył oczy i nachylił się ku niej. — Spędzamy na górze godzinkę lub dwie, świętując twoje urodziny, albo od tej chwili jesteś bezrobotna. Co wybierasz: „Sto lat” czy „Szerokiej drogi”?

Gdyby sytuacja nie była taka niesmaczna, parsknęłaby śmiechem, ale w tej chwili wcale nie było jej wesoło. Otarła łzy spływające jej po policzkach, spojrzała mu w oczy i powiedziała

— Wobec tego uznajmy, że już u was nie pracuję. Jutro przyjdę po wypłatę.

Wstała od stolika i z płaczem wróciła do mieszkania. Nazajutrz poszła do agencji, żeby spakować rzeczy i odebrać ostatni czek.

Cheryi, która właśnie wróciła z Nowego Jorku, uśmiechnęła się szeroko, widząc wchodzącą do biura Grace. Ciekawe,

co też Bob jej powiedział. Nie miało to zresztą znaczenia. Grace podjęła decyzję. Do końca zawieszenia miała jeszcze tylko dwa miesiące, a potem już cały świat stał przed nią otworem.

— Jak się czujesz? — zapytała promiennie Cheryl. Doskonale się bawiła na wyjeździe. Czasami żałowała, że nie mieszka w Nowym Jorku.

— Całkiem dobrze — odparła cicho Grace. Po dwudziestu jeden miesiącach pracy w firmie było jej żal ją opuszczać, ale nie miała wyboru.

— Bob mówił, że wczoraj okropnie zatrzymał się lunchem i musiałaś iść do domu. Biedne dziecko. — Cheryl poklepała ją po ramieniu i pobiegła do siebie. Najwyraźniej nie miała pojęcia, że Grace została wyrzucona z pracy. W tej samej chwili z gabinetu wyszedł Bob.

— Lepiej dziś się czujesz, Grace? — spytał, jak gdyby nic między nimi nie zaszło.

Grace odpowiedziała cicho, żeby nikt nie słyszał:

— Przyszłam wziąć wypłatę i spakować rzeczy.

— Nie trzeba — rzekł z nieprzeniknioną miną. — Myślę, że oboje o tym zapomnieć, prawda? — spojrzał jej w oczy.

Grace zawahała się, po czym skinęła głową. Nie było sensu wywoływać skandalu. Było, minęło; zresztą miała już dalsze plany.

Odczekała półtora miesiąca do pierwszego września i wtedy złożyła sześciotygodniowe wypowiedzenie. Cheryl była niepokieszona, Bob również udawał żal, a Marjorie rozplakała się, kiedy Grace powiedziała, że odchodzi. Za trzy tygodnie kończyło się jej zawieszenie i czuła, że powinna wyjechać z Chicago. Była już prawie całkowicie pewna, że fotografie, które zrobił jej Marcus, nie były obsceniczne — nawet Bob Swanson przyznał, że pozowała do nich całkowicie okryta koszulą. Nie były jednak zupełnie przyzwoite, a Marcus w każdej chwili mógłby je ujawnić. Mówił przecież ludziom, że Grace jest tanią dziwką, a Bóg jeden wie, do czego by się posunął przyparty do muru Bob. Grace była znużona ludźmi ich pokroju: aroganckimi mężczyznami oraz dziewczętami, które wręcz dopraszały się, by je wykorzystywać. U Maryi Panny również zrobiła już wszystko, co mogła. Pora ruszać dalej. W agencji wydano na jej cześć przyjęcie pożegnalne; przyszło mnóstwo ludzi. Nazajutrz Grace poszła się zobaczyć z Louistem Marquezem. Końcowy termin nadzoru upłynął dwa dni wcześniej, toteż była już poza jego jurysdykcją.

— Gdzie się teraz wybierasz? — zagadnął. Czuł, że będzie mu brakowało tej dziewczyny, zwłaszcza zaś wizyt w jej mieszkaniu.

— Do Nowego Jorku.

Uniósł brwi.

— Załatwiłaś sobie pracę?

Zaśmiała się. Nie musiała go już o niczym informować. Wypełniła wszystkie swe zobowiązania. Cheryl wystawiła jej entuzjastyczną opinię, którą podpisał również Bob.

— Poszukam jej, kiedy się tam znajdzie — odparła. — Nie sądzę, bym miała jakiegokolwiek trudności.

— Powinnaś zostać tutaj i pozować do zdjęć. Jesteś tak samo ładna jak reszta tych dziewczyn, a o niebo mądrzejsza

— powiedział niemal życzliwie.

— Dzięki za uznanie.

Nie potrafiła mu odpłacić choćby uprzejmością. Dręczył ją przez dwa lata i nie chciała go nigdy więcej oglądać. Podpisała wszystkie niezbędne formularze, a gdy oddawała pióro, złapał ją za rękę. Spojrzała na niego zaskoczona i wyszarpnęła dłoń.

— Może byśmy tak.., no wiesz.., strzelili sobie kielicha przez wzgląd na dawne czasy, he, Grace? — Wyraźnie się pocił, a jego dłoń była wilgotna i śliska.

— Nie mam ochoty — powiedziała zimno. Nie przerażał jej już. Nie mógł jej zaszkodzić. Wypełniła wszystkie warunki zwolnienia. Marquez przed chwilą podpisał jej papiery; ścisła je mocno w garści. Była teraz zwyczajną obywatelką. Przeszłość minęła i ten podły karzeł już jej nie ożywi.

— No, Grace, nie zadzieraj nosa. — Objął ją, zanim zdążyła się odsunąć. Odepchnęła go tak mocno, że uderzył nogą o kant biurka.

— Wciąż boisz się facetów, co? — wrzasnął na nią.

— Następnego, który spróbuje się do ciebie dobrać, też zabijesz?

W chwili gdy to powiedział, złapała go za kołnierz. Przypuszczalnie był od niej silniejszy, ale Grace przewyższała go wzrostem i szybkością działania.

— Sluchaj, gnojku — syknęła — jeśli nie będziesz trzymać łap przy sobie, wezwę gliny i zaczekam, aż oni cię zabiją. Sama nie będę brudzić sobie rąk. Dotknij mnie tylko, a odsiedzisz wyrok za gwałt; i nie sądź, że będę miała dla ciebie jakiegokolwiek względy. Nigdy więcej się do mnie nie zbliżaj. — Odepchnęła go od siebie, złapała torebkę i maszystym krokiem wyszła z biura, głośno zatraskując za sobą drzwi.

Koniec. Chwila, którą dawno temu obiecała jej Molly, wreszcie nadeszła. Życie Grace należało teraz tylko do niej.

ROZDZIAŁ IX

Grace płakała, żegnając się z Marjorie, ciężko też było jej się rozstać ze znajomymi u Maryi Panny. Paul Weinberg życzył jej szczęścia i zapraszał na swój ślub, który miał się odbyć w Boże Narodzenie. Z wielu względów jednak cieszył ją wyjazd z Chicago. Wraz z Illinois zostawiała za sobą koszarne wspomnienia i wieczny strach, że napotka kogoś znajomego z Watseka. W Nowym Jorku będzie bezpieczna.

Połęciała samolotem. Większość jej kapitału pozostała nietknięta; Grace nigdy nie była rozrzutna, a Swansonowie dobrze jej płacili. Udało jej się nawet trochę zaoszczędzić, na koncie znów miała ponad pięćdziesiąt tysięcy. Przekazała je telegraficznie do banku w

Nowym Jorku. Zarezerwowała też pokój w pensjonacie. Modelka, która jej go poleciła, uważała, że pensjonat jest beznadziejny, bo nie pozwalają tam wprowadzać mężczyzn, ale to właśnie odpowiadało Grace.

Pensjonat znajdował się na rogu Lexington i Sześćdziesiątej Trzeciej; okolica od razu jej się spodobała. Było tu sporo eleganckich sklepów, panował ruch, gwar i miła atmosfera. Tylko trzy przecznice dalej mieścił się Bloomingdale, o którym wiele słyszała, bo niektóre modelki pracowały dla tej firmy. Następną przecznicą była już Park Avenue, a trzy ulice dalej zaczynał się Central Park. Grace była oczarowana.

Niedzielę spędziła leniwie oglądając wystawy na Madison Avenue, potem poszła do zoo i kupiła balonik. Był prześliczny jesienny dzień i Grace miała śmieszne uczucie, że nareszcie jest w domu. Chyba nigdy w życiu nie czuła się szczęśliwsza.

W poniedziałek zaczęła rozglądać się za pracą. Nazajutrz rano przekazano jej przez telefon pół tuzina adresów. Dwie agencje modelek odrzuciła od razu. Miała już dość tego życia i ludzi z tej branży. Trzecia firma zajmowała się przetwórstwem tworzyw sztucznych, co wydało się Grace strasznie nudne, czwarta zaś okazała się znaną kancelarią adwokacką spółki Mackenzie, Broad i Steinway. Grace nigdy dotąd o nich nie słyszała, ale nowojorski świat prawniczy wysoko ich cenił.

Włożyła prostą czarną sukienkę, kupioną w ubiegłym roku w Chicago, a na to narzuciła czerwony płaszcz, który nabyła tegoż ranka w sklepie Lord & Taylor. Wyglądała wspaniale, zaś jej biurowe kwalifikacje poprawiły się z biegiem lat, choć nadal miała kłopoty ze stenografią. Po wstępnej rozmowie została wysłana na spotkanie z kierownikiem kadr i jej przyszłymi zwierzchnikami, Tomem Shortem i Billem Martinem. Byli to nadzwyczaj poważni i rzeczowi młodzi ludzie. Obaj kształcili się na Harvardzie, z tym że jeden najpierw zdobył bakalaureat w Princeton. Wszyscy tu byli stateczni i szacowni. Firma zatrudniała ponad sześćset pracowników i zajmowała dziesięć pięter na rogu Pięćdziesiątej Szóstej i Park Avenue, tylko osiem przecznic od hotelu Grace.

Grace ponad wszystko pragnęła stać się anonimową twarzą w tłumie i pod tym kątem nowe miejsce pracy bardzo jej odpowiadało. Nosiła włosy związane na karku, bardzo oszczędny makijaż i te same sukienki, co u Swansonów w Chicago — może bardziej eleganckie, niż było to konieczne, ale i tak nie rzucała się w oczy.

Otrzymała posadę młodszej asystentki w sekretariacie, obsługującym równocześnie dwóch prawników. Jej współpracownica — trzy razy starsza i dwa razy grubsza od Grace — wyraziła zadowolenie, że wreszcie dostała kogoś do pomocy. Oznajmiła też zaraz na wstępie, że Tom i Bill to rozsądni chłopcy i bardzo przyjemnie się z nimi pracuje. Jeden mieszkał w Stamford, drugi w Darien, obaj mieli młode jasnowłose żony i po trójce dzieci. Pod wieloma względami robili na Grace wrażenie bliźniaków, ale to samo można było powiedzieć o większości zatrudnionych tu mężczyzn. Zasadniczo niczym się od siebie nie różnili. Rozmawiali wyłącznie o prowadzonych sprawach, dojeżdżali z Connecticut lub Long

Island, po pracy grali w squasha, a ich sekretarki były w ten sam sposób wyzute z wszelkich cech osobowych. Nikt nie pytał tu Grace, kim jest i skąd pochodzi. Nikogo to nie interesowało. Tu był Nowy Jork. Grace czuła, że pokocha to miasto.

W najbliższy weekend znalazła mieszkanie. Mieściło się na rogu Osiemdziesiątej Czwartej i Pierwszej Alei. Do pracy mogła dojeżdżać metrem lub autobusem, z pensji zaś bez trudu stać ją było na czynsz. Budynek był stary, lecz zadbane i czysty, lokum zaś składało się z saloniku, maleńkiej kuchenki z aneksem jadalnym, sypialni i łazienki. Było puste, jeśli nie liczyć zasłon i praktycznej beżowej meblościanki. Swoje stare meble Grace sprzedała w Chicago dziewczynie, która wprowadziła się na jej miejsce. Po przyjeździe kupiła parę rzeczy u Macy”ego, gros zakupów jednak dokonała w komisie meblowym na Brooklynie, gdzie udała się metrem pewnego wieczoru. Nigdy dotąd nie czuła się taka dorosła. Po raz pierwszy w życiu nikt jej nie kontrolował, nie zagrażał ani nie chciał jej skrzywdzić. Była wolna.

W sobotnie popołudnia chodziła na zakupy, zwiedzała galerie przy Madison Avenue, a nawet parokrotnie zapuściła się do SoHo. Z wypiekami na twarzy przyglądała się aukcji dzieł sztuki. Próbowwała nieznanych potraw w maleńkich, egzotycznych jadłodajniach. Fascynował ją niepowtarzalny nowojorski klimat.

— Jak ci się podoba miasto? — spytał kierownik kadr, gdy pewnego dnia spotkali się przy lunchu w bistrze na parterze firmy. Grace jadła tam tylko podczas złej pogody albo tuż przed wypłatą.

— Jest urzekające — uśmiechnęła się.

Kadrowy był niski, łysy i jak jej kiedyś wyznał, miał pięcioro dzieci. Z jej punktu widzenia największą jego zaletą było to, że poza żoną nie dostrzegał innych kobiet. Nikt tu nie zwracał uwagi na Grace, a już szczególnie Tom i Bill, jej szefowie. Byli dla niej miii, ale interesowała ich wyłącznie praca. Przesiadali w biurze do wieczora, czasem nawet w weekendy; Grace zastanawiała się, czy w ogóle widują swoje dzieci.

— Masz jakieś plany na Dzień Dziękczynienia? — zapytała w połowie listopada jej biurowa koleżanka — miła, tęga, siwowłosa stara panna. Nazywała się Winifred Apgard, i wszyscy mówili do niej Winnie.

— Nie, i wcale się tym nie martwię — stwierdziła beztrząsowo Grace. Wyżywała się w pracy, do świąt jakoś nigdy nie miała szczęścia.

— Nie jedziesz do domu?

Grace potrząsnęła głową, nie wyjaśniając, że nie ma dokąd jechać. Jej dom znajdował się na Osiemdziesiątej Czwartej Ulicy w Nowym Jorku.

— Jadę do Filadelfii w odwiedziny do matki. Szkoda, bo zaprosiłabym cię do siebie — powiedziała przepaszająco Winnie. Matkowała im wszystkim, nawet swoim szefom. Kazała im nosić płaszcze i kalosze, ostrzegała przed złymi warunkami na drogach, oni zaś wesoło poddawali się tej życzliwej tyranii.

Stosunki Toma i Billa z Grace były zupełnie inne. Udawali wręcz, że jej w ogóle nie widzą. Nieraz zastanawiała się, czy jej młodość postrzegana jest przez nich jako zagrożenie, przy

Winnie bowiem zachowywali się o wiele bardziej swobodnie. Nie zależało jej, by to zmienić. Najbardziej bała się, że trafi na drugiego Boba Swansona.

Na tydzień przed Świętem Dziękczynienia Grace doszła do wniosku, że sprawy zawodowe oraz mieszkaniowe ma już uregulowane, pora zatem znów zacząć dawać coś z siebie bliźnim. Odbiła kilkanaście rozmów telefonicznych, aż wreszcie znalazła to, czego szukała.

-

Tym razem ośrodek działał pod wezwaniem Świętego Andrzeja i znajdował się na Lower Bast Side, przy Delancey Street. Zarządzał nim młody ksiądz, który zaprosił ją na rozmowę w najbliższą niedzielę rano.

Pojechała metrem wzdłuż Lexington, potem przesiadła się i dotarła do Delancey; resztę drogi przeszła piechotą. Nie był to miły spacer; półprzytomni pijacy drzemali po bramach albo wręcz leżeli rozciągnięci na chodnikach, wokół nich zaś kręcili się ulicznicy wyraźnie spragnieni rozróby. Zerkali na Grace, kiedy ich mijała, ale na szczęście żaden jej nie zaczepił.

Magazyny i odrapane sklepy zamykane były grubymi kratami. Tu i ówdzie stały porzucone, zniszczone samochody.

Schronisko mieściło się w starym ceglany budynku, który wyglądał, jakby zaraz miał runąć. Farba łuszczyła się ze ścian i drzwi, ale dał się tu zauważyć spory ruch; przeważały kobiety z dziećmi i młode dziewczęta, nieraz w zaawansowanej ciąży. Za biurkiem recepcyjnym plotkowały w najlepsze trzy dziewczyny; jedna z nich malowała sobie paznokcie. Panował nieopisany hałas. Budynek tętnił głosami dorosłych i dzieci, gdzieś toczyła się głośna sprzeczka, wokół kłębili się czarni i biali, Chińczycy i Portorykanie. Wyglądało to, jakby ktoś podrzucił tu wagon metra — nowojorski mikrokosmos.

Zapytała o księdza. Musiała na niego dość długo czekać. W końcu pojawił się rudy młodzieniec w dżinsach i wystrzępionym swetrze koloru owsianki.

— Ojciec Finnegan? — upewniła się zdumiona. Nie wyglądał jak ksiądz. Jedyne ukryte w morzu piegów kurze łapki w kącikach oczu świadczyły, że jest starszy, niż się wydaje.

— Ojciec Tim — poprawił ją wesoło. — Panna Adams?

— Grace — uśmiechnęła się w rewanżu. Trudno się było do niego nie uśmiechać.

Emanował czystą radością.

— Chodźmy porozmawiać gdzie indziej — rzekł, lawirując pomiędzy czeredą dzieci, biegających po głównym holu. Była to dawna czynszowa kamienica przystosowana do potrzeb ośrodka. Przez telefon Grace dowiedziała się, że schronisko istnieje dopiero od pięciu lat i potrzebuje ludzi, szczególnie wolontariuszy. Kiedy Grace się zgłosiła, ojciec Tim powiedział, że jest to kolejny z wielu cudów boskich, jakie są im niezbędne.

Wprowadził ją do kuchni wyposażonej w trzy staroświeckie zmywarki do naczyń oraz wielki antyczny zlew. Ściany zdobiły plakaty, na środku znajdował się duży okrągły stół i kilka krzeseł. Ojciec Tim nalał z dzbanka kawy do dwóch kubków i wprowadził Grace do komórki, służącej mu za biuro. Rozpaczliwie dopraszała się odmalowania i paru przyzwoitych mebli, ale rozmawiając z Timem łatwo było o tym zapomnieć.

Miał w sobie charyzmę, której był kompletnie nieświadom, dzięki czemu wszyscy go kochali. — A zatem co cię do nas sprowadza, Grace, prócz dobroci graniczącej z naiwniactwem? — zagadnął, uśmiechając się szeroko. W jego oczach tańczyły wesołe ogniki.

— Pracowałam już ochomiczo w tego typu ośrodku. To było schronisko pod wezwaniem Maryi Panny w Chicago.

— Podała mu nazwisko Paula Weinberga.

— Znam je. Sam jestem z Chicago, chociaż od dwudziestu lat mieszkam tutaj. Pod pewnymi względami wzorowaliśmy się na nich. Prowadzą bardzo dobry zakład.

Grace streściła mu swoje obserwacje, poczynione u Maryi Panny.

— Zapewniamy tutaj praktycznie to samo — rzekł, przyglądając się jej z namysłem. Ciekaw był, co ją skłoniło do podjęcia tego rodzaju pracy. Już dawno jednak nauczył się nie kwestionować zsyłanych mu przez Boga darów, lecz je wykorzystywać. Toteż miał zamiar natychmiast zatrudnić Grace u Świętego Andrzeja. — Przyjmujemy tu tylko więcej ludzi — dodał. — Około setki dziennie. Bywa i tak, że mieszka tu jednocześnie ponad sto kobiet plus dwa razy tyle dzieci. Nikogo nie odsyłamy i to jedyna reguła, jaka tu panuje.

Przychodzą i zostają, jeśli tego chcą. Większość nie zagrzewa tu długo miejsca. Albo wracają, albo przenoszą się gdzie indziej i zaczynają nowe życie. Przeciętna długość pobytu wynosi od tygodnia do dwóch miesięcy.

U Maryi Panny było mniej więcej tak samo.

— Jakim sposobem mieścicie tu tyle osób? — Była zdumiona. Budynek nie wyglądał na aż tak przestronny.

— Upychamy piętrowo, jeśli trzeba. Drzwi są otwarte dla wszystkich, nie tylko dla katolików — wyjaśnił. — Nie pytamy nikogo o wiarę.

Uśmiechnęła się do niego. Z ojca Tima promieniowało ciepło, które docierało do wnętrza jej duszy. Miał w sobie specyficzną niewinność i czystość, czyniące go nieornal świętym w rzeczywistym znaczeniu tego słowa. Był to zaiste człek Boży i Grace czuła się przy nim swobodnie i beztrosko.

— Doktor, który prowadził zakład Maryi Panny, był Żydem — zauważyła lekko.

Ojciec Tim się roześmiał.

— Ja jeszcze nie posunąłem się tak daleko, ale nigdy nie wiadomo...

— Macie tu na stałe lekarza?

— Owszem: mnie. Jestem jezuitą i mam doktorat z psychiatrii, Ale doktor Tim brzmi trochę dziwnie, prawda? Ojciec Tim jakoś lepiej do mnie pasuje. — Tym razem roześmieli się obydwójce, a ksiądz wstał, żeby dolać kawy.

— Pracują tu zakonnice, w cywilu, ma się rozumieć

— ciągnął — i około czterdziestu zmieniających się ochotników. Potrzebna nam każda para rąk. Prócz tego dochodzi kilka pielęgniarek z nowojorskich klinik psychiatrycznych, a także spora grupka stażystów, głównie z Uniwersytetu Columbia. To dobra ekipa i pracują jak diabli.., to znaczy, chciałem rzec, anieli.

Doprawdy, trudno było go nie lubić.

— A ty co, Grace? Co cię tu przywiało?

— Lubię tę pracę. Sporo dla mnie znaczy.

— Znasz się na tym? No tak, po dwóch latach u Maryi Panny...

— Wystarczająco, żeby być użyteczną.

Znała problem od podszewki, wahała się jednak, czy mu się z tego zwierzyć. Co prawda ojciec Tim budził w niej instynktowne zaufanie, silniejsze nawet niż ongiś David Glass.

— Ile dni w miesiącu możesz nam poświęcić?

— Dwa wieczory w tygodniu, każdą niedzielę... i większość świąt.

— No, no! — był zaskoczony. Ksiądz czy nie ksiądz, widział przecież, że Grace jest piękna i młoda; za młoda, by poświęcać tak wielką część swego życia innym.

Przyjrzał jej się uważnie.

— Traktujesz to jako osobiste posłannictwo, Grace?

Wiedział. Wyczuł to. Grace skinęła głową.

— Chyba tak. Ja... wiem, jak to jest... — zająknęła się, lecz on delikatnie dotknął jej ręki.

— W porządku. Ukojenie przychodzi wieloma drogami. Pomoc bliźnim to chyba najlepszy sposób.

Grace kiwnęła głową, a oczy zamglily jej się łzami. Jak dobrze, że ją rozumiał.

— Jesteś nam potrzebna, Grace. Jest tu dla ciebie miejsce. Możesz nieść radość i leczyć bolesne rany, cudze i własne.

— Dziękuję, ojcie — szepnęła ocierając łzy.

Nie wypytywał jej. Wiedział już to, co najistotniejsze. Nikt nie potrafił serdeczniej pomóc udęczonym ofiarom niż ktoś, kto cierpiał tak samo jak one.

— Przejdźmy do interesów — jego oczy znów się śmiały.

— Kiedy możesz zacząć? Nie wypuścimy cię stąd tak łatwo. Jeszcze mogłabyś pójść po rozum do głowy.

— Choćby zaraz. — Była przygotowana na taką konieczność; i rzeczywiście: ojciec Tim odstawił puste kubki i od razu zaczął zaznajamiać ją z ludźmi. Miejsce trzech dziewcząt w recepcji zajął młodziutki student medycyny. Dwie kobiety bawiły się z grupką małych dziewczynek; ojciec Tim przedstawił je jako siostrę Teresę i siostrę Eugenię, choć żadna z nich nie nosiła habitu. Jedna miała na sobie trykotową bluzę, a druga džinsy i wytarty sweter, obie zaś niedawno przekroczyły trzydziestkę. Siostra Eugenia zaoferowała się, że oprowadzi Grace po pokojach kobiet i „ochronce”, gdzie czasami lokowali dzieci, jeśli stan ich matek nie pozwalał, aby się nimi zajęły.

Pielęgniarka w izbie chorych też była zakonnica; miała na sobie džinsy i czysty biały kitel. Światło było tu przyćmione; na szpitalnych łóżkach leżały ranne, pobite kobiety. Serce Grace ścisnęło się, gdy rozpoznała ślady bezlitosnej przemocy znane jej od dzieciństwa. Dwie kobiety miały ramiona w gipsie, jedna oparzenia po papierosach na całej twarzy; inna jęczała pod okładem z lodu, kiedy pielęgniarka bandażowała jej połamane żebra. Mąż tej kobiety siedział teraz w areszcie.

— Najcięższe przypadki przewozimy do szpitala — wyjaśniła cicho zakonnica.
Grace odruchowo pogłaskała dłoń jednej z kobiet, a ta spojrzała na nią podejrzliwie. Takie odruchy były normalne:
wycieńczone i złamane, nie ufały już nikomu.
— Jeśli tylko możemy, zatrzymujemy je w schronisku
— ciągnęła siostra Eugenia — to dla nich mniejszy stres. Zresztą to, co widziałas, nie jest jeszcze najgorsze. W pokoju obok mamy cięższe urazy.
Leżała tam przyjęta dwa dni wcześniej kobieta, której mąż przypiekał twarz żelazkiem, ogłuszywszy ją uprzednio uderzeniem w tył głowy. Omal jej nie zabił, ale tak się go bała, że nie zgodziła się wnieść oskarżenia. Sąd odebrał im już dzieci; przebywały w rodzinach zastępczych. Ona jednak sama musiała chcieć się ratować, a wiele żon nie miało dość odwagi. Znoszenie razów to najbardziej alienująca rzecz w świecie:
sprawia, że człowiek ukrywa się przed wszystkimi, nawet przed tymi, którzy mogliby pomóc.
Grace doskonale zdawała sobie z tego sprawę.
Siostra Eugenia zostawiła ją następnie z dziećmi; w ciągu kilku chwil Grace zniknęła w chmarze malców. Opowiadała bajki, zawiązywała kokardki i sznurówki, wysłuchiwała zwierzeń. Część milczała. Niektóre straciły już rodzeństwo, zabite przez rodziców. Matki innych leżały na górze tak skatowane, że nie mogły się ruszyć i wstydziły się pokazać własnym dzieciom. Ta choroba niszczyła bowiem dusze całych rodzin. Grace z zamierającym sercem zdała sobie sprawę, że niewielu z tych malców wyrośnie na zdrowych psychicznie ludzi zdolnych jeszcze komukolwiek zaufać.
Kiedy wyszła z ośrodka, było już po ósmej. Ojciec Tim stał w drzwiach z policjantem, który właśnie przywiózł dwuletnią dziewczynkę zgwałconą przez ojca. W takich sytuacjach Grace zawsze ogarniała zgroza. Ona przynajmniej miała już trzynaście lat... Do Maryi Panny także trafiały maleńkie dzieci, wykorzystywane seksualnie na wszelkie sposoby.
— Ciężki dzień? — zagadnął ją ksiądz ze współczuciem.
— Ale nie zmarnowany — uśmiechnęła się.
Większość czasu spędziła z dziećmi, ostatnie dwie godziny natomiast poświęciła na rozmowy z kobietami. Próbowwała dodać im odwagi, tłumaczyła, że ratunek leży w ich rękach. Wiedziała, że jeśli zdoła je przekonać, ocali je od śmierci lub tego, co stało się jej udziałem. Ich droga do wolności nie będzie musiała prowadzić przez więzienie. Grace chciała w ten sposób spłacić własny dług, odpokutować zbrodnię, której matka nigdy by jej nie wybaczyła. Ona sama dziś już nie czuła się winna; pragnęła jednak, by inne nie musiały płacić tak wysokiej ceny.
— Stworzył ojciec naprawdę wspaniały dom — skomplementowała go. Podobało jej się tu bardziej niż u Maryi Panny; odczuwało się więcej serdeczności i ciepła.
— To zasługa ludzi, którzy tu pracują. Dasz się namówić na powtórny wizytę? Siostra Eugenia mówi, że jesteś świetna.

— To ona jest wspaniała. — Zakonnica wydała się jej niezmordowana, podobnie jak cały personel ośrodka. — Nie pozbędzie się mnie ojciec tak łatwo.
Zapisała się już na dwa nocne dyżury w tygodniu i następną niedzielę.
— Mogę też przyjść w Dniu Dziękczynienia — dodała swobodnie.
— Nie jedziesz do rodziców? — zdziwił się. Była stanowczo zbyt młoda, żeby zrywać kontakt z domem.
— Nie mam rodziców — odparła bez wahania. — To nic strasznego. Przyzwyczyłam się.
Spojrzał jej w oczy i skinął głową. Czuł, że jest jeszcze wiele rzeczy, których o niej nie wie.
— Będziemy ci bardzo wdzięczni. — W patologicznych rodzinach dni świąteczne zawsze były kryzysowe i liczba przyjmowanych do ośrodka osób nieraz dwukrotnie przewyższała średnią. — W święta robi się tu zwariowane lotnisko.
— Tym bardziej się cieszę, że będę przydatna. Do zobaczenia we wtorek, ojcie! — zawołała radośnie Grace.
— Niech cię Bóg błogosławi — pożegnał ją ojciec Tim.
Do metra miała kawałek drogi, było zimno i trochę się bała, mijając bandziorów i pijaków. Nikt jej na szczęście nie zaczepiał i pół godziny później szła już Pierwszą Aleją do swojego mieszkania. Była zmęczona po długim dniu, ale czuła się jak nowo narodzona. Koszmar, który przeżyła, ból, jaki wciąż się w niej tlił, nie był jednak daremny. Można go było obrócić w coś dobrego.

ROZDZIAŁ X

Zgodnie z obietnicą Grace spędziła Święto Dziękczynienia w schronisku; pomogła nawet przygotować indyka. Potem zaczęła tam bywać regularnie we wtorki, piątki i niedziele. Piątki zawsze były ciężkie, ponieważ zbliżał się weekend i wypłacano tygodniówki, które część mężów natychmiast upłynniała w barach. Wracali do domów kipiąc agresją i do niedzieli schronisko pękało w szwach. Czasem we wtorek udawało się jej zamienić parę słów z siostrą Eugenią. Zaprzyjaźniły się serdecznie jeszcze przed Bożym Narodzeniem. Siostra Eugenia zapytała ją kiedyś, czy myślała o powołaniu zakonnym.
— O mój Boże, nie! przeraziła się Grace. — W ogóle sobie tego nie wyobrażam.
— Życie w zakonie niezbyt różni się od tego, co właśnie robisz — uśmiechnęła się siostra Eugenia. — Bardzo wiele dajesz z siebie bliźnim... a także Bogu, choćbyś nawet o tym nie myślała.
— Wątpię, by było we mnie aż tyle świętości — zmieszana się Grace. — Po prostu spłacam swoje stare długi. W pewnym momencie mojego życia znaleźli się ludzie, którzy okazali mi serce, choć się przed tym broniłam. Chciałabym przekazać tę ich dobroć innym.

— Masz narzeczonego? — spytała innym razem zakonnica, chichocząc przy tym jak młoda dziewczyna. W ogóle była ciekawa jej życia, tym bardziej że Grace rzadko o sobie mówiła. Tak czuła się bezpiecznie.

— Nie mam szczęścia do mężczyzn — odparła szczerze.

— Wolę przychodzić tutaj i robić coś pożytecznego.

Czasem jeszcze długo po dyżurze promieniował z niej spokojny blask. Winnie od razu zwróciła na to uwagę i była przekonana, że w życiu Grace jest mężczyzna. Szczęście Grace jednak brało się z obdarowywania innych. Nieraz przez całą noc tuliła w ramionach pobite dzieci i nuciła im kołysanki. Pragnęła odmienić coś w ich życiu na lepsze i od czasu do czasu udawało jej się to osiągnąć.

Po blisko pięciu miesiącach wspólnej pracy Winnie zaprosiła ją na niedzielny obiad. Grace była szczerze wzruszona, wyjaśniła wszakże, iż niedziele ma zajęte i nie może tego odwołać. Poszły zatem w sobotę do Schraffa na Madison Avenue, potem zaś wybrały się na spacer. Obok lodowiska w Centrum Rockefellera przystanęły na chwilę.

— Co robisz w niedziele? — zapytała ciekawie Winnie pewna, iż chodzi o chłopaka. Taka ładna dziewczyna nie mogła być sama.

Pracuję w schronisku dla ofiar przemocy w rodzinie na Lower East Side — wyjaśniła Grace, patrząc, jak kobiety w krótkich spódniczkach wirują na lodzie, a dzieci przewracają się ze śmiechem. Wyglądały na takie szczęśliwe.

Coś takiego! — Winnie była kompletnie zbita z tropu.

— Dlaczego?

— Ponieważ uważam, że to ważne. Spędzam tam również dwa wieczory w tygodniu. To naprawdę wspaniały ośrodek i pracują w nim niezwykli ludzie — uśmiechnęła się Grace.

— Od dawna tam chodzisz? — zapytała zdumiona sekretarka.

— Właściwie od dość dawna. Zajmowałam się tym samym w Chicago, ale prawdę mówiąc, tu podoba mi się o wiele bardziej. Nazywają to domem Świętego Andrzeja. Grace parsknęła śmiechem i opowiedziała Winnie, jak to siostra Eugenia namawiała ją, żeby została zakonnica.

— O mój Boże! — przeraziła się Winnie. — Chyba tego nie zrobisz?

— Wiesz, że one wydają się szczęśliwe? Ale to nie dla mnie. Ja jestem szczęśliwa robiąc to samo niejako z wolnej Stopy

— Trzy dni w tygodniu to strasznie dużo. Chyba nie zostaje ci wiele wolnego czasu.

— A po co mi wolny czas? Mam go w soboty. Lubię swoją pracę — i w firmie, i w ośrodku.

— To nie jest zdrowe - zbesztła ją Winnie. — Dziewczyna w twoim wieku powinna się bawić. Wiesz, z chłopakami.

Grace zaśmiała się. Winnie trzęsała się nad nią nieomal jak matka.

Będę miała mnóstwo czasu na chłopców, gdy dorosnę

— zażartowała, lecz Winnie pokiwała jej palcem.

— To przychodzi o wiele szybciej, niż myślisz. Przez całe życie opiekowałam się rodzicami, a teraz jestem sama, bo ojciec już nie żyje, a mama przeprowadziła się do domu starców w Filadelfii, żeby być razem ze swoją siostrą. Zanim myśl o małżeństwie przyszła mi do głowy, byłam już za stara.

— W głosie Winnie zabrzmiał taki smutek, że Grace zrobiło jej się żal. — Jeśli nie ułożysz sobie życia, Grace, pewnego dnia będziesz tego żałować.

— Nie wiem, czy wyjdę za mąż. — Grace doszła ostatecznie do wniosku, że naprawdę wcale nie marzy o małżeństwie. Sparzyła się dostatecznie, a doświadczenia z takimi mężczyznami jak Marcus czy Bob Swanson, a nawet jej kurator, nie wpłynęły na zmianę tej opinii. Zresztą nawet mili mężczyźni, jak David i Paul, nie budzili w niej żywszego dreszczyku. Nie zależało jej na innym życiu poza ochotniczą pracą u Świętego Andrzeja.

Dlatego też zdumiała się ogromnie, gdy jeden z prawników firmy, który urzędował w pobliskim gabinecie, zaprosił ją w któryś piątek na kolację. Wiedziała o nim tylko, że przyjaźni się z Tomem i Billem, niedawno się rozwiódł i jest bardzo przystojny. Ponieważ zaś nie miała ochoty wiedzieć więcej, wyjaśniła mu, iż jest zajęta, mimo woli robiąc niezbyt życzliwą minę. Niedoszły wielbiciel wycofał się zawstydzony.

Grace zdziwiła się jeszcze bardziej, kiedy jeden z jej szefów zapytał ją nazajutrz, dlaczego odrzuciła zaproszenie Haliama Balia.

— To bardzo miły gość i podobasz mu się — rzekł, jak gdyby to samo przez się gwarantowało mu względy Grace.

— Ja... hmm... to bardzo uprzejmie z jego strony i wierzę, że jest miły — jąkała się zakłopotana. — Po prostu z zasady nie umawiam się z ludźmi, z którymi pracuję. To nigdy nie przynosi dobrych rezultatów — powiedziała stanowczo, a szef skinął głową.

— Tak właśnie mu powiedziałem. W gruncie rzeczy masz rację, chociaż szkoda, bo na pewno byś go polubiła. Biedak, do tej pory przeżywa zeszłoroczny rozwód.

— Przykro mi to słyszeć — powiedziała chłodno.

Winnie oznajmiła jej później dość ostro, że Hallam Bali to jedna z najlepszych partii w firmie i że Grace jest niemądra, a jeśli się nie zmieni, zostanie starą panną.

— Świetnie — uśmiechnęła się do niej Grace. Wtedy już nikt nie będzie mnie podrywał i nie będę zmuszona do szukania wykrętów.

— Jesteś stuknięta! — prychnęła Winnie. — Głupia gęś! Gdy miesiąc później chciał się z nią umówić jeden z aplikantów i Grace też go spławiła, podając tę samą przyczynę, Winnie wpadła w szal.

— Jesteś najgłupszą dziewczyną, jaką znam! — wołała. — Absolutnie nie mam zamiaru tolerować tego, co wyprawiasz! To wspaniały chłopak i nawet dorównuje ci wzrostem! Grace tylko się roześmiała, słysząc ten argument. W krótkim czasie stało się powszechnie wiadome, iż Grace Adams nie umawia się z pracownikami firmy. Większość doszła do wniosku, że ma narzeczonego, a choć kilku zdecydowało się podjąć wyzwanie, Grace była twarda jak gład.

— Ciekawe, w jaki sposób zamierzasz znaleźć męża?

— sarknęła na nią Winnie pewnego popołudnia, gdy wychodziły z pracy.

— Wcale nie zamierzam wyjść za mąż. — Grace była wzruszona troską starszej pani, ale obstawała przy swoim. Winnie poczuła się dotknięta.

— Rzeczywiście powinnaś zostać zakonnica! — zawołała ze złością. — Już praktycznie nią jesteś!

— Tak jest, proszę pani — odparła Grace z dobrodusznym uśmiechem, a Bill, który właśnie wychodził z gabinetu i posłyszał, co mówią, uniósł jedną brew. Zgadzał się z Winnie; uważał, że Grace marnuje znakomite okazje. Młodość i uroda nie trwają wiecznie.

— Wkroczyłyście na wojenną ścieżkę, moje panie? — zażartował, wkładając płaszcz i chwytając parasol. Był marzec i od kilku tygodni lalo prawie bez przerwy.

— Ta dziewczyna jest głupia jak but! — wykrzyknęła Winnie, bezskutecznie usiłując trafić dłonią do rękawa własnego paltka. Grace pomogła jej się wyplątać, a Bill parsknął śmiechem.

— Na litość boską, Grace, coś ty zrobiła Winnie?

— Nie chce się z nikim umówić, ot co! — Starsza pani wyrwała płaszcz z rąk Grace, włożyła go i zapięła, myśląc guziki. Oboje młodzi z najwyższym trudem zachowali powagę. — Skończy tak jak ja: jako stara panna, a jest na to o wiele za ładna. — W oczach tęgiej sekretarki błysnęły łzy.

Grace pochyliła się i ze szczerym uczuciem ucałowała ją w policzek. Winnie naprawdę była dla niej jak matka lub droga przyjaciółka.

— Pewnie ma już chłopaka i trzyma to w tajemnicy

— rzekł uspokajająco Bill. W głębi duszy zastanawiał się nawet, czy Grace nie jest związana z żonatym mężczyzną. Nie wierzył, by jej upór brał się wyłącznie z cnoty i trzeźwego myślenia; kilku innych prawników podzielało to zdanie.

Grace uśmiechnęła się bez słowa, po czym w strumieniach ulewnego deszczu pojechała na Delancey Street, gdzie spędziła wieczór i pół nocy. Nazajutrz w pracy była niewyspana, co utwierdziło Winnie w przekonaniu, że jej szef ma rację.

Grace natomiast miała wrażenie, że złapała grypę. Poprzedniego wieczoru przemokła do suchej nitki. Toteż nie była w życzliwym nastroju, kiedy o jedenastej poprosił ją do siebie kierownik kadr. Nie miała pojęcia, jakie mógłby mieć w stosunku do niej zastrzeżenia, chyba że któryś z odrzuconych wielbicieli postanowił narobić jej kłopotów.

Po przeszłych doświadczeniach wcale nie byłaby tym zaskoczona.

— Najlepiej po prostu trzymaj buzię na kłódkę — doradziła jej Winnie. Kadrowy jednak bynajmniej nie chciał jej ganić, a wręcz chwalił.

— Prawdę mówiąc — rzekł z wahaniem — chciałbym cię prosić o małą przysługę. Wiem, jak to nieporęcznie odkładać swoją pracę choćby na krótki czas, i wiem, że Tom i Bill nie będą z tego radzi. Ale panna Waterman miała wczoraj wypadek — po śliznęła się w metrze i złamała nogę w biodrze. Nie będzie jej przez dwa, może trzy miesiące, bo ponoć wywiązały się komplikacje. Leży w Lenox Hill; dzwoniła do nas jej siostra. Znasz pannę Waterman, prawda?

Grace wyczerpała pamięć, ale ani rusz nie mogła sobie przypomnieć, kim jest panna Waterman. Najwyraźniej jakąś sekretarką w firmie. Zastanawiała się, czy dostaje kopa w górę, czy też w dół. Miała tylko nadzieję, że nie wyląduje w biurze jednego z tych panów, którym dała kosza.

— Chyba nie miałam przyjemności — odparła.

— Jest asystentką pana Mackenzie — rzekł kadrowy, jak gdyby to wszystko wyjaśniało. Grace spojrziała na niego zakłopotana.

— Jakiego pana Mackenzie?

— Charlesa Mackenzie — wyjaśnił cierpliwie. Charles Mackenzie był jednym z trzech współwłaścicieli firmy.

— Pan chyba żartuje? — pisnęła łamiącym się głosem.

— J a? Nie potrafię nawet pisać pod dyktando. — Grace nie miała ochoty piąć się na sam szczyt i poddać związanej z tym presji.

— Robisz szybkie notatki, a twoi szefowie twierdzą, że masz znakomite kwalifikacje. Zresztą pan Mackenzie bardzo precyzyjnie określił swoje wymagania.

Nie wypadało mu tego mówić głośno, ale Charles Mackenzie nie cierpiał starych, zręcznych sekretarek, które narzekały, że przetrzymuje je do późna w biurze. Jedynie ktoś młody mógł dotrzymać mu kroku, toteż z reguły zatrudniał sekretarki poniżej trzydziestki. Nawet Grace już o tym słyszała.

— Chce osoby lotnej i fachowej — podjął — która będzie mu pomagać, a nie przeszkadzać w pracy. Oczywiście, kiedy panna Waterman wyjdzie ze szpitala, będziesz mogła wrócić na swoje stanowisko. To kwestia dwóch, najwyżej trzech miesięcy.

Pewnie chce ją zaciągnąć do łóżka, pomyślała żałośnie Grace. Znała takich jak on. I pomyśleć, że dotąd było jej tak dobrze!

Mam wybór? — zapytała zgnębionym głosem.

— W zasadzie nie — brzmiała szczerą odpowiedź.

Przedstawiłem mu dziś trzy kandydaty i wybrał twoją. Trudno mu będzie wytłumaczyć, że nie chcesz — spojrzął na nią posępnie. Charles Mackenzie nie lubił, gdy mu się sprzeciwiano,

— Aha. — Grace z nieszczęśliwą miną odchyliła się w krześle.

— Jestem pewien, że możemy zapewnić ci wynagrodzenie odpowiednie do nowej funkcji. Lecz zapowiedź podwyżki nie osłodziła Grace hiobowej wieści.

Nie miała najmniejszej ochoty znosić awansów jakiegoś starego piernika, który miał słabość do dwudziestoletnich sekretarek. Będzie musiała się rozejrzeć za nową pracą. Popróbuje przez kilka dni, a jeśli facet okaże się dewiantem, odejdzie. Nie powiedziała tego personalnemu, w głębi duszy jednak podjęła decyzję.

— Doskonale — stwierdziła lodowatym tonem. Kiedy zaczynam?

— Zaraz po lunchu. Pan Mackenzie miał dziś pracowity ranek, zwłaszcza że musiał obejść się bez pomocy.

A tak przy okazji... ile lat ma panna Waterman?

— Dwadzieścia pięć albo sześć, nie jestem pewien. Pełni tę funkcję od trzech lat.
Grace doszła do wniosku, że pewnie mieli romans, pokłócili się i panna Waterman szuka nowej pracy. Wszystko jest możliwe. Za godzinę sama się przekona.
Wróciła do biura po swoje rzeczy i o wszystkim Winnie.
— To cudownie! — wykrzyknęła radośnie starsza pani.
— Będzie mi cię brakować, ale jaka to dla ciebie wspaniała odmiana!
Grace nie patrzyła na to w ten sam sposób i omal się nie rozplakała, kiedy dziewczyna z hali maszyn przyszła ją zastąpić. Pożegnała się z Tomem i Billem, dla których pracowała przez prawie pół roku, i przewiozła manatki na dwudzieste dziewiąte piętro. Winnie przyrzekała, że zadzwoni do niej po południu, żeby spytać, jak leci.
— Ten facet to jakiś dziwak poskarżyła się półgłosem Grace, ale Winnie pocieszyła ją szybko:
— Nieprawda. Wszyscy go uwielbiają.
— Nie wątpię mruknęła kwaśno Grace i ucałowała Winnie w policzek, zanim wyszła. Na górę dotarła w fatalnym humorze; irytował ją nawet elegancki wystrój wewnątrz. Nie zdążyła zjeść lunchu i bolała ją głowa. Chyba rzeczywiście była przeziębiona.
W biurze z niewiarygodnym widokiem na Park Avenue powitano ją jak królową, a trzy sąsiadujące z nią urzędniczki od razu przyszły, by się z nią zapoznać. Pracownicy „góry” stanowili jakby mały klub i gdyby Grace była w lepszym nastroju, przyznałaby, że wszyscy są bardzo miili.
Przejrzała papiery, które zostawił dla niej kierownik kadr, i listę instrukcji od nowego szefa. Wszystko miała załatwić jeszcze tego popołudnia. Były to głównie zapytania, kilka telefonów prywatnych, ustalenie terminu wizyty u krawca oraz u fryzjera, a także rezerwacja stolika w „21” na dwie osoby.
Jakież to męskie! — sarknęła w duchu Grace, podnosząc słuchawkę.
Kiedy kwadrans po drugiej Mackenzie wrócił z roboczego lunchu, umówione były już wszystkie spotkania i zgromadzona połowa informacji. Grace poinformowała go również, że załatwiła kilka spraw, jakie wynikły podczas jego nieobecności. Był zaskoczony jej operatywnością, lecz nie tak, jak ona na jego widok. „Stary piernik” okazał się wysokim, czterdziestodwuletnim mężczyzną o szerokich barkach, intensywnie zielonych oczach i kruczoczarnych włosach, lekko szpakowatych na skroniach. Miał mocno zarysowaną szczękę filmowego gwiazdora i był całkowicie bezpretensjonalny. Zachowywał się tak, jakby nie miał pojęcia, że jest choćby przystojny. Wszedł cicho, swobodnie się z nią przywitał i pochwalił pracę, którą już wykonała.
— Jesteś rzeczywiście tak dobra, jak mówią, Grace
— uśmiechnął się do niej ciepło.
Grace natychmiast przysięgła sobie w duchu, że nie da mu się uwieść. Nie złapie się na lep jego aparycji ani stanowiska. Panna Waterman mogła go hołubić; dla panny Adams tego rodzaju rzeczy nie wchodziły w zakres obowiązków służbowych. Dlatego też w rozmowie przybrała oficjalny i nieszczególnie przyjazny ton.

W ciągu następnych dwóch tygodni prowadziła mu terminarz, załatwiała wszystkie telefony, robiła notatki; słowem

— dowiodła, że jest bliska ideału.

— Jest świetna, nie? — zapytał z dumą posiadacza Tom Short, kiedy spotkał się z Mackenzie na kilka minut przed naradą.

— Owszem — przyznał prezes bez większego entuzjazmu, co nie uszło uwagi Toma.

— Nie lubisz jej?

— Szczerze? Nie. Jest niemiła jak diabli, przez cały dzień zachowuje się tak, jakby miała w zadku kij od szczotki. W życiu nie spotkałem tak nadętej baby. Nieraz miałbym ochotę wylać na nią kubel zimnej wody.

— Grace? — Młodszy prawnik rozdziawił usta ze zdumienia. To taka miła i uczynna dziewczyna.

— Może po prostu mnie nie lubi. Chryste, nie mogę się już doczekać powrotu panny Waterman!

Jednakże cztery tygodnie później wiadomość przekazana przez Elizabeth Waterman położyła kres nadziejom Grace i jej szefa. Nieprzyjemny wypadek, a zwłaszcza znieczulica pasażerów metra, poważnie wpłynęła na zmianę opinii Elizabeth o nowojorczykach. Po rekonwalescencji zamierzała powrócić na stałe na Florydę, gdzie mieszkała jej rodzina.

— Obawiam się, że jest to zła wiadomość i dla mnie, i dla ciebie — rzekł otwarcie Mackenzie, kiedy o tym usłyszał.

W ciągu sześciu tygodni Grace, pracując bez zarzutu, nie powiedziała mu ani jednego uprzejmego słowa. Co prawda Mackenzie był uosobieniem dobrych manier i nie robił jej żadnych trudności, ale ilekroć Grace dostrzegała, jak jest przystojny i jak swobodnie czuje się w każdym towarzystwie, nienawidziła go jeszcze bardziej. Powiedziała sobie, że zna ten typ ludzi. Szef tylko czeka na okazję, żeby ją osaczyć, tak samo jak ongiś Bob Swanson. Co tydzień widziała u Świętego Andrzeja nowe ofiary męskiej podłości i to przypominało jej coraz to od nowa, jak niebezpieczni potrafią być mężczyźni, jeśli im zaufać.

— Nie jesteś tu szczęśliwa, prawda, Grace? — spytał.

Grace spuściła wzrok. Kto wie, ile kobiet dało już się uwieść tym zielonym oczom, włączając w to jej poprzedniczkę i Bóg wie ile innych.

— Chyba nie jestem dla pana właściwą asystentką — po wiedziała cicho. — Nie mam odpowiedniego doświadczenia.

Nigdy dotąd nie pracowałam dla osoby na tak wysokim stanowisku.

Uśmiechnął się na te słowa, ale Grace była spięta jak zwykle.

L — Co robiłaś przedtem?

— Przez dwa lata pracowałam w agencji modelek — od parła, zastanawiając się, do czego zmierza. Może teraz ma zamiar ją zaatakować. W końcu to zrobi. Wszyscy tak robili.

— Jako modelka? — spytał, bynajmniej nie zaskoczony, lecz Grace pokręciła głową.

— Nie, jako recepcjonistka, a później sekretarka.

— To musiało być o wiele ciekawsze niż kancelaria prawnicza. Moja praca nie jest zbyt ekscytująca. — Znów się uśmiechnął. Wyglądał bardzo młodo. Grace wiedziała, że był mężem znanej aktorki i że nie mieli dzieci. Rozwiedli się dwa lata temu i od tej pory spotykał się z wieloma kobietami.

— Podobnie jak większość posad — stwierdziła rozsądnie, zaskoczona, że szef ma ochotę poświęcać tyle czasu na rozmowę. — Właściwie — dodała po namyśle — tu mi się bardziej podoba. Ludzie są o wiele miłsi.

— A zatem chodzi o mnie — rzekł ze smutkiem, jak gdyby poczuł się osobiście dotknięty.

— Co pan ma na myśli? — nie zrozumiała.

— Cóż, jest oczywiste, że praca nie sprawia ci przyjemności, a skoro podoba ci się firma, winien jestem ja. Mówiąc szczerze, za każdym razem, kiedy wchodzę do biura, mam wrażenie, że robię ci przykrość.

Grace zaczerwieniła się ze zmieszania.

— Nie... ja... bardzo pana przepraszam... nie chciałam, żeby pan tak to odebrał.,.

— Zatem w czym problem?

Chciał to wreszcie wyjaśnić. Pod względem ściśle zawodowym Grace była najlepszą sekretarką, z jaką dotąd pracował. Spojrzał na nią i dodał:

— Ponieważ Elizabeth złożyła wymówienie, mamy dwa wyjścia: albo się polubić, albo rozstać, nieprawdaż?

Kiwnęła głową, zawstydzona, że jej antypatia była tak widoczna. Nie zrobił jej żadnej krzywdy; chodziło o to, co jej zdaniem reprezentował. W rzeczywistości zresztą, o czym Grace nie wiedziała, nie był podrywaczem. To jego szeroko opisywane przez prasę małżeństwo zyskało mu tę opinię.

— Naprawdę bardzo mi przykro, panie Mackenzie. Postaram się, żeby od dziś lepiej nam się układała współpraca.

— Ja też — rzekł uprzejmie i Grace poczuła wyrzuty sumienia. Spotęgowały się one jeszcze bardziej, kiedy Elizabeth Waterman przyszła o kulach, żeby się pożegnać. Roniąc łzy mówiła, że czuła się tu jak w rodzinie, a szef to najżyczliwszy, najrówniejszy facet, jakiego zna. Nie wyglądało to na koniec romansu.

— Jak ci idzie na górze? — zagadnęła ją kiedyś Winnie.

— Fajnie — bąknęła Grace. Jej nie najlepsza opinia zaczęła już przenikać na niższe piętra. Zawstydziała się jeszcze bardziej, gdy Winnie potwierdziła, że słyszała już od kilku osób, że Grace jest niemiła dla pana Mackenzie.

Po tej rozmowie dołożyła starań, żeby być dla niego przynajmniej uprzejma. Pogodziła się z tym, że nie wróci już na dół. Jej obecna praca była zresztą o wiele ciekawsza, co Grace w końcu musiała sama przed sobą przyznać. W maju jednak szef ni stąd, ni zowąd oznajmił, że ma z nim polecieć do Los Angeles. Grace omal nie dostała zawału. Cała się trzęsła, gdy mówiła Winnie, że ma zamiar odmówić.

— Dlaczego, na litość boską? Grace, co to za okazja!

Do czego?, myślała ponuro dziewczyna. Żeby iść do łóżka z szefem? O nie! Nic z tego! W jej przekonaniu był to z góry ukartowany zamach na jej cześć. Gdy jednak nazajutrz weszła do szefa, zdecydowana oznajmić mu, że nie jedzie, Mackenzie wylewnie zaczął jej dziękować, że poświęca mu swój wolny czas, i do reszty zbił ją z tropu. Rozważała nawet myśl, by złożyć wypowiedzenie. Któregoś wieczoru w schronisku zaczęła rozmowę na ten temat z ojcem Timem.

— Czego się boisz, Grace? — spytał. Miała strach wypisany w oczach, na twarzy, w całym ciele.

— Boję się, że... och, nie wiem! — Wstydziła się mówić o takich sprawach, ale czuła, że dla własnego dobra powinna to z siebie wyrzucić. — . . .No, że postąpi jak wszyscy inni i wykorzysta mnie, albo i gorzej. Kiedy tu przyjechałam, myślałam, że wreszcie będę miała spokój, a teraz znów się zaczyna przez tę głupią podróż do Kalifornii.

— Czy kiedykolwiek dał ci powód do przypuszczeń, że chce cię wykorzystać? — zapytał cicho ojciec Tim. — Słowem, że interesujesz go seksualnie? — Wiedział doskonale, o czym mówi Grace i czego się boi.

— Właściwie nie — przyznała z żalną miną

— Nawet odrobinę? Bądź ze sobą szczerą. W głębi duszy znasz prawdę.

— No... nie, ani trochę.

— Skąd zatem przeświadczenie, że to się teraz zmieni?

— Nie wiem... Ludzie nie zabierają sekretarek na wyjazdy, jeśli nie mają zamiaru... no, wie ojciec.

Uśmiechnął się na to dyskretne omówienie. Słyszał w życiu wiele brutalnych słów, a także opowieści — bardziej szokujących niż historia Grace.

— Niektórzy biorą sekretarki w podróż bez „no wiesz”. Może naprawdę potrzebuje twojej pomocy. A jeśli zachowa się niewłaściwie..., jesteś przecież dorosłą dziewczynką, Grace. Wsiądziesz w samolot i wrócisz do domu. I koniec bajki.

— Chyba rzeczywiście mogłabym tak zrobić — Grace po namyśle skinęła głową.

— Sama decydujesz o sobie. Tego właśnie uczymy ludzi, którzy tu przychodzą. Wiesz o tym lepiej niż ktokolwiek inny. Możesz się wycofać, kiedy tylko zechcesz.

— No dobrze. Może z nim pojedę. Grace westchnęła i spojrzała na niego z wdzięcznością, wciąż nie do końca przekonana.

— Rób to, co uważasz za słuszne, Grace. Ale nie pozwalaj, by decyzję podjął za ciebie strach. Strach nigdy nie zaprowadzi cię tam, dokąd chcesz dojść. Musisz świadomie dbać o własne dobro.

— Dziękuję, ojcze.

Nazajutrz rano powiedziała szefowi, że pojedzie z nim do Kalifornii. Wciąż miała mnóstwo obaw, ale powtarzała sobie do znudzenia, że w razie kłopotów kupi tylko bilet i już będzie w domu. Zabrała w tym celu kartę kredytową.

Mackenzie zabrał ją na lotnisko limuzyną. Chyba nie spostrzegł jej zdenerwowania miał ze sobą aktówkę i jeszcze z samochodu dzwonił w parę miejsc. Nabazgrał też kilka notatek dla niej. Podśluchiwała, że dzwonił do jakiejś kobiety. Wiedziała o znanej damie z towarzystwa, która często odwiedzała go w biurze. Wyglądało na to, że Mackenzie ją lubi, Grace jednak nie odniosła wrażenia, aby był w niej — lub w kimkolwiek — szaleńczo zakochany.

Lecieli pierwszą klasą. Przez większą część drogi szef pracował, a Grace oglądała film.

Wyjazd miał na celu końcowe negocjacje finansowych ustaleń wielkiego kontraktu na produkcję filmu. Klient miał na Zachodnim Wybrzeżu doradcę prawnego do spraw

merytorycznych, Mackenzie wszakże reprezentował w tym kontrakcie wielkie pieniądze i Grace z zaciekawieniem przyglądała się, jak umiejętnie godzi wszystkie aspekty sprawy.

Stało się to jeszcze bardziej interesujące, gdy dotarli do Los Angeles. Przylecieli w południe czasu lokalnego i pojechali prosto na naradę, która trwała prawie do wieczora. Potem

Mackenzie umówiony był na kolację; po drodze podrzucił Grace do hotelu i kazał jej

zamówić sobie posiłek na jego koszt. Zatrzymali się w hotelu „Beyerly Hills” i Grace nieomal dostała wypieków na widok czterech słynnych gwiazd filmowych przechodzących przez hol.

Wieczorem próbowała dowiedzieć się o numer telefonu Davida Glassa, ale nie znalazła go w książce Los Angeles ani Beyerly Hills. Była zawiedziona. Miała wielką ochotę się z nim

spotkać, choć czuła, iż jego żona nie byłaby tym zachwycona. Wyczytała to między wierszami z jego listów. Nie odezwał się zresztą od chwili, kiedy urodziło mu się pierwsze

dziecko. Miała nadzieję, że dobrze mu się wiedzie, i żałowała, iż nie może się z nim podzielić swoim szczęściem. Nadal jeszcze czasem za nim tęskniła.

Zamówiła kolację do pokoju i włączyła telewizor. Wypożyczyła sobie kasetę z filmem, który od lat chciała obejrzeć, ale nigdy nie miała na to czasu. Była to komedia, i Grace śmiała się do siebie na głos. Potem pozamykała dokładnie wszystkie okna i założyła nawet łańcuch na drzwi. Podświadomie spodziewała się, że szef po powrocie spróbuje się niej włamać, ale spała smacznie aż do siódmej następnego ranka.

Przy śniadaniu Mackenzie wyłożył jej plan spotkań, które miał odbyć tego dnia, i wyjaśnił, czego od niej oczekuje. Podobnie jak ona, był wręcz pedantycznie zorganizowany, co nieraz ułatwiało Grace pracę, dawał jej bowiem precyzyjne wytyczne.

— Wykonałaś wczoraj kawał dobrej roboty — pochwalił ją. W szarym garniturze i białej koszuli wyglądałby bardziej naturalnie na Manhattanie niż w Los Angeles.

Grace miała na sobie różową sukienkę, którą kupiła dwa lata wcześniej w Chicago, i sweter w tym samym kolorze, zarzucony na ramiona. Prezentowała się w tym stroju trochę bardziej kobieco niż zwykle w kancelarii.

Bardzo ładnie dziś wyglądasz — zauważył mimocho dem szef.

Grace, słysząc to, zeszytniała. Po chwili jednak, opowiadając mu z podnieceniem o sławach ekranu, jakie widziała poprzedniego wieczoru, a także o obejrzanym filmie, rozluźniła się z powrotem, ku jego wielkiej uldze. Nieraz trudno mu było z nią wytrzymać. — Uwielbiam ten film — zaśmiał się. — Oglądałem go trzy razy, kiedy wszedł na ekrany. Nienawidzę posępnych dramatów.

— Ja też — przyznała.

Podano im śniadanie. Mackenzie jadł jajka na bekonie, Grace owsiankę.

— Powinnaś więcej jeść — rzekł ojcowskim tonem.

— Za to pan powinien unikać cholesterolu — odcięła się natychmiast. Co prawda szef był szczupły, ale jaja na bekonie cieszyły się generalnie złą opinią.

— Dobry Boże, dziecko, oszczędź mi pouczeń! Moja żona była wegetarianką, a do tego buddystką, jak wszyscy w Hollywood. Warto było się rozwieść choćby po to, żeby znów w spokoju jadać cheeseburgery.

Grace mimo woli parsknęła śmiechem.

— Długo był pan żonaty?

— Wystarczająco — skrzywił się żartobliwie. — Siedem lat.

Rozwiódł się dwa lata temu. Kosztowało go to prawie milion dolarów, ale uznał, że warto. Od tego czasu nikt na dłużej nie zawładnął jego sercem. Mackenzie żałował jedynie, że nie ma dzieci.

— Kiedy braliśmy ślub, miałem trzydzieści trzy lata i byłem pewien, że małżeństwo z Michelle Andrews to spełnienie moich wszystkich marzeń. Okazało się jednak, że rola męża najseksowniejszej aktorki Ameryki nie jest taka łatwa, jak sobie myślałem. Ci ludzie płacą straszną cenę za sławę. Wyższą niż jesteśmy sobie w stanie wyobrazić. Prasa rozrywa ich na strzępy, publika chce mieć na własność ich dusze... Aby to wytrzymać, wpadają w dewocję albo narkomanię, a żadne z tych rozwiązań nie jest, moim zdaniem, zdrowe. Ilekroć pojawialiśmy się publicznie, ukazywał się następny krzyczący nagłówek, następny skandal. To ciężkie życie, które po pewnym czasie zaczyna człowieka niszczyć. Teraz jesteśmy z żoną przyjaciółmi, ale trzy lata temu tak nie było.

Grace wiedziała z magazynu „People”, że Michelle Andrews była od tego czasu dwa razy zamężna: z młodszym od siebie piosenkarzem rockowym, a potem ze swoim impresanem.

— Poza tym — ciągnął Charles — byłem dla niej za sztywny. Nazbyt zasadniczy, po prostu nudny.

Grace podejrzewała, iż zapewnił żonie jedyną stabilizację, jakiej miała kiedykolwiek w życiu zaznać.

— A ty? — zmienił temat. — Zameężna? Zaręczona? Siedmiokrotnie rozwiedziona? Czekaj, bo zapomniałem... właściwie ile ty masz lat? Dwadzieścia trzy?

— Prawie — zarumieniła się. — Skończę w lipcu. Nie, nie jestem zameężna ani zaręczona. Piękne dzięki, mam na to za dużo rozumu.

— Mądrze prawie, babciu — roześmiał się.

Grace usiłowała nie myśleć o tym, jak jest pociągający, gdy się śmieje. W ogóle nie chciała za wiele o nim myśleć.

— W wieku dwudziestu dwóch lat jesteś jeszcze za młoda, żeby chodzić na randki. Mam nadzieję, że nie chodzisz?

— żartobliwie nastroszył brwi.

— Nie — odpowiedziała całkiem poważnie.

— Nie? Serio?

— Serio.

— Czyżbyś po zakończeniu kariery urzędniczej planowała wstąpić do klasztoru?

Charles z przyjemnością spostrzegł, że Grace otworzyła się nieco. Była intrygującą dziewczyną: lotną, inteligentną, a także zabawną, kiedy ujawniała swoje poczucie humoru, co nie zdarzało się często.

— Istotnie, mam przy jaciółkę, która próbuje mnie do tego namówić — zaśmiała się. Kto to jest? Będę musiał natrzeć jej uszu. Zakonnice kompletnie wyszły z mody, nie zauważyłaś?

— Ona właśnie jest zakonnica. Siostra Eugenia, kapitalna babka.

— O Boże! Kolejna fanatyczka religijna. Tak podejrzewałem. Co za kłątwa skazuje mnie na takich ludzi? Moja żona chciała sprowadzić z Tybetu Dalajlamę, żeby u nas zamieszkała...

Wszystkie jesteście stuknięte! — machnął ręką) oganiając się od niej jak od muchy. Grace zachichotała.

— Nie jestem żadną fanatyczką) przysięgam. Chociaż i mnie to czasami kusi. Ich życie jest takie proste.

— I takie nierzeczywiste. Można pomagać światu) nie wyrzekając się go — rzeki poważnie. Nie pochwalał skrajności.

— Skąd znasz tę zakonnice?

— Pracujemy razem w ośrodku pomocy.

— Czyli gdzie?

Zauważyła) że jest gładko ogolony i w ogóle nieskazitelny. Odpędziła tę myśl. Była w pracy.

— W schronisku Świętego Andrzeja na Lower East Side. To dom dla ofiar przemocy w rodzinie.

— Pracujesz tam? — zdumiał się. Ta dziewczyna miała więcej ikry) niż sądził) choć czasami była taka zmierzła. Zaczynał ją lubić.

— Tak) trzy razy w tygodniu. To wspaniały ośrodek. Przyjmują setki osób.

— Nigdy bym nie przypuszczał) że robisz coś takiego

— rzekł szczerze.

— Dlaczego? — zdziwiła się.

— Bo to wielkie poświęcenie) mnóstwo pracy. Większość dziewcząt w twoim wieku wolałaby pójść na dyskotekę.

— Nigdy w życiu nie byłam na dyskotecę.

— Zabrałbym cię) ale jestem za stary. Poza tym pewnie nie przypadłbym do gustu twojej mamie — rzekł dobrodusznie i po raz pierwszy Grace nie poczuła się zagrożona. Mimo to nie powiedziała mu) że nie ma matki.

Parę minut później wyjechali z hotelu na kolejne zebranie. Nazajutrz kontrakt został podpisany) a o szóstej rano następnego dnia wylecieli z powrotem do Nowego Jorku. Podczas lotu Grace pomagała szefowi porządkować dokumentację. Kiedy lądowali) powiedział, żeby wzięła sobie wolny dzień.

— Czy pan również bierze sobie wolne? — spytała.

— Nie mogę. O dziesiątej mam spotkanie z Arco) muszę się do niego przygotować. Poza tym jestem umówiony na lunch z członkami zarządu. Trzeba też wnieść parę pozwów.

— Wobec tego ja również przyjdę do pracy.

— Nie bądź głupia. Poradzę sobie z panią Macpherson czy kimś z hali maszyn.

— Ostatecznie jestem pańską asystentką. Wyśpię się dziś w nocy — oświadczyła stanowczo.

— Uroki młodości! — Przyjrzał się jej w zadumie. Zaczynała być taka) jaką znali ją inni — lojalna) pracowita) miła we współżyciu. Długo musiał na to czekać.

W końcu podrzucił ją do jej mieszkania i zaznaczył) że jeśli zmieni zdanie) on świetnie to zrozumie. Ale Grace była w firmie jeszcze przed nim. W gabinecie na biurku czekały na niego przepisane na maszynie notatki z samolotu) wytyczne na spotkanie z Arco i plik akt) które chciał wcześniej przejrzeć. Prócz tego kawa — zaparzona dokładnie tak, jak lubił.

— Rety! — uśmiechnął się. — Cóż uczyniłem) by zasłużyć na to wszystko?

— To zadośćuczynienie za ubiegłe trzy miesiące. Byłam dla pana przykra, za co bardzo przepraszam.

W Kalifornii zachował się jak dżentelmen i Grace gotowa była go polubić.

— Widzę, że przeszedłem już okres próbny — zaśmiał się. Nie miał do niej pretensji; zdawał się rozumieć i był jej szczerze wdzięczny za ogrom poświęcenia i drobiazgową precyzję w pracy.

o wpół do czwartej po południu zmusił ją wreszcie) by poszła do domu. Zagroził, że ją zwolni, jeśli nie posłucha. Coś się zmieniło; oboje to wyczuli. Z wrogów stali się odtąd sojusznikami.

ROZDZIAŁ XI

Czerwiec tego roku urzekł nowojorczyków balsamicznymi nocami po wietrznych, gorących dniach. Wieczorami ludzie siadali na tarasach lub wychylali się z okien, żałując, że nie są zakochani.

W życiu Charlesa Mackenziego pojawiły się dwie nowe kobiety, z których żadna nie przypadła zbytnio Grace do gustu. Jedną — rozwiedzioną matkę dwojga dorosłych dzieci — znał od dzieciństwa; druga była producentką przebojowej sztuki na Broadwayu. Szef dał nawet Grace z tej okazji dwa bilety do teatru. Poszły z Winnie i obie były zachwycone.

— Jaki on jest naprawdę? — spytała starsza pani, gdy po przedstawieniu usiadły u Sardiego nad wiedeńskim sernikiem.

— Miły, nawet bardzo miły — przyznała Grace. — Dużo czasu minęło, zanim to spostrzegłam. Ciągłe mi się zdawało, że zaraz się na mnie rzuci i zedrze ze mnie kieckę. Z góry go znienawidziłam.

— I co, rzucił się? — zapytała z nadzieją Winnie.

— Oczywiście, że nie. To dżentelmen.

— Fatalnie. — Winnie była rozczarowana. Grace wносиła w jej nudne, stateczne życie lekki dreszczyk emocji, a ponadto zastępowała córkę, dla której można było snuć marzenia o świetlanej przyszłości, zwłaszcza zaś — o przystojnym mężu.

— Biega za nim całe stado kobiet — ciągnęła Grace — nie zauważyłam jednak, by naprawdę szalał na punkcie którejś kołwiek z nich. Mam wrażenie, że mocno sparzył się w małżeństwie. Nie mówi o tym wiele, a wobec byłej żony jest szalenie lojalny, ale ten epizod musiał sporo go kosztować.

— Podobno prawie milion dolarów.

— Chodziło mi o koszty emocjonalne — sprostowała Grace. — Tamta kobieta wyszarpnęła z niego kawałek serca. W każdym razie to dobry człowiek. Haruje jak koń od rana do nocy. Zawsze po pracy wzywał dla niej taksówkę albo kazał ją odwozić swemu szoferowi. Zwalniał ją też wcześniej w te dni, kiedy miała dyżur u Świętego Andrzeja. Twierdził, że ta dzielnica jest zbyt niebezpieczna, żeby Grace jeździła metrem — nawet w niedzielę. Taksówki jednak kosztowałyby ją fortunę. Zresztą jak dotąd nikt jej nie zaczepiał.

Winnie doniosła jej, że żona Toma niebawem urodzi czwarte dziecko. Zgadywały ze śmiechem, ile czasu minie, nim żona Billa również zajdzie w ciążę. Potem Grace odwiozła Winnie taksówką do domu i sama wróciła do siebie. Zdziwiała, jak bardzo teraz lubiła pracę w firmie.

Szef w czerwcu znów pojechał do Kalifornii, tym razem sam, leciał bowiem tylko na jeden dzień i uznał, iż nie warto jej ciągnąć. Za to w sobotę zapędził ją do pracy. Usprawiedliwiał się zresztą później, że nie zaprasza jej na kolację. Był umówiony, ale chciał jej jakoś wynagrodzić stracony weekend.

— Zaproś przyjaciół do „21” na mój rachunek — rzekł zadowolony, że wpadł na taki pomysł.

— Nawet dzisiaj, jeśli tylko masz ochotę.

— Naprawdę nie musi mi się pan rewanżować — powiedziała nieśmiało, myśląc równocześnie, jaką radość sprawiłaby Winnie wizyta w tak wytwornej restauracji.

— Ale chcę. Zawsze powinno się mieć jakąś korzyść z tego, że pracuje się u samego szefa. Nie jestem pewien, jaką dokładnie, ale kolacja w „21” wydaje się być na miejscu, więc zarezerwuj stolik.

Ceniła go za to, że nigdy nie próbował sam się z nią umówić. Już się go nie bała.

Podziękowała mu raz jeszcze, po czym poszła do domu, szef natomiast — na randkę.

Grace podejrzewała, że tym razem umówił się z prawniczką z konkurencyjnej firmy.

Wskazywała na to zwiększona liczba faksów, przychodząca ostatnio od Spielberga i Steina.

Spędziła wieczór w domu przed telewizorem, ale od razu zadzwoniła do Winnie z wieścią o kolacji. Starsza pani była tak podekscytowana, że obawiała się, czy zdoła zasnąć, nim ten dzień nadejdzie.

Nazajutrz Grace pojechała jak zwykle do Świętego Andrzeja. Pogoda wciąż była piękna, po ulicach spacerowało mnóstwo ludzi, dzięki czemu czuła się bezpieczniej.

Miała długi, ciężki dyżur, ocieplenie spowodowało bowiem nową falę przemocy i domowych tragedii. Jedząc w kuchni kolację z siostrą Eugenią i ojcem Timem, opowiedziała im o swoim pobycie w Kalifornii. Minął już miesiąc, dotąd jednak nie mieli czasu pogadać

— Nie miałaś problemów? — spytał ksiądz.

— Nie, było naprawdę świetnie — rozpromieniła się.

Wyszła o jedenastej, czyli później niż zwykle w niedzielę. Zastanawiała się, czy wziąć taksówkę, ale było tak ładnie, że postanowiła mimo wszystko wracać metrem. Nie doszła nawet do następnej przecznicy, kiedy ktoś złapał ją za ramię i mocnym szarpnięciem wciągnął do bramy. Był to chudy, wysoki Murzyn, pewnie narkoman albo drobny złodziej. Potrząsnął ją gwałtownie i popchnął ją na drzwi.

— Wydaje ci się, że jesteś taka mądra, co? — syknął, łapiąc ją za gardło. Pozjadałaś wszystkie rozumy...

Nie chciał jej pieniędzy. Najwyraźniej zamierzał się tylko na niej wyżyć.

— Ależ skąd — zaprzeczyła spokojnie, nie chcąc go prowokować. Bała się, że ją udusi. — Puść mnie, człowieku, nie zamierzasz przecież zrobić mi krzywdy.

— A właśnie że tak. — Nagle wyciągnął długi, cienki nóż i przytknął do jej szyi wyćwiczonym gestem. Grace zamarła. Przypomniała sobie Jane. Ale teraz nie było przy niej Luany... ani Sally.

— Proszę, nie rób tego — wychrypiąta. — Weź moją torebkę; jest w niej pięćdziesiąt dolarów, wszystko, co mam... Zegarek też możesz zabrać. — Wyciągnęła rękę. Był to pożegnalny prezent od Cheryl Swanson. Niewielka cena za życie.

— Nie chcę twojego pieprzonego zegarka, suko. Chcę Isellę.

— Isellę? — Nie miała pojęcia, o kim mówi. Smierdział tanią whisky i potem.

— Moją żonę... zabrałaś moją żonę... a teraz ona nie chce do mnie wrócić...
Chodziło zatem o jedną z kobiet, która znalazła schronienie u Świętego Andrzeja.
— Nawet jej nie znam... Nic nie zrobiłam... Porozmawiaj z nią; może wróci do ciebie, jeśli zaczniesz się leczyć...
— Zabrałaś mi dzieci... — Napastnik dygotał, po twarzy ciekły mu łzy.
Grace gorączkowo szukała w pamięci. Nie mogła sobie przypomnieć kobiety o imieniu Isella. Widziała ich tak wiele...
— Nikt nie mógłby zabrać ci rodziny. Musisz znaleźć pomoc... leczyć się... Jak ci na imię? Miała nadzieję, że jeśli zdoła nawiązać z nim kontakt, nie zabije jej.
— Sam. Zresztą co cię to obchodzi, dziwko?
— Jestem zakonnica — Grace chwyciła się ostamej deski ratunku. — Poświęciłam życie Bogu i takim jak ty, Sam. Byłam w więzieniu..., bywałam w różnych miejscach.. Krzywdząc swoją żonę, tak samo jak krzywdząc mnie, niczego nie osiągniesz.
— Psiakrew! — kopnął w drzwi i znów zaczął rozpaczliwie płakać. — Pieprzony pingwin! — Splunął Grace w twarz.
— Zasłaniacie się tym swoim Bogiem; myślicie, że wam wszystko wolno... A żebyście tak wyzdychały, suki... — Uderzył jej głową o drzwi.
Grace odniosła wrażenie, że czaszkę ma pełną piasku; świat na moment zszarzał i rozmył się. Kiedy zaczęła osuwać się na Ziemię, kopnął ją w żołądek, potem jeszcze raz. Nie mogła go powstrzymać, nie mogła wydobyć z siebie głosu, nawałnica ciosów spadała na jej twarz, głowę, brzuch, plecy, aż nagle urwała się. Murzyn odbiegł kawałek, znów coś do niej wrzasnął; potem wszystko ucichło. Grace leżała w bramie, czując smak własnej krwi. Znaleźli ją policjanci z nocnego patrolu. Jeden z nich szturchnął ją pałką, myśląc, że jest pijana. Gdy zobaczył na pałce lśniąca ślady krwi, zaklął.
— Wezwij karetkę, szybko! — zawołał do partnera, ukląkł obok Grace i namacał jej tętno. Było bardzo słabe, ale jeszcze wyczuwalne. Ostrożnie obrócił dziewczynę na plecy. Była strasznie pobita, oddychała z trudem, zlepione krwią włosy przylgnęły jej do twarzy.
— Co z nią? — spytał drugi policjant.
— Niedobrze. Sądząc po ubraniu, nie jest z tej dzielnicy. Bóg jeden wie, skąd się tu wzięła.
— Wyjął z torebki Grace portfel. — Mieszka na Osiedziu Czwartej, to kawał drogi stąd. Powinna była mieć na tyle rozumu, żeby się tu nie zapędzać — rzekł, podkładając Grace torebkę pod głowę, i znów zbadał jej puls. Tętno słabło, oddech także zamierał.
— Niedaleko jest ośrodek pomocy; może tam pracuje. Jedź z nią, a ja to sprawdzę. — Ktoś musiał jechać z poszkodowaną do szpitala, żeby sporządzić raport.
Karetką przyjechała parę minut później. Sanitariusze szybko ułożyli Grace na noszach, podali jej tlen i na syrenie pomknęli z powrotem do szpitala.
Twarz dziewczyny przypominała krwawą miazgę, na szyi miała ranę od noża, a gdy rozpięli jej bluzkę i dżinsy, zobaczyli rozległe, purpurowe krwiaki.
— Paskudny uraz głowy — szepnął sanitariusz. — Jeśli nawet wyżyje, może nie wyjść ze śpiączki. Jak się nazywa?

Policjant jeszcze raz otworzył portfel i odczytał:

— Grace Adams.

Sanitariusz kiwnął głową. Musieli zrobić wszystko, żeby dowieźć ją żywą do szpitala Belleyue.

— No, Grace, otwórz oczy. Nikt cię już nie skrzywdzi. Jedziesz do szpitala, wszystko będzie dobrze. Otwórz oczy, Grace. Grace... cholera, tracimy ją!

Wskazanie ciśnieniomierza gwałtownie opadało.

Jeden z sanitariuszy sięgnął po defibrylator, drugi jednym szarpnięciem zerwał z Grace stanik.

— Odsuń się — rzucił do policjanta. Wjeżdżali właśnie na podjazd przed szpitalem. — Teraz.

Ciało Grace otrzymało potężny wstrząs i jej serce znów podjęło pracę. W tej samej chwili kierowca otworzył drzwi, a dwóch pielęgniarzy z izby przyjęć podbiegło z wózkiem.

— Przed chwilą zatrzymała się akcja serca. — Sanitariusz okrył nagą pierś Grace jej kurtką.

— Są objawy krwotoku wewnętrznego i uraz głowy — dokończył, biegnąc za wózkiem do sali operacyjnej. Groziła jej kolejna zapaść, ale tym razem serce, wzmocnione kroplówką, nie przerwało pracy. Lekarz dyżurny zaczął wydawać polecenia. Załoga karetki wraz z policjantem wycofała się do recepcji.

— Chryste, co za masakra! — westchnął sanitariusz, wypełniając formularz przyjęcia. — Nie wiecie, panowie, co się stało?

— Dla mnie to typowy nowojorski napad — rzekł policjant markotnie.

— Wątpię — sprzeciwił się sanitariusz. — Nikt nie bije z taką furją, jeśli nie ma osobistej zadry. Może to jej chłopak?

— W bramie na Delancey? Mało prawdopodobne. Dziewczyna ma na sobie drogie dżinsy, a mieszka na Upper East Side. Została napadnięta!

W schronisku jednak okazało się, że nie był to tylko zwykły pech. Zaledwie dzień wcześniej ojciec Tim otrzymał od policji wiadomość, iż niejaka Isella Jones została tego dnia zamordowana wraz z dwojgiem swoich dzieci. Jej mąż, Samuel Jones, zniknął. Policjant ostrzegał, że mężczyzna jest niebezpieczny i jak dotąd nadal znajduje się na wolności, a źródła swych kłopotów może upatrywać u Świętego Andrzeja. Pobita, przerażona Isella przebywała tam w czasie, gdy Grace wyjechała do Kalifornii.

Ojciec Tim przekazał informację pracownikom schroniska, O Grace jednak zapomniał. Nie miała zresztą żadnego związku z tą sprawą; nawet przelotnie nie zetknęła się z poszkodowaną. To nie ona namawiała Isellę Jones, by wróciła do rodzinnego domu w Cleveland. Książd miał zamiar wywiesić notatkę na tablicy ogłoszeń, lecz w ferworze codziennych zajęć wyleciało mu to z głowy.

Na wieść o wypadku ojciec Tim zbladł jak ściana. Był nieomal pewien, że to sprawka Jonesa. Rozesłano list gończy z rysopisem i zdjęciem z kartoteki policyjnej. Jones już niejednokrotnie miewał zatargi z prawem, jego dossier było długie na łokieć. Gdyby go

schwytno, otrzymałby wyrok śmierci już za mord na żonie i dzieciach. To, co zrobił z Grace, niewiele mogło zmienić.

— Co z nią? — spytał ojciec Tim.

— Wyglądała bardzo kiepsko, kiedy zabierała ją karetka. Przykro mi, ojciec.

Ksiądz pośpiesznie zarzucił na siebie czarną koszulę z koloratką. W oczach miał łzy.

— Podrzucicie rennie do szpitala?

— Oczywiście.

Cztery minuty później weszli do Bellevue. Grace wciąż przebywała w sali operacyjnej, gdzie zajmowała się nią cała grupa chirurgów. Nadal znajdowała się na granicy życia i śmierci.

— Stan jest krytyczny. To wszystko, co wiem — powiedziała im pielęgniarka za biurkiem w izbie przyjęć, po czym z namysłem przyjrzała się Timowi. Był księdzem, a dziewczyna miała niewielkie szanse na przeżycie, o czym poinformował ją jeden z lekarzy. — Chce ksiądz tam wejść? — spytała.

Skinął głową. Czuł się odpowiedzialny za to, co się stało. Pielęgniarka wprowadziła go do sali operacyjnej. Opuchnięte, sinoczarne ciało Grace, obłożone lodem i opatrunkami, ginęło w płataninie kroplówek, monitorów i przyrządów pomiarowych. Wokół krzątało się kilka osób w białych kitlach. Ojciec Tim był wstrząśnięty. Na skinienie lekarza podszedł, by udzielić Grace ostatniego namaszczenia. Nie wiedział, jakiego jest wyznania, lecz uznał to za nieistotne. Była dzieckiem Boga, a On wiedział, ile dla niego zdziałała i ile cierpień zniosła. Potem ksiądz usunął się do kąta, płakał i modlił się; minęło parę godzin, nim lekarze skończyli pracę. Głowę Grace spowijały teraz bandaż, twarz i szyję znaczyły chirurgiczne szwy. Miała złamaną rękę i kilka żeber. USG wykazało pękniętą śledzionę, odbite nerki i złamaną kość miednicową.

Z otwarciem jamy brzusznej wstrzymano się jednak do czasu, gdy krążenie Grace nieco się ustabilizuje.

— Czy zostało cokolwiek, czego nie uszkodził? — spytał żałośnie ojciec Tim.

— Niewiele. — Lekarz otarł pot z czoła. Nie miał wielkich nadziei. — Najładniejsze ma w tej chwili stopy — zażartował.

Ojciec Tim zdobył się na nadludzki wysiłek, by odpowiedzieć mu uśmiechem.

O szóstej rano przewieziono Grace na blok operacyjny, gdzie pozostała aż do południa. W tym czasie do szpitala przyszła siostra Eugenia. Siedzieli obok siebie, pogrążeni w modlitwie, kiedy podszedł do nich szef rezydentów.

— Czy ojciec jest jej krewnym? — spytał, speszony widokiem koloratki. Początkowo myślał, że to kapelan szpitalny, ale teraz uświadomił sobie, że zarówno ten ksiądz, jak i towarzysząca mu kobieta są tutaj ze względu na Grace.

— Tak — rzekł ojciec Tim bez wahania. — Co z nią?

— Przeżyła operację. Wycięliśmy jej śledzionę, połatali nerki i wsadzili gwóźdź w miednicę. Na szczęście udało się nam ocalić wszystkie ważne narządy. Nasz chirurg plastyczny zaklina się, że nie będzie żadnych śladów. Wielką niewiadomą pozostaje natomiast uraz czaszki. Encefalogram mieści się w normie, ale to jeszcze o niczym nie świadczy. Nie

potrafię przewidzieć, czy odzyska przytomność. Dowiemy się tego w ciągu kilku najbliższych dni. Przykro mi, ojczec. — Nim odszedł, podał mu rękę i uklonił się młodej zakonnicy. Chora jeszcze żyła; nie stracili jej, choć było blisko. To już coś.

Zobaczyć ją mogli dopiero za parę godzin, kiedy zostanie przewieziona piętro wyżej na oddział intensywnej opieki medycznej. Tim i Eugenia poszli zatem zjeść coś w szpitalnym barze.

Może powinniśmy zadzwonić do jej pracy? — podsunęła zakonnica. — Nikt poza nami nie wie, co się stało.

W tym czasie jedna z sekretarek kilkakrotnie dzwoniła już do domu Grace, gdzie oczywiście nikt nie podnosił słuchawki. Wysuwano żartobliwe podejrzenia, że spóźnia się przez weekendowy romans, Mackenzie jednak nie chciał tego słuchać. Byłoby to całkiem do niej niepodobne. Przy tym wiedział, że Grace mieszka sama; mogła pośliznąć się lub zasłabnąć... Zastanawiał się nawet, czy nie skontaktować się z administratorem domu, kiedy mu powiedziano, że dzwoni ksiądz Timothy Finnegan i że chodzi o Grace.

— Ja z nim porozmawiam. — Mackenzie podniósł słuchawkę z nagłym nieprzyjemnym przeczuciem. — Halo?

— Pan Mackenzie?

— Tak, W czym mogę księdzu pomóc?

— Obawiam się, że w niczym. Grace miała wypadek.

Charles poczuł, jak krew krzepnie mu w żyłach.

— Co się stało?

Chwila ciszy, jaka nastąpiła po tym pytaniu, wydała mu się wiekiem. W końcu głos w słuchawce odparł:

— Wczoraj w nocy została napadnięta i pobita nieomal na śmierć. Wychodziła właśnie z naszego ośrodka pomocy społecznej, gdzie pracuje jako wolontariuszka. Nie znamy szczegółów; najprawdopodobniej winien jest oszalały mąż jednej z naszych pacjentek. W sobotę zabił swoją żonę i dzieci. Grace wciąż walczy o życie.

— Gdzie ona jest? — Ręka Charlesa zdrząła, gdy chwycił pióro i notatnik.

— W Belleyue. Przed chwilą skończyli ją operować.

— Jest bardzo źle?

Jakież to niesprawiedliwe, myślał. Była taka młoda, ładna i pełna życia.

— Nie najlepiej. Straciła śledzionę, choć lekarze twierdzą, że może bez niej żyć. Ma uszkodzone nerki, złamaną miednicę i kilka żeber, praktycznie zmasakrowaną twarz i podcięte gardło, na szczęście tylko powierzchownie. Najgorszy jest uraz głowy, to teraz główny powód do zmartwienia. Nic jeszcze nie wiadomo; musimy czekać. Przykro mi, że dzwonię z tak złą nowiną, pomyślałem jednak, iż chciałby pan wiedzieć. — Pod wpływem nagłego impulsu ojciec Timothy dodał: — Grace darzy pana ogromnym szacunkiem, panie Mackenzie.

— Ja też bardzo ją lubię i szanuję. Czy w tej chwili mógłbym coś dla niej zrobić?

— Modlić się.

— Będę się modlił, ojczcie. I dziękuję. Proszę dać mi znać, jeśli nastąpi jakaś zmiana, dobrze?

— Oczywiście.

Odłożywszy słuchawkę, Mackenzie natychmiast zadzwonił do lekarza naczelnego z Belleyue, osobiście mu znanego neurochirurga, i poprosił go, żeby zaraz zajął do Grace. Obiecano umieścić ją w prywatnym pokoju i dopilnować, żeby miała własne pielęgniarki. Początkową fazę jednak musiała spędzić na oddziale intensywnej opieki, gdzie pracowali eksperci od terapii pourazowej.

Charles Mackenzie wprost nie mógł w to wszystko uwierzyć. Pamiętał, iż ostrzegwał Grace, jak niebezpieczna jest ta dzielnica. I proszę, oto efekt! O piątej znów zadzwonił do szpitala. Stan Grace nadal był krytyczny. Godzinę później połączył się z nim znajomy neurochirurg.

— Nie uwierzyłbyś, jak ten gość ją zmasakrował — rzekł.

— To nieludzkie.

— Będzie żyła? — Charles zaskoczony uświadomił sobie, jak bardzo polubił Grace. Była taka młoda; właściwie mogłaby być jego córką.

— Możliwe — odparł lekarz. — Na razie trudno cokolwiek stwierdzić. Urazy ciała powinny się wygoić, głowa to całkiem inna historia. Na szczęście nie musieliśmy otwierać czaszki, lecz wystąpił obrzęk, który utrzyma się jeszcze przez jakiś czas. Wszystko zależy od tego, jak długo. Musimy uzbroić się w cierpliwość. Czy ta mała jest twoją przyjaciółką?

— Sekretarką. Nie znam jej rodziny.

— Rozmawiałem z zakonnicą, która przy niej siedzi. Twierdzi, że dziewczyna została sama na świecie. Dziwne; jest przecież jeszcze taka młoda. I podobno ładna, choć nie miałem możliwości się o tym przekonać. Nasz chirurg plastyczny rzetelnie ją pozszywał, a jeśli przeżyje, będzie czas na retusze.

Charles poczuł mdłości. Odłożył słuchawkę. Jak to możliwe, żeby była samotna? Ksiądz i zakonnica, poza tym nikogo. Siedział jeszcze przez godzinę przy biurku, usiłując pracować; niewiele jednak zdziałał i o siódmej pojechał taksówką do szpitala Belleyue.

Udał się wprost na oddział intensywnej opieki. W tej chwili przy Grace czuwała tylko pielęgniarka. Siostra Eugenia wyszła tuż przed nim, a ojciec Tim miał wrócić nieco później, gdy opanuje sytuację w schronisku. Stan chorej od rana nie uległ zmianie.

Charles ujął dłoń dziewczyny i leciutko pogłaskał. Nie rozpoznałby jej, gdyby nie te długie, smukłe palce.

— Cześć, Grace. Wpadłem cię odwiedzić — przemówił cicho. Wątpił, czy w tym stanie mogła go usłyszeć. — Musisz szybko wyzdrowieć, a wtedy zabiorę cię na kolację w „21”. Wiesz, byłoby mi naprawdę bardzo miło, gdybyś choć na chwilę otworzyła oczy. Monologi nie są specjalnie ciekawe, nawet na scenie... No, obudź się, maleńka, otwórz oczy...

— szeptał.

W chwili gdy zamierzał już wstać i wyjść, zauważył, że powieki Grace drgnęły. Serce mu załomotało; przywołał skinieniem pielęgniarkę.

— Chyba poruszyła powiekami — rzekł.

— To prawdopodobnie tylko odruch — wyjaśniła współczująco pielęgniarka, stanęła jednak obok, przyglądając się Grace. Po kilku sekundach rzęsy Grace znowu drgnęły.

— Otwórz oczy, Grace — powiedział stanowczo.

— Wiem, że możesz to zrobić, jeśli tylko zechcesz.

Otworzyła je na krótko, jęknęła i zamknęła z powrotem. Charles miał ochotę krzyknąć z podniecenia.

— Co teraz? — spytał.

Odzyskuje przytomność uśmiechnęła się. — Zawołam doktora.

— Świetnie, Grace — pochwalił, głaszcząc znów jej palce.

W duchu błagał ją, by wróciła do życia; dowiodła, że jest silna i odniosła zwycięstwo nad bezdusznym opryskiem. — Nie możesz ciągle spać... — szeptał. — Mamy kupę roboty... obiecałaś napisać tamto odwołanie...

Plótt, co mu ślina na język przyniosła. Omal się nie rozplakał, widząc, że Grace marszczy brwi, otwiera oczy i patrzy na niego tępo.

— Jakie... odwołanie... — wychrypiąła, pokonując opór spuchniętych, sinych warg. Powieki opadły jej z powrotem.

Usłyszała go! Tym razem nie zdołał powstrzymać łez. Po chwili przyszedł lekarz; zrobił następne EEG i zbadał

reakcje na bodźce. Teraz Grace uchylała się, gdy świecił jej latarką w oczy, i jęczała z bólu, kiedy jej dotykał. To, że czuła ból, było dobrym objawem; mogło świadczyć, iż mózg nie jest uszkodzony. Z punktu widzenia Grace był to kolejny cios:

miała teraz przed sobą różne stadia męczarni, nim wyzdrowieje.

o północy wrócił ojciec Tim. Charles wciąż był w szpitalu, nie mógł się zmusić do odejścia.

Kiedy pielęgniarka podawała Grace zastrzyk przeciwbólowy, wyszli obaj na korytarz, żeby zamienić parę słów. W radości i uldze nagle poczuli się jak bracia.

— Mój Boże, wyjdzie z tego! — szepnął z podnieceniem ojciec Tim. Odprawił tego dnia mszę w jej intencji; wszystkie zakonnice także modliły się za Grace. — To wspinała dziewczyna— dodał. — Nie ma pan pojęcia, ile dla nas zrobiła.

Sam Jones został ujęty. Oskarżono go o zabójstwo żony i dzieci oraz usiłowanie zabójstwa Grace Adams. Przyznał, że ją napadł, ponieważ była pierwszą osobą, jaką zobaczył wychodzącą ze schroniska, a przeczuwał, że tam właśnie mają źródło wszystkie jego kłopoty.

Nieraz się dziwiłem, dlaczego Grace to robi. — Charles ściągnął brwi w zadumie.

— Myślę, że jest wiele rzeczy, których o niej nie wiemy

— rzekł cicho ojciec Tim. — Życie ofiar przemocy nie jest jej obce. Zdołała się wyrwać z piekła; teraz pornaga innym, by też nie poszli na dno. Byłaby z niej wspinała zakonnica— uśmiechnął się szeroko.

Charles pogroził mu palcem.

— Niech ojciec nie waży się namawiać jej do tego! Powinna wyjść za mąż i mieć dzieci.

— Wątpię, czy do tego dojdzie — rzekł ksiądz bez ogródek. — Mówiąc szczerze, nie sądzę, by tego pragnęła. Wiele ran się goi, ale ludzie, którzy przeszli piekło w rodzinie, do końca życia cierpią na kryzys zaufania. To istny cud, jeśli osiągają to, co Grace: są w stanie aż tyle ofiarować z siebie bliźnim. Być może oczekując więcej, żądalibyśmy zbyt wiele...

— Ksiądz jest minimalistą. Skoro okazuje tyle serca obcym, czemuż nie miałaby okazać go mężowi?

— To o wiele trudniejsze. Ojciec Tim uśmiechnął się filozoficznie. — Podam panu przykład: Grace rozpaczliwie bała się wyjazdu do Kalifornii. Będzie panu wdzięczna do grobowej deski, że jej pan nie skrzywdził ani nie wykorzystał.

— Wykorzystał? Co ojciec ma na myśli?

— To, że wiele cierpiała, widywała też rzeczy straszne. Zło spotyka się wszędzie, codziennie mamy tego dowody. Grace spodziewała się — ba, była prawie pewna — że będzie jej pan robił niestosowne awanse.

Charles Mackenzie zrobił zażenowaną minę na samą myśl o tym. Był przerażony, że tak o nim myślała, a nawet mówiła to innej osobie.

— Dlatego tak się denerwowała, kiedy przeniesiono ją do mojego biura? Nie ufała mi?

— Przypuszczalnie. W ogóle nikomu zanadto nie ufa.

I wątpię, by w najbliższym czasie miało się to zmienić.

W każdym razie jej niechęć do pana nie wpływała z pobudek osobistych. Widzi pan... krzywda wyrządzona przez kogoś, kogo się kocha, zabija duszę.

Ojciec Tim był mądrym człowiekiem. Charles słuchał go z zainteresowaniem, zastanawiając się, ile z jego spostrzeżeń dotyczy bezpośrednio Grace. Wyglądało na to, że ksiądz również dokładnie nie zna jej przeszłości. Mógł się mylić. Znał jednak Grace o wiele lepiej niż on. A to, co o niej mówił, rozdzierało serce. Charles nie wyobrażał sobie nawet, co kryło się za murem łagodnego chłodu, który ta dziewczyna wzniosła wokół siebie.

— Czy ksiądz wie cokolwiek o jej rodzinie? — zaciekawiał się.

— Nigdy o tym nie mówiła. Wiem tylko, że jej rodzice nie żyją. Jest zupełnie samotna i akceptuje to. Interesuje ją wyłącznie praca i dyżury u Świętego Andrzeja, Spędza u nas trzydzieści pięć do czterdziestu godzin tygodniowo.

— A u mnie czterdzieści pięć do pięćdziesięciu. Nie zostaje jej wiele czasu na prywatne życie.

Ona nie ma prywatnego życia, panie Mackenzie.

Nagle Grace przestała być zwykłą urzędniczką, którą co dzień widywał w biurze; urosła do rangi pogmatwanej zagadki. Nurtowały go tysiące pytań, które chciał jej zadać.

Po zastrzyku Grace była trochę otępiała, za to nie odczuwała tak dotkliwie bólu. Ojciec Tim usunął się na bok, żeby Charles mógł z nią porozmawiać. Podświadomie wyczuwał, że między tymi dwojgiem kiełkuje nić sympatii, z której żadne jeszcze nie zdaje sobie sprawy.

— Dzięki... że przyszliście... — Grace próbowała się uśmiechnąć, ale przeszkadzała jej w tym opuchlizna.

— Tak mi przykro, że cię to spotkało, Grace Charles miał zamiar odbyć z nią bardzo poważną rozmowę na temat pracy w zakazanej dzielnicy. Musiał jednak poczekać na właściwy moment, zakładając, że Grace w ogóle zechce go wysłuchać. — Złapali sprawcę — rzekł.

— Był wściekły... z powodu żony... Iselli...

Na zawsze zapamięta imię tej kobiety.

— Mam nadzieję, że będzie wisiał — rzekł gniewnie Mackenzie.

Otworzyła oczy. Pojawił się w nich słaby, senny uśmiech.

Spij, Grace. Przyjdę jutro.

Kiwnęła głową. Ojciec Tim spędził z nią jeszcze parę minut, a potem obaj wyszli, żeby mogła usnąć. Charles podrzucił księdza do schroniska i obiecał, że pozostanie z nim w kontakcie. Miał też zamiar odwiedzić ośrodek. Czuł, że tą drogą mógłby się dowiedzieć czegoś więcej o Grace.

Przychodził do szpitala przez trzy następne dni, odwołując w tym celu wszystkie swoje spotkania. Nie chciał zawieść Grace. Kiedy przenieśli ją na normalny oddział, przywiózł ze sobą Winnie. Starsza pani rozplakała się, załamała ręce i pocałowała dziewczynę w jedyny maleńki skrawek twarzy, na którym nie było bandażu ani sińców. Grace wyglądała już nieco lepiej. Wszystko ją bolało i z trudem mogła poruszać kończynami. Narządy wewnętrzne goiły się dobrze, za to każdy cal ciała piekł, jakby został zmiażdżony.

W sobotę — prawie tydzień po wypadku — pielęgniarka pomogła Grace wstać z łóżka i zaprowadziła ją do łazienki. Dziewczyna omal nie zemdląła z bólu, po powrocie wszakże uczciła swe zwycięstwo sokiem owocowym. Była blada jak ściana, kiedy wszedł Charles z wielkim bukietem. Codziennie przynosił jej kwiaty, czasopisma i słodycze,

— Co pan tu robi? zmieszała się i zarumieniła, przez co nabrała nieco kolorów. — Dziś sobota, nie ma pan nic lepszego do roboty?

Po raz pierwszy od wielu dni poczuł, że ma przed sobą dawną Grace. Jej twarz przypominała żółto-zielono-fioletową tęczę, ale opuchlizna zeszła już całkiem, a szwów prawie nie było widać. Po rozmowie z ojcem Timem Charles martwił się także o stan jej duszy. Było jednak za wcześnie, by o cokolwiek pytać.

— Miał pan przecież brać udział w regatach! Sama wynajęła dla niego domek w Long Island. Zmarnuje się, jeśli szef zostanie w mieście.

— Odwołałem wyjazd — stwierdził rzeczowo, przyglądając się jej z uśmiechem. — Ładnie dziś wyglądasz.

Przez cały tydzień posyłał jej drobne upominki — szlafroczek, pantofle, jasiek, wodę toaletową. Było to nieco krępujące, lecz miłe. Napomknęła o tym Winnie przez telefon, co sprowokowało starszą panią do wysnucia paru interesujących teorii. Winnie była nieuleczalną romantyczką.

— Chcę do domu — oznajmiła Grace żałośnie.

— Lekarze mają dla ciebie inne propozycje na najbliższe dni — uśmiechnął się.
Poprzedniego dnia usłyszał: „jeszcze trzy tygodnie”. Zanosilo się na to, że Grace spędzi urodziny w szpitalu.

— Chcę wrócić do pracy!

— Nie szalej, Grace. I tak jeszcze przez jakiś czas będziesz chodzić o kulach. Powinnaś wziąć urlop i jechać na wakacje.

— Gdzie? Na Riwierę? — zaśmiała się.
Mogła sobie pozwolić co najwyżej na weekend w Atlantic City. Ponadto w ogóle nie przysługiwał jej urlop, za krótko pracowała w firmie. I tak miała szczęście, że spółka zgodziła się pokryć koszty, których nie obejmowało ubezpieczenie. Pobyt w BeHeyue i wszystkie zabiegi kosztowałyby ją blisko pięćdziesiąt tysięcy dolarów.

— Czemu nie? Wynajmij sobie jacht — stwierdził naj5 pok0jfl3 Charles.
Była zdumiona tym, jak łatwo się z nim rozmawia. Wyraźnie nie miał zamiaru odchodzić
Kiedy pielęgniarka wyskoczyła na lunch, pomógł uczeponiej go kurczowo Grace przesiąść się na krzesło i delikatnie podparł jej plecy poduszką.

— Jak to się stało, że nie mieliście dzieci? — zagadnęła nagle, widząc, jak krząta się wokół niej. Byłby z niego doskonały ojciec.

— Moja żona nie cierpiała dzieci — uśmiechnął się ze smutkiem. — Sama chciała być rozpieszczana.

— Nie żałuje pau tego?
Zabrzmiało to trochę tak, jakby uważała, że jest już za stary, aby spłodzić dziecko. Zaśmiał się i na moment zamyślił głęboko.

— Czasami — odparł. — Po rozwodzie z Michelle chciałem ponownie się ożenić i mieć dzieci. Teraz jestem już chyba za leniwy na tak drastyczny krok.
Zaczął cenić wygodę; nie chciał się angażować. Wystarczały mu przelotne znajomości. W ten sposób nadal był wolny i niezależny. Skorzystał z okazji, by zadać jej pytanie:
A ty? Dlaczego nie chcesz mieć męża i dzieci? Udało mu się całkowicie zbić ją z tropu.

— Skąd pan wie, że nie chcę? — bąknęła, odwracając wzrok.

— Dziewczyna w twoim wieku nie poświęca całego swego czasu maltretowanym żonom oraz starym pannom w rodzaju Winnie, jeśli choć w niewielkim stopniu interesuje ją znalezienie męża. Zakładam, że mam rację? — spojrzał na nią z ukosa.

— To prawda.

— Dlaczego?

Milczała dłuższą chwilę, nim odpowiedziała. Nie chciała kłamać, ale nie dojrzała jeszcze do zwierzeń.

— To długa historia.

— Masz złe wspomnienia z domu? — przenikliwie zajrzał jej w oczy. Mimo wszystko jednak budził w niej zaufanie.

— Tak — odparła.

— Bardzo źle?

Skinęła głową. Poczł ból na myśl, że ktoś mógł ją skrzywdzić.

— I co? Ktoś ci pomógł?

— Nie, a potem było już za późno.

— Nigdy nie jest za późno, dopóki człowiek żyje. Nie musisz żyć z brzemieniem bólu, Grace. Masz prawo się od niego uwolnić, ułożyć sobie przyszłość z przywoitym facetem.

— Żyję terażniejszością, a to więcej dla mnie znaczy. Kiedyś byłam pozbawiona nawet tego. Nie wymagam zbyt wiele szepnęła ze smutkiem.

— A powinnaś — próbował dodać jej ducha. — Jesteś taka młoda, dwa razy młodsza ode mnie. Twoje życie dopiero się zaczyna.

Grace jednak łagodnie potrząsnęła głową.

— Uwierz mi, Charles — nalegał, by w szpitalu zwracała się do niego po imieniu — dla mnie życie toczy się już z górki.

— Tak ci się wydaje. Po prostu musisz je wypełnić czymś więcej niż tylko pracą.

— Zamierzasz mnie wyswatać? — roześmiała się, ostrożnie prostując długie nogi.

Miał dobre intencje, ale nic nie rozumiał. Nie była zwykłą beztroską dziełatką; czuła się jak cudem ocalony więzień obozu śmierci.

Charles Mackenzie nigdy nie zetknął się z kimś takim. Nie bardzo wiedział, jak mógłby jej pomóc.

— Żałuję, ale nie mam żadnego godnego ciebie kandydata

— odparł z uśmiechem. Wszyscy mężczyźni, których znał, byli albo za starzy, albo nazbyt głupi.

Zmienił temat. Opowiadał jej o żeglarstwie, które było jego pasją, o szkolnych wakacjach, spędzanych z rodzicami w Martha's Vineyard. Wciąż miał tam dom nad morzem, choć teraz rzadko w nim bywał.

Odchodząc, kazał jej wypocząć. Nazajutrz wybierał się do przyjaciół r Connecticut. Grace była wzruszona, że spędził z nią aż tyle czasu.

W niedzielę po południu odwiedziła ją Winnie i ojciec Tim. Grace właśnie szykowała się do snu, kiedy wszedł

Charles w spodniach khaki i spranej dżinsowej koszuli. Pachniał wsią i wyglądał jak reklama cameli.

— Wpadłem po drodze zapytać, jak się masz rzekł wesóło. Grace także rozpromieniła się na jego widok. Brakowało jej dziś jego obecności, co bardzo ją niepokoiło. Ostatecznie Charles był tylko jej szefem i nie miała prawa oczekiwać, że będzie ją odwiedzał. Z każdej wizyty cieszyła się jednak bardziej, niż chciałaby przyznać.

— Dobrze się bawiłeś? — zapytała.

— Nie — odparł szczerze. — Przez cały dzień myślałem wyłącznie o tobie. Lepiej się czuję z tobą niż z tamtymi ludźmi.

— Teraz wiem na pewno, że jesteś szalony.

Przysiadł w nogach jej łóżka i zaczął opowiadać różne zabawne historyjki z pobytu na wsi. Ku jej rozczarowaniu wyszedł o dziesiątej, twierdząc, że pora spać.

Później jednak, leżąc bezsennie w łóżku, Grace wpadła w panikę. Co ona wyprawia? Otwierając się przed nim,, sama wystawia się na cios. Przypomniała sobie cierpienie i wstyd, jakich przysporzył jej Marcus. On też z początku był dobry i cierpliwy, a potem ją zdradził. Charles także pragnął tylko ją zdobyć. Jakby w odpowiedzi na jej rozważania zadzwonił telefon przy łóżku. Był to Charles, głos miał nieco speszony.

— Muszę ci coś powiedzieć... pewnie pomyślisz, że zwariowałem, ale i tak to powiem. Chcę zostać twoim przyjacielem, Grace. Nie skrzywdzę cię. Podejrzewam, że już martwisz się o pracę i o to, dokąd zmierza nasza znajomość. Niewiele wiem o tym, co spotkało cię w przeszłości, ale... nie chcę cię stracić. Jeśli w istocie czujemy do siebie wzajemną sympatię, Poprzestańmy na tym przez jakiś czas. Od tego punktu spróbujemy kiedyś powolutku zacząć.

Grace nie wierzyła własnym uszom.

Nie możemy udawać, że nie jestem twoją pracownicą, Charles — powiedziała nerwowo. Co będzie, kiedy wrócę do biura?

Zanim to nastąpi, oboje będziemy wiedzieli o wiele więcej. Na razie żadne z nas tego nie rozumie. Może jesteśmy tylko przyjaciółmi, może przestraszył nas twój wypadek, a może to coś poważniejszego. Niczego nie przesądzam. Ale najpierw musimy się lepiej poznać, Grace. Chcę wiedzieć, co cię drażni, co boli, a co cieszy... Chcę być przy tobie...

— A potem co? Znajdziesz następną sekretarkę, która będzie cię bawić tak długo, dopóki nie wyciągniesz z niej wszystkich sekretów?

Charles przypomniał sobie słowa ojca Tima. Dałby wiele, by pomóc Grace odciąć się od przeszłości.

— To nie fair — zarzucił jej. — Nigdy nawet nie umówiłem się z żadną z pracownic firmy, nie mówiąc już o własnej sekretarce. - Mimo woli uśmiechnął się do siebie.

— Zresztą kto mówi o chodzeniu na randki? Z trudem możesz przejść od łóżka do krzesła, a nawet ja nie jestem taką bestią, żeby cię atakować w tym stanie. Roześmiała się.

Czy ja wiem..., bąknęła. Jej głos zabrzmiał nisko i zmysłowo.

— Zgódź się tylko, żebym nadal cię odwiedzał. Innych decyzji nie musisz na razie podejmować. Boję się po prostu, że wpadniesz w panikę, gdy zostaniesz sama i zaczniesz rozmyślać.

— Już o tym rozmyślałam — powiedziała szczerze.

— I przeraziłam się, co my robimy.

Niczego nie robimy, więc się nie denerwuj. Kiedyś, gdy wyzdrowiejesz — rzekł tak miękko, że zabrzmiało to jak pieszczota — chcę, żebyś opowiedziała mi o sobie wszystko. Nie zrozumie cię w pełni, póki tego nie zrobisz. Czy naprawdę nigdy nikomu się nie zwierzałaś?

Jak mogła żyć pod brzemieniem tych potwornych tajemnic? — myślał.

— Dwojgu ludziom wyznała. — Wspaniałej kobiecie, terapeutce. Zginęła w katastrofie prawie trzy lata temu. I mężczyźnie, który był moim adwokatem, ale z nim także od dawna nie mam kontaktu.

— Nie zaznałaś w życiu wiele szczęścia, prawda?

Grace potrząsnęła ze smutkiem głową, po czym wzruszyła ramionami.

— Właściwie ostatnio nie mam powodu się uskarżać. Miałam na przykład szczęście, że cię poznałam. — Ryzykując te słowa omal się nie zadławiła, co zresztą usłyszał.

— To ja jestem szczęściarzem. A teraz śpij... — rzekł cicho. — Przyjdę po południu. Może uda mi się przynieść ci jakiś frykas z „21”.

— Wybierałam się tam z Winnie — westchnęła Grace.

— Będziesz miała na to mnóstwo czasu, kiedy wyzdrowiejesz. Śpij słodko — szepnął, żałując, że nie może objąć jej i utulić. W przeciwieństwie do innych znanych mu dotąd kobiet, budziła w nim uczucia opiekuńcze. Tak wiele zła musiało ją w życiu spotkać...

Charles pragnął to zmienić.

Powiedział „dobranoc” i odłożył słuchawkę. Grace leżała długo, powtarzając w duchu jego słowa. Przerzązał ją i pociągał; nawet jej ciało doświadczało emocji, których nigdy nie wzbudził w niej żaden mężczyzna.

ROZDZIAŁ XII

Charles odwiedził ją dwukrotnie nazajutrz i robił to codziennie do czasu wypisania jej ze szpitala. Wówczas już sprawniej poruszała się o kulach i nie wymagała tak wielkiej opieki, ale wciąż jeszcze nie miała tyle sił, ile by chciała. Lekarz kazał jej wstrzymać się co najmniej dwa tygodnie, nim pójdzie do pracy.

W biurze Charles obywatel się zastępstwami; miała z tego powodu straszliwe wyrzuty sumienia, ale on pierwszy mówił jej, żeby nie wracała, dopóki nie będzie całkiem zdrowa. Spędzili ze sobą bardzo wiele czasu. Grace zdawała sobie sprawę, że Charles praktycznie skreślił cały swój terminarz, on jednak udawał, iż nic mu o tym nie wiadomo. Gawędzili, grali w karty, Charles opowiadał jej dowcipy. Nie wymuszał zwierzeń, prowadził ją na spacer i zapewniał, że nie zostanie jej ani jedna blizna. Kiedy skrytykowała okropne szpitalne koszule, kupił jej elegancką nocną bieliznę u Pratesiego. Bardzo ją tym speszył; była przerażona, do czego to wszystko doprowadzi, ale nie miała już wpływu na bieg zdarzeń. Jeśli nie przyszedł w porze lunchu, natychmiast traciła apetyt, a gdy opuścił wieczorną wizytę, czuła się tak samotna, że nie mogła zasnąć. Ilekroć ukazywał się w drzwiach, rozpromieniała się jak dziecko na widok matki z ulubionym pluszowym misiem na dokładkę. Charles rozmawiał z lekarzami, wzywał konsultantów, załatwiał za nią formalności

ubezpieczeniowe. Nikt w firmie, nawet Winnie, nie zdawał sobie sprawy, ile czasu szef poświęca Grace.

Dziewczyna miała długoletnią praktykę w dochowywaniu tajemnic.

Zawiózł ją do domu wynajętą limuzyną i zostawił samą, musiał bowiem załatwić kilka spraw.

Była niepokieszona; dotąd odsuwała od siebie myśl, że ta idylla nie może trwać wiecznie.

Martwiła się przez dwie godziny, po upływie których wrócił Charles, objuczony koszem z wiktuałami, szampanem i pękiem baloników. Co więcej miał ze sobą niebieskie pudełko z metką Tiffany"ego, a w nim wąską złotą bransoletkę.

A to z jakiej okazji? — zapytała zdumiona. Miała wątpliwości, czy powinna przyjąć tak kosztowny prezent.

Charles roześmiał się głośno.

— Nie wiesz, co dziś za dzień?

Potrząsnęła głową. W szpitalu straciła rachubę czasu. Spędziła tam święto Czwartego Lipca, potem zaś nie przywiązywała większej uwagi do dat.

— Twoje urodziny, głuptasie! Dlatego zmusiłem ich, żeby wypisali cię dzisiaj, a nie dopiero w poniedziałek. Nie mogłaś przecież obchodzić urodzin w szpitalu

Przyniósł nawet czekoladowy tort z mnóstwem bakalii, bardzo słodki i pyszny. Łzy napłynęły Grace do oczu.

— Dlaczego tyle dla mnie robisz?— spytała onieśmielona, lecz uradowana. Nikt nigdy nie okazał jej tak wiele serca.

— To proste — odparł. —Nie mam dzieci. Kto wie, czy nie powinienem cię adoptować.

Chyba nawet wolałabyś być moją córką, co?

Rozśmieszyła ją ta sugestia. Może miał rację; w ten sposób łatwiej byłoby jej pokonać strach.

Gdy znaleźli się sami, ich stosunki natychmiast stały się cieplejsze, jeszcze bardziej intymne. Coraz trudniej było im udawać, że są tylko przyjaciółmi.

Charles włożył na głowę zabawny pielęgniarzski czepek i tonem nie znoszącym sprzeciwu kazał jej się położyć. Oglądali telewizję, a potem przygotował kolację w maleńkiej kuchni.

Przykuśtykała tam za nim, chcąc pomóc, lecz bez pardonu usadził ją na krześle.

— Nie jestem kaleką — zaprotestowała.

— Owszem, jesteś. I nie zapominaj, że to ja jestem szefem.

Po kolacji trzymał ją za rękę, ale bał się Posunąć choćby do pocałunku. W końcu, niezdolny dłużej znieść napięcia, zadał jej pytanie, które od dawna go intrygowało.

— Czy ty się mnie boisz, Grace? To znaczy... fizycznie? Nie chciałbym cię przestraszyć lub urazić.

Była wzruszona, że oto zapytał. Czuli się jak starzy, dobrzy przyjaciele, lecz istniał między nimi także wzajemny magnetyzm.

— Czasem boję się się mężczyzn — powiedziała szczerze.

— Ktoś cię skrzywdził, prawda?

Pokiwała głową.

— Ktoś obcy?

Tym razem zaprzeczyła. Dopiero po dłuższej chwili szepnęła:

— Ojciec.

Tyle różnych rzeczy prędzej czy później musiała mu wyjaśnić. Westchnęła, ujęła jego dłoń i cmoknęła go w palce.

— Przez całe życie — podjęła — ludzie starali się mnie wykorzystać. Po... po śmierci ojca..., próbował mnie uwieść mój szef. Był żonaty, a mimo to... zakładał, że ma do mnie prawo. Inny mężczyzna, z którym miewałam kontakty służbowe, postępował tak samo.

Miała na myśli Louisa Marqueza. Było jeszcze za wcześnie, żeby mówić wszystko.

— Ten drugi wciąż mi groził — ciągnęła. — Mówił, że jeśli nie pójdę z nim do łóżka, to... stracę pracę. Nachodził mnie w mieszkaniu. To było obrzydliwe. A potem..., przez krótki czas umawiałam się z pewnym chłopakiem. Pewnego dnia wsypał mi narkotyk do drinka. Na całe szczęście mnie nie zgwałcił, ale zrobił ze mnie kompletną idiotkę. Do tego zepsuł mi Opinię w pracy, drań. Dlatego szef zaczął się do mnie dostawiać. W końcu złożyłam rezygnację i wyjechałam z Chicago.

— Na szczęście dla mnie — uśmiechnął się, obejmując ją ramieniem.

— To byli jedyni mężczyźni, z jakimi miałam dotąd styczność. W szkole z nikim się nie umawiałam... z powodu ojca.

— Gdzie chodziłaś do college'u?

— W Dwight, w stanie Illinois.

— I tam też z nikim się nie umawiałaś?

Roześmiała się na myśl, kogo miałaby do dyspozycji.

— Nie — powiedziała. — To była żeńska szkoła.

Nie chciała psuć urodzin wspomnieniami więzienia. Mimo połamanych kości i bólu były to najpiękniejsze urodziny w jej życiu.

— Jeśli dobrze rozumiem, nie jesteś już dziewicą?

— Zgadza się — zerknęła na niego z ukosa. W niebieskim szlafroku wyglądała tak pięknie, że zapało mu dech w piersi.

— Ale od dawna nikogo nie miałaś?

Grace skinęła głową.

— Porozmawiamy o tym kiedyś — szepnęła. — Nie dziś.

On także nie chciał mącić udanego wieczoru.

— Kiedykolwiek zechcesz — rzekł. — Chciałem tylko wiedzieć... — Delikatnie ujął jej twarz w dłonie i pocałował. Z początku czuł opór, potem Grace sama oddała pocałunek. Położył się tuż obok niej, przytulił ją i znów pocałował. Rozpaczliwie jej pragnął, na razie jednak wolał trzymać ręce przy sobie. Nie miał do siebie zbyt dużego zaufania.

— Dziękuję — szepnęła. — Jesteś dla mnie taki dobry i cierpliwy.

— Nie przeciągaj struny — jęknął, gdy tym razem ona go pocałowała. Czuł, że to nie będzie łatwe. Postanowił jednak przywrócić ją życiu, choćby miało to trwać lata i kosztować go wiele samozaparcia.

Wyszedł późno w nocy; Grace już usypiała. Wziął klucz, żeby nie musiała odprowadzać go do drzwi. Gdy nazajutrz rano Grace dokuśtykała do łazienki i zaczęła się czesać, usłyszała ze zdumieniem, że drzwi się otwierają i do mieszkania wchodzi Charles. Przyniósł sok pomarańczowy, drożdżówki z serem i „New York Timesa”, po czym zaczął smażyć Jajecznice na bekonie.

— Mnóstwo cholesterolu. Tego właśnie ci trzeba, Grace, zaufaj mi.

Zabrał ją na krótki spacer, po południu zaś oglądał mecz koszykówki, podczas gdy Grace spała w jego ramionach. We śnie wyglądała pięknie i nareszcie emanował z niej spokój.

Kiedy się obudziła, spojrzała na niego ze zdumieniem.

— Co pan tu jeszcze robi, panie Mackenzie? zapytała sennie.

Schylił się i pocałował ją w czoło.

— Czekam, żebyś mogła poćwiczyć pisanie pod dyktando.

— Nie żartuj!

Wieczorem zamówili pizzę. Charles rzeczywiście przyniósł ze sobą jakieś dokumenty, nie zgodził się jednak, żeby mu pomogła. Gdy skończył, przyjrzała mu się bacznie. Na tym etapie znajomości nie powinna już mieć przed nim sekretów.

— Myślę, że powinnam powiedzieć ci o kilku sprawach

— oznajmiła po chwili cicho. — Masz prawo o nich wiedzieć. Nie chcę, żebyś miał o mnie fałszywe wyobrażenie.

Ujął jej dłonie i nim jeszcze zaczęła mówić, zajrzał jej głęboko w oczy.

— Chcę, żebyś wiedziała, że cokolwiek się stało, cokolwiek ci uczyniono i cokolwiek ty zrobiłaś, kocham cię. Mówię to teraz i powtórzę później.

Rozpląkała się.

— Ja też cię kocham, Charles powiedziała, przymykając oczy, z których płynęły łzy. — Ale tak mało o mnie wiesz...

Zrobiła głęboki wdech, namacała w kieszeni inhalator i zaczęła od początku:

Kiedy byłam mała, mój ojciec codziennie bił matkę. Słyszałam jej krzyki i odgłosy razów, rano widziałam sińce... Próbowała kłamać, udawała, że to nie on. Ojciec wracał z pracy i znów na nią wrzeszczał, ona płakała, a on znów ją bił. Kiedy coś takiego dzieje się w rodzinie, po jakimś czasie człowiek zamienia się w zombie. Nie ma przyjaciół, z nikim nie rozmawia, bo ktoś przecież mógłby się dowiedzieć i zrobić tatusiowi jakąś przykrość. Mama błagała mnie, żebym nikomu o tym nie mówiła. Takie są moje wspomnienia z dzieciństwa — westchnęła.

Charles mocniej ucisnął jej dłoń.

— Kiedy miałam trzynaście lat — podjęła Grace — mama zachorowała na raka. To był nowotwór dróg rodnych, poddano ją naświetlaniom i... — Grace zawahała się, szukając właściwych słów. — Sądzę, że to ją w jakiś sposób zmieniło, więc..

Oczy znów zamglily jej się łzami. Czuła duszności, lecz wiedziała, że nie może przerwać. Jej życie zależało od tego w takim samym stopniu, jak od wyniku operacji w Bellevue.

— Pewnego dnia mama powiedziała, że odtąd muszę „opiekować się” ojcem, zostać jego „pieszczoszką”, w zamian za co on będzie mnie kochał jeszcze bardziej niż dotąd.

Charles z niepokojem zmarszczył brwi.

— Z początku nie rozumiałam, co miała na myśli. Dowiedziałam się, kiedy w nocy przyszli oboje do mojego pokoju. Mama trzymała mnie, żebym nie mogła się wyrwać.

— O mój Boże... — W oczach Charlesa błysnęły łzy.

— Pomagała mu tak co wieczór, aż wreszcie zrozumiałam, że nie mam wyboru. Jeśli się sprzeciwiałam, bił mnie, ale przede wszystkim bił matkę, nie przejmując się tym, jak bardzo jest chora... Nie miałam się komu zwierzyć. Nienawidziłam siebie, swego ciała. Nosilałam stare workowate ciuchy, żeby nikt nie zwracał na mnie uwagi. Czułam się brudna, splugawiona. Wiedziałam, że to, co robię, jest złe, ale matka miała już wtedy raka kości i bicie sprawiało jej ból nie do zniesienia. Mnie też często bił, a potem gwałcił. Zawsze gwałcił. Ojciec uwielbiał przemoc. Chyba po prostu musiał zadawać komuś ból.

Grace zaczerpnęła tchu. Powiedziała już prawie wszystko zostało najgorsze. Delikatnie otarła łzy Charlesa wierzchem dłoni i pocałowała go.

— Po czterech latach moja matka umarła. Na pogrzeb przyszło mnóstwo ludzi — dosłownie setki, bo wszyscy znali i lubili mego ojca. Był prawnikiem prowadził ich sprawy, grał z nimi w golfa, chodził na kolacje w klubie rotariańskim... Uważano go za najporządniejszego człowieka w całym mieście. Wszyscy mu ufali. Nikt nie znał go naprawdę. A był zboczeńcem; chorym, nienormalnym sadystą. Pocieszali go, lecz on w rzeczywistości wcale się nie przejął śmiercią mamy. Miał przecież mnie. Widzisz, dla mnie to wszystko wiązało się z matką. Robiłam to dlatego) żeby jej nie bił. Kiedy matka umrze, mówiłam sobie, odzyskam spokój. Nie pomyślałam, że ojcu ani w głowie szukanie nowej żony. Po co? Po pogrzebie zamknęłam się na klucz, ale wyłamał zamek i zaciągnął mnie do sypialni rodziców, zupełnie jak gdybym miała wcielić się w mamę. Zrozumiałam, że to się nie skończy, będzie trwało nadal, a ja tego nie zniosę. I nagle coś we mnie pękło.

Grace zachłysnęła się tłumionym szlochem.

— Tamtej nocy było jeszcze gorzej niż zwykle. Potwornie bolało, jakby chciał mi udowodnić, że należę do niego, że może mnie bić, torturować i gwałcić do śmierci. Nagle przypomniałam sobie o pistolecie, który matka trzymała w szafce przy łóżku. Nie wiem, co chciałam zrobić, uderzyć go czy przestraszyć; byłam na wpół obłąkana z rozpacz i bólu. Zobaczył pistolet, próbował mi go wyrwać, rozległ się huk i krew ojca trysnęła mina twarz. Przestrzeliłam mu gardło; upadł na mnie. Strasznie krwawił. Nie pamiętam nic więcej aż do chwili, kiedy przyjechała policja. Być może nawet sama ich wezwałam. Przypominam sobie tylko, że potem rozmawiałam z nimi, owinięta w koc.

— Powiedziałaś im, co ci zrobił? — spytał nerwowo Charles, jak gdyby siłą woli mógł zmienić bieg tej historii.

— Oczywiście, że nie. Byłam przekonana, że przez wzgląd na rodziców muszę milczeć jak grób. Teraz wiem, iż na swój sposób byłam równie szalona jak oni. To właśnie dzieje się z ofiarami przemocy w rodzinie, Nie pisną słowa; wołałyby umrzeć. Policjanci zabrali mnie do aresztu i wezwali psychiatrę. To była młoda lekarka, która wysłała mnie na badania do szpitala, gdzie stwierdzono, że zostałam zgwałcona, a raczej, jak ujął to prokurator, że „miałam z kimś stosunek płciowy”.

— Nie powiedziałaś im prawdy?

— Jeszcze nie wtedy. Molly, ta lekarka, próbowała mnie przekonać. Domyśliła się. Ale jej też kłamałam. W końcu złamał mnie mój adwokat. Zeznałam wszystko tak, jak było.

— I co? Wypuścili cię?

— Niezupełnie. Oskarżenie ukuło teorię, że zabiłam ojca dla pieniędzy, mimo iż miał tylko mały domek i połowę udziału w praktyce adwokackiej, o wiele mniejszej niż twoja firma. Nikt przecież nie wiedział, co się u nas działo. Nauczyciele twierdzili, że jestem dziwna i zamknięta w sobie, rówieśnicy przyznawali otwarcie, że w ogóle mnie nie znają. Łatwo było sobie wyobrazić, że nagle mi odbiło i zaczęłam mordować. Wspólnik ojca zeznał, iż po pogrzebie wypytywałam go o sprawy majątkowe, co w rzeczywistości nigdy nie miało miejsca. Powiedział, że tato był mu winien pieniądze, i w końcu zgarnął wszystko. Mnie dał na odczepnego pięćdziesiąt tysięcy pod warunkiem, że nigdy nie wrócę do Watseka. Wciąż mam te pieniądze. Jakoś nie mogę się zmusić do tego, żeby je wykorzystać.

Grace podniosła inhalator do ust.

— Prokurator uznał — powiedziała po chwili — że zaplanowałam zbrodnię. Bezpośrednio miała sprowokować ją awantura, jaką zrobił mi ojciec, odkrywszy, iż się rzekomo puszczam. Znaleźli na podłodze moją nocną koszulę — uśmiechnęła się gorzko. — Była podarta, wysnuli więc tezę, że to ja próbowałam uwieść ojca, a kiedy mnie nic zechciał, strzeliłam do niego. Zostałam oskarżona o morderstwo z premedytacją, groził mi wyrok śmierci. Miałam wtedy siedemnaście lat. Oprócz Molly i Davida, mojego adwokata, wszyscy mnie potępili. Ojciec był przecież ulubieńcem całego miasta, mnie zaś znienawidzono za to, że go zabiłam. Prawda wyszła na jaw za późno; nikt w nią nie uwierzył. Uznano mnie winną umyślnego zabójstwa. Dostałam dwa lata więzienia i dwa w zawieszeniu. Odsiedziałam wyrok w zakładzie karnym w Dwight. — Grace uśmiechnęła się ze smutkiem. — Tam właśnie skończyłam niższy college. Korespondencyjnie. W ogóle bardzo wiele się tam nauczyłam. Zresztą gdyby nie dwie współwięźniarki, pewnie nie byłoby mnie już pośród żywych. Upatrzyła mnie sobie przywódczyni gangu. Chciała ze mnie zrobić swoją niewolnicę; przedtem oczywiście nastąpić miał zbiorowy gwałt. Sally, z którą siedziałam w celi, i Luana, jej kochanka, zdążyły mnie uratować. Były to bardzo twarde kobiety, lecz równocześnie miały wielkie serca. Potem nikt już mnie nie nagabywał. Luana i Sally także nie żądały ode mnie żadnych usług. Nawet nie wiem, co się teraz z nimi dzieje... Luana pewnie siedzi, miała dożywocie, a Sally powinna była już wyjść — chyba że zrobiła jakieś głupstwo, żeby zostać z Luaną. Kiedy wychodziłam, kazały mi zapomnieć i odciąć się od przeszłości.

Grace zadumała się na chwilę.

— Nie wróciłam do domu — ciągnęła. — Pojechałam do Chicago, gdzie z kolei kurator próbował zaciągnąć mnie do łóżka. Groził, że wsadzi mnie z powrotem do Dwight. Mimo to zdołałam utrzymać go na dystans. Podjęłam pracę. Nikt nie wiedział, skąd pochodzę ani co mam na sumieniu. Jesteś pierwszą osobą po Davidzie i Molly, której to wszystko mówię. Skończywszy, Grace poczuła ulgę. Była wyczerpana, lecz zarazem jakby o tysiąc funtów lżejsza.

— Ojciec Tim wie o tym?

Zaledwie się domyśla. Nic mu nie mówiłam, to nie było konieczne. Widzisz; pracowałam w schronisku Maryi Panny w Chicago, a teraz u Świętego Andrzeja, ponieważ chcę w ten sposób zapłacić za swój czyn. Może zdołam powstrzymać jakieś inne biedne dziecko od podobnego kroku.

— Boże mój, Grace, przecież to nie twoja wina! Równie dobrze ktoś mógłby robić ci zarzuty, że zostałam pobita na Delancey Street. Padłaś ofiarą dwojga chorych ludzi, którzy cię sterroryzowali i wykorzystali. Jak sąd mógł być tak ślepy, by po tym wszystkim jeszcze wtrącić cię do więzienia?

— Czasami tak już jest. — W głosie Grace nie brzmiała gorycz. — Pogodziłam się z tym. Ale cały ten koszmar prześladowuje mnie nadal. Odbił się na przykład na moim życiu... intymnym. Nigdy nie kochałam się z nikim poza ojcem. I nie jestem pewna, czy kiedyś się odważę. Ten znajomy z Chicago... ten, który dał mi prochy, powiedział, że omal go nie zabiłam, gdy próbował mnie dotknąć. Koszmar ożył; możliwe, iż byłabym w stanie zabić.

— Mam wrażenie, kochana, że jesteś o wiele zdrowsza, niż ci się wydaje — rzekł Charles, tuląc jej głowę do swej piersi.

— W przeciwnym wypadku nie przeżyłabyś tego. Z tyloma problemami zdołałaś się uporać... przyjdzie czas i na seks. Jesteś to sobie winna, Grace, sobie i mężczyźnie, który cię pokocha. W tym przypadku mnie — uśmiechnął się, po czym spytał: — Czy w razie potrzeby zwróciłabyś się do terapeuty?

— Nie wiem — odparła z wahaniem. Wydawało jej się to zdradą wobec Molly.

— Zaslugujesz na lepsze życie. Poza tym wciąż masz przed sobą przyszłość. Jesteś taka młoda...

— Mam dwadzieścia trzy lata — oznajmiła, jakby było to nie lada osiągnięcie.

Charles parsknął śmiechem i pocałował ją w nos.

— Nie robi to na mnie wrażenia, dzieciaku. Jestem prawie dwadzieścia lat starszy od ciebie. Spojrzała na niego poważnie.

— Powiedz mi szczerze: czy ta historia nie napawa cię odrazą?

— Kocham cię — rzekł. — Nie przeraża mnie to, co zrobiłaś, a tylko krzywda, jaką wyrządzili ci ludzie, zarówno bliscy, jak i obcy. Chciałbym móc to wymazać, zatrzeć złe wspomnienia... Akceptuję cię taką, jaką jesteś, Grace, i kocham cię właśnie taką. Dziękuję mej szczęśliwej

gwieździe za to, że pojawiłaś się w moim biurze. I bardzo pragnę tego, co możemy sobie wzajem dać.

— To ja jestem szczęściarą — szepnęła bliska łez.

— Zaczynj cieszyć się życiem. Ja będę się teraz martwić za nas oboje, dobrze?

— Dobrze, Charles. I... Kocham cię.

— Nie tak, jak ja ciebie — rzekł, tuląc ją w ramionach. Po chwili zaśmiał się cicho.

— Co cię tak śmieszy? — szepnęła, dotykając jego ust końcami palców. Stłumił jęk pożądania; wiedział, że musi jeszcze długo czekać, nim do czegokolwiek między nimi dojdzie. Odpowiedział z uśmiechem:

— Właśnie myślałem, że — pomijając twoją delikatną psychikę — jedyną rzeczą, która chroni cię w tej chwili przed gwałtem, jest ten metalowy trzpień, który chirurg umieścił ci w miednicy. Gdyby nie to...

— Wstydź się — powiedziała, zastanawiając się w duchu, czy naprawdę chce się przed nim ustrzec. Było to całkiem nowe podejście do rzeczy.

Charles odwiedzał ją codziennie; w weekendy zostawał na noc, rano budziła się w jego ramionach. Opowiadał jej wesołe i tkliwe historyjki z dzieciństwa, ona zaś — z więzienia, co w sumie tworzyło nader dziwny koktajl.

Po dwóch tygodniach lekarze uznali, że rekonwalescencja Grace przebiega dobrze, a jej stan pozwala na powrót do pracy, Charles jednak przekonał ją, by wzięła jeszcze tydzień wolnego. Pojechała taksówką do Świętego Andrzeja, odwiedzić przyjaciół. Nie posiadali się z radości na jej widok. Obiecała im, że wróci, lecz dopiero we wrześniu, kiedy zacznie się obywać bez kul.

Na następny weekend Charles zabrał ją nad morze. Zatrzymali się w małej, przytulnej gospodzie, a Grace uparła się na nocny spacer po plaży. Leżała na piasku, nasłuchując szumu oceanu. Charles usiadł obok niej.

Nie zdajesz sobie sprawy, jaka to rozkosz — wy- mruzczała. — Wyobrażasz sobie, że przed przyjazdem do Nowego Jorku nigdy nie widziałam morza?

— Zaczekaj, aż zobaczysz Martha's Vineyard. — Obiecał zabrać ją tam w długi weekend z okazji wrześniowego święta pracy, ale Grace wciąż martwiła się o ich przyszłość. Co zrobią za tydzień, kiedy wróci do biura? Będą musieli utrzymywać swą zażyłość w tajemnicy. Nie wiedziała, co o tym myśleć. Nie był to, co prawda, jeszcze romans, ale o wiele więcej niż zwykła przyjaźń.

— O czym myślisz? — zagadnął ją leniwie Charles.

— O tobie.

— I co o mnie myślisz?

Grace zdecydowała się rzucić na głęboką wodę.

— Zastanawiałam się, kiedy zaczniemy ze sobą sypiać

— stwierdziła nonszalancko.

— A cóż to ma znaczyć? — zerknął na nią zmieszany.

— Poza tym — zaśmiał się — już z tobą spałem. Nawet wiem, że chrapiesz.

— Mam astmę. I w ogóle nie o tym myślałam.

— Chodzi ci o... — uniósł brew, udając zdziwienie.

— Sugerujesz, że...

— Właśnie Grace zarumieniła się. — Widziałam się wczoraj z ortopedą i pytałam go o to. Mam carte blanche. Martwią się już tylko o moją głowę, bo miednica jest w porządku. Roześmiał się ponownie. Była taka urocza. Dziękował losowi, że zdążyli się poznać bez komplikacji, jakie niesie ze sobą seks. Trwało to ponad miesiąc, a miał wrażenie, że są razem od zawsze.

— Mówisz poważnie, czy tylko igrasz sobie ze mną?

— Sama nie wiem.

Grace sporo o tym myślała i chciała spróbować. Musiała wiedzieć, czy istnieje jakaś szansa na przyszłość.

— To zapewne oznacza, że powinienem teraz zerwać się z miękkiego piasku i zaciągnąć cię za włosy do łóżka?

— O, to brzmi zachęcająco!

Czuł się przy niej jak młodzik. Mimo swej powagi często go rozśmieszała. Była tak różna od zapatrzonej w siebie Michelle

— swobodna, inteligentna, pełna ciepła. Wycierpiała tak wiele, a mimo to potrafiła dawać innym radość.

— Wobec tego wracamy. — Dźwignął ją i powoli udali się do zajazdu, wstępując jeszcze po drodze na lody.

— Lubisz krem bananowy? — spytała mimochodem, liżąc lodowy rożek.

Uśmiechnął się. Czasem zachowywała się jak dziecko, innym razem jak dojrzała kobieta. Uwielbiał ten kontrast. Otwierał on przed nim wielkie możliwości i bardzo kuszącą przyszłość. Chciał się z nią kochać, spędzić z nią całe życie, mieć dzieci... najpierw jednak musiała zjeść lody.

— Owszem, lubię krem bananowy — rzekł z uśmiechem.

Czemu pytasz?

— Ja też. Postawisz mi jutro taki krem?

— Dobrze. Czy teraz możemy już wracać? — We wzmożonym weekendowym ruchu podróz z Nowego Jorku zajęła im cztery godziny i już dochodziła północ.

— Tak, teraz możemy wracać — uśmiechnęła się taj emniczo. Znow była kobietą. Patrząc na nią, Charles miał wrażenie, że obserwuje kalejdoskop zmieniających się w okamgnieniu chmur.

Ich pokój wyposażony był w wiktoriańskie meble, obite perkalem w drobne różyczki. Umywalka miała marmurowy blat, łożo zaś — baldachim. W kubelku chłodził się szampan, który Charles zamówił przed wyjściem na spacer, Obok w wazonie stał bukiet bzu i róż.

— Pomyślałeś o wszystkim. — Pocałowała go, gdy zamykał za nią drzwi.

— Tak — rzekł, dumny z siebie. — Nie mogłem tego zlecić sekretarce.

— Jeszcze by tego brakowało — wykrzyknęła. W jej oczach jednak nie było gniewu, a samo szczęście.

Charles nalał szampana i wręczył jej kieliszek. Upiła łyk i odstawiła szkło. Była zbyt podniecona, by wypić do dna. Miała wrażenie, że tak właśnie wygiada miodowy miesiąc.

— Wystraszona? — szepnęła, gdy kładli się do łóżka; on w szortach, ona w nocnej koszuli. Skinęła głową.

— Ja też — wyznał.

Grace wtuliła twarz w jego szyję i objęła go mocno. Zgasił światło. W odległym kącie pokoju paliła się jedna świeca. Nastrój był nad wyraz romantyczny.

— Co teraz? — szepnęła mu do ucha w chwilę później.

— Idziemy spać — odszepnęła.

— Poważnie? — zdumiała się.

Charles parsknął śmiechem.

— Skądże! Żartowałem,

Pocałował ją, nieomal pragnąc mieć już to poza sobą. Ledwie się hamował, a musiał mieć na względzie jej rozliczne urazy na duchu i ciele. Było to trudniejsze, niż się spodziewał. Po chwili wszakże zapomniał o jej połamanych kościach, a i ją z wolna opuściły upiory przeszłości. Wspomnienia zgasły, czas się zatrzymał, był tylko Charles i jego niewiarygodna czułość, jego wieczna namiętność i miłość. Delikatnie zbliżali się do siebie, aż stali się jednym i nagle oboje naraz osiągnęli szczyt. Grace w oszołomieniu opadła na poduszkę. Jakże to było inne od dawnych bolesnych scen!

Po chwili sama wyciągnęła do niego ręce.

— Jezu! — rzekł później. — Jesteś dla mnie stanowczo za młoda. Wykończysz mnie... ale jakże to będzie piękna śmierć!

Nagle uświadomił sobie, że popełnił straszliwefaux pas, ale Grace tylko się roześmiała. Ku wielkiemu zdumieniu obojga, wszystko było w najlepszym porządku.

Nazajutrz zmusiła go, żeby kupił jej krem bananowy. To był cudowny weekend. Wiele czasu spędzili w pokoju, odkrywając się nawzajem, resztę zaś na plaży, w słońcu.

Gdy w niedzielę wieczorem wrócili do miasta, postanowili sprawdzić, czy w łóżku Grace połączy ich ten sam cud. Charles uznał, że jest jeszcze lepiej.

— A propos — szepnęła do niej, sennie obracając się na bok. — Zwalniam cię z posady. Grace zerwała się gwałtownie.

— Co? — wykrzyknęła. Charles zaskoczony otworzył oko.

— Co takiego?

— Słyszałaś. Zwolniłem cię — uśmiechnął się radośnie.

— Dlaczego? — Grace była bliska łez. Lubiła tę pracę, zwłaszcza teraz, a w przyszłym tygodniu miała wrócić do biura. To było podłe. Jak on mógł?

— Nie sypiam z sekretarkami — wyjaśnił, po czym uśmiechnął się jeszcze szerzej. — Nie rób takiej zmartwionej miny. Przewidziałem już dla ciebie nowy etat. To chyba awans; zależy,

jak na to spojrzysz. Czy zgodziłabyś się zostać moją żoną? — rzekł, zupełnie już przytomnie.

— Mówisz poważnie? — głos dziewczyny zadrżał.

Nie. Żartuję. A jak myślisz? Oczywiście, że mówię poważnie. Wyjdiesz za mnie?

— Naprawdę? — Grace osłupiała. Charles roześmiał się na widok jej miny.

— No tak!

— O rany!

— Więc?...

— Bardzo chętnie.

To mówiąc, nachyliła się i pocałowała go; on zaś porwał ją w wobjęcia i już nie wypuścił.

ROZDZIAŁ XIII

Grace nie wróciła już do biura. We wrześniu wzięli ślub, po czym spędzili dwa tygodnie w uroczym zakątku wyspy Saint Bart's. Po powrocie Grace przeniosła swój skromny dobytek do małego, lecz wymuskanego domu Charlesa przy Sześćdziesiątej Dziewiątej Wschodniej. Równy tydzień później doszło między nimi do pierwszej prawdziwej kłótni. Grace chciała znów podjąć ochotniczą pracę u Świętego Andrzeja, Charles zaś postawił stanowcze weto.

— Oszalałaś? Nie pamiętasz, co cię tam spotkało? Absolutnie nie!

Był nieprzejednany. Mogła robić wszystko, na co miała ochotę — z wyjątkiem tego. I nie miał zamiaru ustać.

— To był czysty przypadek — perswadowała.

— Żaden przypadek. Każda z tych kobiet ma męża szaleńca. Namawiasz je do rozwodu. W każdej chwili któryś z nich może na ciebie napaść.

Jones zawarł ugodę z prokuratorem i w ten sposób wywinął się od kary śmierci. W tej chwili znajdował się już w Sing

-Singu.

— Nie pójdziesz tam, Grace. Porozmawiam na ten temat z ojcem Timem, jeśli będę musiał. Zabraniam ci.

— Wobec tego co mam ze sobą zrobić? — spytała bliska łez. Miała dwadzieścia trzy lata i zbyt wiele energii, żeby beczynn timer spędzać całe dnie. Charles wracał do domu o szóstej, a okazjonalny lunch z Winnie nie wystarczał rozrywanej chęcią czynu Grace. Winnie zresztą miała zamiar przenieść się do Filadelfii. Chciała być bliżej matki.

— Rób zakupy. Zapisz się na studia. Znajdź sobie jakąś działalność dobroczynną, która ci się spodoba, i zasiądź w komitecie. Idź do kina albo na krem bananowy — uciął twardo Charles.

Kiedy Grace zwróciła się o wstawiennictwo do ojca Tima, ksiądz poparł decyzję Charlesa. Nazbyt wiele kosztowała już Grace praca w schronisku. Pora, aby przestała płacić za cudze grzechy. Miała teraz przed sobą własną drogę.

— Wuj rodzinne gniazdo i ciesz się życiem, Grace. Zapracowałaś na to — rzekł mądrze ksiądz, lecz dziewczynie to nie wystarczało. Myślała o tym, żeby pójść na studia. W listopadzie wszakże, sześć tygodni po ślubie, pomysł ten stał się bezprzedmiotowy.

— Co masz taką zadowoloną minę? Wyglądasz jak kot, który połknął kanarka — powiedział Charles, kiedy wpadł do domu, żeby zjeść z nią lunch. Zaczął już sływać w firmie z długich przerw na lunch, a współpracownicy docinali mu, ile zachodu wymaga młoda żona. Czuł, że mu zazdroszczą. Oddaliby wiele, aby choć raz znaleźć się na jego miejscu u boku Grace... zwłaszcza podczas takiej właśnie przerwy na lunch. — Przyznaj się zaraz, gdzie dziś byłaś?

— U doktora — wyszczerzyła zęby.

— Jak tam miednica?

— Prześlicznie się zrosła. — Grace uśmiechała się od ucha do ucha. Była jeszcze piękniejsza, kiedy miała w zanadru jakiś nowy pomysł. — Ale stwierdził coś jeszcze. Twarz Charlesa Spochmurniała.

— Coś złego?

— Nie — roześmiała się pocałowała go, wsuwając mu czubek palca za pasek spodni. Zważywszy, jak ostrożnie ongiś zaczynali, z pewnością osiągnęli w tych sprawach znaczny postęp. W chwili gdy Charles miał ją rzucić na łóżko, szepnęła:

— Będziemy mieli dziecko.

Spojrzał na nią osłupiały.

— Już?

— Jeszcze nie, głuptasie. W czerwcu. Zdaje się, że zaszłam w ciążę na Saint Bart's.

— Bomba! Dowiadując się, iż w wieku czterdziestu trzech lat ma po raz pierwszy zostać ojcem, Charles był tak szczęśliwy, że nie mógł się doczekać, kiedy obwieści całemu światu. Po chwili jednak spoważniał. — Czy wobec tego będziemy mogli się kochać?

— Żartujesz? — roześmiała się. — Aż do czerwca!

— Jesteś pewna, że to nie zaszkodzi?

— Obiecuję.

I znów jak zawsze kochali się zamiast jeść. Potem Charles pospiesznie kupił hot-doga w ulicznej budce i pędem wrócił do biura. Było to o wiele lepsze niż małżeństwo z gwiazdą filmową, lepsze niż każdy jego szczeniący romans. Uwielbiał swą młodziutką, rozbrykaną żonę.

Boże Narodzenie spędzili w St. Moritz, a na Wielkanoc chciał ją zabrać na Hawaje, zdecydowali się jednak na Palm Beach ze względu na mniejszą odległość.

Znosiła dobrze ciążę, lekarz niepokoił się tylko, czy jej miednica wytrzyma poród. W razie zagrożenia zamierzał wykonać cesarskie cięcie. Charles obiecał, że przez cały czas będzie przy niej. W maju zaczęli razem jeździć do szkoły rodzenia przy szpitalu Lenox Hill. Do tego czasu Grace zdążyła już urządzić pokój dziecienny. Wieczorami chodzili na długie spacery wzdłuż Madison albo Park Avenue i rozmawiali o przychylności losu, który dał im dziecko. Wciąż ich zdumiewało, że tak gładko zdołali ułożyć sobie życie. Nawet gdy byli w łóżku, przeszłość Grace nigdy nie nękała ich złowieszczym echem. Zapytał ją kiedyś, jak by się poczuła, gdyby jej historia kiedykolwiek wyszła na jaw. Grace przyznała szczerze, że byłby to dla niej cios.

— Dlaczego pytasz?

— Bo takie rzeczy czasem się zdarzają — odparł filozoficznie. Nauczył się tego przy swej poprzedniej żonie. Ich rozwód stał się przyczyną zmasowanego ataku brukowców; pisano o wszystkim, oskarżano ich nawet o narkomanię i homoseksualizm. Kiedy wreszcie rozeszli się, każde w swoją stronę, prasa dała im spokój. Dzieje Grace bez wątpienia wywołałyby jeszcze większy rozgłos. Na szczęście żadne z nich nie było aż tak sławne. Charles, odkąd przestał być mężem gwiazdy, stracił wartość dla łowców plotek, Grace zaś była zwykłą panią domu. I tym lepiej. Pewnego wieczoru oglądali wystawy przy Madison Avenue, gdy Grace poczuła pierwsze bóle. Dopiero po chwili zdała sobie sprawę, co się dzieje. Prawie biegiem wrócili do domu i wezwali doktora; powiedział im, żeby nie wpadali w panikę; pierwsze dzieci zwykle zbytnio się nie spieszą.

Grace nie wydawała się zaniepokojona. Leżała przed telewizorem, oglądała swój ulubiony talk-show, piła piwo imbirowe i jadła lody. Jej brzuch osiągnął monstrualną wielkość i Charles poważnie się obawiał, że nie zdąży jej dowieźć na czas do szpitala. W duchu zadawał sobie pytanie, czy też on sam nie jest już za stary na takie emocje.

— Jak się czujesz? — pytał co chwilę. — Jesteś pewna, że możemy jeszcze czekać?

Była prawie północ, kiedy ataki bólu nasiliły się do tego stopnia, że w czasie ich trwania Grace nie mogła wydusić ani słowa. Tym razem doktor kazał im przyjechać do szpitala. Charles pomógł Grace zejść ze schodów; warknęła na niego kilka razy, lecz przyjął to z uśmiechem. Nigdy w życiu nie był równie podekscytowany, Grace także. Zanim przewieźli ją do sali porodowej, znów się uspokoiła, ale była zdziwiona, że skurcze są tak bolesne. O drugiej nad ranem mdlała już z bólu i krzyczała, że dłużej tego nie wytrzyma.

Charles zaczynał się martwić, że konieczne będzie jednak cesarskie cięcie. Błagał pielęgniarki, aby dały Grace jakiś środek uśmierzający.

— Wszystko jest w porządku, panie Mackenzie. Pańska Zona świetnie sobie radzi.

Grace wyglądała tak, jakby za chwilę miała umrzeć.

Załował, że nie ograniczył się do platonicznych wzruszeń.

Dałby wszystko, by jej teraz pomóc, doktor jednak nie zgodził

Się podać jej żadnych środków. Powiedział, że woli naturalne

Porody, które są zdrowsze zarówno dla matki, jak i dla dziecka.

Charles miał ochotę go zabić, kiedy widział, jak Grace cierpi.

Pana przez godzinę, nieomal tracąc przytomność przy każdym skurczu. Około piątej rano już miał przysiąc w duchu, że nigdy więcej jej nie dotknie, gdy nagle obok przeraźliwego krzyku Grace usłyszał cienkie, przeciągłe kwilenie i spoj rzał w twarz swego syna.

Postanowili nazwać go Andrew Charles Mackenzie. Miał wielkie błękitne oczy Grace i ciemnorude włosy, ale pod względem budowy i rysów stanowił pomniejszoną kopię ojca. Charles śmiał się i płakał.

— O mój Boże... jaki on piękny... powiedział z zachwytem i nachylił się, żeby pocałować żonę. Po tak wielkim wysiłku leżała teraz jak przepuszczona przez wyżymaczkę, ale w jej oczach malowała się ekstaza.

— Na pewno jest zdrowy? — pytała raz po raz.

Malec został umyty, osłuchany i wręczony matce. Natychmiast przytulił się do jej piersi.

— Grace... jak zdołam ci się za niego odwdziżyć?

— rzekł Charles. Była taka dzielna, że zgodziła się znieść to wszystko dla niego. Nigdy w życiu nie był tak wzruszony ani tak bardzo w nikim zakochany, jak w tej chwili w Grace.

Ku wielkiemu zdumieniu świeżo upieczonego ojca, matka

i syn już nazajutrz rano wrócili do domu. Grace była młoda

i zdrowa, dziecko także udane — ważyło prawie dziewięć

funtów. Poród odbył się w sposób naturalny, nie było zatem

żadnego powodu, by trzymać ich w szpitalu, jak wyjaśnił

położnik. Przed Charlesem otworzył się nowy, nieznany świat. Oswojenie się z dzieckiem zajęło mu kilka dni, ale szybko

nabrał praktyki i po tygodniu nie był już w stanie mówić o czymkolwiek innym. Jedyne,

czego nie zazdrościli mu przyjaciele, były zarwane noce. Wychodząc rano do biura czuł się

tak, jakby przez całą noc biegał po kołowrocie w chomiczej klatce. Panicz Andrew budził się

głodny co dwie godziny, a uspienie go po karmieniu zajmowało kolejną godzinę. Charles

sypiał więc średnio dwie i pół godziny na dobę

— w piętnastominutowych odcinkach. Nie tłumilo to jednak jego entuzjazmu.

Na lipiec wynajęli dom w East Hampton. Charles dojeżdżał do pracy dwa lub trzy razy w tygodniu, a Grace wraz

z dzieckiem towarzyszyła mu przez cały czas. W sierpniu wreszcie wziął dwa tygodnie

urlopu i pojechali do Martha's Vineyard. W październiku stwierdziła, że znów jest w ciąży.

— Mogłabyś tym razem urodzić bliźnięta i na jakiś czas damy sobie spokój — rzeki Charles

dobrodusznie. Sypiał teraz ponad cztery godziny na dobę, co wydawało mu się szczytem

luksusu. Z rozbawieniem konstatował to, iż jego życie mogło ulec tak gruntownej zmianie.

Drugie dziecko rodziło się dłużej i znów gotów był przysięgać, że raz na zawsze zrezygnuje

z rozkoszy łoża. Tym razem doktor w końcu ustąpił i dał Grace jakiś zastrzyk. Pomogło

niewiele; dopiero dziewiętnaście godzin po odejściu wód Abigail Mackenzie spojrziała na

ojca ze zdumioną miną. Serce mu stopniało, kiedy ją zobaczył. Była to prawdziwa piękność:

miniaturowa wersja Grace o ciemnych włosach ojca. Udało jej się wykonać efektowne

entręce, pojawiła się bowiem dokładnie w dwudzieste piąte urodziny matki. Charles miał już prawie czterdzieści pięć lat i przeżywał najszcześniejsze chwile swego życia.

Grace cały swój czas poświęcała dzieciom. Martwiła się niekiedy, czy Charles się z nią nie nudzi, on jednak świata nie widział poza swoją rodziną.

Nie wróciła także do pracy społecznej, choć wciąż o tym mówiła. Tuż po urodzeniu Andy'ego złożyła w jego imieniu dar na schronisko Świętego Andrzeja. Oddała im co do grosza całą sumę, jaką dostała ongiś od Franka Willsa. Dla niej były to pieniądze splamione krwią, relikwii życia, które nie przyniosło jej nic prócz cierpienia. Była pewna, że ojciec Tim lepiej je wykorzysta. Drugi, mniejszy datek przesłała po narodzinach Abigail. Sama od dawna tam nie zaglądała. Zbyt była zajęta mężem i dziećmi.

Chodzili do teatru, dzięki Charlesowi odkryła, że lubi Operę. Uczyła się korzystać z życia i czuła wyrzuty sumienia, Wiedząc, że inni ludzie nie mają tyle szczęścia. Czasem myślała o Luanie i Sally, a także o kobietach ze schroniska, którym kiedyś próbowała pomóc. Jej życie wydawało się teraz tak odległe od tamtych trudnych lat. Miała uczucie, jakby w dniu, w którym poznała Charlesa, narodziła się na nowo.

Próbowała jeszcze raz zająć w ciążę, lecz tym razem nie wyszło. I tak miała za co być wdzięczna losowi; po wszystkich swoich przejściach zdołała jednak urodzić dwoje dzieci. Dlatego też nigdy jej nie nużyło robienie babek z piasku, wycinanie papierowych lalek czy nianie koralików.

Pewnego ranka, kiedy dzieci były w przedszkolu, a Grace siedziała w kuchni pijąc kawę i czytając gazety, nagle rzucił jej się w oczy olbrzymi nagłówek w „New York Timesie”. Nowojorski psychiatra zakatował na śmierć sześciolletnią córeczkę, podczas gdy jego żona patrzyła na to bezradnie. Dziewczynka została przez nich adoptowana w niemowlęctwie po tym, jak ich rodzone dziecko zginęło w okolicznościach, które teraz uznano za podejrzane.

Grace rozplakała się. Niewiarygodne; przecież ten mężczyzna był wykształconym człowiekiem, lekarzem i wykładowcą uznanej uczelni. A mimo to okazał się potworem. Przygaszona, ze śladami łez na twarzy, poszła odebrać dzieci z przedszkola. Andrew natychmiast wyczuł jej posępny nastrój i spytał, co się stało.

— Nic — odparła, a potem zmieniła zdanie. — Jestem smutna — przyznała szczerze.

— Dlaczego jesteś smutna, mamusiu? — zmartwił się. Miał już cztery latka, był mądry i śliczny. Zawsze gdy widziała w nim odbitkę Charlesa, uśmiechała się, dziś jednak jej oczy wypełniły się łzami.

— Przeczytałam w gazecie, że ktoś skrzywdził małą dziewczynkę — powiedziała.

— Poszła do szpitala? — zapytał poważnie. Fascynowały go karetki pogotowia, radiowozy i samochody pożarnicze, głównie ze względu na głośnie syreny.

Grace nie była pewna, czy mówić mu o śmierci. Był jeszcze za mały.

— Tak, Andrew — bąknęła. — Jest bardzo chora.

— Namalujmy dla niej obrazek!

Grace skinęła głową i odwróciła się, żeby nie widział łez, spływających jej po policzkach. Tej dziewczynce nie pomogą już obrazki... ani czułe dłonie... ani żaden cud...

W Nowym Jorku zawrzało. Ludzie byli wstrząśnięci i oburzeni. Nauczyciele z prywatnej szkoły, gdzie zamordowana dziewczynka chodziła do pierwszej klasy, nic nie podejrzewali. Była delikatnym dzieckiem i łatwo występowały jej sińce, a nigdy się nie skarżyła. Grace, kiedy to usłyszała, wpadła we wściekłość. Bicie dzieci zawsze broniły swoich katów.

Nauczyciele powinni o tym wiedzieć i być szczególnie czujni.

Przez wiele dni ludzie kładli kwiaty przed domem przy Park Avenue, gdzie mieszkała ofiara. Kiedy Grace jechała tamtędy z Charlesem na kolację do znajomych, zauważyła duży wieniec w kształcie serca, spleciony z drobnych różyczek. Na biegnącej w poprzek różowej wstążce wypisane było imię zabitej.

— Ja tego nie wytrzymam — szlochała w chusteczkę podaną jej przez męża. Dlaczego nikt tego nie rozumie? Ja wiem, jak to jest...

Dlaczego nikt nie podejrzewał, jakie okrucieństwa działy się za zamkniętymi drzwiami przyzwoitego domu? Dlaczego nikt nie potrafił położyć im kresu? Prawdziwą tragedią było to, że czasem ktoś wiedział i też nic nie robił, bo nie chciał się wtrącać. Grace miała ochotę potrząsnąć ludźmi, zbudzić ich z letargu.

Charles objął ją ramieniem. Bolało go, kiedy myślał, ile musiała wycierpieć. Pragnął codziennie, w każdej chwili okazywać Grace swą miłość, żeby choć w części jej to wynagrodzić.

— Chcę wrócić do pracy — oświadczyła po chwili. Spoj rzał na nią zaskoczony.

— W firmie? Nie potrafił zrozumieć, skąd ten pomysł. Była taka szczęśliwa w domu z dziećmi.

Ale Grace uśmiechnęła się, potrząsnęła głową i wytarła nos.

— Oczywiście, że nie... chyba że potrzebna ci nowa sekretarka.

— Nic mi o tym nie wiadomo.

— Myślałam o tej małej... Chciałabym zrobić coś dla takich dzieci.

Śmierć dziewczynki przypomniała Grace o jej długu. Wyrwała się z piekła i zdobyła sobie w życiu lepsze miejsce, lecz piekło istniało nadal, pełne bezradnych ofiar. Musiała im pomóc.

— Nie puszczę cię do ośrodka—rzekł stanowczo Charles. Grace jednak myślała o czymś bardziej złożonym i dalekosiężnym.

— Zastanawiam się nad stworzeniem organizacji, która niejako wychodziłaby do ludzi nie tylko w slumsach, ale przede wszystkim w dzielnicach klasy średniej, gdzie przemoc jest o wiele skrzętniej ukrywana. Trzeba zająć się edukacją nauczycieli, rodziców, duchownych, wszystkich, którzy mają kontakt z dziećmi. Powinni wiedzieć, na co zwracać uwagę i jak postępować, gdy coś zaobserwują. Musimy też dotrzeć do zwykłych ludzi takich jak ty, ja,

nasi sąsiedzi — którzy co dzień widują maltretowane dzieci, tylko nie zdają sobie z tego sprawy.

Ambitne zadanie — rzekł Charles po namyśle — ale brzmi sensownie. Czy działa już jakiś program, na którym mogłabyś się oprzeć?

Pięć lat wcześniej istniały tylko domy doraźnej pomocy. A różne komitety, o których słyszała, robiły wrażenie źle zarządzanych i nieefektywnych.

— Możliwe, ale musiałabym to sprawdzić. Zupełnie nie wiem, od czego zacząć.

— Nie angażuj się tak bez reszty. Charles nachylił się, by ją pocałować. — Kiedy ostatnim razem pozwoliłaś się ponieść swemu wielkiemu sercu, paskudnie oberwałaś. Pozwól innym się tym zająć. Nie chcę, żeby znów ktoś cię pobił.

Gdyby nie to, nigdy byś się ze mną nie ożenił — powiedziała chytrze, a Charles się roześmiał.

— Nie bądź taka pewna. Od dłuższego czasu miałem cię na oku. Nie mogłem dociec, dlaczego tak mnie nienawidzisz.

— Bałam się ciebie, a to nie to samo.

Oboje uśmiechnęli się, wspominając dawne dni. Od tamtej pory nic się nie zmieniło, nadal byli w sobie szaleńczo zakochani.

Po powrocie do domu Grace znów zaczęła mówić o swoim projekcie. Nadawała bez przerwy przez kilka tygodni, aż wreszcie Charles nie wytrzymał.

— Dobrze już, dobrze, rozumiem. Chcesz pomóc. No to róbmy coś! Od czego zaczynamy?

Sam porozmawiał z kilkoma znajomymi i ich żonami. Projekt Grace wzbudził spore zainteresowanie posypały się także konkretne propozycje. Po dwóch miesiącach Grace dysponowała sporą bazą danych i wiedziała dokładnie, co chce zrobić. Omówiła wszystko z poznanym psychologiem, z dyrektorem szkoły, do której chodziły dzieci, odnalazła nawet siostrę Eugenię, a ta dała jej listę nazwisk ludzi, którzy chętnie wezmą się do pracy, nie oczekując wysokich honorariów. Potrzebni byli psychologowie, nauczyciele, biznesmeni, a nawet były ofiary przemocy w rodzinie. Jedni mieli zgromadzić środki, drudzy — wyjść między ludzi i mówić im o wszelkiego rodzaju przemocy wobec dzieci.

Organizacja przyjęła prostą nazwę: „Pomóż dzieciom!” Początkowo Grace zawiadywała nią z domu, pół roku później wynajęła biuro przy pobliskiej Lexington Avenue. Do tego czasu miała już ekipę składającą się z dwudziestu jeden osób, które przemawiały do nauczycieli, rodziców, ludzi prowadzących zajęcia pozaszkolne i kółka sportowe. Była zdumiona tym, jak wiele otrzymywali zaproszeń. Sama nieraz opowiadała swoje dzieje zupełnie obcym ludziom.

— Mój ojciec miał opinię najmiłszego człowieka w całym mieście — mówiła drżącym głosem, starając się opanować łzy.

— Może i był taki, ale nie dla mnie ani dla mojej matki.

Nie przyznała się, że go zabiła, aby się ratować. Ale to, co powiedziała, poruszyło ich głęboko. Wszyscy prelegenci znali takie historie, niektórzy z własnego doświadczenia, inni

od Swoich uczniów lub pacjentów. Ich słowa miały wielką moc. Było to przesłanie płynące prosto z serca. „Pomóż dzieciom!” mówili. I mówili to szczerze.

Następnym osiągnięciem było założenie bezpłatnej linii telefonicznej, czynnej przez całą dobę, przyjmującej zgłoszenia zarówno o przypadkach znęcania się nad dziećmi, jak też Chorób i nędzy. Grace zbierała fundusze na ogłoszenia i tablice reklamowe, na których umieszczano numer gorącej linii; miała też pieczę nad grafikami dyżurów, których obsadzenie wcale nie było łatwe. Odczuła niemal ulgę, kiedy półtora roku później Abigail poszła do przedszkola, bo dało jej to więcej czasu na pracę w organizacji. W zamian za to całe popołudnia spędzała z dziećmi. Jej projekt rozrósł się tymczasem do roli instytucji i był finansowany przez pięć różnych fundacji. Obecnie zbierali pieniądze i ochotników do przeprowadzenia kampanii telewizyjnej. Grace chciała dotrzeć jeszcze głębiej, do wszystkich maltretowanych dzieci i wszystkich potencjalnych świadków przemocy. Zdawała sobie sprawę, że większość sadystycznych rodziców jest w rzeczywistości ciężko chora psychicznie. Rzadko sami zgłaszali się po pomoc.

Trudno było na razie oceniać rezultaty. Gorącą linię dzień i noc blokowały rozpaczliwe telefony. Dzwonili sąsiedzi, znajomi, nauczyciele, niepewni, czy powinni donosić; ostatnio coraz częściej odbierali telefony również od samych dzieci, które opowiadały przerażające historie. Grace i Charles także pełnili dyżury. Zwłaszcza dla Charlesa te sprawy były nowe; wracał do domu przejęty i zrozpaczony. Ktoś musiał zatroszczyć się o te dzieci, skoro najmniej dbali o nie rodzice.

Grace była tak zapracowana i szczęśliwa, że ledwie zauważała upływające dni. Szczególnie zaskoczył ją list pochwalny, podpisany przez żonę prezydenta. Została w nim porównana do matki Teresy.

— Ona chyba żartuje! — roześmiała się zakłopotana, pokazując list Charlesowi, kiedy wrócił z pracy. Sprawilo jej to wszakże wielką radość, choć realna pomoc dzieciom była dla Grace najważniejsza. Charles też był z niej dumny, a jego satysfakcja sięgnęła zenitu, kiedy otrzymali zaproszenie na kolację w Białym Domu. Bieżący rok ogłoszony został Rokiem Dziecka, Grace zaś miała otrzymać nagrodę za wkład w polepszenie ich doli.

— Nie mogę jej przyjąć — powiedziała. — Do powstania organizacji przyczyniło się mnóstwo ludzi; wielu nadal w niej pracuje, nie zarabiając na tym ani grosza, przeciwnie — dokładając nieraz spore sumy z własnej kieszeni. Dlaczego to ja mam zebrać całą chwałę? Grace była zdania, że nagrodę powinna otrzymać organizacja „Pomóż dzieciom!” jako całość, a nie ona osobiscie.

— Pomyśl, kto to wszystko rozpętał — uśmiechnął się Charles.

Nie dostrzegała, że wpływa na obraz świata. Zmieniała bieg ludzkich losów, opatrywała i leczyła rany Szanowałby ją zresztą i bez tego, była bowiem dobrą żoną i wspaniałą kobietą. — Moim zdaniem powinniśmy jechać — rzekł. — Już wiem: sam odbiorę nagrodę i powiem, że to był mój pomysł!

Grace wybuchnęła śmiechem. Sprzeczek się oto przez dwa tygodnie, w trakcie których Charles cichaczem przyjął zaproszenie w jej imieniu. W końcu więc wynajęli dzieciom opiekunkę i polecili do Waszyngtonu. Padał gęsty śnieg; Grace klęła się, że to fatalny omen, ale gdy tylko dotarli na Pennsylvania Avenue, jej obawy pierzchły. Choinka przed Białym Domem wesoło iskrzyła się światełkami, a cała sceneria zdawała się żywcem wyjęta z obrazu Normana Rockwella.

Do wnętrza wprowadzili ich żołnierze piechoty morskiej. Grace drżały kolana, gdy ścisnęła dłoń prezydenta, a potem jego żony. Na przyjęciu spotkali kilku znajomych Charlesa, prawników i kongresmenów. Jeden z nich — były wspólnik firmy Mackenzie, Broad i Steinway — pytał, kiedy wreszcie Charles odważy się wpłynąć na polityczne wody. — To nie dla mnie — odparł ten z uśmiechem. — Za wiele czasu pochłania mi wożenie dzieci do szkoły i odbieranie telefonów do Grace.

Prezydent również poświęcił mu parę minut; powiedział) że zna jego firmę i podziwia zręczność, z jaką uporała się ona w zeszłym roku ze spornymi punktami kilku rządowych kontraktów.

Po kolacji chór dziecięcy śpiewał kolędy; słuchając ich Grace natychmiast zatęskniła za własnymi dziećmi. Były też tańce. Zanim wyszli, kongresman odszukał Charlesa jeszcze raz i ponowił propozycję. Charles jednak powtórzył, że dotychczasowa działalność w zupełności mu wystarcza.

— Świat jest większy niż Park Avenue czy Wali Street

— rzekł kongresman. — Z wieży z kości słoniowej czasem tego nie widać. Mógłbyś zdziałać wiele dobrego, i to w skali makro. Przemyśl to, jeszcze do ciebie zadzwonię.

Do hotelu wrócili o północy. Grace postawiła swój dyplom na stoliku.

— Pokażę to naszym dzieciom, kiedy znowu stwierdzą, że jestem niedobra — zachichotała. Cieszyła się, że jednak przyjechali. Jeszcze leżąc w łóżku rozmawiali długo o widzianych splendorach i spotkanych ludziach. Grace zagadnęła Charlesa o jego przyjaciela kongresmana.

— Roger? — rzekł lekko. — Miał kiedyś udział w firmie. To porządny chłop, zawsze go lubiłem.

— Co powiesz na jego propozycję? — była ciekawa reakcji Charlesa.

— Żebym zaczął działać politycznie? Nie sądzę, bym dał się skusić.

— Dlaczego? Byłbyś świetny!

— Może kiedyś zgłoszę swą kandydaturę na urząd prezydenta. Zostałabyś najpiękniejszą Pierwszą Damą Ameryki

— rzekł żartobliwie, po czym namiętnie dowiódł jej, że tak rzeczywiście myśli.

Wrócili do Nowego Jorku nazajutrz o drugiej po południu. Charles w świątecznym nastroju stwierdził, że nie idzie do biura. Dzieci były zachwycone. Skakały wokół nich, dopytując się o prezenty.

— Absolutnie nic dla was nie mamy — skłamał w żywe oczy ojciec, prowokując głośny wybuch niedowierzania. Andrew i Abigail znali ich na wylot. Ilekroć Charles wyjeżdżał w interesach — co zdarzało się raczej rzadko — nigdy nie wracał z pustymi rękoma. Kiedy więc kupione na lotnisku zabawki zostały uroczyście rozdane, Grace opowiedziała dzieciom o przyjęciu, kolędach i rzęście oświetlonej choince na trawniku przed Białym Domem. Andy’ego bardzo zainteresowali marines, Abigail natomiast — jako pięcioletnia dama — chciała koniecznie wiedzieć, w co były ubrane obecne tam panie.

W następnym tygodniu wypadały święta, już w niedzielę zatem ubrali choinkę. Dzieci wieszały na niższych gałązkach

bombki własnoręcznie nanizane sznury popcornu i jagód urawiny, wyższe zaś partie drzewka zmuszeni byli przystroić rodzice. Efekt był oszałamiający.

W czasie ferii malcy chodzili z Grace na łyżwy, obejrzeni też świętego Mikołaja u Saksa i wszystkie piękne dekoracje na Piątej Alei. Raz wpadli nawet po tatusia do pracy i wyciągnęli go na lunch. Jedli wielkie hot-dogi, popijając je zimną oranżadą. Grace zamówiła dla siebie krem bananowy taki sam jak podczas pierwszego weekendu z Charlesem. Tym razem nieomal wylizała pucharek, za co mąż przyznał jej honorowe członkostwo klubu łakomczuchów.

— Proszę się ze mnie nie nabijać, bo zjem następny!

— zagroziła. Na nosie miała bitą śmietanę. Abigail chichotała, a Andrew był wniebowzięty.

W czasie świąt — zawsze był to krytyczny okres dla patologicznych rodzin — miała kilka dyżurów pod telefonem gorącej linii. Pochłaniała przy tym stosy cukierków i popcornu.

— Jestem tłusta jak prosię — pożałowała się po Nowym Roku, z wysiłkiem dopinając dzinsy, żeby pójść z Charlesem na spacer do parku.

— Większość kobiet oddałaby wszystko za twoją figurę

— rzekł.

Mimo dwojga dzieci i przekroczenia trzydziestki wciąż wyglądała jak modelka. Nosiła teraz dużą, ciepłą czapę z lisa i taką futrzaną kurtkę, którą Charles podarował jej na gwiazdkę — idealny strój na mroźną nowojorską zimę. W niedzielę zwykle zostawiali dzieci i włóczyli się po mieście. Bywali w kawiarniach w SoHo, chodzili po galeriach, gdzie oglądali obrazy i rzeźby. Tego popołudnia mieli ochotę tylko na przechadzkę. Dotarłszy do hotelu „Plaza”, zdecydowali się jednak wejść do środka na gorącą czekoladę.

— Dzieci nigdy by nam nie wybaczyły, gdyby wiedziały, że za ich plecami poszliśmy we dwójkę do Sali Palmowej

— westchnęła Grace, czując lekkie wyrzuty sumienia. Było to jednak nader romantyczne.

Patrzyli sobie w oczy, po czym Grace zaczęła opowiadać o planach poszerzenia akcji „Pomóż dzieciom!” w nadchodzącym roku. Zatopiona w rozmowie, pochłonęła cały talerz

ciasteczek i dwie filiżanki czekolady zbitą śmietaną. Kiedy skończyła jeść, zrobiło jej się niedobrze, taka była napchana.

— Jesteś gorsza od Andy”ego — zaśmiał się Charles. Uwielbiał na nią patrzeć. Miała wdzięk i świeżość podlotka, a równocześnie wiele kobiecości.

Wrócili dorożką, całując się i szepcząc pod ciężkimi derkami jak świeżo poślubieni młodzi małżonkowie. Gdy dotarli do domu, Charles zawołał dzieci, żeby mogły pogłaskać konia. Dorożkarz za dodatkową opłatą przewiózł jeszcze całą czwórkę dookoła budynku. Później zwolnili opiekunkę i Grace zrobiła spaghetti na kolację.

Przez najbliższe tygodnie miała wiele zajęć. Nie było to niczym nowym, mimo to stwierdziła ze zdumieniem, że przez cały czas jest zmęczona. Oddała nawet dwa dyżury przy gorącej linii, co dotychczas jej się nie zdarzało. Kiedy Charles to zauważył, zmartwił się nie na żarty. Ilekroć Grace źle się czuła, umierał ze strachu, że efekty pobicia i urazów z młodości mogą dać o sobie znać.

— Nic mi nie jest — mruzczała, lecz sińce pod oczami i nienaturalna bladość mówiły za siebie. Nie miała już kłopotów z astmą, zaczynała jednak znów wyglądać tak, jak w czasie gdy ją poznał — trochę za poważna, nazbyt spięta i nie całkiem zdrowa.

— Musisz iść do lekarza — nalegał.

— Naprawdę nic mi nie jest — powtarzała uparcie.

— Mówię poważnie.

— Dobrze już, dobrze — ucięła i wszystko zostało po staremu.

W końcu Charles osobiście umówił ją z lekarzem i zapowiedział, że jeśli nie pójdzie tam sama, doprowadzi ją siłą. Był koniec stycznia; Grace walczyła właśnie o fundusze dla akcji, załatwiając tysiące telefonów i spotkań.

— Na litość boską — zirytowała się, gdy nazajutrz Charles wrócił do tematu — jestem po prostu zmęczona, to wszystko. O co się tu martwić?

Charles ujął ją za ramiona i odwrócił do siebie.

— Czy masz pojęcie, jak ważna jesteś dla mnie i dla dzieci? Kocham cię, Grace. Nie lekceważ swojego zdrowia. Jesteś nam potrzebna.

— W porządku — powiedziała cicho. — Pójdę. Nie cierpiała lekarzy. Miała z nimi same przykre doświadczenia — najprzyjemniejszym z nich był poród.

— Co pani dolega? — zapytał ją z uśmiechem lekarz domowy. Był to bystry i łatwy w obejściu mężczyzna w średnim wieku. Nie miał pojęcia o przeszłości Grace.

— Czuję się dobrze, jestem po prostu zmęczona, a Charles wpada w histerię.

— Ma prawo się niepokoić. Jakie objawy zauważyła pani prócz zmęczenia?

Grace zastanowiła się przez chwilę, po czym wzruszyła ramionami.

— Właściwie żadnych. Czasami zawroty i bóle głowy. Może istotnie zanadto bagatelizowała sprawę. Ostatnio

często miewała zawroty głowy, a kilka razy również bardzo silne mdłości. Uznała, iż winne temu jest napięcie nerwowe związane z nową akcją.

— Miałam ostatnio sporo pracy — dodała.

— Może po prostu potrzebny jest pani odpoczynek.

— Lekarz zapisał jej witaminy i posłał ją na badanie krwi, którego wynik był bliski ideału.

Miała trochę za niskie ciśnienie, stąd zapewne brały się dolegliwości.

— Proszę jeść dużo czerwonego mięsa i szpinaku — doradził jej.

Postanowiła zaraz zadzwonić do Charlesa, żeby go uspokoić, toteż raźnie ruszyła piechotą do domu. Było zimno, rześko i słonecznie; czuła się doskonale i było jej głupio, że w ogóle Zawracała głowę doktorowi. Skręcając w Sześćdziesiątą Dziewiątą Wschodnią poczuła lekki zawrót głowy, a nim doszła do frontowych drzwi, ledwie mogła utrzymać się na nogach. Wyciągnęła rękę, chcąc się złapać poręczy, i nagle przekonała się, że ściska kurczowo ramię jakiegoś starszego pana, który dziwnie na nią spogląda. Zrobiła jeszcze dwa kroki, wybełkotała coś niezrozumiale i zwała się zemdlna na chodnik.

ROZDZIAŁ IV

Kiedy oprzytomniała, stało nad nią troje gapiów i dwóch policjantów. Wezwał ich starszy pan, którego omal nie zwała na ziemię. Grace usiadła na chodniku. Była bardziej zakłopotana niż obolała i wciąż za mocno kręciło jej się w głowie, żeby mogła wstać.

— Co się stało? — zapytał życzliwie jeden z policjantów, patrząc na nią bystrym, przyjaznym wzrokiem. Nie podejrzewał, by miał do czynienia z pijaczką lub narkomanką; Grace była na to za dobrze ubrana. — Czy mamy wezwać karetkę pogotowia? A może pani domowego lekarza?

— Nie, nie, nie trzeba — odparła, podnosząc się z trudem.

— Po prostu zakręciło mi się w głowie.

Tego dnia nie zjadła śniadania, ale dotąd czuła się bardzo dobrze.

Chętnie podwieziemy panią do New York Hospital. To przecież niedaleko — rzekł uprzejmie.

— Naprawdę nic mi nie jest. Zresztą mieszkam tuż obok

— wskazała dom, przed którym stali. Przepraszyła staruszka, on zaś poklepał ją po dłoni i doradził obfity lunch, a potem drzemkę. Policjanci odprowadzili ją aż do holu. W tym samym momencie zadzwonił telefon. Grace podniosła słuchawkę.

— No i co powiedział? — spytał niespokojnie Charles.

Że nic mi nie dolega — odparła słabym głosem. Nie chciała mu mówić, że przed chwilą zemdląca na ulicy. Równocześnie jednak policjanci zaczęli się dopytywać, czy mają sprowadzić kogoś, kto się nią zaopiekuje.

— Z kim rozmawiasz? Gdy chodziło o nią, Charles miał szósty zmysł. Zawsze wyczuwał, że coś jest nie tak.

— Są tu panowie z policji westchnęła. Zamierzała mu to jakoś oględnie wytłumaczyć, ale znów poczuła mdłości. Policjant, widząc, że blednie, podparł ją ramieniem. Usiadła na podłodze i opuściła głowę pomiędzy kolana. Jeden z mundurowych poszedł przynieść jej wody, drugi wyjął jej z ręki słuchawkę.

— Halo? Halo! Co się tam dzieje? — dopytywał się gorączkowo Charles.

— Tu posterunkowy Mason. Z kim rozmawiam? odezwał się spokojnie policjant.

— Nazywam się Charles Mackenzie, ta pani jest moją żoną. Na miłość boską, co się stało?

— Nic złego, proszę pana. Miała drobny problem, zemdląca tuż przed domem.

Wprowadziliśmy ją do środka... zdaje się, że znowu robi jej się słabo. Możliwe, że to grypa, ostatnio wzrosła liczba zachorowań.

— Czy możecie panowie zawieźć ją do Lenox Hill?

— Charles wolną ręką złapał palto.

— Oczywiście.

— Będę tam za dziesięć minut.

Policjant odłożył słuchawkę i zerknął z uśmiechem na Grace.

— Pani małżonek kazał nam zawieźć panią do szpitala.

— Ale ja nie chcę tam jechać — Grace nadała się jak dziecko.

— Wyraził się dość stanowczo. Ma się tam z nami spotkać.

— Nic mi nie jest. Naprawdę!

— Nigdy nie zaszkodzi się zbadać. W powietrzu krąży mnóstwo paskudnych zarazków. Nawet taka grypa może być śmiertelna; mieliśmy tego przykład wczoraj u Bloomingdale'a. Przemawiając kojąco, gawędziarskim tonem policjant prowadził ją w stronę drzwi.

Kiedy wsadzili ją do radiowozu, zdała sobie sprawę, że musiało to wyglądać, jak gdyby ją aresztowali. Może byłoby to zabawne, gdyby nie nagłe wspomnienie nocy, gdy zabiła ojca. Skutkiem tego, nim jeszcze dojechali do Lenox Hill, miała już atak astmy — pierwszy od dwóch lat. Pielęgniarka z izby przyjęć prędko przyniosła jej inhalator. Kiedy nadjechał Charles, Grace wciąż była śmiertelnie blada, ręce jej dygotały. Podbiegł do niej przerażony.

— Co się stało?

— Zdenerwowało mnie auto policyjne.

— Dlatego zemdląłeś? — spytał zdezorientowany.

Grace pokręciła głową.

— Dlatego dostałam astmy.

— A dlaczego zemdląłeś?

— Nie wiem.

Nim ją zbadano, minęła prawie godzina. Do tego czasu Grace poczuła się o wiele lepiej, oddech niemal wrócił do normy i przestało jej się kręcić w głowie. Charles przyniósł jej bulion z automatu, trochę słodyczy i kanapkę. Nadal miała doskonały apetyt.

Lekarz nie wykluczył grypy, lecz miał także inną koncepcję.

— Może jest pani w ciąży?

— Nie sądzę. — Nigdy się nie zabezpieczała, a przecież od urodzenia Abby minęło już sześć lat i nic.

— Bierze pani pigułki?

Zaprzeczyła ruchem głowy.

— Czy jest jakiś powód? — lekarz zerknął na Charlesa.

— Po prostu nie wydaje mi się to możliwe — oświadczyła stanowczo Grace.

— Proponuję kupić test w aptece na rogu. Gotów jestem się założyć, że to ja mam rację uśmiechnął się lekarz.

— Występują u pani modelowe symptomy: mdłości, zawroty głowy, zwiększony apetyt, zmęczenie, senność, ociężałość, a ponadto wstrzymanie miesiączki, jak pani twierdzi, z nerwów. Jeśli nie ufacie państwo testom, mogę zaraz zawołać naszego ginekologa; równie wiarygodny będzie pani lekarz.

— Dziękuję — bąknęła Grace z oszołomioną miną. W ogóle nie wzięła tego pod uwagę. Tak długo czekała na następne dziecko, że w końcu porzuciła już nadzieję.

W taksówce Charles tulił ją do siebie, wdzięczny losowi, że nic jej się nie stało.

Grace według instrukcji odtworzyła dokładnie wszystkie kolejne fazy testu, mierząc czas stoperem Charlesa. Wynik był pozytywny.

— Jak myślisz, kiedy... no, kiedy to nastąpiło? — zapytała oszołomiona. Wciąż nie mogła uwierzyć.

— Założę się, że po obiedzie w Białym Domu — roześmiał się Charles i pocałował ją. I miał rację. Nazajutrz Grace poszła do ginekologa. Stwierdził, że dziecko ma przyjść na świat w końcu września. Charles jęknął rozpaczliwie, kiedy obliczył sobie, że będzie miał wtedy pięćdziesiąt jeden lat.

— Smarkacz z ciebie, ot co — wyśmiała go Grace. Urodził się śliczny chłopczyk o płowych włoskach, niespotykanych zarówno w rodzinie Grace, jak i w rodzinie Charlesa. Wyglądał jak mały Szwed. Dali mu na imię Matthew. Starsze dzieci pokochały go od pierwszej chwili. Abby mówiła o nim „moje maleństwo” i przez cały czas nosiła go na rękach.

W piątkę jednak zrobiło im się ciasno, toteż zimą kupili ładny biały dom w miasteczku Greenwich, w Connecticut. Otaczał go wielki ogród i parkan ze sztachet. Charles kupił dzieciom brązowego labradora. Nazwały go Jęczyczkim, miał bowiem tę samą barwę co czekoladki zwane „kocimi jęczyczkami”. Abigail i Andrew byli teraz w pierwszej i drugiej klasie. Bez oporów przystosowali się do nowej szkoły.

Akcja „Pomóż dzieciom!” zataczała coraz szersze kręgi. Grace dwa razy w tygodniu jeździła do Nowego Jorku, żeby być na bieżąco we wszystkich sprawach, ale tamtejsze biuro prowadził kto inny. Sama otworzyła mniejszą agendę w Connecticut i tam spędzała ranki. Przeważnie towarzyszył jej Matt w wózku.

W lecie niespodziewanie zadzwonił do nich Roger Marshall, dawny wspólnik Charlesa, który teraz zasiadał w Kongresie. W nadchodzącej kadencji zwalniał się mandat stanowy PO starym kongresmanie, który odchodził na emeryturę. Charles nie miał zbyt ochoty kandydować, był zajęty w firmie, a kampania wyborcza oznaczała mnóstwo pracy i kosztów. Ponadto uzyskanie fotela w Kongresie pociągało za sobą przeprowadzkę do Waszyngtonu, to zaś byłoby sporym obciążeniem dla Grace i dzieci. Toteż Charles w końcu odmówił. Gdy jednak inny, młodszy kongresman z jego okręgu nagle zmarł na zawał serca, Roger odezwał się ponownie. Tym razem Grace zaskoczyła Charlesa, namawiając go, by spróbował swoich sił w polityce.

— Chyba nie mówisz poważnie — Charles zerknął na nią ostrożnie. — Nie wiesz, co to za życie.

Miał już do czynienia z prasą w czasie swego małżeństwa z Michelle Andrews i nie wyniósł z tych kontaktów najmilszych wspomnień. Musiał wszakże przyznać, że mechanizm władzy, zwłaszcza waszyngtońskiej, zawsze go intrygował. Dał więc znać Rogerowi, że się zastanowi.

Prawdę powiedziawszy, zawód prawnika nie mógł już postawić przed nim jakichś większych wyzwań. Ponadto Charles czuł się staro. Godził się z tym, coraz więcej czasu poświęcając rodzinie.

— Potrzeba ci odmiany, Charles — mówiła cicho Grace jakiejś nowej podniety.

— Mam ciebie — uśmiechnął się. — To wystarczająca podnieta dla każdego mężczyzny. Zresztą z trójką dzieci na pewno nie grozi mi nuda jeszcze przez najbliższe pięćdziesiąt lat. Nie chcesz chyba wprzęgać naszego życia w ten szaleńczy kołowrót? Nie zdajesz sobie sprawy, co znaczy mieszkać w przezroczystym akwaĖium.

— Jeśli znajdziesz w tym sens, damy sobie radę. Waszyngton nie leży za siódmą górą. Możemy zatrzymać dom i spędzać tu weekendy. Albo dojeżdżałbyś stąd do Waszyngtonu na sesje Kongresu.

Roześmiał się, słysząc, że Grace już snuje plany.

— Na razie jeszcze nie ma się czym przejmować — rzekł.

— Bardzo możliwe, że odpadnę w wyborach. Jestem czarnym koniem i nikt mnie nie zna.

— Jesteś szanowanym członkiem społeczności. Mądrym, uczciwym i szczerze zatroskanym o dobro kraju.

— Będziesz na mnie głosować? — zapytał całując ją.

— Zawsze.

Charles zgłosił więc swą kandydaturę i zaczął zbierać ludzi, którzy mieli pomóc mu w kampanii. Począwszy od czerwca potoczyła się ona pełną parą. Grace robiła wszystko, od

przyklejania znaczków poprzez ściskanie rąk aż do roznoszenia ulotek po domach. Slogan wyborczy określał Charlesa jako „jednego z nas”, a choć nigdy nie robił tajemnicy z tego, że jest człowiekiem zamożnym i pochodzi z dobrej rodziny, jego zasady moralne i wrażliwość na problemy innych ludzi jednały mu ogólne zaufanie. Ku zaskoczeniu samego kandydata polubiły go również media. Szeroko, a co ważniejsze obiektywnie, komentowały wszystkie jego wystąpienia.

— Dlaczegoż by miało być inaczej? — Grace zdumiała się, że Charlesa tak dziwi dobra prasa, ale on znał te sprawy lepiej od niej.

— Bo nie zawsze są tak bezstronni — rzekł. — Czekaj, prędzej czy później mnie dopadną.

— Nie bądź takim cynikiem!

W czasie kampanii Grace trzymała się na uboczu — chyba że Charles chciał, żeby była przy nim. Przeważnie biegła i załatwiała różne sprawy, nawet jeśli musiała ciągnąć ze sobą dzieci. Nie pchała się na afisz. To Charles był kandydatem i ważne było to, co on sobą reprezentował. Grace nigdy o tym nie zapomniała.

Z trudem znajdowała czas na własną pracę i fundacja „Pomóż dzieciom!” musiała dawać sobie radę bez niej. Wciąż brała dyżury przy gorącej linii, ale przede wszystkim wspierała swego męża. Spostrzegła, iż kampania daje mu satysfakcję. Wierzył w swój program. Przemawiał do różnych lobby Politycznych na piknikach i jarmarkach; wśród jego słuchaczy byli zarówno rolnicy, jak i biznesmeni. Wielu go popierało. Lubili też Grace; znana była jej działalność dobroczynna, lecz Wyborców szczególnie ujęło to, iż na szczycie hierarchii Wartości pani Mackenzie znajduje się mąż i dzieci.

W listopadzie Charles ze znaczną przewagą wygrał wybory. Przekazał swój udział w firmie pod zarząd funduszu Powierniczego, wziął udział w wielkim pożegnalnym bankiecie u Pierre’a, a potem wraz z Grace i dziećmi pojechał do Waszyngtonu, żeby znaleźć mieszkanie. Zdecydowali się na uroczy dom w Georgetown, przy ulicy R. Mieli się przeprowadzić po Bożym Narodzeniu. Dzieci czekała kolejna zmiana szkoły; były wystraszone, ale też podekscytowane. Grace zapisała je od stycznia do trzeciej i czwartej klasy w Sitweil Friends; znalazła też grupę zajęciową dla Matta, który miał już dwa latka. Weekendy i wakacje spędzali w Connecticut. Charles pozostawał w bliskim kontakcie ze swymi wyborcami, wśród których było wielu starych przyjaciół, i cieszył się każdą chwilą spędzoną w Greenwich. Jego inicjatywy legislacyjne zjednały mu dobrą opinię; pracował też w niezliczonych komisjach, osiągając doskonale rezultaty. W drugim roku pobytu w Waszyngtonie Grace uruchomiła tam filię „Pomóż dzieciom!”, wzorowaną na biurach w Nowym Jorku i Greenwich. Często sama dyżurowała przy telefonie, ponadto kilkakrotnie wystąpiła w programach telewizyjnych i radiowych. Jako żona kongresmana miała teraz o wiele większe wpływy, toteż z radością wykorzystywała je dla dobra sprawy.

Ich życie towarzyskie znacznie się ożywiło; regularnie otrzymywali zaproszenia do Białego Domu, a spokoju rodzinnego ogniska mogli zażyć tylko będąc w Connecticut. Nie starali się

o rozgłos. Charles był ciężko zapracowanym kongresmanem, Grace zaś skromną panią domu, poświęcającą czas dobroczynności i własnym dzieciom.

Po trzech kadencjach Charles otrzymał kolejną propozycję, która tym razem bardzo go zainteresowała. Działalność

w Kongresie stanowiła dla niego pouczający wstęp do przyjęcia na siebie większej odpowiedzialności i wpływu na los kraju.

Z kręgów zbliżonych do prezydenta nadeszło zapytanie, czy miałby ochotę kandydować do Senatu.

Charles natychmiast powiadomił o tym Grace i oboje niejednemu raz omawiali tę kuszącą ofertę. Charles trochę się bał

— z większą władzą wiązały się większe naciski, wymagania, a przede wszystkim zawiść.

Jako ogólnie lubiany kongresman pozostawał poniekąd człowiekiem z ludu; na fotelu senatorskim mógł być niewygodny. Obserwować go będą bacznie zwłaszcza ci, którzy ujrzą w nim przeszkodę w wyścigu do prezydentury. Martwił się też o Grace. Jak dotąd nikt się jej nie czepiał. Wspominano czasem o jej dobrych uczynkach, szczęśliwym małżeństwie i oddaniu rodzinie, ale rzadko bywała obiektem publicznego zainteresowania. Jako żona senatora znajdzie się na świeczniku i kto wie, co z tego wyniknie.

— Nie chciałbym cię wciągnąć w sytuację, która może źle się na tobie odbić — rzekł poważnie.

— Przesadzasz. Nie mam nic do ukrycia — palnęła bez zastanowienia. — No dobra, mam — poprawiła się, widząc uśmiech Charlesa. — Ale na razie nie mieliśmy żadnych problemów. Nikomu nie chciało się grzebać w mojej przeszłości. Zresztą odsiedziałam wyrok, spłaciłam dług i teraz jestem czysta.

Miała trzydzieści osiem lat. Tamte czasy wydawały się jej na wpół zapomnianym snem.

— Nosisz inne nazwisko i właściwie nikt nie zdaje sobie sprawy z tego, kim jesteś. Ale każda żona senatora trafia natychmiast pod lupę. Naprawdę chcesz ryzykować?

Wieczorem tego dnia spytała go prosto z mostu:

— Powiedz szczerze: chcesz zostać senatorem?

Charles powoli pokiwał głową.

— Wobec tego nie oglądaj się na mnie. Jesteś uczciwy i mądry; masz prawo do tej funkcji. Nie pozwól, żeby strach zawładnął naszym życiem — powiedziała z mocą. — Niczego nie musimy się już bać.

Uwierzyli w to oboje. Dwa tygodnie później Charles ogłosił, że jesienią stanie w wyborach do Senatu.

Jego rywal był twardy i miał za sobą długi staż w Senacie.

Część wyborców uznała wszakże, iż czas na zmiany. Za Charlesem przemawiało wiele zasług, czyste konto i mnóstwo przyjaciół. Miał też aparycję gwiazdora filmowego, co na ogół wzmacnia szanse kandydata.

Kampania rozpoczęła się konferencją prasową, inną niż wszystkie dotychczasowe; nawet Grace to odczuła. Pytano go „O przeszłość, firmę prawniczą, majątek osobisty, dochody, podatki, zatrudnianych pracowników, dzieci. Także o Grace i jej działalność charytatywną. Reporterzy byli szalenie dociekliwi — nie wiadomo skąd wiedzieli o złożonych przez nią wcześniej datkach na schronisko Świętego Andrzeja — wyglądało jednak na to, że ją lubią. Nagabywano ją o wywiady i zdjęcia. Z początku odmawiała; nie chciała się znaleźć w awangardzie kampanii. Najszczęśliwsza byłaby, jak dawniej dyskretnie pomagając Charlesowi, prasa jednak miała swoje wymagania. Chcieli wiedzieć wszystko o przystojnym senato— rze i jego ślicznej, o dwadzieścia lat młodszej żonie.

— Nie mam ochoty z nimi rozmawiać — poskarżyła się Grace kiedyś przy śniadaniu. — To ty kandydujesz, nie ja. Czego ode mnie chcą, na litość boską? — sarknęła, nalewając mężowi drugą filiżankę kawy. Gospodyni przychodziła później, poranki bowiem woleli spędzać sami. Grace z upodobaniem krzątała się wówczas przy kuchni.

— Mówiłem ci, że tak będzie — rzekł Charles z niezmaconym spokojem.

Nie wzruszał go nawet niepoehlebny ton niektórych wypowiedzi, bo i takie się zdarzały. Tak już jest w polityce:

wchodząc na ring musisz nastawić się na ciosy. Minęły spokojne dni pracy w Kongresie, kiedy martwił się tylko o opinię wyborców ze swego okręgu. Teraz musiał znosić kaprysy i złośliwości ogólnokrajowej prasy, co było o wiele gorsze.

— Poza tym — uśmiechnął się, dopijając kawę — winien jest twój wygląd. Gdybyś była brzydka, nie chcieliby z tobą gadać.

Zwykle to on woził dzieci do szkoły. Najmłodszy Matt rozpoczął właśnie naukę w drugiej klasie, najstarszy Andrew zaś — w liceum. Teraz dzieci miały w Waszyngtonie więcej przyjaciół niż w Connecticut, ale i tu, i tam czuły się, jak w domu.

Mimo zwiększonych wymogów kampanii nie mieli powodów do narzekań. Wszystko toczyło się gładko aż do czerwca, kiedy to Charles nieoczekiwanie pojawił się w domu wczesnym popołudniem, blady jak ściana. Przez upiorną chwilę Grace myślała, że coś się stało dzieciom. Na złamanie karku zbiegła w dół po schodach i wpadła do holu w chwili, gdy odkładał aktówkę.

— Co się stało? — spytała bez tchu.

— Mam złe wieści — rzekł, patrząc na nią z nieszczęśliwą miną.

Boże, które to? — pomyślała — Andy, Abby czy Matt?... Bezwiednie ścisnęła mu dłoń z taką siłą, że gdy ją cofnęła, pozostały ślady.

— Właśnie miałem telefon z Associated Press...

Chwała Bogu. Zatem nie chodziło o dzieci.

— Grace... podjął Charles z rozpaczą— . . . już wiadomo o twoim ojcu i wyroku w Dwight.

Słowa więzły mu w gardle, lecz musiał ją przygotować. Ponieważ się zrozumiał swój błąd. Nie powinien kandydować. Jakże był naiwny sądząc, że wyjdą z kampanii bez szwanku. A teraz prasa rozedrze ich na strzępy.

— Aha... bąknęła niezbyt przytomnie Grace, po czym spojrzała na niego zmartwiona. — Jak bardzo ci to zaszkodzi?

— Nie wiem. To zresztą nie jest najważniejsze. Głupio postąpiłem, narażając cię na to wszystko. — Objął ją i powoli wprowadził do salonu. — Wiadomość zostanie ogłoszona dziś o szóstej. Wcześniej chcą przeprowadzić konferencję prasową, jeśli zgodzimy się wziąć w niej udział.

— Musimy? Grace poszarzała na twarzy.

— Nie, nie musimy. Proponuję poczekać; zobaczymy, jakie rozmiary przybierze skandal, a potem spróbujemy się z nim uporać.

— Co ja powiem dzieciom? — Grace wyglądała na spokojną, ale nie była w stanie opanować drżenia rąk.

Muszą poznać prawdę.

Oboje pojechali po dzieci do szkoły, a potem usadzili je wokół stołu w salonie.

— Mama i ja mamy wam coś do powiedzenia — rzekł cicho Charles.

— Rozwodzicie się? — wypalił Matt. Ostatnio w jego klasie zdarzało się to nagminnie.

— Oczywiście, że nie — uspokoił go ojciec — ale wiadomość, którą chcemy wam przekazać, jest bardzo zła, zwłaszcza dla waszej mamy. — Charles miał posępną minę i mocno ścisnął dłoń Grace.

— Jesteś chora? — przeraził się Andrew. Matka jego kolegi niedawno zmarła na raka.

— Nie, nic mi nie dolega — Grace zaczerpnęła tchu i po raz pierwszy od wielu lat poczuła znajomy ucisk w piersi. — Dotyczy to czegoś, co wydarzyło się dość dawno temu. Trudno będzie mi to wytłumaczyć, a wam zrozumieć, bo wtedy jeszcze nie było was na świecie. Zamrugła oczyma, żeby powstrzymać łzy.

— Kiedy byłem mała — podjęła ze smutkiem — może w wieku Matta, mój ojciec bardzo źle traktował moją mamę. Bił ją.

— Chcesz powiedzieć, że sprawiał jej lanie? — przerwał Matt zdumiony.

Grace z powagą pokiwała głową.

Tak. Bił ją prawie codziennie, bardzo mocno. Potem mama zachorowała.

— Przez to bicie?

— Raczej nie, po prostu: zachorowała. Dostała raka, tak samo jak mama kolegi Andy'ego. Po jakimś czasie nie wstawała już z łóżka, Ojciec w tym czasie bił mnie, a czasem też i ją... i potwornie się nade mną znęcał. Nawet nie protestowałam wiedziałam, że jeśli mu na to pozwolę, przynajmniej mamę zostawi w spokoju. Trwało to cztery lata..., potem mama umarła. Miałam wtedy siedemnaście lat. W dniu pogrzebu...

— Grace przymknęła oczy i znów je otworzyła, zmuszając się, by powiedzieć wszystko, zanim zrobi to ktoś inny. — W dniu pogrzebu znów mnie bił., zadał mi straszny ból i bardzo się bałam., nagle przypomniałam sobie o pistolecie, który mama trzymała w nocnej szafce. Złapałam go... chyba chciałam tylko nastraszyć ojca... — załkała. Dzieci patrzyły na nią osłupiałe. — Zaczęliśmy się szarpać i pistolet wypalił... Ojciec zmarł tej samej nocy — dokończyła, łapiąc spazmatycznie powietrze.

— Zastrześliś ojca? Z a b i ł a ś go? — wyszeptał Andrew.

Grace skinęła głową. Miały prawo wiedzieć. Nie chciała tylko mówić im o gwałtach, dopóki nie będzie do tego zmuszona.

— I co? Wsadzili cię do więzienia? — Matt był zaintrygowany. Brzmiało to lepiej niż film kryminalny — z wyjątkiem tego, że dziadek bił babcię.

— Tak — przyznała cicho Grace. — Spędziłam tam dwa lata. Jeszcze przez następne dwa nie wolno mi było opuszczać Illinois, a potem przyjechałam do Nowego Jorku i tam poznałam tatę. Pobraliśmy się i odtąd żyjemy szczęśliwie.

— To niewiarygodne! — wybuchnęła dotychczas milcząca Abigail. Byłaś w więzieniu? Dlaczego nigdy nam o tym nie mówiłaś?

— Nie miałam się czym chwalić, Abby. Ta sprawa wciąż jest dla mnie niezmiernie bolesna.

— Wiedziałam, że twoi rodzice nie żyją, ale nigdy bym nie pomyślała, że sama ich zabiłaś!

— Zabiłam ojca sprostowała Grace.

— Mówiłaś to tak, jakbyś działała w obronie własnej — nie ustępowała Abigail.

— Tak było.

— W takim razie dlaczego zamknęli cię w więzieniu?

— Bo nikt mi nie uwierzył.

— To potworne. — Abby myślała tylko o tym, co teraz będą mówić na jej temat koledzy.

— Rodziców tatusia też zastrześliś? — zainteresował się Matthew.

— Oczywiście, że nie. — Grace uśmiechnęła się przez łzy. Był jeszcze za mały, żeby to zrozumieć.

— Dlaczego dziś nam to mówisz? — spytał Andrew strapiiony. Abigail miała rację. Nie było się czym chwalić. Jeśli to się rozniesie...

— Ponieważ dowiedziała się o tym prasa — wyjaśnił Charles. Do tej pory nie zabierał głosu, uważał bowiem, że Grace najlepiej przedstawi sytuację. Rozumiał jednak, iż dzieciom niełatwo przyjdzie się pogodzić z taką wieścią o matce. — Mają o tym mówić dzisiaj w telewizji. Chcieliśmy, abyście najpierw usłyszeli to od nas.

— Wielkie dzięki. Za pięć dwunasta! I co, pewnie chcecie, żeby jutro poszła do szkoły? Wykluczone! — zawołała Abby.

- Ja też nie idę oznajmił Matt korzystając z okazji, po czym z zaciekawieniem zwrócił się do matki: Leciała mu krew?

— To nieistotne, Matt — upomniał go ojciec.

— Krzyczał głośno?

— Matthew!

— Niewiarygodne — powtórzyła Abigail i wybuchnęła płaczem. Najpierw trzymacie nas w nieświadomości, a teraz będą trąbić o tym w telewizji. Morderczyni. Więzienny ptaszek!

— Czy ty nic nie rozumiesz? zdenerwował się Charles.

— Nie wiesz, jakie piekło przeżyła twoja matka. Jak myślisz, dlaczego zawsze tak bardzo interesowała się maltretowanymi dziećmi?

Żeby niej pisali — wypaliła gniewnie Abigail. — Poza tym co ty możesz na ten temat wiedzieć? Ciebie tam nie było. A w ogóle to wszystko przez ciebie, przez tę głupią kampanię! Nic by się nie stało, gdybyśmy nie pchali się do Waszyngtonu!

Była w tym spora doza prawdy i Charles dostatecznie nad tym ubolewał. Nie trzeba było sypać mu soli na rany. Nim jednak zdążył odpowiedzieć, Abby zerwała się i pobiegła na górę do swojego pokoju, zatraskując za sobą drzwi. Grace wstała, chcąc iść za nią, ale Charles siłą posadził ją z powrotem na krzesło.

Daj jej najpierw ochłonąć — powiedział rozsądnie. Andrew spojrzał na nich i wyrzucił oczyma.

— Czemu tak się cackacie z tą wredną smarkulą? Bo ją kochamy, tak samo jak was dwóch

— rzekł

Charles. — Będzie nam teraz ciężko i musimy się nawzajem wspierać, a nie patrzeć na siebie wilkiem.

— Jesteśmy z tobą, mamusiu. — Andy objął ją ramionami.

Matt trwał w głębokiej zadumie. Rany, ale historia!

— Może Abby też cię zastrzeli, tato? — rzekł z nadzieją.

Charles nie zdołał powstrzymać się od śmiechu.

— Mam nadzieję, że nie — parsknął.

— To może mama...

Grace zerknęła na swoją najmłodszą pociechę.

— Pamiętaj o tym, kiedy każę ci dokończyć obiad albo posprzątać w pokoju — zażartowała smętnie.

— Mowa! — Matt uśmiechnął się szeroko, ujawniając brak dwóch przednich zębów. W przeciwieństwie do rodzeństwa wcale się nie martwił. Był stanowczo za mały, żeby przewidzieć grożące im konsekwencje.

Abigail nie wpuściła matki do pokoju. Zeszła na dół dopiero o szóstej, kiedy cała rodzina zebrała się przed telewizorem. Bez słowa usiadła z dala od nich, w kącie.

Specjalne wydanie wiadomości rozpoczęło się wielkim na cały ekran zdjęciem Grace z więziennej kartoteki. Najbardziej zaskoczyło ją to, jakim była wtedy dzieckiem

— ledwie trzy lata starsza od Andy'ego, a wyglądała młodziej od Abigail.

— O rany, mamo, to ty?

— Cicho, Matt — zbesztali go chórem, ze zgrozą oglądając reportaż.

Nie był przychylny Grace. Najpierw podano suchą iriformację, że Grace Mackenzie, żona kongresmana Charlesa

Mackerizio, kandydata do Senatu w nadchodzących wybo- rach, mając lat siedemnaście zastrzeliła własnego oj ca, a towarzyszył temu głośny skandal obyczajowy. W tle pojawiły się zdjęcia Grace, eskortowanej do sali sądowej w kajdankach, oraz jej ojca — wybrano te, na których prezentował się

najlepiej. John Adams był jakoby filarem społeczności, córka

f zaś po zabójstwie oskarżyła go o gwałt. W czasie procesu twierdziła, że działała w samoobronie, lecz ława przysięgłych

f nie dała się przekonać. W efekcie Grace otrzymała wyrok dwóch lat więzienia i następnych dwóch w zawieszeniu.

Kolejne zdjęcia. Grace wychodzi z sądu, Grace odjeżdża do Dwight w łańcuchach na rękach i nogach. Głos w telewizji

Stwierdził, że została zwolniona w 1973 roku po odbyciu orzeczone; kary. Wszystko zdaje się świadczyć, że później nie Popadła już w konflikt z prawem, oczywiście jednak informację tę należy sprawdzić.

— Sprawdzić? Co oni, u diabła, insynuują? — prychnęła Grace. Charles uciszył ją gestem. Chciał wysłuchać wszystkiego do końca.

Przedstawiono ówczesne poglądy mieszkańców Warseka, następnie zaś krótki wywiad z komendantem policji. Po dwudziestu jeden latach utrzymywał, iż doskonale pamięta wypadki owej nocy.

— Prokurator postawił tezę, że Grace Adams chciała...

— Uśmiechnął się obłeśnie, a Grace poczuła, że zbiera jej się na mdłości. — Próbowała uwieść ojca i wpadła w szal, kiedy jej nie uległ. Słowem: dziewczyna nie była normalna. Nie wiem, jaka jest teraz, przysłowie mówi, że lampart nie zrzuci cętek, prawda?

Grace zerwała się z krzesła. Nie wierzyła własnym uszom. Na zakończenie podano skrót przedstawionego materiału

dla tych, którzy nie słuchali od początku, i prowadzący audycję przeszedł do następnego tematu dnia. Grace w osłupieniu opadła na krzesło. Była kompletnie wyczerpana, miała uczucie, że jest pusta w środku.

— Ten drań właściwie stwierdził, że to ja gwałciłam ojca!

— syknęła w furii. — Czy możemy pozwać go do sądu?

Być może — Charles przybrał spokojny ton przez wzgląd na nią i dzieci. — Najpierw zaczekajmy, jaka będzie reakcja. Musimy się przygotować na to, że sprawa wywoła sporo hałasu.

— Gorzej już być chyba nie może?

— Ależ tak, może być o wiele gorzej —rzekł przewidująco Charles. Ostrzegano go, zresztą miał własne doświadczenia z prasą.

W ciągu godziny przed domem ustawił się rząd kamer. Dziennikarze wywoływali Grace przez megafon, domagając się komentarza. Charles zadzwonił na policję, ale ci mogli tylko

przepędzić reporterów z ogrodu i zmusić ich, żeby przeszli na drugą stronę ulicy. Dwóch kamerzystów ulokowało się na drzewie, skąd mieli widok wprost na okna sypialni. Charles poszedł na górę zamknąć okiennice, Znaleźli się w oblężeniu.

— Jak długo to potrwa? — spytała żałośnie Grace, gdy dzieci poszły spać. Dziennikarze wciąż koczowali na zewnątrz.

Kilka dni, może dłużej.

— Nie możemy oskarżyć ich o zniesławienie?

— Nie wiem. — Dzwonił już do dwóch prawników

specjalizujących się w sprawach o ochronę dóbr osobistych, lecz tylko zasygnalizował sprawę, wiedząc, że prasa mogła

złożyć podsłuch zarówno w domu, jak w biurze. Sytuacja przedstawiała się niewesoło.

Nazajutrz rano reporterzy wciąż trwali na posterunku, a Grace stała się tematem numer jeden w całym kraju.

Nadano wywiad z dwiema strażniczkami z Dwight, które ponoć świetnie ją znały. Obie były młode i Grace nigdy nie

miała z nimi do czynienia.

— Nie widziałam ich na oczy! — wołała bliska spasmów.

Charles został z nią w domu, żeby dodać jej otuchy. Abby w ogóle nie wstała z łóżka. Na szczęście, Andy”ego i Matta do

szkoły odwiozła sąsiadka.

Strażniczki twierdziły, iż Grace była członkinią więzien

nego gangu; dawały też do zrozumienia, że brała narkotyki.

— Dlaczego one to robią? — Grace wybuchnęła płaczem i ukryła twarz w dłoniach. Nic z tego nie rozumiała. Jaki cel mieli ci ludzie w wymyślaniu kłamstw?

— Chcą znaleźć się w telewizji, mieć swoje pięć minut „.. chwały. Stać się gwiazdą jak ty.

— Nie jestem gwiazdą. Jestem kurą domową— zaprotestowała naiwnie Grace.

— Dla nich jesteś gwiazdą— Charles było wiele mądrzej szy od niej.

Na innym kanale nadawano kolejny wywiad z komendąfl tern policji w Watseka, a następnie z kobietą, która była jakoby najlepszą przyjaciółką Grace w latach szkolnych. Zarówno jej twarz, jak nazwisko wydały się Grace zupełnie obce. Kobieta przytaczała rzekome wyznania Grace o miłości do ojca i za

źdrości o własną matkę. Dawała przy tym do zrozumienia, że motywem zbrodni była chora namiętność.

— Kto tu zwariował: ci ludzie czy ja? Przecież ta baba jest dwa razy ode mnie starsza i w ogóle jej nie znam!

Na ekranie pojawił się też jeden z policjantów którzy

aresztowali ją tamtej nocy. Poznała go, choć bardzo się

zestarzał. Przyznał, że Grace była wystraszona i rozdygotana, kiedy ją znaleźli.

— Czy robiła wrażenie ofiary gwałtu? — zapytał dzien-
nikarz.

— Trudno powiedzieć, nie jestem lekarzem — zastrzegł się policjant. — Prawdą jest, że nie
była ubrana.

— Była naga? — Prowadzący wywiad spojrział prosto w kamerę, przybierając zgorzszą
minę.

Policjant skinął głową.

— Badali ją w szpitalu. Powiedzieli, zdaje się, że miała stosunek, ale z kim —nie wiadomo.
Może ojciec ich zaskoczył.

Pół godziny później na kolejnym kanale wyświetlono gwóźdź programu — wywiad z
Frankiem Wiłsem, który wyglądał jeszcze bardziej obleśnie niż dwadzieścia lat temu, jeśli to
w ogóle możliwe. Stwierdził bez ogródek, że Grace nie była zrównoważonym dzieckiem, za
to zawsze łakomym okiem patrzyła na pieniądze ojca.

— Co? — wykrzyknęła Grace. — Bóg świadkiem, że zagarnął wszystko) co zostało, a nie
było tego wiele.

— Grace, nie możesz tak gwałtownie reagować na wszystko, co plotą. — Charles zaczynał
się o nią niepokoić. — Wiesz, że nikt nie powie prawdy. Po co?

Dlaczego nie powie o niej ani jednego dobrego słowa? Dlaczego nikt nigdy jej nie lubił?
Dlaczego Molly umarła, a David zniknął?

— Ja tego nie wytrzymam! — krzyknęła histerycznie, zrywając się z krzesła. Miała ochotę
uciec, schować się w mysiej dziurze.

— Musisz — rzekł krótko Charles. — Zamykanie oczu nic tu nie pomoże.

Zdawał sobie sprawę, że minie długi czas, nim skandal rozdmuchany do takich rozmiarów
wreszcie zgaśnie.

— Ale dlaczego mam to znosić? — zapytała ze łzami.

— Ponieważ ludzie żywią się tym śmieciem. Uwielbiają pławić się w rynsztoku. Kiedy byłem
żonaty z Michelle, brukowce bez przerwy wypisywały o nas wysrane z palca kłamstwa.
Musisz się z tym pogodzić; po prostu tak już jest.

— Ona była aktorką, chciała być dostrzegana.

— Wniosek z tego, że ja również tego pragnę, skoro zostałem politykiem.

Grace rozplakała się i poszła na górę. Abby siedziała w sypialni rodziców i pstrykała pilotem,
przerzucając programy.

— Jak mogłaś to zrobić? — chlupnęła na widok matki.

Grace zachwiała się na nogach.

— Nie wiem — powiedziała ze łzami. — Byłam zastraszona i samotna, bałam się go... Bił
mnie... gwałcił mnie przez cztery lata, a ja nie potrafiłam się przed nim obronić. Chyba nawet
nie miałam zamiaru go zabić. Byłam jak ranne zwierzę, uderzałam na oślep, żeby się
nareszcie od niego uwolnić. Nie miałam wyboru, Abby.

Abby wpatrywała się w nią i też płakała.

— To wszystko kłamstwo — łkała Grace. — Prawdą jest jedynie, że zabiłam ojca. Nawet nie znam tych ludzi, którzy

o mnie mówią. Wspólnik ojca też kłamie. Zagarnął cały spadek, a to, co mi dał, przekazałam na cele dobroczynne.

§ Przez całe życie próbowałam pomóc ludziom takim jak ja, żeby także mogli wyrwać się z piekła. O Boże, Abby! — Objęła

córkę ramionami. — Tak bardzo cię kocham. Serce mi r krwawi, kiedy cierpisz przeze mnie. Miałam okrutne dzieciństwo. Nikt nie traktował mnie jak istotę ludzką... Dopiero wasz ojciec dał mi życie, miłość i was troje. Jest jednym z nielicznych ludzi, którzy okazali mi serce, Och, córeczko... — Grace rozszlochała się gwałtownie przebac mi...

— To ja cię przepraszam, mamusiu... Byłam taka niedobra... Przepraszam...

— To nic, córeczko, to nic...

Charles stał w progu, patrząc ze łzami na dwie przytulone do siebie sylwetki. Potem odszedł na palcach i znów chwycił za telefon.

Po południu odwiedził ich adwokat. Nie przyniósł dobrych wieści. Osobom publicznym nie przysługuje prawo do ochrony życia prywatnego. Chcąc wnieść sprawę do sądu, to oni muszą dowieść, że padli ofiarą potwarzy, co często jest niemożliwe. Muszą też wykazać, że na skutek oszczerstwa ponieśli wymierną stratę, a także iż zostali oszkalowani celowo, w złej wierze. Żony polityków — zwłaszcza jeśli brały udział w kampanii wyborczej lub ukazywały się publicznie — znajdowały się w identycznej sytuacji jak mężowie. Grace nie miała teraz żadnych praw.

— To zaś oznacza — wyjaśnił adwokat — że jesteście państwo praktycznie bezsilni. Gdyby pani Mackenzie nie zabiła ojca, zmieniałoby to postać rzeczy. Jeśli ktoś powiada, że była członkinią gangu, to ona musi udowodnić, że tak nie było. Jak chce pani tego dowieść?

Zbierając zaprzysiężone oświadczenia od skazanych, odsiadujących wyrok w tym samym okresie? Ponadto musiałyby pani wykazać, że kłamstwa są obliczone na to, żeby pani zaszkodzić, i że w ich wyniku pogorszyła się pani sytuacja materialna.

— Innymi słowy: oni mogą zrobić wszystko, a ja nic, czy tak?

— Właśnie. W podobnej sytuacji są wszystkie osoby zajmujące eksponowane stanowiska. Niestety żyjemy w epoce brukowców. Media wyznają pogląd, że odbiorca pożąda nie tylko błota, lecz i krwi. Tworzą zatem ludzi i niszczą ich, drą na strzępy, którymi karmią wygłodniałą publikę. Nie decydują tu względy osobiste, lecz ekonomiczne. Dziennikarze to sępy. Płacą do stu pięćdziesięciu tysięcy dolarów za historyjkę przydamą na pierwszej stronie. Za takie pieniądze ludzie powiedzą wszystko. Stwierdzą, że na własne oczy widzieli, jak tańczyła pani nago na grobie ojca, jeśli dzięki temu zarobią dolara albo pokażą się w telewizji. Taka jest rzeczywistość. Poważniejsza prasa zachowuje się w ten sam sposób. Wiarygodność i obiektywizm przestały mieć rację bytu. Prasa niszczy ludzi, niszczy całe rodziny, byle tylko był ruch w interesie. To niesmaczna zabawa, a do tego trudno udowodnić

im złą wolę. Podstawowym bodźcem zresztą nie jest wcale zła wola, a chciwość i obojętność.

Prawnik przerwał na chwilę dla zaczerpnięcia tchu.

— Już dawno odpokutowała pani za swój czyn — podjął.

— Pani rodzina jest czysta jak łąza. Mimo to niewiele jestem w stanie zrobić, żeby państwu pomóc. Będziemy trzymać rękę na pulsie i gdy trafi się jakikolwiek punkt zaczepienia, wniesiemy pozew. Proszę jednak liczyć się i z tym, że nie przyniesie on korzystnych rezultatów. Proces zwykle jeszcze bardziej podsycy skandal. Rekiny lubią, kiedy w wodzie pojawia się krew.

— Niezbyt nas pan pocieszył, panie Goldsmith — rzekł Charles posepniejąc.

— To prawda. — Adwokat uśmiechnął się niewesoło. Lubił Charlesa i żał mu było Grace. Ale prawo nie miało na celu ochrony prominentów. Prawo pomagało czynić z nich ofiary. Skandal trwał dalej. Dzieci z ociąganiem wróciły do szkoły; na szczęście wkrótce zaczęły się wakacje i cała rodzina przeniosła się na lato do Connecticut. Tam jednak czekało ich to samo. Kolejne artykuły, kolejne fotografie, kolejne sfingowane wywiady. Toteż Grace ucieszyła się bardzo, gdy niespodziewanie odnalazł się David Glass. Zadzwoił do nich. Mieszkał teraz w Van Nuys, był prezesem firmy adwokackiej założonej przez zmarłego teścia i miał już czworo dzieci. Sprawa Grace bardzo go dotknęła, zdawał sobie bowiem sprawę, ile musiała przysporzyć jej bólu. Z drugiej strony rad był słysząc, że szczęśliwie wyszła za mąż i ułożyła sobie życie.

Napomknął zażenowany, iż Tracy, jego żona, była ongiś wściekle zazdrosna o Grace, dlatego po pewnym czasie

przestał pisać. Zaofiarował się, że wystąpi w prasie, biorąc ją w obronę. Istniały jednak uzasadnione podejrzenia, że jego wypowiedź itak zostanie przekręcona i wypaczona. Zgodził się z Charlesem, że prasa nie chce faktów, a skandalu i brudów. Najlepiej poczekać, aż zwyczajnie się znudzą.

Ale gdy po miesiącu wrzawa nie przycichła, a w sprawie zabójstwa Johna Adamsa wypowiedział się już chyba każdy z wyjątkiem dzieci w wózkach, Grace straciła cierpliwość. Po naradzie z szefem kampanii wyborczej Charlesa postanowiła udzielić wywiadu jednej z wiodących stacji telewizyjnych. Miała nadzieję, że położy to kres plotkom.

- Nie licz na to — uprzedził ją Charles. On też jednak ufał, że uczciwie przeprowadzony wywiad nie narobi przynajmniej większych szkód.

Audycję poprzedziła szeroka reklama i przed domem ZnOW ustawiły się kamery. Dzieci w ogóle przestały wychodzić z domu, unikały nawet przyjaciół. Grace rozumiała to aż za dobrze. Ilekroć wyszła po zakupy, zawsze ktoś ją zaczepiał, nawiązując pozornie niewinną rozmowę, która nieodmiennie kończyła się pytaniem, czy ojciec naprawdę ją gwałcił, jakie to uczucie, gdy się kogoś zabije, albo czy w więzieniu jest dużo lesbijek. Charles też był nagabywany, nigdy jednak tak złośliwie jak Grace. To ją upatrzono na ofiarę, zaczepiano

zwykle, kiedy była sama albo tylko z dziećmi. Raz jakaś kobieta podeszła do niej na stacji benzynowej i zniechęcała huknęła:

„Pif-paf!!! Załatwiłaś staruszka, co, Grace?” Dostała też utrzymany w bardzo ostrym tonie list od Chery Swanson z Chicago. Chery miała pretensje, że Grace ukryła przed nią, iż siedziała w więzieniu.

— Nie dałaby mi pracy, gdybym jej powiedziała sarknęła ze złością Grace, rzucając list Charlesowi, żeby sam przeczytał. Otrzymywała teraz wiele takich listów, złośliwych telefonów, a raz pustą kartkę, na której ktoś krwią nasmarował słowo: MORDERCZYNI. Dostała też jednak bardzo ciepły, krzepiący, pełen słów otuchy list od Winnie, a także od ojca Tima, który pracował teraz na Florydzie jako kapelan w domu starców. Pisał, że się za nią modli i zawsze zachowa ją w swym sercu. Przypominał, że jest dzieckiem Bożym, a Bóg ją kocha.

Powtarzała to sobie bez przerwy w dniu wywiadu. Został on bardzo starannie przygotowany przez biuro prasowe Charlesa. Okazało się jednak, że zaaprobowany wcześniej scenariusz tajemnym sposobem znikł, a Grace zaraz rano wstępie usłyszała pytanie, jakie znaczenie w jej życiu miał seks uprawiany z rodzonym ojcem.

— Znaczenie? — Grace spojrzała ze zdumieniem na siedzącą naprzeciw niej dziennikarkę. Z n a c z e n i e? Czy kiedykolwiek miała pani styczność z ofiarami przemocy? Czy widziała pani, w jaki sposób ludzie katują dzieci? Gwałcą, torturują... zabijają! Gaszą im papierosy na ramionkach i twarzach, przypalają, kaleczą... Proszę zapytać któreś z tych dzieci, jakie znaczenie ma dla niego wrzątek lany na buzię albo wyłamane ze stawów kończyny? Owszem, ma to bardzo istotne znaczenie. Zasadnicze. Oznacza po prostu, że nikt ich nie kocha, że nigdzie nie znajdą bezpiecznego miejsca. Żyją w ciągłym strachu... wiem, bo sama kiedyś tak żyłam.

Dziennikarka wydawała się nieco zbita z tropu.

— W zasadzie... eee... Nie ulega wątpliwości, że wiele osób interesują pani odczucia teraz, gdy sprawa zabójstwa pani ojca została ujawniona publicznie.

— Czuję wielki żal. Byłam ofiarą zbrodni popełnianych w sanktuarium rodzinnego domu. I z kolei ja także popełniłam zbrodnię. Zapłaciłam już za to. Myślę, że sztuczne rozdmuchanie tej sprawy, robienie sensacji z tragedii mojej rodziny, a zwłaszcza prześladowanie mego męża i dzieci niczemu nie służy. Prasa stara się jedynie nas ośmieszyć, nie dbając o rzetelną informację.

Grace mówiła dalej — o ludziach, których nigdy w życiu nie spotkała i wymyślanych przez nich kłamstwach; nie wymieniając nazwy brukowca stwierdziła też, że pewna gazeta drukuje szokujące brednie we wszystkich nagłówkach.

Dziennikarka uśmiechnęła się.

— Nie spodziewa się pani chyba, że ludzie święcie wierzą tego typu pismom?

— Więc po co je drukować? — odparowała Grace.

Zadano jej mnóstwo krępujących pytań, lecz miała też okazję opowiedzieć o pracy z ofiarami przemocy, o działalności schronisk i akcji „Pomóż dzieciom!”. Błagała o ratunek dla

nich; zwracała się do wszystkich środowisk społecznych, ostrzegając, że ceną obojętności często bywa życie. Mimo dociekliwych i bezwzględnych pytań udało jej się głęboko poruszyć słuchaczy. Po odjeździe ekipy wszyscy jej gratulowali, a Charles był szczególnie dumny. Była to ciężka próba; Grace jednak zdołała przedstawić prawdziwy obraz zdarzeń. Urodziny obu pań spędzili w domu; Abigail na wyraźną Sugestię rodziców zaprosiła kilkoro najbliższych przyjaciół. Grace wolała siedzieć w czterech ścianach, ludzie bowiem wciąż ją zaczepiali. Mimo to lato minęło im spokojnie, w końcu Sierpnia zaś wszystko wróciło do normy. Reporterzy przestali koczować pod domem, a brukowe gazety — drukować zdjęcia Grace.

— Obawiam się, że nie jesteś już gwiazdą, kochanie

— droczył się z nią Charles. Wziął tydzień wolnego, żeby zająć się żoną. Astma znowu zaczęła dawać się jej we znaki; po raz pierwszy od dawna Grace czuła się chora. Okazało się przy tym, że jest w ciąży.

— Jak ci się to udało w całym tym zamieszaniu? — zdumiał się uszczęśliwiony Charles. W ciągu tych wspólnych lat najwięcej radości przynosiły im dzieci. Trochę się martwił, jak Grace zniesie kampanię — wybory miały przypaść na jej piąty miesiąc — ponadto zas był spieszony.

— Sześćdziesięcioletni tatuś, ładne rzeczy — jęczał.

— Będę miał osiemdziesiątkę, kiedy ten malec skończy college. Dobry Boże, Grace...

— Och, zamknij się wreszcie — zbesztła go żona. — Zaczynam już wyglądać starzej od ciebie, więc nie mam zamiaru się nad tobą użalać. Wyglądasz na trzydziestkę.

Trochę przesadziła, ale czas istotnie okazał się dla Charlesa niezmiernie łaskawy, chociaż Grace, dobiegając czterdziestki, także znakomicie się prezentowała.

We wrześniu przenieśli się z powrotem do Waszyngtonu. Abigail rozpoczęła naukę w liceum, Andrew zaczął się umawiać z córką ambasadora Francji. Matt jak zawsze wywołał mnóstwo zamieszania przy zakupie nowego tornistra i przyborów; stworzył także problem, czy ma zjadać gorący lunch w szkole, czy nosić kanapki. Dla niego każdy dzień wciąż był wielką przygodą.

Ustalili, że o powiększeniu się rodziny poinformują uroczyście dzieci w dniu urodzin Matta, we wrześniu. Grace zaplanowała dla niego przyjęcie. Stopniowo zaczynała się już pokazywać publicznie w towarzystwie Charlesa. Ludzkie spojrzenia wciąż kłuły ją w plecy, prasa jednak nareszcie dała jej spokój.

W gorące wrześniowe popołudnie, na dzień przed przyjęciem Matta, kupowała jeszcze lody, oranżadę i plastikowe sztucce. Stojąc przy kasie, zobaczyła nagle najnowszy numer brukowego magazynu „Thrill” i omal nie zemdląła. Tym razem nikt ich nie ostrzegł. Na okładce widniało jej zdjęcie

— nagiej, z głową odrzuconą do tyłu i zamkniętymi oczyma.

Dwa czarne prostokąty maskowały jej piersi i srom, lecz mimo to zdjęcie było jednoznaczne. Nogi miała szeroko rozstawione, a wyraz twarzy taki, jakby w tej właśnie chwili przeżywała orgazm. Nagłówek głosił: „Żona senatora gwiazdą porno w Chicago”.

Grace miała uczucie, że zaraz zwymiotuje. Zebrała wszystkie egzemplarze ze stoiska i trzęsącą się ręką podała kasjerce studolarowy banknot.

— Bierze pani w s z y st ki e? — dziewczyna spojrzała na nią zdumiona.

Grace kiwnęła głową, sięgając po inhalator. Nosila go już stale.

— Macie tego więcej? — zapytała ochryple.

— Tak, na zapleczu.

— Niech je pani przyniesie.

Kupiła pięćdziesiąt egzemplarzy i pobiegła do auta, żeby usunąć je sprzed ludzkich oczu.

Gdy jechała do domu, płacząc nad kierownicą, zdała sobie sprawę ze swojej głupoty. Nie mogła wykupić całego nakładu, tak jak nie byłaby w stanie wyczerpać oceanu filiżanką.

Charles siedział w kuchni z osłupiałą miną, trzymając w dłoni tę samą gazetę. Przyniósł ją przed chwilą jego główny asystent. Na widok Grace natychmiast wyszedł, Charles natomiast powoli podniósł na nią wzrok. Tym razem był naprawdę do głębi wstrząśnięty, jeszcze nigdy nie widziała na jego twarzy takiego uczucia zawodu i znużenia.

— Co to jest, Grace?

— Nie wiem. — Łzy ciekły jej po policzkach. — Nie wiem...

— To nie możesz być ty.

Niestety, to była Grace. Mimo zamkniętych oczu dało się ją bez trudu rozpoznać. Wtedy zrozumiała. Musiał ją rozebrać... Miała na sobie tylko czarną wstążkę na szyi. Niewątpliwie dodawała ona zdjęciu pikanterii. Niżej widniało nazwisko Marcusa Andersa. Zbiadła jeszcze bardziej, kiedy je zobaczyła. Charles to zauważył.

— Znasz faceta, który zrobił to zdjęcie?

Kiwnęła głową. Żałowała, że wcześniej nie umarła.

— Co to ma znaczyć, Grace? — po raz pierwszy od szesnastu lat Charles przemawiał do niej lodowatym tonem.

— Kiedy to zrobiłaś?

— Wcale nie jestem pewna, czy naprawdę pozowałam do tego zdjęcia wykrztusiła, siadając przy kuchennym stole.

— W Chicago przez krótki czas chodziłam z pewnym fotografem... opowiadałam ci o nim. Wszyscy mnie namawiali) nawet szefowa agencji... — głos uwiązł jej w gardle.

Charles spojrzał na nią przerażony.

— Kazali ci pozować do zdjęć porno? Co to była za agencja?

Namawiali mnie, żebym została modelką — wyjaśniła) czując, że brakuje jej sił. Miał pstryknąć mi kilka zdjęć na próbę. Byliśmy przyjaciółmi; ufałam mu. Miałam dopiero dwadzieścia jeden lat i żadnego doświadczenia. Koleżanki ostrzegały mnie przed nim, ale

nie chciałam wierzyć. Zaprosił mnie do atelier, nalał wina... i odurzył narkotykami. Mówiłam ci o tym wszystkim zaraz na początku...

Wyraz twarzy Charlesa świadczył, że tego nie pamięta.

— Straciłam przytomność ciągnęła. Zdaje się, że robił mi wtedy zdjęcia, ale byłam ubrana.

— Jesteś tego pewna?

Spojrzała mu prosto w oczy.

Nie powiedziała. — Niczego nie jestem pewna. Bałam się, że mnie zgwałcił, ale koleżanka zaprowadziła mnie do lekarki, która stwierdziła, że nic między nami nie zaszło. Byłam tak naćpana, że ledwie trzymałam się na nogach. Próbowalam odzyskać negatywy, ale odmówił. W końcu koleżanki poradziły mi, żebym dała sobie spokój. Nie widziałam tych zdjęć, szef agencji mi mówił, że są bardzo sexy, mimo że nie widać ani skrawka golizny. Uznałam, że nic strasznego się nie stało. Nie przypuszczałam, że kiedyś zostanę żoną ważnej osobistości i narażę się na taki atak.

To było prawdziwe porno. Tym jednym zdjęciem Marcus zadal jej śmiertelny cios. Co gorsza, zadal go również Charlesowi. Zabójstwo ojca Grace wywołało dostatecznie głośny skandal, ale tego już nie zdoła wytłumaczyć ani wyborcom, ani prasie, ani własnym dzieciom.

— Nie wiem, co powiedzieć — szepnął. — Nie mogę uwierzyć, że zrobiłaś coś takiego.

Podbródek mu drżał; po policzku spłynęła łza. Nic nie sprawiłoby jej większego bólu.

Wolałaby, żeby ją uderzył.

— Nie zrobiłam tego, Charles — odparła słabo. Jej małżeństwo właśnie dobiegło końca. — Byłam pod wpływem narkotyków.

— Jak mogłaś zachować się tak głupio...

Nie sposób było temu zaprzeczyć.

W chwilę później Charles wziął gazetę i poszedł na górę do sypialni. Grace podjęła decyzję: w poniedziałek, po urodzinach Matta, opuści ten dom na zawsze. Nie mogła dłużej przysparzać im cierpień.

To samo zdjęcie pojawiło się w telewizyjnych wiadomościach. Wybuchł skandal tak głośny, że pracownicy biura prasowego Charlesa nie nadawali odbierać telefonów. Tłumaczyli gorączkowo, iż zaszła pomyłka, dziewczyna jest tylko podobna do pani Mackenzie, pani Mackenzie zaś chwilowo nie jest osiągalna.

Nazajutrz jednak w studio telewizyjnym przeprowadzono wywiad z Marcusem Andersem, który oznajmił, że zdjęcie przedstawia Grace Adams, obecnie Mackenzie, która pozowała mu w Chicago przed osiemnastoma laty.

— Była z niej wtedy naprawdę gorąca babka — rzekł. Lubieżny uśmiezek na jego zniszczonej, pooranej twarzy czynił iście demoniczne wrażenie.

— Czy panna Adams znajdowała się wówczas w trudnej sytuacji finansowej? — zapytał niewinnie dziennikarz.

— Nic podobnego. Sprawiało jej to przyjemność. — Fotograf znów uśmiechnął się znacząco. — Niektóre kobiety to lubią.

— Czy otrzymał pan pisemną zgodę na publikację

zdjęć?

— Oczywiście. — Marcus wydawał się urażony, że ktokolwiek śmie w to wątpić. Na dowód wyciągnął podpisany druk i zaprezentował go do kamery.

Nastąpiła kolejna przebitka z feralnym zdjęciem, po czym redakcja przeszła do innych tematów dnia.

Grace wpatrywała się w ekran z jawną nienawiścią. Kiedy w południe zadzwonił do nich adwokat Goldsmith, oznajmiła mu krótko, że nigdy nie podpisywała żadnych dokumentów przeznaczonych dla Marcusa Andersa.

— Zobaczmy, co da się zrobić — rzekł. — Możliwe, iż podrobił podpis. Niestety nie zdołamy cofnąć tego, co już się stało. Cały kraj widział zdjęcie. Powinna była pani zdawać sobie sprawę, jakich kłopotów może pani przysporzyć tego typu dossier. — Prawnik zamilkł na chwilę, po czym dodał zmartwionym tonem: — Czy jest ich więcej?

— Nie mam pojęcia — jęknęła.

— Jeśli gazeta kupiła je w dobrej wierze, a autor przedstawił odpowiedni dokument, nie grożą im konsekwencje.

— Dlaczego wszyscy mogą mnie krzywdzić w majestacie prawa? Dlaczego to ja zawsze jestem winna?

To nie jest w porządku. Nie mają prawa niszczyć Charlesa i całej rodziny tylko z tego powodu, że zajął się polityką. Przeżyła z nim szesnaście cudownych lat, a teraz wszystko zamieniło się w koszmar. Kolo fortuny odwróciło się, Grace miała uczucie, iż znów jest ofiarą gwałtu. Czuła się bezradna. Prawda nie znaczyła nic; całe jej życie, z takim trudem zbudowane od nowa, zostało zmarnowane.

Po południu otrzymała kopię podpisanej zgody na publikację zdjęć. Litery były chwiejne, ale i tak poznała własną rękę. Nie mogła w to uwierzyć. Widocznie podsunął jej dokument, gdy była półprzytomna.

Urodzinom Matta towarzyszył przygnębiający nastrój, bowiem wszyscy znajomi albo widzieli zdjęcie Grace na własne oczy, albo o nim słyszeli. Rodzice zaproszonych dzieci obrzucali ją dziwnymi spojrzeniami; w każdym razie tak się jej zdawało. Charles przez cały czas trwał obok niej, lecz poprzedniego wieczoru nie zamienili ze sobą ani słowa, a noc spędził w gościnnym pokoju.

Rankiem tego dnia odbyli rozmowę z dziećmi. Matthew nie bardzo rozumiał, o co chodzi, ale Andrew był blady jak widmo, a Abigail znów wybuchnęła płaczem.

— I ty codziennie mówisz nam o moralności! — krzyknęła. — Jak śmiesz nas pouczać, skoro sama robiłaś takie

rzeczy? Nie powiesz chyba, że do tego również ktoś cię zmusił? Tym razem Grace straciła panowanie nad sobą i uderzyła

córkę w twarz. Miała już dosyć. Była zmęczona i śmiertelnie znużona walką z wiatrakami.

— Nie zrobiłam tego w własnej woli, Abigail — powiedziała cicho. — Zostałam przez tego człowieka oszukana

i odurzona narkotykami. Byłam wtedy jeszcze bardzo młoda

i głupia. Ale, o ile wiem, nigdy nie pozowałam do takiego zdjęcia.

— Pewnie! — prychnęła Abbie.

Grace nie miała sił na dalszą dyskusję. Pół godziny później Abigail wyszła do koleżanki, a Andrew na randkę.

Matt nie stracił humoru i świetnie się bawił. Wieczorem Grace zjadła z nim kolację. Abby zadzwoniła, żeby powiedzieć, że zostanie u koleżanki na noc. Grace nie oponowała. Andrew wrócił o dziewiątej, ale poszedł prosto do swojego pokoju.

Charles pracował w bibliotece. Kiedy wszedł do sypialni po jakieś papiery, zaskoczył go widok Grace pakującej walizkę.

— Co ty robisz? — zapytał.

— Doszłam do wniosku, że dość już wycierpiałeś — odparła cicho, zwrócona do niego plecami.

Zaniepokoił się. Był dla niej chyba trochę zbyt ostry, ale trudno się temu dziwić. Przeżył szok. Był gotów jej wybaczyć, potrzebował jednak nieco czasu, żeby się z tym oswoić. Myślał, że Grace to zrozumie, ale najwidoczniej nie rozumiała.

— Dokąd się wybierasz? — spytał cicho.

— Nie wiem. Chyba do Nowego Jorku.

— Szukać pracy? — uśmiechnął się, ale Grace tego nie widziała.

— Tak, jako gwiazda porno. Mam już niezły dorobek.

— Daj spokój, Grace. Podszedł do niej. — Nie wygłupiaj się.

— Tak? — Odwróciła się twarzą do niego. — Twoim zdaniem to są wygłupy? Rzeczywiście, byłam głupia myśląc, że można się uwolnić od przeszłości. W rezultacie zniszczyłam twoją karierę i zyskałam nienawiść własnych dzieci!

— To nieprawda. One po prostu nie rozumieją. Trudno im pojąć, dlaczego wszyscy chcą cię skrzywdzić.

— Bo chcą, i tyle. Krzywdzono mnie przez całe życie. Właściwie powinnam się już do tego przyzwyczaić. Nie martw się, beze mnie wygrasz te wybory. — W głosie Grace brzmiał żal, uraza i gorycz porażki.

— Wybory nie są dla mnie tak ważne jak ty — rzekł łagodnie.

Bzdura — rzuciła ostro. W tej chwili przeklinała się nawet za to, że go pokochała. Nie miała prawa wiązać go ze sobą. Przeszłość ciągnęła się za nią niczym klekoczące, przywiązane do ogona puszki cuchnące zgnilizną.

Charles wrócił na dół, sądząc, że Grace woli zostać sama. Tej nocy znów spali w oddzielnych pokojach.

Nazajutrz rano ostrzegł ją dobitnie, żeby nie robiła żadnych głupstw. Nawiazywał do spakowanych walizek, lecz tymczasem chłopcy zeszli na śniadanie i w ich obecności Grace udawała, że nie wie, o co chodzi. Potem wszyscy wyszli

—Andrew i Matt do szkoły, Charles natomiast miał mnóstwo ważnych spotkań. Usiłował pohamować ataki rozjuszonych prasy i dopiero w południe znalazł chwilę, by zadzwonić do domu. Nikt nie odpowiedział.

Poprzedniego wieczoru Grace siedząc w łóżku napisała cztery listy pożegnalne. Łzy płynęły jej z oczu, kapaly na papier i nieraz musiała zaczynać od początku. Tłumaczyła im, jak gorąco ich kocha i jak bardzo żałuje, że sprawiła im tyle bólu. Musieli zrozumieć, dlaczego ich opuszcza. Robiła to dla nich. To ona była przynętą dla rekinów; kiedy wyjedzie, nikt już nie będzie ich prześladował. Najtrudniej jej było wyjaśnić to Mattowi; był jeszcze taki mały. Rano położyła listy na biurku Charlesa. Planowała spędzić kilka dni w Nowym Jorku, żeby trochę ochłónąć, a potem wyjechać do Los Angeles. Podejmie jakąś pracę, przynajmniej do czasu narodzin dziecka. Potem odda je Charlesowi...

Gospodyni słyszała jej spazmatyczny szloch, ale nie chciała się narzucać. Sama się popłakała, kiedy zobaczyła zdjęcia w prasie.

Grace zadzwoniła do znajomej z prośbą, żeby odebrała Matta ze szkoły, potem zaś wezwała taksówkę i zaczęła

z bagażami przed domem. Wsiadając, kazała się zawieźć na lotnisko Dulles.

Taksówkarz prowadził z piskiem opon i bez przerwy gadał. Urodził się w Iranie, jego żona właśnie spodziewała się dziecka. Gestykulował, oglądał się przez ramię, ale jego słowa przepływały Grace mimo uszu. Siedziała, wpatrzona w leżący na przednim siedzeniu egzemplarz „Thrilla” z jej zdjęciem na okładce.

Z transu wyrwał ją głośny trzask. Zajęty rozmową szofer wjechał w hamujący przed nimi samochód, a dwa inne dobiły

L do nich z tyłu. Przyjechała drogówka; na szczęście nikt nie był ranny, skończyło się więc na wymianie personaliów i numerów polis ubezpieczeniowych. Trwało to ponad pół godziny, co dla Grace zdało się wiekiem. Z drugiej strony nigdzie nie musiała się spieszyć. Samoloty do Nowego Jorku startowały tak często, że niewiele traciła, czekając na następny lot.

— Nic się pani nie stało? — Taksówkarz był przerażony, że ktoś złoży na niego skargę i straci pracę. Obiecała, że tego nie zrobi. — Hej! — wykrzyknął nagle, wskazując okładkę „Thrilla”. — Pani jest do niej podobna!

Miał to być komplement, ale Grace nie była nim zachwycona.

— Ładna dziewczyna, nie? Prawdziwa seksbomba!

— Irańczyk spojrzał z uznaniem na zdjęcie. — Jest żoną kongresmana — ciągnął zachwycony. — Ten to ma szczęście!

A więc niektórzy tak to odbierali? Szczęście? Szkoda, że Charles miał na ten temat inne zdanie, ale kto mógł go winić?

Styl jazdy Irańczyka mimo kraksy nie uległ najmniejszej zmianie, skutkiem czego zdążyła jeszcze przed odlotem. Była trochę poobijana i łupało ją w karku, ale niezbyt dotkliwie.

Dopiero w Nowym Jorku zorientowała się, że krwawi. Powinna się położyć. Kiedy trochę

odpocznie, wszystko będzie dobrze. Miewała już takie dolegliwości, będąc w ciąży. Doktor pakował ją do łóżka i krwawienie zawsze szybko ustępowało.

Wsiadła do taksówki i podała adres hotelu „Carlyle” na rogu Siedemdziesiątej Szóstej i Madison Avenue, Rezerwacji

dokonała z samolotu na nazwisko Adams. Hotel był oddalony zaledwie o parę przecznic od jej dawnego mieszkania. Zatrzymała się w nim raz z Charlesem i wiązały się z tym miłe wspomnienia. Do niedawna jej życie było przecież idyllą...

Boy wniósł jej walizki do małego pokoju, obitego perkalem w różyczki. Dała mu napiwek i wyszedł. Nikt nie zauważył, jak uderzająco była podobna do osławionej gwiazdy porno z brukowców

Zastanawiała się, czy Charles wrócił już do domu i znalazł list. Nie chciała do niego dzwonić. Łatwiej jej było zniknąć w ten sposób; gdyby miała z nimi rozmawiać, zwłaszcza z Charlesem lub Mattem, nie zniosłaby tego.

Położyła się wyczerpana. Wciąż łupało ją w karku, czuła też nieznaczne, lecz dokuczliwe skurcze w dole brzucha. Nic miała sił, żeby iść do łazienki. Leżała słaba i zrozpaczona, pokój zaczął powoli kręcić jej się przed oczyma, aż w końcu odpłynęła w ciemność.

Ocknęła się ponownie o czwartej nad ranem. Tym razem skurcze były bardzo bolesne. Obróciła się na bok i zwinęła w kłębek. Gdy jednak wreszcie otworzyła oczy, ujrzała, iż narzuca na łóżku przesiąknięta jest krwią, podobnie jak jej spodnie. Musiała coś zrobić i to szybko, nim znów straci przytomność. Wstając odczuła tak silny ból, że omal nie zemdląca. Złapała torebkę i powlokła się w stronę drzwi, owijając się szczelnie prochowcem. Zjechała do holu zgięta w pół; windziarz udawał, że tego nie widzi.

Szpital znajdował się na następnej przecznicy. Kiedy wyszła w ciepłą wrześnieową noc, poczuła się nieco lepiej.

— Wezwać taksówkę? — spytał portier.

Potrząsnęła głową, bezskutecznie usiłując się wyprostować. Nowa fala bólu wyrwała jej z ust stłumiony jęk i nagle silniejszy od innych skurcz podciął jej kolana.

Portier podtrzymał ją szybko.

— Jest pani chora?

Początkowo myślał, że kobieta jest pijana, ale kiedy ujrzał jej twarz, zrozumiał, że cierpi. Wyglądała mgliście znajomo. W „Carlyle”u” bywało jednak tylu stałych gości i ludzi z ekranu, że czasami trudno było orzec, kogo się zna, a kogo nie.

— Nie, nie, po prostu... trochę źle się czuję — wyjąkała Grace. — Tu w pobliżu jest szpital, prawda?

— Proszę skorzystać z taksówki. Szofer podwiezie panią prosto pod izbę przyjęć. Ja niestety nie mogę odejść od drzwi

— dodał przeproszającym tonem portier.

Grace kiwnęła głową. Nie była już w stanie iść. Portier polecił taksówkarzowi zawieźć ją do Lenox Hill; wręczyła mu pięć dolarów.

— Naprawdę nic mi nie jest — szepnęła.

Gdy kierowca zatrzymał się na parkingu przed szpitalem i odwrócił do Grace, nie zobaczył jej. Zsunęła się z fotela i leżała nieprzytomna na podłodze taksówki.

ROZDZIAŁ XV

Wieźli ją korytarzem, widziała wirujące w górze światła i słyszała ciche metaliczne dźwięki. Ktoś wołał ją. po imieniu, powtarzał je do znudzenia, równocześnie zadając jej potworny ból. Próbowała usiąść; krzyknęła, a potem wszystko pociemniało i zapadła cisza.

W Waszyngtonie rozległ się dzwonek telefonu. Była piąta trzydzieści rano. Charles nie spał. Przesiedział całą noc, modląc się, żeby Grace wreszcie się odezwała. Był głupcem. Nie miał prawa reagować tak ostro. Jednakże jak wszyscy czuł się wykończony. Teraz panicznie bał się utraty Grace. Dzieciom powiedział, że wyjechała do Nowego Jorku w sprawie akcji dobroczynnej i wróci za parę dni. Dawało mu to nieco czasu na poszukiwania. Co chwilę dzwonił do domu do Connecticut, ale tam jej nie było. Połączył się z hotelem „Carlyle” w Nowym Jorku. Nie zameldował się tam nikt o nazwisku Mackenzie. Rozważał myśl, czy Grace nie ukrywa się w Waszyngtonie. Gdy zadzwonił telefon, myślał już, że to ona, lecz nadzieja okazała się płonna.

— Pan Mackenzie? — zapytał nieznajomy damski głos.

Prawo jazdy Grace, które miała w portfelu, wystawione było na nazwisko Grace Adams Mackenzie. Stąd łatwo już było dojść po nitce do kłębka.

— Tak. — Pewnie znów ktoś dzwonił, by go nękać. Zalował, że w ogóle podniósł słuchawkę. Grad złośliwych telefonów zaczął się na nowo po zdjęciu w „Thrillu”.

— Mamy tu Grace Mackenzie — rzekł głos obojętnie.

— Kim pani jest? — spytał ostro, prawie pewien, że ma do czynienia z porywaczami.

— Dzwonię ze szpitala Lenox Hill w Nowym Jorku. Pani Mackenzie właśnie została poddana operacji...

Jęknął w duchu. A więc Grace miała wypadek...

— Przywiózł ją taksówkarz — ciągnął głos. — Miała silny krwotok.

Charles poczuł, jak zimna dłoń ściska go za serce, ale w tej chwili myślał wyłącznie o Grace.

— W jakim jest stanie? — wychrypiał przerażony.

— Straciła mnóstwo krwi. Woleliśmy jednak nie robić transfuzji; wie pan, w dzisiejszych czasach lepiej tego unikać. Krwotok jest opanowany i jej stan można określić jako niezły.

— W głosie pielęgniarki pojawiła się cieplejsza nutka, przez co stał się niemal ludzki. — Bardzo przykro mi to mówić, ale... straciła dziecko.

Charles zaczerpnął tchu, próbując zastanowić się, co robić.

— Czy jest przytomna? Mógłbym z nią porozmawiać?

— XT tej chwili leży na intensywnej terapii. Ciśnienie krwi jest nadal zbyt niskie, chcemy je najpierw podnieść. Wątpię, by została przewieziona na normalny oddział przed dziewiątą.

— W takim stanie nie zdoła opuścić szpitala, prawda?

— Nie sądzę, by miała na to dość sił. — Pielęgniarka wydawała się zaskoczona pytaniem.

— W torebce miała klucz z hotelu „Carlyle”. Dzwoniłam tam, ale powiedzieli, że była sama.

— Dziękuję pani. Bardzo pani dziękuję za telefon. Przyjadę najszybciej, jak to tylko możliwe. Charles odłożył słuchawkę, wyskoczył z łóżka i nabazgrał kartkę do dzieci, w której wymawiał się porannym zebraniem. Ubrał się w ciągu pięciu minut, goleniem w ogóle nie zawracał sobie głowy i pojechał na lotnisko. Zdążył na lot o siódmej. Kilka osób w samolocie rozpoznało go, ale nikt go nie zaczepiał. Stewardesa przyniosła mu gazetę, sok, kawałek ciasta i filiżankę kawy. Pił ją, wbijając wzrok w okno.

Wylądowali o ósmej piętnaście, a do szpitala Lenox Hill dotarł tuż po dziewiątej. Właśnie wieźli Grace do pokoju.

Wciąż była półprzytomna, lecz na jego widok otworzyła szeroko oczy.

— Skąd się tu wzięłeś? — spytała oszołomiona.

— Przyleciałem — uśmiechnął się, delikatnie ujmując jej rękę. Nie miał pojęcia, czy Grace już wie o dziecku.

— Zdaje się, że znów zemdlałam — powiedziała słabo.

— Gdzie?

— Nie pamiętam... Jechałam taksówką i ktoś się z nami zderzył... — Nie była pewna, co jest snem, a co jawą. — Bardzo mnie bolało... — Podniosła na niego zmartwiony wzrok.

— Gdzie ja jestem?

— W szpitalu Lenox Hill w Nowym Jorku — wyjaśnił, siadając na krześle przy łóżku. Była szara na twarzy i kompletnie wyczerpana; nie mógł się doczekać, kiedy porozmawia z lekarzem.

— Jak się tu dostałam?

— Przywiózł cię taksówkarz. Istotnie zemdlałaś mu w samochodzie. Czyżbyś znów piła wino? — zażartował, ale Grace dotknęła brzucha, który znów był płaski, i bez słowa zaczęła płakać. Nagle przypomniała sobie straszny ból i krwotok. Zrozumiała.

— Poroniłam, prawda? — Spojrzała na niego szukając potwierdzenia, a Charles skinął głową, obejmując ją. Zapłakali oboje — nad sobą, nad tym dzieckiem, które właśnie stracili, i pozostałymi. Wszystko było teraz takie trudne.

— Kochana, wybacz mi — szeptał. — Powinienem przewidzieć, co chcesz zrobić. Myślałem, że to tylko słowa, uznałem, iż najlepiej zostawić cię w spokoju. Omal nie umarłem, kiedy przeczytałem twój list.

— Oddałeś listy dzieciom?

— Nie — przyznał szczerze. Zatrzymałem je. Chciałem cię znaleźć i sprowadzić do domu. Gdybym do tego wszystkiego nie dopuścił, nie miałybyś wypadku i... — dławiło go poczucie winy.

— Kto wie, może zawinił przede wszystkim stres... Widocznie to nie była odpowiednia pora.

— Pora na dziecko zawsze jest odpowiednia... Chciałbym, żebyś urodziła jeszcze jedno. — Spojrzał na nią tkliwie. Wiek

nie miał tu znaczenia, oboje bardzo kochali swoje dzieci.

— Marzę o tym, by nasze życie wróciło do normy.

— Ja też szepnęła.

Rozmawiali przez chwilę; całował ją po włosach, aż w końcu zasnęła, a Charles wyszedł poszukać dyżurnego lekarza.

L Ten niezbyt go pocieszył. Grace straciła ogromną ilość krwi i musiało minąć sporo czasu, nim odzyska siły. Doktor powiedział też, że choć zapewne Grace będzie mogła ponownie zająć w ciążę, on osobiście tego nie poleca. Jej drogi rodne były zdeformowane licznymi bliznami i lekarz był autentycznie zaskoczony, że udało jej się urodzić troje dzieci. Zalecił kilkudniowy wypoczynek przed powrotem do Waszyngtonu Tam miała pozostać w łóżku jeszcze co najmniej przez tydzień, a najlepiej dwa. Poronienia w trzecim miesiącu z krwotokiem o takiej sile nie można lekceważyć.

Po południu Charles przewiózł żonę do hotelu. Z trudem trzymała się na nogach, więc po prostu zaniósł ją prosto do pokoju i zamówił kolację. Grace była przygnębiona, lecz równocześnie czuła ulgę, że znowu są razem. Charles zadzwonił do Waszyngtonu; rozmawiał ze swoim biurem, a także gospodynią, którą zastał już na stanowisku. Uprzedził, że nie będzie go przez kilka dni i wydał odpowiednie dyspozycje, dotyczące głównie opieki nad dziećmi.

Wszystko gra — powiedział, odkładając słuchawkę. Teraz zdrowiej i nie myśl już o tym, co się stało.

Kiedy wyszli ze szpitala, pielęgniarka w recepcji odezwała się do lekarza:

— Wie pan, kto to był?

Doktor nie miał pojęcia. Nazwisko nic mu nie mówiło.

— Kongresman Mackenzie z Connecticut i ta jego żona, która była gwiazdką porno. Nie czyta pan gazet?

— Nie — odparł sucho lekarz. Porno nie porno, biedna kobieta miała dużo szczęścia, że nie wykrwawiła się na śmierć. Zastanowił się przelotnie, czy blizny mogły mieć coś wspólnego z jej przeszłością. Nie miał jednak czasu na takie rozważania, czekało go jeszcze kilka operacji. Grace Adams to już nie jego problem.

Grace wyspała się solidnie i nazajutrz rano poczuła się nieco lepiej. Po śniadaniu Charles wezwał jej dawnego nowojorskiego ginekologa) który przepisał jej jakieś pastylki i trochę witamin i kazał uzbroić się w cierpliwość. Zbagatelizował obawy lekarza z Lenox Hill. Znal Grace od lat; tamte blizny nigdy nie sprawiały jej żadnych kłopotów.

— Musi się teraz bardzo oszczędzać ostrzegł. — Straciła mnóstwo krwi, a przy tym ma silną anemię.

— Ostatnio miała ciężki okres.

— Wiem. Widziałem. Współczuję wam, żadne z was na to nie zasłużyło.

Kiedy doktor wyszedł, ułożyli się na sofie i oglądali stare filmy. Na trzeci dzień Charles zawiózł ją na lotnisko, zachowując wszelkie środki ostrożności. Lot był mniej męczący niż podróż samochodem. W Waszyngtonie sprowadził dla niej fotel na kółkach, którym przewiózł ją przez hol na parking, gdzie parę dni wcześniej zostawił swój samochód. Kiedy mijali stoisko z gazetami, Grace pomachała gorączkowo ręką) żeby go zatrzymać. Przystanęli oboje, nie wierząc własnym oczom.

Nowe wydanie „Thrilla” zdołał krzykliwy nagłówek:

„Nowojorska aborcja żony senatora”. Grace wybuchnęła płaczem. Na pierwszej stronie zamieszczono jej wielkie zdjęcie, zrobione kilka miesięcy wcześniej na przyjęciu w Kongresie.

Charles pomógł jej wsiąść do samochodu, sam również wsiadł i obrócił się do niej z wyrazem twarzy, który wzruszył ją do głębi serca.

— Kocham cię — rzekł. Nie możemy pozwolić, żeby nas zniszczyli. Musimy być silni.

— Wiem — chlipnęła przez łzy.

Przynajmniej tej historii telewizja nie zaszczyciła żadnym komentarzem. Był to materiał wyłącznie dla brukowców.

Grace i Charles musieli jednak wyjaśnić wszystko dzieciom. Mama poroniła, ponieważ jadąc taksówką miała wypadek. I to wszystko. Zataili przed nimi ucieczkę Grace z domu, Wciąż czuła się bardzo słabo, a dzieci biegały wokół niej na palcach. Nawet Abby przyniosła jej śniadanie do pokoju. W porze lunchu Grace zeszła na herbatę i przypadkiem spojrzała w okno. Przed domem stała pikietka uzbrojona w napisy: „Zbrodniarka” i „Dzieciobójczyni”. Mieli także wielkie zdjęcia usuniętych płodów. Na ich widok Grace dostała ataku astmy.

Zadzwoiła do Charlesa; kazał jej natychmiast wezwać policję. Na skutek interwencji pikietka przeniosła się jedynie na drugą stronę ulicy; w końcu była to przecież najzupełniej legalna, pokojowa demonstracja. Tymczasem pojawiła się też ekipa telewizyjna i przed domem od nowa rozpętał się cyrk. Wkrótce potem przyjechał Charles. Odmówił udzielenia wywiadu, powiedział tylko, że jego żona miała wypadek samochodowy i jest chora, więc byłby wdzięczny, gdyby się rozeszli. Odpowiedziały mu szydercze okrzyki.

Po południu wszakże, kiedy dzieci wróciły ze szkoły, przed domem stali już tylko reporterzy. Grace, śmiertelnie blada, przygotowywała kolację.

Charles próbował ją zmusić, aby poszła na górę, lecz odmówiła.

— Mam dość — powiedziała. — Nie pozwolę im dalej rujnować nam życia. Wracamy do normy.

Była bardzo stanowcza, chociaż roztrzęsiona, i Charles poczuł dla niej podziw. Podsunął jej krzesło, mówiąc, że sam zrobi kolację.

— Nie mogłabyś się jeszcze trochę wstrzymać z tą demonstracją siły? — spytał.

— Nie, nie mogłabym — odparła twardo. Ku ogólnemu zaskoczeniu nastroj przy kolacji był naprawdę miły. Abby wyraźnie przycichła w czasie nieobecności Grace, była raczej

pomocna i współczująca. Widocznie coś zmieniło jej nastawienie. Może nareszcie do niej dotarło, że rodzina potrzebuje się nawzajem.

Andrew wyrzwał na zewnątrz i zaczął głośno zastanawiać się, czy nie obsikać reporterów z okna sypialni. Wszyscy wybuchnęli śmiechem, nawet Grace.

— Lepiej tego nie rób — powiedziała spłoszona. — Na razie wystarczy zdjęć Mackenziech w brukowcach.

Po kolacji Abby podeszła do matki.

— Mamo, z tą aborcją to nieprawda? — zapytała cicho ze strapioną miną.

— Nie, kochanie, to kłamstwo.

— Tak właśnie myślałam.

— Nigdy w życiu nie poddałabym się aborcji. Bardzo kocham waszego ojca i chciałabym mieć jeszcze jedno dziecko.

— Masz taki zamiar?

— Może. Nie wiem. W tej chwili strasznie dużo się dzieje. Biednemu ojcu nie jest lekko.

— Tobie też nie. — Abby zaczerpnęła tchu. — Rozmawiałam o tym z mamą Nicole; powiedziała, że ogromnie ci współczuje i że gazety przeważnie publikują kłamstwa, niszcząc ludziom życie. Dopiero wtedy zdałam sobie sprawę, jakie straszne to musi być dla ciebie. A ja jeszcze dołożyłam ci zmartwień. — W oczach dziewczyny pojawiły się łzy. — Tak bardzo mi przykro, mamusi...

— Nie martw się, córeczko. — Grace pochyliła się i ucałała ją.

Abby zarzuciła jej ręce na szyję.

Następne dni upłynęły w spokoju, jeśli nie liczyć listów oburzonych przeciwników aborcji. Za to w weekendowym wydaniu „Thrilla” ukazało się kolejne zdjęcie. Od poprzedniego różniło się jedynie pozycją modelki — odrobinę bardziej wyzywającą. Tym razem Grace nie była już wstrząśnięta, a tylko wściekła.

— Na co jeszcze czekamy? Aż ukaże się cały album?

— syczała z furją. Goldsmith wszakże powtórzył im, że nie mają w ręku żadnych środków prawnych. Nic się nie zmieniło. Można domniemywać, że Marcus posiada jej zgodę, ona zaś wciąż jest osobą publiczną, nie ma zatem prawa do ochrony prywatnego życia, nie może też dowieść utraty dochodów albo rzeczywistej złej woli.

— A gdybyśmy tak spróbowali skontaktować się z tym draniem i wykupić resztę zdjęć? — zapytał Charles, lecz Goldsmith energicznie potrząsnął głową.

— Odradzam. To jak płacenie szantażyście: może panu do reszty popsuć opinię, a efekt jest wątpliwy. Nie zdoła pan sprawdzić, czy sprzedał wam wszystko, nawet gdyby istotnie poszedł na ugodę. „Thrill” z pewnością nieźle mu płaci. Taki materiał dotyczący osoby z pozycją pani Mackenzie wart jest kupę forsy.

— Czuję się zaszczyciona — wycedziła Grace. — Może powinien odpalać nam prowizję?

Bezsilność doprowadzała ją do szału. W następnym tygodniu wraz z Charlesem wzięła udział w kilku spotkaniach związanych z kampanią. Trudno było określić, ile szkody narobiły brukowce; ludzie wciąż witali ją ciepło, nie tak ciepło jednak, jak dotychczas.

Trzecie zdjęcie ukazało się dwa tygodnie później i tym razem Matt wrócił ze szkoły z płaczem. Po długich staraniach Grace udało się ustalić, że jeden z jego kolegów nazwał ją brzydkim słowem.

— Jakimż to słowem? — zapytała, z trudem udając spokój.

— No, wiesz... — odparł żałośnie. — Tym na „k”.

Poczuła się tak, jakby ktoś wymierzył jej policzek.

Nazajutrz w szkole spotkało go to samo, następnego dnia też. Zaś wieczorem Charles i Grace pokłócili się. Grace chciała zabrać dzieci do Connecticut, on zaś twierdził, że nie może tak po prostu uciec. Muszą stawić temu czoło i walczyć. Krzyknęła, że nie pozwoli zniszczyć swej rodziny z powodu tej „cholernej kampanii”. Kłopoty Matta były w gruncie rzeczy jedynie kroplą, która przepełniła czarę. Jedno i drugie musiało się na kimś wyładować, skoro czuli się zupełnie bezradni.

Ale Matt tego nie rozumiał. Kiedy Grace poszła utulić go do snu, nie znalazła go w łóżku. Abby trajkotała przez telefon z Nicole, Andrew też był pewien, że malec dawno śpi. Grace zeszła na dół, wciąż rozgoryczona, i zapytała, czy Charles widział Matta.

Nie ma go na górze? — wymienili spojrzenia i Charles nagle zerwał się na równe nogi.

Przeszukali cały dom. Nigdzie go nie znaleźli.

— Nie mógł przecież wyjść — rzekł Charles zmartwiony.

— Zobaczylibyśmy go.

— Niekoniecznie. — Po chwili Grace dodała zniżonym głosem: — Sądysz, że słyszał naszą kłótnię?

- Możliwe. — Charles zbiadi. Waszyngton po zmroku stawał się niebezpiecznym miastem. Kiedy oboje wrócili na piętro, znaleźli przeoczoną w pierwszej chwili karteczkę, którą Matt zostawił w pokoju:

Idę w świat, więc nie kłóćcie się już o mnie. Kocham was. Ucałujcie ode mnie Jęczyczka.

Jezu, gdzie on może być? — Grace wpadła w panikę.

— Nie wiem. Dzwonię na policję. Twarz Charlesa stężała, szczęki drgały mu nerwowo.

— Brukowce się dowiedzą powiedziała gorączkowo.

Nie obchodzi mnie to. Musimy go znaleźć, zanim cos się stanie.

Policjanci pocieszyli ich, że dzieci w tym wieku często uciekają z domów i zwykle nie zapuszczają się daleko. Poprosili o zdjęcie Matta i listę jego najbliższych kolegów, po czym wsiedli do radiowozu. Pół godziny później wrócili z malcem. Bardzo rozżalony, kupował cukierki dwie przecznice dalej. Nie opierał się; sam miał już ochotę wrócić do domu.

Dlaczego to zrobiłeś? — Grace była wstrząśnięta. Starszym dzieciom nigdy nie wpadło to do głowy. Ale też nigdy atmosfera nie była tak napięta.

Nie chciałem, żebyś kłóciła się o mnie z tatusem

— odparł markotnie.

— Nie kłóciliśmy się, tylko rozmawialiśmy.

— Właśnie że się kłóciliście.

— Wszyscy się czasem sprzeczą. — Charles posadził synka na kolanach. Policjanci wyszli, przyrzekłszy mu wprzód, że sprawa nie dostanie się do gazet. Przynajmniej ten epizod ich domowej tragedii mógł pozostać tajemnicą. — Mamusia i ja kochamy się, przecież o tym wiesz.

— W sumie wiem... Ale ostatnio było bardzo niefajnie. Dzieci w szkole mówią różne rzeczy, a mama bez przerwy płacze...

Grace poczuła wyrzuty sumienia.

— Pamiętasz co kiedyś mówiłem — rzekł Charles. Musimy być silni. Wszyscy, cała rodzina. Nie możemy uciekać. Musimy trzymać się razem.

— No dobra — bąknął Matt, nie do końca przekonany, lecz szczęśliwy, że znów jest w domu. Ucieczka okazała się głupim pomysłem; sam już do tego doszedł. Zwiedzany samotnie „świat” trochę go przerażał.

Matka odprowadziła go na górę i utuliła. Zasnął, nim jeszcze dotknął główką poduszki. Języczek wskoczył w nogi łóżka i też zaczął cicho pochrapywać. Wszyscy tego wieczoru położyli się wcześniej spać.

Weekend przyniósł kolejną fotografię, tym razem ukazującą Grace *cn face*. Patrzyła prosto w obiektyw; oczy miała szeroko otwarte i szkliste, a na twarzy wyraz przyjemnego zdumienia, jak gdyby przed chwilą jej kochanek dowiódł nadzwyczajnej maestrii.

Zadzwoiła na informację. Markus istotnie mieszkał w Waszyngtonie, zgodnie z tym, co pisał „Thrill”. Znakomicie. Dlaczego dotąd nic przyszło jej to na myśl? Nieważne, co będzie potem. Podjęła decyzję.

Otworzyła sejf i wyjęła z niego pistolet Charlesa, potem wsiadła do samochodu, zabierając ze sobą nabazgrany na skrawku papieru adres. Dzieci były w szkole, Charles w pracy. Nikt nie mógł jej powstrzymać. Wiedziała, że warto — niezależnie od ceny, którą miałyby zapłacić.

Nacisnęła guzik domofonu w budynku przy ulicy F, gdzie mieściło się atelier. Ku jej zaskoczeniu odpowiedział jej brzęczyk. Albo zatem w studio panował ciągły ruch, albo też Marcusowi było wszystko jedno, kto go odwiedza. Zważywszy na kosztowny sprzęt fotograficzny, powinien być ostrożniejszy.

Wszystko szło jak po maśle; nie mogła pojąć, dlaczego tak długo z tym zwlekała.

Pchnęła otwarte drzwi. Był sam; zwrócony do niej plecami fotografował stojącą na stole paterę z owocami. Nawet nie zauważył, że weszła.

Witaj, Marcus powiedziała leniwie, nieomal radość nic.

Po tylu latach nie rozpoznał jej głosu.

— Kto to? — zaskoczony odwrócił się i w pierwszej chwili zmrużył oczy z aprobatą; twarzy też nie poznał. Nagle zamarł bez ruchu. Grace z uprzejmym uśmiechem celowała do niego z pistoletu.

— Powinam była to zrobić kilka tygodni temu wyjaśniła rzeczowo. — Nie wiem, dlaczego wcześniej o tym nie pomyślałam. Odłóż aparat i nie tykaj migawki, bo przestrelę ją na wylot wraz z tobą, a szkoda sprzętu. Odłóż go. Natychmiast — jej głos zabrzmiał ostro i już nie zmysłowo.

Marcus ostrożnie położył aparat na stoliku.

— Daj spokój, Grace, nie rób z siebie idiotki. Ja tylko zarabiam na życie.

— Nie podoba mi się sposób, w jaki to robisz ucięła sucho.

To wspaniałe zdjęcia, sama przyznasz. Zasłużyłem chyba na pochwałę.

— Na nic nie zasłużyłeś. Jesteś nędzną kupą gnoju. Mówiłeś, że przez cały czas byłam ubrana.

— Skłamałem.

— Wymusiłeś ode mnie podpis, kiedy byłam nieprzytomna! — Grace ogarnęła lodowata furia, lecz zarazem w pełni panowała nad sobą. Rozumiała teraz, co oznacza słowo „premedytacja”. Tak, to będzie morderstwo pierwszego stopnia.

Patrząc na nią, Marcus nagle zdał sobie sprawę, że posunął się za daleko. Grace nie obchodziło, co się z nią później stanie. Przeżyła już więzienie. Skalkulowała koszty.

— Nie przesadzaj bąknął. — Zresztą co się stało, to się nie odstanie. Dam ci resztę negatywów.

— Gwiżdżę na nie. Zaraz odstrzelę ci jaja. A potem cię zabiję. Niepotrzebne mi do tego prawo publikacji, tylko broń.

— Na litość boską, Grace, to przecież jedynie parę zdjęć... To moje życie, które starasz się spieprzyć. Życie moich dzieci, mojego męża...

— Twój stary i tak musi być świrem, skoro z tobą wytrzymał... Chryste, nawet na prochach byłaś zimna jak lód. Jak ryba; wstrętna, oślizła ryba.

Gdyby Grace była mniej rozwścieczona, zauważyłaby, że jest porządnie naćpany. Pieniądze z „Thrilla” przeznaczył w głównej mierze na prochy.

— W łóżku zupełnie zero — ciągnął.

— Nie miałeś mnie w łóżku — powiedziała chłodno. Jasne, że tak. Mam zdjęcia, mogę tego dowieść.

— Jesteś chory. — Trzask odbezpieczonej broni sprawił, że oboje drgnęli.

— Chyba tego nie zrobisz? — przeraził się.

— Owszem. Masz to jak w banku.

— Wsadzą cię do pierdła — chlipnął. Trząsał się cały, z nosa mu ciekło. Minione dziesięć lat nie było dla niego łaskawe. Imał się różnych zajęć, rzadko zgodnych z prawem.

— No to co? — uniosła brwi. — Za to ty będziesz gryźć ziemię. Dla takiego celu warto trochę pocierpieć.

Marcus upadł na kolana.

— Błagam cię... Oddam ci wszystkie zdjęcia... itak zostały jeszcze tylko dwa... Na jednym jesteś z facetem, fantastyczne ujęcie... Dostaniesz je za darmo... — skomlał.

Jaki facet?, myślała. W studio byli sami...

— Gdzie one są?

— Tu, w sejfie. Zaraz je wyjmę.

— A z nimi broń? Nie fatyguj się.

— Nie chcesz ich zobaczyć? Są naprawdę świetne.

— Interesuje mnie jedynie policyjne zdjęcie twoich zakrwawionych zwłok, tu, na podłodze.

— Poczula, że dłoń jej drży. Przed oczyma stanął jej nagle Charles, potem Matthew... Jeśli zastrzelili tego drania, nigdy już ich nie zobaczy, co najwyżej w więziennej rozmównicy...

— Grace, błagam, nie strzelaj! — jęczał Marcus. Wstawaj! — powiedziała ze złością,

cofając się w stronę drzwi. — Po co chcesz żyć? — zapytała, czując wzbierającą

wściekłość. Nie warto było brudzić nim sobie rąk. Jak mogła w ogóle coś takiego

przypuścić? — Po co takiemu nędznemu śmieciowi życie? Nie jesteś wart nawet litościwej kuli!

Obróciła się na pięcie i zbiegła po schodach.

Marcus jeszcze przez chwilę bał się poruszyć, potem zaś miękko klapnął na podłogę i rozplakał się.

Grace wróciła do domu, odłożyła pistolet na miejsce, a następnie zadzwoniła do Charlesa.

— Muszę się z tobą zobaczyć — powiedziała gorączkowo. Bała się, że telefon może być na podsłuchu.

— Teraz czy możemy poczekać do lunchu?

— Niech będzie przy lunchu. — Nadal trzęsła się na myśl o tym, czego omal nie zrobiła.

Kłamstwa, upokorzenia i publiczne tortury odebrały jej rozum. W tej chwili mogła już być w drodze do więzienia — tym razem na resztę życia. Dziękowała Bogu, że ją przed tym uchronił.

— Dobrze się czujesz? — W głosie Charlesa słychać było niepokój.

— Dobrze. Chyba już dawno nie czułam się lepiej.

— Co takiego zrobiłaś? — zażartował. — Zastrześliłaś ko goś?

— Wyobraź sobie, że właśnie nie — odparła z lekkim rozbawieniem.

— Będę w „Le Riyage” o pierwszej.

— Przyjadę tam. Kocham cię.

Od dawna już nie byli w żadnej restauracji. Podniecona Grace przyszła nieco za wcześnie, toteż z radością podniosła wzrok na Charlesa, gdy wszedł. Zamówił kieliszek wina, potem wybrali danie; Grace nigdy nie piła przy lunchu, bardzo rzadko również do kolacji. W trakcie jedzenia opowiedziała mu półgłosem, co zaszło.

Charles zbladł jak ściana. Na chwilę całkiem odebrało mu mowę.

— Może Matt ma rację, że powinienem być grzeczny, bo i mnie zastrzelisz — szepnął w końcu.

Grace wybuchnęła śmiechem. Zdawała sobie sprawę, że przeżyła moment ślepego szaleństwa. Nie uległa mu i już nie ulegnie. Zwłaszcza Marcus Anders nie był tego wart.

— Cóż, to, co ja mam ci do powiedzenia, całkowicie błędnie przy twoich rewelacjach — rzekł Charles.

Dla niego także był to brzemienny w skutki dzień. Wolał nie myśleć, co by się działo, gdyby Grace rzeczywiście zastrzeliła Andersa. Nie był pewien, czy sam w jej sytuacji zdołałby się opanować. Dzięki Bogu, jej się udało. Uznał to za kolejny dowód na to, że postąpił słusznie. Decyzja ta zresztą nie była wcale trudna.

Wycofuję kandydaturę, Grace. Wiele o tym myślałem po naszym powrocie z Nowego Jorku. Za drogę nas to kosztuje. Po co mamy dalej cierpieć? Czy doprawdy kariera warta jest takiej ceny?

— Jesteś tego pewien? I co będziesz robić?

Czuła się winna, wiedząc, iż przez nią Charles musi wycofać się z polityki. Nie brał udziału w nowych wyborach do Kongresu, rezygnując zatem z kampanii senackiej wypadał z obiegu przynajmniej na jakiś czas, a być może na zawsze.

— Nie martw się, na pewno znajdę sobie zajęcie — uśmiechnął się. — Sześć lat w Waszyngtonie to długo, Myślę, że już wystarczy.

— Będziesz mógł wrócić?

— Raczej wątpię. Nie udało nam się pozostać w cieniu. Twoja przeszłość jest zbyt bolesna, a do tego wiele osób nam zazdrości. Czasami zdaje mi się, że to nasza miłość jest im soją w oku. Świat jest pełen nieszczęśliwych, rozpaczliwie zawistnych ludzi. Nie można dać się im zdręczyć, nie sposób też ciągle walczyć. Mam pięćdziesiąt dziewięć lat i jestem zmęczony, Grace. Czas zwinąć obóz i wracać do domu.

Charles zwołał już konferencję prasową na następny dzień. Zrobił to w czasie, gdy ona groziła Marcusowi pistoletem. Co za zdumiewająca ironia losu.

Dzieci były rozczarowane. Przywykły, że ich ojciec jest ważnym politykiem. Twierdziły też zgodnie, że w Connecticut można się zanudzić na śmierć, zwłaszcza w lecie.

— Prawdę powiedziawszy — wtrącił Charles — pomyślałem, że wszystkim nam dobrze zrobiłaby zmiana otoczenia. Na przykład wyjazd do Europy na rok lub dwa. Anglia, Francja albo nawet Szwajcaria...

— Co jest w Szwajcarii, tato? — spytał podejrzliwie Matt.

— Krowy — oznajmiła z niesmakiem Abbie. — I czekolada.

— To fajnie. Lubię krowy i czekoladę. Czy możemy zabrać Języczka?

— Tak, w zasadzie może z nami jechać wszędzie z wyjątkiem Anglii.

— Wobec tego Anglia odpada — stwierdził rzeczowo chłopczyk.

Wiadomo było z góry, że Andrew opowie się za Francją, jego dziewczyna bowiem na dwa lata wracała do Paryża. Jej ojciec został przeniesiony do macierzystej placówki przy Quai d'Orsay.

— Mogę wrócić do firmy; mamy filie w Paryżu i Londynie. Możemy także żyć bez luksusu gdzieś na wsi i uprawiać warzywnik. Istnieje mnóstwo opcji — uśmiechnął się ojciec. Rozmyślał nad tym od chwili, w której zaczął się atak brukowców. Przede wszystkim musieli wyjechać z Waszyngtonu. Decyzję „dokąd?” mogli podjąć później. Robert Marshall napomknął mu, że już w bliskiej przyszłości może mieć dla niego kilka interesujących propozycji, na razie jednak cena sławy okazała się za wysoka. Nazajutrz rano Charles z godnością, wdziękiem, a także pewną ulgą oznajmił zgromadzonym przedstawicielom prasy, że wycofuje swoją kandydaturę do senatu z powodów osobistych.

— Czy ma to związek ze zdjęciami, do jakich przed laty pozowała pańska żona? A może przyczyną jest jej kryminalna przeszłość, jaka również niedawno wyszła na jaw? Dranie, pomyślał. Nowe oblicze dziennikarstwa nie budziło w nim zachwytu. Dawniej to wszystko — obrzucanie błotem, złośliwości i kłamstwa, nie zawsze możliwe do udowodnienia — nie miało racji bytu. Dziś pismaki celowały poniżej pasa, i to nożem. Nie obchodziło ich, w czyje ciało trafią, jeśli tylko wywlekali na wierzch krew i flaki. Media trwały w przekonaniu, że tego właśnie życzą sobie czytelnicy.

— O ile mi wiadomo — Charles spojrzał reporterowi prosto w oczy — moja żona nigdy nie pozowała do takich zdjęć.

— A jej aborcja? Czy to prawda?... Czy za dwa lata wróci pan do Kongresu?... Czy ma pan już na oku inny polityczny cel?... Stanowisko w rządzie?... Czy prezydent omawiał z panem możliwość powtórnej elekcji?... Czy to prawda, że pańska żona grała w filmach porno w Chicago?...

— Dziękuję wam, panie i panowie, za życzliwość i obiektywizm, z jakimi traktowaliście mnie przez minionych sześć lat. Dziękuję i żegnam. — Skłonił się uprzejmie niczym ideał dżentelmena, którym zawsze był, po czym wyszedł z sali nie oglądając się za siebie. Za dwa miesiące, gdy wygaśnie jego mandat w Kongresie, wyjedzie i na tym wszystko się zakończy.

ROZDZIAŁ XVI

Ostatnie zdjęcie pojawiło się w „Thrillu” dwa tygodnie po rezygnacji Charlesa, a potem zapanował spokój. Marcus sprzedał negatyw miesiąc wcześniej i zdążył już przepuścić honorarium. Wciąż bał się jednak Grace i w końcu zdecydował się wyjechać z miasta. Miał jeszcze jedno ujęcie, była na nim z mężczyzną i naprawdę wyglądali jak w trakcie stosunku. Zatrzymał je przy sobie, choć był to majstersztyk. Mogło go kosztować życie, a poza tym w chwili, gdy Mackenzie zrezygnował, „Thrill” przestał interesować się jego żoną, Niedługo później serwis prasowy Associated Press otrzymał telefon od właściciela laboratorium fotograficznego, którego Marcus Anders wykiwał na pokaźną sumę. Nazywał się Jose Cervantes i był najlepszym fotomontażystą w Nowym Jorku, a być może i w kraju. Miał na swoim koncie artystyczne retusze dzieł znanych fotografików, a także wiele dowcipnych składanek, tworzonych głównie dla potrzeb reklamy i rozlicznych wydawnictw — ot, choćby na kartki z życzeniami. Potrafił osadzić głowę Margaret Thatcher na barach Schwarzeneggera. Wystarczył tylko jeden maleńki szew... hokus pokus i gotowe! Wyjaśnił, że w przypadku Grace sfabrykował cienką czarną wstążkę na szyi. W ten sposób mógł dodać jej głowę do każdego ciała. Wybrał parę seksbomb w kuszących pozach, bo Marcus powiedział, że to ma być żart. Obiecano mu za to wysoką zapłatę, więc choć miał obawy, że coś tu może śmierdzieć, wziął się do roboty. Dopiero gdy zobaczył swoje zdjęcia w „Thrillu”, uświadomił sobie, do czego przyłożył ręki. Powinien był już wtedy złożyć wyjaśnienia, ale bał się w to mieszać. Fotomontaż sam w sobie nie był sprzeczny z prawem, lecz wykorzystany w taki sposób stanowił dowód złych intencji — dowód, którego przez cały czas szukali. Marcus Anders postanowił zniszczyć Grace. Nie wiedział o jej więziennej przeszłości i na śmierć zapomniał o tych starych zdjęciach. Kiedy jednak zobaczył artykuły w „Thrillu”, zwietrzył grubszą forszę. Technik początkowo nie rozpoznał Grace, później zaś robota była już gotowa. Oryginalne zdjęcia przedstawiały Grace w obszernej białej koszuli, część nawet w dżinsach. Najcenniejszy wszakże był wyraz jej twarzy, kiedy leżała odurzona na białym futrze. Wyglądała niewiarygodnie zmysłowo.

Relacja Cervantesa zyskała szeroki rozgłos, gazecie „Thrill” zaś groził poważny i niezbyt przyjemny proces. Pan Goldsmith, radca prawny, nie posiadał się z radości. Przeciw Marcusowi wniesiono pozew o fałszerstwo i złośliwe oszczerstwo, ale fotograf zdążył zniknąć. Fama głosiła, że wyjechał do Europy.

Marcus i „Thrill” niewątpliwie zbili fortunę kosztem Grace. Oprócz tego jednak upoiło ich poczucie władzy: pokazali, że są w stanie zrobić wszystko. Rodzinę Mackenziech traktowano jak pionki przestawiane po planszy. Nikt nie poczuwał się do odpowiedzialności: ani fotograf, ani technik, ani redaktor, ani też wydawca. Ofiarą padli zaś niewinni ludzie. Spakowali rzeczy i wyjechali na Boże Narodzenie do Connecticut. Potem wrócili jeszcze raz, żeby zlikwidować dom przy ulicy R. Został od ręki sprzedany nowemu kongresmanowi z Alabamy.

— Nie będziesz tęsknić za Waszyngtonem? — zapytała Grace ostatniego wieczoru przed wyjazdem, gdy leżeli już w łóżku. Sama nie była pewna, czy jej żal, czy nie. Pomimo

prasowego koszmaru przeżyli tu także i cudowne chwile. Martwiła się, że Charles będzie miał odczucie, iż pozostawia za sobą sprawy, których nie załatwił do końca.

On jednak wcale tak nie myślał. Sporo osiągnął w ciągu sześciu lat pracy w Kongresie, nauczył się też kilku ważnych rzeczy. Najistotniejszą z nich było odkrycie, że rodzina znaczy dla niego o całe niebo więcej niż kariera zawodowa. Podjął mądrą decyzję. Pokonali tyle przeciwności, że wystarczy im na całe życie. Miało to i dobre skutki: dzieci stały się dojrzalsze, a całą rodzinę połączyły silniejsze więzy.

Otrzymał już kilka ofert: od pewnej korporacji z sektora prywatnego, dwóch dużych fundacji, no i oczywiście od własnej firmy prawniczej. Jednakże jeszcze nic nie postanowił. Najpierw spędzą jakiś czas w Europie. Zaklepał już miejsca dla dzieci w dwóch szkołach — w Genewie i Paryżu. Zahaczą też o Anglię; Języczek miał zostać u przyjaciół w Greenwich, dopóki nie wrócą do domu na lato. Jest dość czasu na decyzje. Może Grace urodzi jeszcze jedno dziecko... a nawet jeśli nie, i tak będą szczęśliwi. Mają tyle możliwości...

Rano Grace siedziała już z dziećmi w samochodzie, gdy zadzwonił telefon. W domu została tylko stara piłka Matta i para zdartych tenisówek pod gankiem od strony ogrodu; poza tym wszystko było spakowane.

Dzwonił urzędnik Departamentu Stanu, którego Charles znał tylko przelotnie. Wiedział, że człowiek ten należy do otoczenia prezydenta i jest bliskim znajomym Rogera Marshalla.

— Prezydent chciałby się z panem zobaczyć; dziś, jeśli znajdzie pan czas — powiedział.

Charles uśmiechnął się i potrząsnął głową.

— Właśnie wyprowadzamy się do Connecticut. Dzieciaki siedzą już w samochodzie.

— Przyjdźcie wszyscy. Jestem pewien, że nie będą się nudzić. Zapraszam na dziesiątą czterdzieści pięć, zgoda?

Charles miał ochotę zapytać: „Po co?”, ale nie wypadało mu tego zrobić, ponadto zaś nie chciał zatrząskiwac za sobą drzwi — zwłaszcza gdy były to drzwi Białego Domu.

— Nie widzę przeszkód — rzekł — jeśli oczywiście jesteście w stanie znieść troje hałaśliwych dzieci i psa.

— Sam mam pięcioro — zaśmiał się urzędnik — a żona kupiła mi prosię na gwiazdkę.

— Zaraz tam będziemy.

Dzieci były pod wrażeniem.

Założę się, że prezydent nie z każdym się żegna — rzekł Matt z dumą, żalując, że nie ma się komu tym pochwalić.

— O co chodzi? — zapytała Grace, kiedy Charles skręcił w Pennsylvania Avenue.

Ich turystyczny samochód był bez wątpienia jednym z najmniej imponujących, jakie w ostatnim czasie zajechały przed Białym Domem. Charles odparł szczerze, że nie ma absolutnie zielonego pojęcia.

— Ja wiem: chcąc, żebyś za cztery lata ubiegał się o fotel prezydencki — zachichotała Grace. — Powiedz im, że nie masz czasu.

— Jasne — zaśmiał się, wysiadając z samochodu. Elegancki urzędnik zaprosił ich do środka. Dzieci tymczasem miały zwiedzić Kapitol, znalazł się nawet młody żołnierz do opieki

nad Języczkiem. Panowała tu przyjazna atmosfera. Prezydent lubił dzieci, psy i ludzi. Także Charlesa.

Powiedział, iż żałuje, że Charles wycofał się z kampanii wyborczej, ale rozumie jego decyzję. Czasami trzeba zadbać o własne życie, nie tylko o dobro kraju. Charles wyraził wdzięczność za dotychczasowe poparcie i nadzieję, że jeszcze kiedyś się spotkają.

— Ja również mam taką nadzieję — uśmiechnął się prezydent. — Czy lubi pan Francję? — spytał lekko.

Charles wyjaśnił, że owszem; planują zwiedzić Normandię i Bretanię, później zaś dzieci pójdą do szkoły w Paryżu.

— Kiedy to nastąpi? — zainteresował się prezydent.

— W lutym lub marcu. Zostaniemy tam do wakacji; potem przez miesiąc będziemy podróżować po Anglii, a następnie wrócimy do domu. Mniej więcej w tym okresie powinienem podjąć pracę.

— A może by tak w kwietniu?

— Słucham?

Prezydent uśmiechnął się.

— Pytałem, czy nie ma pan ochoty wrócić do pracy w kwietniu.

— Wtedy będę jeszcze w Paryżu — odparł Charles delikatnie. — Im więcej czasu spędzą poza krajem, tym lepiej.

— To nic nie szkodzi — ciągnął prezydent. — Nasz obecny ambasador we Francji chciałby w kwietniu odejść na emeryturę. W tym roku bardzo podupadł na zdrowiu. Proponuję panu jego stanowisko na okres najbliższych dwóch, może trzech lat. Potem wspólnie zastanowimy się, co dalej. Za cztery lata czekają nas następne wybory, Charles. Ten kraj potrzebuje uczciwych ludzi. Chciałbym widzieć między nimi i pana.

— Ambasador we Francji? — Charles osłupiał. Tego nie przewidział; otwierała się przed nim kolejna życiowa szansa.

— Czy mogę najpierw naradzić się z żoną?

— Naturalnie.

— Niebawem dam odpowiedź, panie prezydencie.

— Niech pan to sobie spokojnie przemyśli. To dobra posada, Charles; jestem pewien, że się panu spodoba.

— Myślę, że spodoba się nam wszystkim — Charles był zbity z tropu. Oto drzwi do kariery politycznej na powrót stanęły przed nim otworem.

Ucisnął dłoń prezydenta i podekscytowany nieomal zbiegł na dół, co nie uszło uwagi Grace. Konała z ciekawości.

Zapędzenie dzieci i psa do samochodu trwało wieki, a kiedy w końcu się udało, wszyscy chórem zarzucili ojca pytaniami, o czym rozmawiał z nim prezydent.

Zyczył nam szerokiej drogi — zażartował Charles, zwlekając z odpowiedzią. — Kazał przysłać kartkę.

— Tato! — zgromiła go Abbie, a od Grace dostał przyjacielską sójkę w bok.

— Powiesz nam czy nie?

— A co za to dostanę?

— Jeśli zaraz nie powiesz, wypchnę cię z samochodu!

— Na twoim miejscu posłuchałbym mamy, tato

— ostrzegł go poważnie Matt.

— No dobrze. Powiedział, że nigdy nie spotkał równie kłopotliwych ludzi i nie chce nas tu więcej widzieć.

Zgodny chór krzyknął na niego, że wcale nie jest zabawny. Nawet pies rozszczękał się zajadle.

— Prawdę mówiąc — podjął Charles — najchętniej zatrzymałby nas w Europie.

Wszyscy podejrzliwie wbili w niego wzrok.

— Zaoferował mi stanowisko ambasadora w Paryżu

— rzekł cicho.

Na tylnym siedzeniu od nowa wybuchła wrzawa. Tym razem najgłośniej wyrażał swą radość Andy.

— Naprawdę? — Grace osłupiała. — Od kiedy?

— Od kwietnia.

— I co powiedziałeś?

— Że muszę się naradzić z tobą i dziećmi i że dam mu znać. Co o tym myślisz? — zerknął na nią, skręcając na północ, w stronę Greenwich.

— Myślę, że na całym świecie nie ma takich szczęściarzy jak my — odparła z powagą.

Prawie cudem wyszli z piekła bez szwanku i wciąż byli razem. — Ale to nie wszystko — dodała cicho, nachylając się ku niemu.

— A co jeszcze?

— Myślę, że jestem w ciąży — szepnęła, żeby dzieci nie słyszały.

Spojrzał na nią z miłością.

— No tak — rzekł półgłosem. — Kiedy ten brzdąc skończy college, będę miał... może powinienem przestać liczyć lata. Nazwiemy go Franęois?

— Franęoise — poprawiła go Grace. — To będzie dziewczynka.

— Proponuję bliźnięta — zaśmiał się. — Czy to oznacza, że jedziemy do Francji?

— Zerknij do tyłu. Wszystko na to wskazuje.

Dzieci na tylnym siedzeniu wyrzaskiwały na cały głos francuskie piosenki, a Andy wprost promieniał.

— Nie boisz się rodzić za granicą? — zapytał cicho

Charles.

— Nic a nic — uśmiechnęła się. — Nie potrafię sobie wyobrazić miejsca, które byłoby odpowiedniejsze od Paryża.

— Czyli: „tak”?

Grace skinęła głową.

— Prezydent chce, żebym stanął do następnych wyborów. Sam nie wiem... Wolałbym już przez to nie przechodzić.

— Może będzie inaczej. Może się znudzą.

— Po tej sztuczce z fotomontażem całkiem możliwe, że wkrótce to my będziemy właścicielami „Thrilla” rzekł w zadumie Charles. Sprawa sądowa była w toku. Goldsmith parł do przodu jak taran, odbijając sobie długi okres bezsilności.

— I zrównamy redakcję z ziemią. Jakaż to miła myśl.

— Grace uśmiechnęła się złośliwie.

— Sprawiłoby mi to prawdziwą rozkosz. — Charles pochylił się i cmoknął ją w ucho. Śmiech dzieci i pogodna twarz Grace zacierały już koszmar minionych miesięcy. Kiedy przejeżdżali most Nad Potomakiem, z tyłu rozległ się chóralny wrzask:

— Au revoir, Waszyngtonie!

Charles spojrział na miasto w którym narodziło się i zgasło tyle marzeń. Wzruszył ramionami. Do zobaczenia — mruknął.

Grace przytuliła się do niego, z uśmiechem wyglądając przez okno.

KONIEC.

